

Katherine Stone  
HAPPYEND  
Przekład  
Marta Dmitnik  
AMBER

Tytuł oryginału HAPPY ENDINGS  
Redakcja stylistyczna EUGENIUSZ MELECH  
Redakcja techniczna ANNA BONISŁAWSKA  
Korekta URSZULA KARCZEWSKA  
Ilustracja na okładce MARAIS CAUSSEN  
Opracowanie graficzne okładki STUDIO GRAFICZNE WYDAWNICTWA AMBER  
Skład  
O AMBER

Informacje o nowościach w książkach Wydawnictwa AMBER oraz możliwość zamówienia możecie Państwo znaleźć na stronie Internetu <http://www.amber.supermedia.pl>

Copyright (c) 1994 by Katherine Stone All rights reserved

For the Polish edition (c) Copyright by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o. 2000

ISBN 83-7245-268-7

1

Century City, Kalifornia Piątek, 10 marca

Kochać cię, Raven? Kochać ciebie? To jakby kochać lodowiec. Nie, lodowiec by z czasem roztajał. Ale nie ty..." Brzęczek interkomu na jej biurku przerwał bolesne wspomnienie okrutnych słów Michaela. Na szczęście i we właściwym momencie, pomyślała Raven, zmuszona do porzucenia rozważań o przeszłości i do skupienia się na teraźniejszości. Była w pracy. Absolutnie nic nie usprawiedliwiała tego, że pozwalała, aby jej myśli dryfowały od teraźniejszości do czasu minionego, od spraw zawodowych do osobistych.

W elegancko urządzonym biurze, zawieszonym symbolicznie ponad Aleją Gwiazd, była tą sławną Raven Winter - doradcą gwiazd. Pomyślała ponuro, że w pracy miała być właśnie zimnym, nieustępliwym, pozbawionym serca lodowcem, o co z takim okrucieństwem oskarżał ją Michael.

Wzięła głęboki oddech, zanim nacisnęła guzik interkomu. Może wielki haust powietrza z pokoju, w którym przeprowadzała pertraktacje w sprawach wielomilionowych umów, pozwoli zapomnieć o bólu.

- Słucham?

Czuła niepewność w swoim głosie. Przysłuchując się słowom sekretarki, jeszcze raz głęboko odetchnęła.

- Barbara Randall na linii pierwszej.

Kierowniczka działu kontraktów nowojorskiego wydawnictwa nie musiała się przedstawiać. Barbara, także prawniczka, była osobą, z którą Raven miała do czynienia, kiedy klient - któryś z największych hollywoodzkich producentów, reżyserów lub aktorów - chciał kupić prawa do sfilmowania książki, wydanej przez jej firmę. Zwykle to Raven inicjowała rozmowy, ale tym razem dzwoniła Barbara, prawdopodobnie w sprawie książki, która dopiero miała się ukazać.

Raven podziękowała sekretarce, wzięła kolejny głęboki oddech i wcisnęła pulsujący przycisk na telefonie.

- Dzień dobry, Barbaro.

Poczuła ulgę; jej głos znowu brzmiał normalnie: entuzjastycznie i zarazem chłodno, przyjaźnie i profesjonalnie. A przede wszystkim wyczuwało się w nim pewność siebie.

- Dzień dobry, Raven. Dzwonię w sprawie Darów miłości.

Raven wyczuła w głosie, który witał ją z drugiej strony kontynentu, niepewność, równie nietypową dla Barbary Randall, jak dla Raven Winter. Tak jak Raven Barbara była arbitralnym negocjatorem, ekspertem w rozgrywaniu partii szachów, w których każdy pionek wart był miliony, a zmierzano nie do pokonania przeciwnika, lecz do remisu.

Pertraktacje w sprawie Darów miłości były twarde, ale w końcu każda ze stron osiągnęła wszystko, co mogła - i ustąpiła na tyle, na ile musiała. Kiedy osiągnięto możliwie najlepsze porozumienie, został podpisany kontrakt. Jason Cole uzyskał wyłączne prawo do zrobienia filmu opartego na tym bestsellerze.

- Są jakieś problemy, Barbaro?

- Chyba nie. Mam nadzieję, że nie. Właśnie dzwoniła Lauren Sinclair. Początkowo, kiedy wydawnictwo poinformowało ją o umowie, była zadowolona, że jej książkę wybrał właśnie Jason Cole. Kto mógłby być lepszy? Ale teraz ma wątpliwości. Niepokoi się, że on zechce wprowadzić jakieś zmiany.

- Ma do tego prawo. Sądziłam, że o prawach do filmowania decyduje wydawnictwo, a nie pani Sinclair.

- To prawda, ale zawarliśmy kontrakt bez porozumienia z nią. To był mój błąd. Rzecz jasna, wcale nie musieliśmy się z nią konsultować i, szczerze mówiąc, nie przyszło mi to nawet do głowy. - Raven usłyszała, że Barbara nabiera powietrza, jak gdyby miała nadzieję, że zaczerpnie pewności siebie i wraz z wydechem pozbędzie się niepokoju. Nie całkiem jej się to udało. -Wiem, że to skończona sprawa. Dzwonię, żeby dowiedzieć się, czy istnieją jakieś kwestie sporne.

- Chcesz, żebym spytała Jasona, czy zamierza wprowadzić zmiany?

- Zrobiłabyś to? Sama wiele razy próbowałam się do niego dodzwonić w ciągu ostatnich pięciu dni, ale nic mi z tego nie wychodziło, jakbym stale napotykała jakąś kamienną ścianę.  
Na ustach Raven pojawił się lekki uśmiech. Jason Cole nie był właścicielem studia Gold Star. W gruncie rzeczy dzięki wynegocjowanej przez nią umowie na cztery filmy, wartej setki milionów, można by twierdzić, że to Jason należy do Gold Star. Niemniej jednak, gdy ten aktor, zdobywca Oscarów (zdobywał je także, gdy stał się scenarzystą i reżyserem) pojawiał się w studiu, każdy, kto podnosił słuchawkę, zdawał sobie sprawę, że musi surowo "prześwietlać" wszystkie telefony do Jasona. Na większość telefonów,

nawet od najsłynniejszych gwiazd Hollywood, nigdy nie odpowiadano, a osoby obce zawsze były ignorowane. Ale Raven Winter zawsze łączono z Jasonem Coleem - i to bezzwłocznie.

- Z przyjemnością porozmawiam z Jasonem, Barbaro. Ale może jeszcze nie mieć żadnych planów co do Darów miłości. Właśnie kończy montować Szmer fał, za trzy tygodnie pojedzie do Hongkongu, gdzie przez dwa miesiące będzie kręcił sceny plenerowe do Nefrytowego pałacu, a potem czeka go jeszcze jeden film przed Darami miłości.

- Może więc upłynąć sporo czasu, zanim zdołam uspokoić Lauren Sinclair.

- Tak. - Raven nie zamierzała upiększać prawdy, choć mogła to zrobić. Być może nigdy nie dojdzie do tego "uspokojenia". O ile znała Jasona, mógł chcieć wprowadzić zmiany. - Ale spróbuję porozmawiać. Czy coś ją konkretnie niepokoi, może podejrzewa, co Jason chciałby zmienić?

- Czytałaś tę książkę?

Oczywiście, że nie, pomyślała Raven, bez najmniejszego poczucia winy czy chęci usprawiedliwienia się. Była prawnikiem, nie agentem literackim. Włączała się do działania wtedy, gdy praca agenta - omawianie pomysłów, sposobu narracji, ocena jakości działania - była zakończona i obie strony chciały zawrzeć umowę. Zadaniem Raven było wynegocjowanie ceny umowy, a potem opracowanie kontraktu.

Nie znała Darów miłości, ale czytała kilka entuzjastycznych recenzji. Tłem tej książki o miłości była wojna w Wietnamie. Krytycy porównywali panoramę i ładunek emocjonalny powieści do klasycznych sag wojennych: Przeminięło z wiatrem, Casablanka i Doktora Żywago. I nawet ci, którzy woleli niepokoję i udręki typowe dla "prawdziwej" literatury, wynosili Dary miłości pod niebiosa pomimo ich szczęśliwego zakończenia.

Raven nie miała wątpliwości, że to naprawdę wspaniała książka, co nie znaczyło, żeby chciała ją przeczytać. To w gruncie rzeczy romans. A Raven Winter nie czytywała romansów.

Może powinna? Nie, od tego nie będzie lepsza w swoim zawodzie. Raven Winter, doradca prawny, nie mogła być już lepsza. Wiedziała o tym dobrze, ale ten wewnętrzny głos przypominał o wszystkich jej przegranych i wszystkich jej wadach.

- Nie czytałam - przyznała cicho. - Ale znam trochę treść. Akcja toczy się w Wietnamie, jest to historia miłości pomiędzy żołnierzem i lekarką chirurgiem.

- Samem i Savannah - uzupełniła Barbara. Najwyraźniej nie tylko czytała powieść, ale -jak miliony czytelników - widziała w nich coś więcej niż fikcyjne postaci. Sam i Savannah tak jak Rhett i Scarlett, Jurij i Lara, Lisa

i Rick byli istotami mitycznymi, legendarnymi, nie zapomnianymi. Zakochali się w sobie, a potem musieli się rozstać. Odnaleźli się na krótko przed tym, jak Savannah urodziła ich córkę. W książce dziecko przeżyło, ale Lauren boi się, że w filmie będzie inaczej, że Jason zechce zmienić to szczęśliwe zakończenie na bardziej smutne.

- W porządku. Zadzwoń do Jasona i spróbuję się czegoś dowiedzieć. - Raven zerknęła na złoty, wysadzany brylantami zegarek, który nosiła na szczupłej ręce. Za piętnaście czwarta, czyli za piętnaście szósta w Nowym Jorku. - Prawdopodobnie kończysz już pracę. - Uświadomiła sobie, że to piątek, i dodała: - Właściwie kończysz tydzień roboczy.

- Tak. Ale poczekam tu, dopóki nie zadzwonisz.

Raven była zła na autorkę bestsellera. Dlaczego nie można zmienić zakończenia na bardziej autentyczne? Czy Lauren Sinclair spadła z innej planety? Co to za nieprawdopodobny świat Sama i Savannah? A może życie pisarki było naprawdę tak cudowne, jej romanse niczym nie splamione, nieskazitelnie szczęśliwe, zachwycająco doskonałe? Czy nikt nigdy nie powiedział do Lauren Sinclair: "Kochać cię, Lauren? Kochać ciebie?"

- To trochę potrwa, zanim skontaktuję się z Jasonem, więc może ja zadzwonię do pani Sinclair?

- Mam bilety do Metropolitan Opera - szepnęła Barbara. - Naprawdę nie będziesz miała nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie. - Nie będzie miała nic przeciwko temu, by powiedzieć pani Lauren Sinclair, że miłość nie zawsze kończy się szczęśliwie. - A jeśli nie uda mi się dzisiaj złapać Jasona, to też ją o tym zawiadomię.

- Wspaniale. Bardzo ci dziękuję. Zaraz do niej zadzwonię i powiem jej, że się z nią skontaktujesz.

Barbara podała numer Lauren Sinclair. Raven powtórzyła go na wszelki wypadek.

- Co to za kierunek, dziewięćset siedem?

- Kodiak, na Alasce.

- Musi zrobić kawał drogi, gdy wybiera się na promocję książek.

- Nigdy tego nie robi. Jest naszą najbardziej kasową autorką, ale nigdy nie była nawet w Nowym Jorku, a tym bardziej gdzie indziej. Nikt z nas jej nie widział, nie mamy nawet fotografii na okładkę.

Raven ściągnęła brwi. To było zadziwiające. Stworzyła sobie bardzo wyraźny obraz autorki romansów, która miała tyle tupetu, by pisać szczęśliwe zakończenia, a teraz chce dyktować Jasonowi Coleowi, jak ma robić filmy. Była to olśniewająca wizja kobiety czarującej, a zarazem chorobliwie żądnej sławy, spodziewającej się, że zawsze będą jej rozścielać pod nogami czerwony aksamitny chodnik.

Raven wyobraziła ją sobie jako utalentowaną, a zarazem skupioną wyłącznie na sobie primadonnę. Nie spodziewała się pustelnicy.

- Masz idealne wycucie - powiedziała kilka minut później Greta, sekretarka Jasona. - Właśnie pojawił się tu po raz pierwszy od tygodnia.

- Był w montażowni.

- I nie wychodził z niej przez cały czas. Poczekał chwilę, przełączę cię.

Raven czekała, aż odezwie się uwodzicielski głos najbardziej seksownego mężczyzny Hollywood i zastanawiała się, jak może wyglądać w tej chwili Jason. Chyba ma na sobie czarny podkoszulek, wyblakłe dżinsy i znoszone kowbojskie buty. Podkoszulek i spodnie są luźne, ale i tak rzuca się w oczy zmysłowość, pełna wdzięku siła jego szczupłego ciała. Gęste, ciemne włosy są zmierzwiłone, przystojna twarz - nie ogolona, a pod ciemnoniebieskimi oczami widać sińce. Ale w kobaltowej głębi oczu nie ma zmęczenia. Przeciwnie, są pełne energii, błyszczące żywym ogniem zadowolenia. Krótko mówiąc, Jason Cole wygląda jak mężczyzna nasycony, ale nie wyczerpany bezsennymi nocami spędzonymi na zaspokajaniu namiętności. W Hollywood jest pełno pięknych kobiet, które oglądały Jasona po takiej nocy. Jednak ostatnio Jason całą namiętność kierował wyłącznie na swój film.

- Cześć, Raven.

- Cześć. Jak tam Szmer fali!

- Jako tako. Trzeba jeszcze sporo cierpliwości.

Raven pomyślała, że on nie należy do ludzi cierpliwych. W każdym razie tak twierdziło wiele z porzuconych kochanek Jasona. Oczywiście nie był niecierpliw w łóżku, poprawiały się szybko. Tracił spokój, gdy w grę wchodziły inne aspekty związku. Nie chciał poświęcać mu koniecznego czasu.

Jason nie miał cierpliwości do więzi damsko-męskich, do niekompetencji, do przedłużających się negocjacji. Ale miał nieskończone zasoby cierpliwości, kiedy chodziło o film, urzeczywistnienie wizji, w którą wierzył - zawsze wspomniała, zawsze przekraczającą to, co mogli wyobrazić sobie inni.

Może Jason po prostu nie ma takich wspaniałych wizji, jeśli chodzi o związki z kobietami.

Raven, najkrócej jak mogła, wyjaśniła mu, dlaczego dzwoni. Na zakończenie dodała:

- Bohaterka książki... Savannah, w końcu rodzi pani Sinclair obawia się, iż zechcesz uśmiercić to dzieci

- Z dzieckiem wszystko będzie w porządku - odpp son. - To Savannah nie przeżyje porodu.

- Nasza klientka nie będzie zbyt szczęśliwa.

- Trudno. Poza tym to w gruncie rzeczy nie nasza sprawa, lecz pani Sinclair i jej wydawnictwa.

- Ale ja tu jestem pośrednikiem. Powiedziałam Barbarze Randall, że zadzwonię, do autorki.

- Doskonale. Przypomnij jej, że choć Dary miłości to jej powieść, film należy do mnie.

- Przypomnę jej to. Jeśli będzie trzeba, powiem, że z kupnem prawa do sfilmowania książki jest jak z kupnem domu: tylko adres zostaje ten sam. Nowy właściciel może zrobić, co zechce z samym budynkiem. A ty po prostu wprowadzasz niewielkie przeróbki.

-Niewielkie, ale niezbędne - uściślił Jason z wyraźną niecierpliwością.

Gdyby Raven nie czuła już do siebie nienawiści, gdyby okrutne odrzucenie przez Michaela nie potwierdziło na nowo tego, co wiedziała przez całe życie - że podobnie jak posąg z lodu nie jest godna miłości - pewnie miałyby wyrzuty sumienia z powodu satysfakcji, którą odczuwała, wybierając numer Lauren Sinclair na Alasce. Autorka romansów, zwracająca milionom czytelników głowy fantazjami o idealnej miłości ze szczęśliwym zakończeniem, miała właśnie zakosztować trochę rzeczywistości.

- Halo?

Głos, który odezwał się w słuchawce po pierwszym dzwonku, był cichy, nieśmiały. Bez wątpienia sekretarka Lauren Sinclair z trudem przeżyła ten dzień, zmuszona znosić humory swej chlebobdawnicy.

- Tu Raven Winter. Chcę mówić z Lauren Sinclair.

- Jestem przy telefonie. Barbara Randall mówiła mi, że pani zadzwoni -odpowiedziała Holly. Lauren Sinclair to był jej pseudonim.

Raven zdziwiła się, że słaby głosik należy do sławnej autorki.

- Właśnie skończyłam rozmowę z Jasonem Coleem.

-Tak?

W oddalonym, wystraszonej głosie pojawiła się nowa nutka. Nadal był słaby, ale trochę bardziej odważny, lekko ożywiony nadzieją. Raven nie czuła już żadnej przyjemności z tego, że ma zniszczyć tę nadzieję. Powiedziała głosem łagodnym, przepraszającym.

- Jason uważa, że ta historia będzie ciekawsza, bardziej autentyczna, jeśli bohaterka nie przeżyje porodu. Dziecko będzie żyć, ale...

- Och, nie.

Był to szept czystej rozpacz, jak gdyby właśnie zawiadomiła Lauren Sinclair, że zmarła kochana przez nią osoba. Rozpacz... i może szok, bo po udrczeniu szepcie nastąpiła cisza.

- Pani Sinclair? Lauren? Jest pani tam?

-Tak.

Przed chwilą to słowo, ta jedna sylaba kipiała odwagą i nadzieją. Teraz przepelniała ją beznadziejność śmierci. Ale przecież w rzeczywistości tej śmierci nie było. Choćby czytelnicy najgorzej pokochali Savannah, pozostawała postacią fikcyjną.

Misja Raven była skończona. Lauren Sinclair przyjęła wiadomość z rozpaczą, lecz bez protestów, jak gdyby decyzję, że Savannah umrze, uznała za nieodwracalną, jak gdyby w istocie już umarła.

Ale ona jeszcze nie umarła. W głosie Raven zaczął rodzić się pewien pomysł. Niebezpieczny i niemądry, tak beznadziejny jak zrozpaczony, odległy głos autorki.

"Pożegnaj się z Lauren Sinclair -usłyszała głos wewnętrzny. - Powiedz jej, że ci przykro, wymamrocuj kilka komunałów, ale nie mów głośno, co myślisz".

Raven zignorowała tę rozsądną radę.

- Widzę, że bardzo to pani przeżywa - zaczęła spokojnie. - Czy może mi pani powiedzieć dlaczego? Chciałabym wyjaśnić te powody Jasonowi. Ale chyba lepiej by było, gdyby porozmawiała pani bezpośrednio z nim. Czy zgodziłaby się pani przyjechać do Nowego Jorku, żeby się z nim spotkać?

W pierwszej chwili Holly chciała odpowiedzieć odmownie. Nie mogła przystać na to, co proponowała Raven Winter. Przez ostatnie piętnaście lat Holly Elliott nie wyjeżdżała z Alaski. A nawet bardzo rzadko, tylko wówczas, kiedy było to absolutnie konieczne, opuszczała bezpieczną samotnię swego domu.

Ale jednak go opuszczała. Chodziła sześć kilometrów do miasta na zakupy i na pocztę..., i po to, by oglądać po kilka razy filmy Jasona Colea, ilekroć grali je w miejscowym kinie. Na początku, przez pierwsze pięć lat na Alasce prowadziła niemal awanturniczy tryb życia. Oglądała cuda Alaski i wyjeżdżała co roku do Barrow, a całkiem niedawno, w 1989 roku, po katastrofie "Yaldea" wybrała się do Zatoki księcia Williama, by pomóc w oczyszczaniu morskich ptaków i wydr z ropy naftowej.

Mogła pojechać do Los Angeles. To było możliwe. Ale Raven chciała, żeby spotkała się z Jasonem Coleem i wyjaśniła mu, dlaczego nie należy zmieniać szczęśliwego zakończenia jej książki...

I Holly wiedziała, że musi to zrobić. Przed siedemnastoma laty, kiedy była trzynastolatką, nie potrafiła uratować życia ukochanej matce. Teraz chodziło o inną matkę, którą trzeba ocalić, wymyśloną, to prawda, a jednak...

Jej głos brzmiał bardzo poważnie, gdy wreszcie odpowiedziała na pytanie Raven.

- Tak, mogę pojechać do Los Angeles, by z nim porozmawiać. - Potem, ze słabą nadzieją, spytała. - Czy pani też będzie na tym spotkaniu?

Pełne nadziei słowa Holly poruszyły coś bardzo głęboko ukrytego w Raven, coś bolesnego, palącego. Ten żar pochodził z serca, z rozpalonych do białości płomieni, które się w nim tliły.

13

Zazwyczaj, gdy Raven czuła ból, towarzyszyło mu zimno jak ostre, przeszywające odłamki lodu. Istotnie, jej serce było tak pokryte lodem, tak ciasno w nim zamknięte, że czasem nie mogła wyczuć jego bicia. Ale pytanie Lauren Sinclair sprawiło, że tłące się węgle buchnęły płomieniem, rozżarzając pełne udręki wspomnienie. Przypomniała sobie kuczowłosą dziewczynkę, którą niegdyś była, pragnącą rozpaczliwie, by choć jedna osoba pomogła jej, obroniła ją, pokochała.

Teraz Lauren Sinclair prosiła Raven o pomoc, a w jej słabym, kruchym głosie było coś zadziwiającego. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Lauren wierzyła, że Raven jej pomoże, że jej nie zawiedzie.

- Tak, będę tam - obiecała Raven. - I pomogę ci... nie zawiodę.

Pomyślała z ironią, że Jason z pewnością zabije ją, zanim dojdzie do tego spotkania. Jak tylko powie mu, co zrobiła, przyjdzie tu i ją udusi.

Co takiego! -Nie sądzisz, że warto uśmierzyć jej obawy, zanim film zostanie ukończony? - zapytała chłodno Raven. - Były już przypadki, że autorzy polecali swym fanom, by nie oglądali filmu. Ma miliony czytelników i jeśli zechce sprawę rozdmuchać...

- Czy tym właśnie grozi? - wtrącił Jason.

Jego głos przepelniała pogarda dla Lauren Sinclair, ale nie było w nim ani śladu lęku o film, który zamierzał nakręcić.

Antyreklama przyciąga publiczność w takim samym stopniu jak pozytywne recenzje. Niezależnie od tego, co ktoś powie, mało prawdopodobne, żeby widzowie zignorowali film Jasona Colea - zwłaszcza taki, w którym grał także główną rolę. Już stworzona przez Lauren postać Sama była niezwykła, ale stanie się jeszcze bardziej zniewalająca, gdy mężczyzna, który tak wiele wycierpiał, stanie w obliczu dramatu życiowego - śmierci Savannah... A potem, tuląc dopiero co urodzoną córeczkę, największy dar namiętności, będzie szeptał jej ze łzami w oczach wszystkie uroczyście, radosne słowa

miłości.

- Ona wcale nie grozi, Jasonie - stwierdziła Raven. Westchnęła cicho. -

Po prostu myślałam...

- To spotkanie sama wymyśliłaś?

14

Raven odpowiedziała westchnieniem, cięższym od poprzedniego i niezwykle wymownym. Było to przyznanie się do winy. Po długiej chwili pełnego napięcia milczenia usłyszała cichy, niski i seksowny śmiech, który tak rozszławił Jasona Colea.

- Powinnaś być po mojej stronie, czyżbyś zapomniała? - droczył się z nią. - W porządku, Raven, czemu nie? Uwielbiam

spotkania z rozwścieczonymi autorami. Ale czy będziesz miała coś przeciwko temu, żebym to ja wybrał termin? Naprawdę nie mogę teraz rzucić wszystkiego.

- Wydaje mi się, że każdy termin będzie dla niej dogodny - powiedziała Raven, myśląc równocześnie, że wprowadzi wszystkie niezbędne zmiany do jego harmonogramu.

- Dobrze. Pozwól, że zerknę w kalendarz. - Jason tak szybko przerzucał kartki kalendarza, że w ciągu kilku sekund przebył piętnaście dni. - Co powiesz na lunch w poniedziałek, dwudziestego siódmego?

Również Raven przerzucała kalendarz długimi, smukłymi palcami. Zatrzymała się gwałtownie, gdy dotarła do weekendu poprzedzającego ów poniedziałek. "Chicago" napisane było jej eleganckim charakterem pisma w poprzek soboty i niedzieli. To słowo biło prosto w oczy, stanowiło wyraźny i niewątpliwy symbol jej głupoty - i przegranej. Przetwarzając je, jak gdyby ryła je w kamieniu, starała się z góry uczynić ten weekend pamiętnym. Rzeczywiście, byłby to widok godny zapamiętania: oto wchodzi do Cesarskiej Sali Balowej w hotelu "Fairmont", wspierając się na ramieniu ubranego w smoking Michaela Andrews. Rozpoznano by go natychmiast, wszyscy byliby okropnie przejęci, nareszcie pokazałaby im wszystkim!

"Kochać cię, Raven? Kochać ciebie?"

Raven zmusiła swoje myśli i palce, by opuściły ten katastrofalny weekend i przeszły do następnej strony kalendarza. Ale tutaj, przy poniedziałku dwudziestego siódmego natknęła się na kolejną uwagę, która stała się już nieaktualna:

"Pawilon Dorothy Chandler, godzina 18.00 (limuzyna o 16.45)".

Bardzo trudno było przekonać Michaela, by towarzyszył jej do Chicago w weekend poprzedzający najważniejszy w Hollywood wieczór. W zamian za to, powodowana głęboką wdzięcznością, zgodziła się chętnie, by wrócili pierwszym samolotem w niedzielę rano, rezygnując z bankietu przewidzianego na godzinę jedenastą.

Michael Andrews, którego ostatni film zdobył pięć nominacji do Oscara, chciał wrócić z Chicago w niedzielę rano, ze względu na ceremonię, która miała odbyć się w Hollywood w poniedziałek wieczorem. A teraz Jason Cole, którego Bez ostrzeżenia otrzymało siedem nominacji, proponował lunch na to popołudnie.

- Według mego kalendarza dwudziestego siódmego jest rozdanie Oscarów - powiedziała.

15

- I tego dnia wszyscy mają wolne?

Jason pytał tak, jak gdyby miała zamiar spędzić ten dzień w jednym z luksusowych salonów piękności na przygotowaniach do najbardziej uroczystej gali w Hollywood. Nawet kiedy była umówiona, że pójdzie na tę ceremonię z Michaeliem, nie planowała żadnych zabiegów upiększających. Ten poniedziałek byłby dla niej dniem pracy, jak zwykle.

- Nie, mnie to odpowiada - Raven zawahała się. Rzecz jasna Jasonowi nic do tego, ale gdy tylko oderwie się od pracy nad Szmerem fal, usłyszy plotki i mógłby być trochę niezadowolony, że nic mu nie powiedziała. - A tak na marginesie: przestałam już sypiać z twoim wrogiem. Jason zignorował aluzję do Michaela Andrews jako swego wroga. Michael był po prostu rywalem, bardzo silnym przeciwnikiem w walce o kasy biletowe. Skupił się natomiast na znaczeniu tego, co mu zdradziła.

- Ty i Michael nie jesteście już ze sobą? Nie miałem o tym pojęcia.

- To całkiem świeża historia.

- Przykro mi.

Raven zmarszczyła czoło, słysząc nieoczekiwaną łagodność w jego głosie. Stosunki łączące ją z Jasonem były zawsze bardzo życzliwe i niezwykle opłacalne, ale nawet w najmniejszym stopniu nie miały charakteru intymnego. "Nigdy nie miałaś z nikim intymnego związku - kpił wewnętrzny lodowaty głos. - Tak, miewałaś związki seksualne. Było wielu mężczyzn, którzy pragnęli twego doskonałego ciała, a ty zawsze tak chciałaś ich zadowolić, zrobić wszystko, czego sobie życzą... żeby tylko cię pokochali".

- Tak bywa - odparła w końcu bezbarwnym tonem. - W każdym razie odpowiada mi lunch w poniedziałek.

Porozmawiam z Lauren i dam znać Grecie.

- Dobrze. Naprawdę przykro mi z powodu Michaela.

- Dziękuję, Jasonie - powiedziała cicho. - Mnie też.

Jadąc ze swego biura w Alei Gwiazd do parterowego domku o dwóch sypialniach w Brentwood, Raven zatrzymała się przy księgarni na Wilshire Boulevard i kupiła egzemplarz Darów miłości. Dziesięć minut później była już w domu.

W domu. Mały, lecz drogi domek w prestiżowej dzielnicy był oficjalnym miejscem zamieszkania Raven przez ostatnie pięć lat. Ale przez większość czasu mieszkała gdzie indziej: w Topanga Canyon z aktorem, w Santa Monica z doradcą podatkowym, w chacie nad morzem w Golony, w Malibu, z jednym z najbardziej wpływowych agentów, a ostatnio w Beverly Hills, w posiadłości należącej do reżysera i producenta Michaela Andrews.

Przez pięć lat domek w Brentwood był raczej przechowalnią niż mieszkaniem, miejscem, gdzie gromadziła nie noszone w danej porze roku ubrania. Miejscem

16

służącym za przechowalnię dla samej Raven w przerwach pomiędzy okresami namiętności po tym, gdy mężczyzna, który kiedyś szaleńczo jej pragnął, znużył się jej chłodem, a ona nie znalazła sobie jeszcze kogoś nowego.

"Wygląda jak wnętrze lodówki" - pomyślała ponuro Raven, wchodząc do śnieżnobiałego salonu. W jej domu nie było kolorów, ciepła, żadnej indywidualności. Było to po prostu lodowato sterylne miejsce, gdzie przebywał lodowy posąg, kiedy nie pokazywał się wśród ludzi.

Raven poczuła dreszcz bólu. Oderwała błękitne jak niebo oczy od białej surowości pokoju i spojrzała na barwy za oknem. Starannie pielęgnowany przez ogrodników trawnik wyglądał jak soczysty, szmaragdowozielony dywan, ale rabaty kwiatowe stanowiły obraz nędzy i rozpacz. Były żałośnie zaniedbane i porośnięte wybujałymi chwastami. Miała kiedyś ogrodnika, ale dawno odszedł na emeryturę, a nie wynajęła drugiego, bo głupio wierzyła, iż lada dzień przeniesie się, tym razem na stałe, do posiadłości w Beverly Hills.

"Muszę znaleźć ogrodnika - pomyślała. - Zanim sąsiedzi zaczną narzekać".

To była ponura myśl, jak wszystkie myśli o planach, które ruszyły przed trzema dniami, chwilę po tym, jak Michael wrócił do domu po siedmiu tygodniach spędzonych na planie filmowym w Madrycie. Jeszcze raz Raven Winter musiała zaczynać od nowa. Oczywiście nie miała cudownego uczucia, że rodzi się na nowo, ani dawnej ufności, że czeka ją następny olśniewający sukces. Prawdę mówiąc, za każdym razem było jej trudniej, ciężiej niż poprzednio, ponieważ obawiała się fiaska, kolejnego dowodu, że niezdolna jest do prawdziwej miłości.

Raven chciała się zmienić, być ciepła, miękka i czuła. Och, jak bardzo się o to starała. Ale po każdym zerwaniu stawała się coraz bardziej czujna, pełna rezerwy, słabsza.

Raven wzruszyła szczupłymi ramionami, zamierzając w ten sposób zrzucić brzemień myśli. Po chwili jednak znowu poczuła przytłaczający ją ciężar. Była strasznie wyczerpana. Od trzydziestu trzech lat jej pokryte lodem serce z trudem walczyło o życie. A w dodatku teraz bystry mózg Raven wymęczyły trzy noce dręczących wspomnień bez odrobiny snu.

Przez jedną kuszącą chwilę myślała, by pójść od razu do łóżka. Była tak zmęczona, że może udałoby się jej wreszcie zapaść w sen, długi, pozbawiony marzeń, odmładzający i zapewniający odpoczynek. Ale poddanie się kuszącej perspektywie snu nie pasowało do stylu życia zdyscyplinowanej Raven Winter. W taki sposób nie przetrwałyby, nie osiągnęłyby sukcesu zawodowego, przekraczającego wszelkie oczekiwania.

Był pachnący, jasny wiosenny wieczór. Ponieważ opuściła dzisiaj poranny jogging, gdyż musiała wcześniej zatelefonować na Wschodnie Wybrzeże, postanowiła teraz pobiegać.

Nieważne, że tak bardzo jest zmęczona.

17

Nieważne, jak sprawne jest jej szczupłe ciało.

Nieważne, że niebezpiecznie jest biegać po San Vincente, kiedy umysł zaprzęta niedawne echo czyjejś pogardy.

Nieważne, że te najnowsze echa budziły inne, odległe, ale wciąż bolesne, wypełniające całe życie...

Masz na imię Raven?

Raven? Czy to nie nazwa ptaka, brzydkiego, czarnego ptaka śmierci?

Jak sęp.

Albo ścierwnik. Co to za śluz na twoich gołych nogach, Ścierwniku?

Czy to wazelina? Smalec? Chodźcie szybko zobaczyć, czym sęp posmarował swoje chude nogi!

Po co ci to, Wrono? Nie masz pończoch? Czy twoja matka-dziwka nie może ci ich kupić? Mogłaby, wiesz o tym - gdyby brała pieniądze za swoje usługi, byłaby bogata!

Te okrutne przytyki towarzyszyły jej przez całą siedmiokilometrową trasę joggingu. Choćby najszybciej biegła, dotrzymywały jej kroku. Czasem nawet były od niej szybsze, czekały za rogiem, gdy doń docierała... Aż wreszcie nieoczekiwanie przywitały ją własne, dawno temu wypowiedziane słowa, uroczysta i pełna udręki obietnica, którą sobie złożyła w wieku dziewięciu lat, gdy po raz pierwszy przeczytała ten poemat.

"Kracze kruk: już nigdy więcej" - napisał Poe - i zdawało się, że cierpiący pisarz kontaktuje się z nią spoza grobu, rozumiejąc jej ciężkie położenie, jej ból... i daje jej pozwolenie, by skończyła z nimi na zawsze. Pewnego dnia, kiedy ból będzie zbyt wielki, by go dłużej znosić, zyska w końcu kontrolę nad swym życiem. Podejmie trzeźwą i nieodwracalną decyzję, by się uwolnić.

Pewnego dnia po prostu powie: już nigdy więcej, nigdy więcej, nigdy...

Gdyby Nicholas Gaunt znacznie nie zwolnił, zanim skręcił w prawo z San Vincente w Barrington, gdyby nie miał błyskawicznego refleksu i gdyby zawahał się przez ułamek sekundy, bojąc się, że jego ciężarówka zostanie stuknięta od tyłu - mógłby ją potrącić.

Ale Nick zdołał zatrzymać się ze zgrzytem hamulców, gdy tylko kilku centymetrów brakowało, by lśniący zderzak zetknął się z kruchym ciałem. Głośny hałas wyrwał z samobójczej zadumy czarnowłosą kobietę, która wybiegła niebacznie na środek jezdni. Zaskoczona i przerażona odskoczyła i upadła, ocierając sobie skórę na dłoniach i kolanach przy zetknięciu z twardym betonem.

Nick natychmiast wyskoczył z ciężarówki i wściekły skierował się do kobiety, która o mało nie uczyniła z niego zabójcy.

18

W chwili, gdy podjął się poważnego - i radosnego - obowiązku wychowywania dwóch córek, Nicholas Gault przyrzekł sobie, że nigdy nie będzie kłąć, przynajmniej na głos. Było to przyrzeczenie, którego dotrzymał. Prawdę mówiąc, przeklinał jedynie w duchu, tylko czasami, i niezmiennie powodem tego była matka dziewczynek, Deandra.

Ale teraz, pod wpływem adrenaliny, wyszukane przekleństwa i malownicze inwektywy kipiały mu w ustach... Nick postanowił nie oszczędzać kobiety, której beztroška omal nie doprowadziła do katastrofy.

Nadal kłęczała na samym środku jezdni. Ponieważ głowę miała pochyloną, nie mógł widzieć jej twarzy. Wpatruje się gniewnie w nawierzchnię, jak gdyby jezdnia była odpowiedzialna za jej głupi upadek. Stalowszare oczy Nicka

przesunęły się z jej pochylonej głowy na ubranie do joggingu, które nosiła. Komplet od Ellesse, wart kilkadziesiąt dolarów, złożony z szortów, koszulki, opaski na głowę i skarpet, w odcieniach błękitu i delikatnego różu.

Nick wiedział wszystko o bogatych, samolubnych kobietach. Prawdę mówiąc, można by powiedzieć, że był ekspertem, jeśli chodziło o takie kobiety: które musiały mieć markowe ciuchy, nawet do joggingu, i które nigdy nie poczuwały się do odpowiedzialności, nawet jeśli to one zawiniły.

Wzgarda zaczęła mieszać się z gniewem, a na jego usta cieszyły się jeszcze ostrzejsze słowa, którymi zamierzał ją obrzucić! Górował teraz nad nią, milcząco rozkazywał jej, aby przeniosła wzrok z twardej jak kamień nawierzchni na jego twarde jak kamień spojrzenie. Nick wiedział, że zdaje sobie sprawę z jego obecności, ale głowę nadal trzymała pochyloną, usiłując odparować jego natarcie, zyskać współczucie.

Spójrz na mnie. Miej choć trochę odwagi, choć odrobinę uczciwości...

Posłuchała tego bezgłośnego rozkazu, podnosząc twarz ku jego gniewnym i pogardliwym oczom - a Nicholas Gault nie przerwał milczenia.

To nie jej nadzwyczajna piękność zamknęła mu usta. Nick był całkowicie uodporniony na urzekającą władzę takiej urody. Znał aż za dobrze jej zdradliwość i... fałsz.

Sama uroda, nawet tak zachwycająca, nie powstrzymałaby jego gniewnych słów. Mógł całkowicie zignorować jej pełne, drżące wargi i wydatne, jak rzeźbione kości policzkowe, zmysłowe, czarne, jedwabiste włosy, które wymknęły się spod pastelowej opaski na karku, by pieścić lśniąco idealną twarz.

Ale tym, co powstrzymało gniewne słowa Nicka, czego nie mógł zignorować, były jej oczy. Jasnoniebieskie, o tym rzadkim, szafirowym odcieniu, który niebo przybiera po śnieżnej zamieci. Jednak pomimo blasku oczy te nie miały migotliwej pogody takiego nieba ani jego osłepiającej niepokorności.

Nick oczekiwał arogancji ze strony pięknej kobiety, ubierającej się u Ellesse. Spodziewał się gniewnego spojrzenia wyraźnie mówiącego, że wini go za to, co się zdarzyło.

19

Ale zobaczył coś zupełnie innego. To ona spodziewała się, że ją zwymyśla, że skrzyczy ją tą nieostrożnością.

Wydawało się, że z rezygnacją przyjmuje jego wściekłość, akceptuje ją, jak gdyby była przyzwyczajona do pogardy, a nawet istotnie na nią zasługiwała.

W mrocznych cieniach jej jasnoniebieskich oczu krył się jeszcze inny komunikat - najbardziej zadziwiający i niepokojący. Jak gdyby chciała powiedzieć, że wszystko byłoby w porządku, gdyby ją potrafił, gdyby ją zabił. W porządku... a może i nawet lepiej.

Nick poruszył się, schylił się ku niej, a gdy to zrobił, cofnęła się z lękiem.

Strach Raven był całkowicie uzasadniony. Od razu zauważyła, że człowiek ten kipi gniewem, że ma zaciśnięte zęby, by powstrzymać słowa, na jakie zasługiwała, a jego szare oczy płoną pogardą.

Miał włosy równie czarne jak ona, i gdy stał nad nią z drapieżną czujnością pantery gotowej do skoku, Raven wyczuwała zarówno jego siłę, jak i opanowanie. To człowiek silny jak stal, czego dowodził błysk jego szarych oczu.

"Co ona sobie myśli? - zastanowił się z niedowierzaniem Nick, kiedy zobaczył jej strach. - Obawia się, że ją uderzę?"

To prawda, że zamierzał zaatakować ją słowami, i przez chwilę, zanim porzucił ten plan, bez wątpienia widziała jego gniew, ale...

- Dzień dobry - odezwał się łagodnie. - Nic się pani nie stało?

- Bardzo przepraszam - wyszeptala. - Ja... zamyśliłam się.

Nad czym? Nick chciał poznać odpowiedź na to pytanie i na inne, jeszcze bardziej niepokojące. Czy naprawdę nie obchodzi ją, że mogła zginąć? Czy naprawdę uważa, że byłoby lepiej, gdyby nie zdołał zahamować?

Nick chciał kiedyś usłyszeć odpowiedzi na te pytania. Teraz jednak sięgnął po delikatne, białe dłonie, które pokaleczone spoczywały nieruchomo na jej obnażonych, szczupłych udach.

Gdy odwrócił jej dłonie ku górze, zobaczył mnóstwo krwi. Nic dziwnego, że leżała taka skulona. Nie wpatrywała się gniewnie w powierzchnię jezdni ani nie zastanawiała się, jak przerzucić na niego winę. Po prostu całą siłą woli usiłowała stłumić krzyk bólu.

"Kim jesteś? - zastanawiał się Nick. - Kim jesteś ty, która ubierasz się tak, jak gdyby wygląd był sprawą najważniejszą? Która oczekujesz jedynie gniewu ze strony mężczyzny, z wdzięcznością powitałabyś śmierć, a straszliwy ból znosisz w godnym milczeniu?"

W tej chwili była Śnieżką, której śnieżnobiłą skórę plamiła czerwień krwi. Nie zranił ją zatruty kolec, lecz jakieś trujące - niemal zabójcze - myśli, które tak ją zaprzętnęły, że wtargnęła bez zastanowienia na jezdnię.

- Lepiej zabiorę panią do szpitala.

- Och, nie, dziękuję panu. Ja...

- Jestem cała i zdrowa? - uśmiechnął się łagodnie. - Nie, wcale nie.

20

- Nic mi nie jest. Naprawdę, nie muszę iść do szpitala.

- Dobrze - ustąpił Nick. Może opieka lekarska istotnie nie była jej potrzebna. Nie sposób tego stwierdzić, dopóki nie zmyje się krwi, aby odsłonić poszarpaną skórę. - Więc zawiozę panią do domu.

Raven nie pozostawało nic innego, jak tylko przyjąć jego propozycję. Wiedziała, że również kolana ma pokaleczone. Prawdopodobnie mogłaby przejść półtora kilometra do swego domu w Brentwood, ale bała się ciekawskich, pogardliwych spojrzeń.

"Co to ścieka po twoich chudych nogach, Ścierwniku? Krew?"

- Dziękuję - powiedziała cicho, podnosząc się. I natychmiast wsparły ją jego ręce, silne i łagodne. Jedna z nich podtrzymała jej łokieć, druga - otoczyła ją w pasie.

Nick zmarszczył czoło, gdy zobaczył jej mocno pokaleczone kolana, a gdy znowu przeniósł wzrok na jej twarz, spostrzegł to samo spojrzenie, które przywitało go poprzednio: zaskakujące przekonanie, że ją wyśmieje.

- Czy ma pani w domu bandaże? - zapytał.

Jedwabiste, kruczoczarne pukle zatańczyły, gdy potrząsnęła przecząco głową.

- Nic nie szkodzi - zapewnił ją. - Niedaleko jest apteka. Najpierw tam wpadniemy.

Gdy Nick podprowadził ją do swej ciężarówki, oczy Raven padły na ładunek, umieszczony w tyle. Były tam krzaki róż. Soczysty, kolorowy, pachnący dywan z wielu róż tak ciasno upakowanych, że tylko przechyliły się nieco przy gwałtownym hamowaniu, ale żadna z nich się nie przewróciła.

Zanim ugięła pokaleczone kolana, by zrobić wielki krok i wejść do kabiny ciężarówki, powiedziała cicho:

- Cieszę się, że nic się nie stało pańskim kwiatom.

Czy pani dopiero się tu wprowadza? - spytał Nick, zatrzymując ostrożnie ciężarówkę przed podjazdem jej domku w Brentwood. To był logiczny wniosek, który mógł wyjaśnić wiele spraw: śnieżną biel jej skóry, jak gdyby właśnie przybyła z miejscowości, gdzie zimy są długie i pozbawione słońca; jej brak świadomości, jak niebezpieczne jest bieganie po ruchliwych ulicach Los Angeles; i z pewnością tłumaczyłby stosy kartonowych pudeł, które zagrały ganek.

21

Raven wpatrywała się w pudła, które pojawiły się w jej domu w czasie, gdy biegała. Wiedziała, kto je wysłał - Michael. I wiedziała, co zawierały - ubrania i resztę rzeczy, które zostawiła w jego posiadłości, kiedy uciekała trzy dni temu, nie mogąc dłużej znieść jego okrutnych słów, pełnych pogardy i lekceważenia.

Zamierzała dopilnować, by odesłano jej rzeczy, ale nie miała jeszcze dość energii, żeby się tym zająć. A teraz okazało się, że choć ich związek trwał ponad dwa i pół roku, Michael dał jej tylko trzy dni czasu. Może miejsce w szafie ściennej było mu już potrzebne dla innej. Może to, co wypisywały brukowce o namiętym romansie sławnego reżysera i zmysłowej hiszpańskiej aktorki, odgrywającej rolę "pierwszej naiwnej", było prawdą? Może znalazł sobie kogoś ciepłego, namiętego, istotę z krwi i ciała, a nie lodu?

"Ale ja jestem z ciała i krwi, Michaelu!" - załkało serce Raven, gdy oderwała wzrok od kartonowych pudeł, które były takim bolesnym symbolem jej wad, i kiedy spojrzała na swoje dłonie stanowiące wymowny dowód, jak ludzka i krucha jest w rzeczywistości.

Nick sądził, że odpowiedź na jego pytanie będzie prosta i łatwa, że dowie się, skąd przyjechała i jak jej się podoba Los Angeles. Ale jego pytanie wywołało jak gdyby paroksyzm bólu.

Uznał, że Śnieżka jest sama w nowym mieście. Samotna i strasznie smutna.

- Mieszkam w Los Angeles przez całe życie - powiedział w końcu. - Jeśli ma pani jakieś pytania, z radością na nie odpowiem.

Piękne, błękitne oczy, które oderwała od pokaleczonych i zakrwawionych dłoni, były zaskoczone i niepewne.

- Dziękuję - wyszeptała - ale mieszkam tutaj, w okolicy Los Angeles, od piętnastu lat.

Jej słowa wywołały u niego takie zdziwienie, takie zainteresowanie widniejące w stalowych oczach, że odwróciła wzrok. Upłynęła chwila, zanim się odezwała. Teraz mówiła chłodnym, spokojnym głosem doradcy gwiazd, kobiety, która spędzała życie, zawodowo zajmując się sprawami pieniężnymi.

- Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, to proszę poczekać, wejdę do środka i wezmę portmonetkę.

-Po co?

- Żeby zwrócić panu za bandaże.

-Nie - powiedział Nick. -Nie zwróci mi pani pieniędzy ani nie wejdzie sama do środka.

Kiedy zobaczył, że jego spokojne, ale rozkazujące słowa znów ją zaniepokoiły, dodał w formie wyjaśnienia:

- Dopóki nie będzie pani miała opatrunku na rękach, trudno będzie nimi coś zrobić. Więc dlaczego nie miałbym pani pomóc? Chcę też być pewny, że nie trzeba pani zawieźć do szpitala.

- Myślałam, że jest pan ogrodnikiem. Czy jest pan także lekarzem?

Jej głos był cichy, obojętny, ale Nick poczuł przyływ irytacji. Śnieżka uznała go za ogrodnika. To był logiczny wniosek, jeśli wziąć pod uwagę jego dzinsy i roboczą koszulę, jakie miał na sobie, oraz ciężarówkę wypełnioną różami. Czy bez takiego wahania pozwoliłaby mu wejść do domu, gdyby okazało się, że jest kimś bogatszym, lepszym niż ogrodnik? Czy ta piękna kobieta, która nosiła stroje Ellesse podczas joggingu i miała dom w jednej z najdroższych dzielnic Los Angeles oraz zielonego jaguara na podjeździe, dbała przede wszystkim o pieniądze i wygląd?

Nick miał nadzieję, że jest inaczej. Prawdę mówiąc, nagle gorąco zapragnął uwierzyć, że uznałaby trzydziestosześcioletniego ogrodnika za człowieka, który dokonał ważnego wyboru w życiu, a nie je zmarnował. I dowie się kiedyś, co ona o tym myśli. Ale na razie, dopóki nie będzie całkowicie pewien, że może jej wszystko powiedzieć o sobie, niech myśli, co chce, o jego zawodzie.

Rzeczywiście to prawda, że był ogrodnikiem. Ale praca, która ongiś pozwalała mu zarobić na życie, gdy studiował w collegeu, przekształciła się w coś zupełnie innego...

Nicholas Gault był jeszcze w collegeu, gdy wymyślił urządzenie do ćwiczeń gimnastycznych naśladowujących pracę w ogrodzie. Ten rewolucyjny wynalazek zmienił go w milionera na długo przedtem, nim cum laude ukończył wydział architektury terenów zielonych. Ale to był dopiero początek. Potem pojawiły się hotele "Eden", a ukończone ostatnio



"Eden-Aspen" i "Eden-Carmel" dopełniły do czternastu jego kolekcję małych luksusowych hoteli, otoczonych wspaniałymi ogrodami, które sam projektował.

A gdyby tak powiedział Śnieżce, że jest właścicielem i dyrektorem "Eden Enterprises"? I że róże wypełniające ciężarówkę przeznaczone są do jego posiadłości, położonej na wzgórzu w Bel Air? Czy jej piękne błękitne oczy rozbłysłyby szczęściem? Stałyby się uwodzicielskie? Czy nagle zaprosiłaby go z radością do swego wspaniałego domu?

Nick zapragnął nagle, by nie miało dla niej znaczenia, co robił, aby to, że tak się waha, czy go zaprosić do wewnątrz, wynikało z jej nieśmiałości, a nie z pogardy dla prostego człowieka, za jakiego go uważała. Nick pragnął w to wierzyć, a głos wewnętrzny mówił mu, że ma słuszość. Było to jednak ryzyko, na które po prostu nie mógł sobie pozwolić - nie teraz, jeszcze nie w tej chwili. Miał dwie córki, które musiał chronić, dwie urocze dziewczynki, których wrażliwe młode serca zostały już raz złamane przez samolubną kobietę dbającą tylko o wygląd i pieniądze.

- Nie jestem lekarzem - powiedział. - Jestem ogrodnikiem.

- Orodnikiem, który zna się na pokaleczonych dłoniach i kolanach. Nick uśmiechnął się.

- To prawda.

Bo jest też ojcem. Ojcem, dla którego szczęście córek jest najważniejsze - znacznie bardziej ważne od tego pragnienia, by dowiedzieć się wszystkiego o Śnieżce.

- A więc mogę wejść do środka?

- Tak... proszę.

Nie miała wyboru, rzecz jasna. Jej pokaleczone i okrwawione ręce sprawiły, że była całkowicie bezradna. Nie mogła nawet nacisnąć klamki. Musiała pozwolić, by jej pomógł, chciała też zwrócić mu pieniądze za bandaż, i jakiś niemądry, tak bardzo niebezpieczny impuls sprawił, że zapragnęła zaufać jego zaskakującej delikatności.

- Gdzie jest klucz? - spytał Nick, kiedy przecisnęli się przez labirynt kartonowych pudeł i dotarli do frontowych drzwi. Klucz był w prawej przedniej kieszeni jej różowych szortów, tak głębokiej, że nie mógł z niej wypaść podczas biegu. Nick podązał wzrokiem za jej spojrzeniem. Wiedział, bez żadnej zarozumiałości, że jest równie przystojny jak ona - czarująco piękna. Wiedział też, że niemal każda kobieta, nawet tak poraniona, zareagowałaby przynajmniej cieniem uśmiechu na niezręczną, a jednak intrygującą nieuchronność tego, co miało się właśnie zdarzyć.

Ale Śnieżka nie uśmiechnęła się. Zaakceptowała po prostu konieczność tego dotyku, z rezygnacją, jak mu się zdawało, a zamiast rumieńca jej śnieżnobiałe policzki okryła jeszcze większa bladeść.

Przez długą chwilę trwało milczenie. Spodziewała się, że on sięgnie po klucz, nie pytając ją o pozwolenie, ale Nick nie wykonał najmniejszego ruchu.

- Myślę... jeśli nie ma pan nic przeciwko temu... klucz jest w tej kieszeni.

- W porządku - powiedział cicho Nick. Do diabła, czemu tak na niego patrzy, jakby miał jej zrobić krzywdę?

Przez ostatnie dwadzieścia lat od tamtego fatalnego lata, kiedy skończyła trzynaście lat i nagle stała się nieodparcie pociągająca, mężczyźni pragnęli Raven Winter. Każdy z wielu mężczyzn, którzy byli jej kochankami w ciągu tych dwudziestu lat, wpatrywałyby się w nią teraz bezwstydnie, z pożądliwością oczekując tego kontaktu - a potem zmieniliby to w coś nieprzyzwoitego, rozkoszując się ogromnie jej bezbronnaścią i swoją przewagą.

Ale ten mężczyzna nie zachowywał się oblesnie. Jego szare oczy nadal były poważne, a kiedy wreszcie sięgnął po klucz, zrobił to tak delikatnie i ostrożnie, że Raven poczuła dreszcz wdzięczności.

Jeśli Nick poczuł jej drżenie, zachował to dla siebie. Wyjął klucz, otworzył drzwi i przytrzymał je przed nią, kiedy wchodziła do lodowato białego, zimowego domu.

24

"Uważa, że właśnie się wprowadzam - przypomniała sobie Raven. - Nie uwierzyłyby, że mieszkam tu od pięciu lat i nie pofatygowałam się wprowadzić żadnych upiększeń".

Nick chciał zasugerować, by wzięła gorący prysznic. Odkręciłby kurki, rzecz jasna, a potem, gdy okryłaby się ciepłym płaszczem kąpielowym (o ile taki miała), pomógłby jej dokładniej oczyścić i odkazić skaleczenia. Następnie ostrożnie założyłby na jej śnieżnobiałą skórę śnieżnobiały bandaż. Wyczuł jednak, że pomysł z prysznicem, mógłby ją przestraszyć. Przecież pomimo wszystko był dla niej kimś obcym. Wiedział, że rozsądek nakazywałby jej ostrożność wobec mężczyzn, którzy mogli wykorzystać nagą i bezbronną kobietę.

Weszli do kuchni. Gdy Nick starannie uregulował temperaturę i siłę strumienia wody, podstawiła pod nią ręce. Gdy krew zaczęła spływać wolno do zlewu, blada skóra Raven napięła się na kształtnych kościach policzkowych, a długie, czarne rzęsy niczym małe wachlarzyki zasłoniły z trzepotem jej niezwykle, błękitne oczy.

- Może powinienem zrobić pani drinka? - powiedział Nick. Ta myśl przyszła mu już do głowy wcześniej, ale odrzucił ją, kierowany tą samą logiką, która sprawiła, że zrezygnował z zaproponowania jej, by wzięła prysznic. Nie chciał zrobić nic, co sprawiłoby, że czułaby się jeszcze bardziej bezbronna czy zaniepokojona. Ale najwyraźniej cierpiała i potrzebowała znieczulenia. - Naprawdę myślę, że to by pani pomogło.

-Nie... dziękuję. - Głos miała równie napięty jak skórę twarzy, a oczy - zamknięte, ale po kilku chwilach na jej ustach pojawił się ledwo dostrzegalny cień uśmiechu i dodała: - Już jest lepiej.

Kiedy w wodzie nie było już krwi, Nick zakręcił kurki. Z przykrością patrzył na jej cierpienie i obawiał się tego, co miało nastąpić: bólu, który jej sprawi, oczyszczając skaleczenia zwilżoną gazą.

- Zobaczymy, jak to wygląda - powiedział cicho.

Otworzyła powoli oczy, bojąc się tak samo, jak on. Ale gdy przytrzymał jej ręce i razem je obejrzel, na ich twarzach

pojawiła się ulga.

Dłonie Raven były otarte do żywego mięsa. Ale skóra została z nich usunięta z niemal chirurgiczną precyzją, jak gdyby zrobił to ostry jak brzytwa nóż, a nie chropowata nierówność jezdni. Nie było tam -jak się obawiali - głębokich bruzd ani zagłębień z brudem i piaskiem, które należałoby oczyścić.

Oczywiście minie sporo czasu, zanim będzie mogła używać dłoni, ale delikatne palce, które pokrywała wcześniej krew, jakimś cudem uniknęły pokaleczenia. Będzie mogła rozpiąć sobie szorty i rozwiązać sznurowadła, przekręcić kurki w prysznicu i oczyścić otarte kolana, a nawet założyć nieskazitelne bandaże na swą śnieżnobiałą skórę.

25

Nick uśmiechnął się, a kiedy przeniósł spojrzenie z jej dłoni na twarz -powitał go uśmiech, delikatny, pełen nadziei... zachwycający.

Aż zaparło mu dech w piersi, a przez głowę przemknęły różne kuszące myśli. Chciał ponownie ujrzeć ten uśmiech, jeszcze raz i jeszcze. Pragnął też zobaczyć inne uśmiechy, radośniejsze, bardziej promienne.

"Chcesz zobaczyć promienny uśmiech? - napominał go szyderczy głos rzeczywistości. - Chcesz, by poprosiła, abyś rozpiął jej szorty i przyłączył się do niej pod prysznicem? To takie łatwe. Po prostu powiedz tej kobiecie, która nosi markowe ubrania do joggingu i ma dom wypełniony ponurymi, ale bajecznie kosztownymi meblami, kim jesteś naprawdę".

- Dziękuję- szepnęła w końcu Raven, cofając ręce, zanim zdążył zauważyć jej drżenie. Gdy tak długo stała z zamkniętymi oczami, a woda oczyszczała jej krwawiące rany, zwalczała ból, koncentrując swe myśli na czymś innym: na odważnym pomysle, który wibrował w jej mózgu na przekór milczącym krzykom poranionego ciała. Zanim otworzyła oczy, pomysł stał się planem, a kiedy zauważyła łagodny uśmiech mężczyzny, odważyła się uznać, że będzie z tego zadowolony. Jednak teraz cała łagodność zniknęła nagle. Jego twarz nabrała twardości stali, która pasowała do nieoczekiwanej, nieustępliwej mroczności jego oczu. No cóż, najwyżej odmówi. - Sądzę, że zwrócił pan uwagę na mój zaniedbany ogród. Czy nie byłby pan zainteresowany jego pielęgnowaniem?

Nick już odzyskał zdolność oddychania. To była okazja, by zobaczyć więcej uśmiechów, dowiedzieć się więcej o Śnieżce... ale czy nie był to również wstęp do katastrofy? Nic nie szkodzi, zadba o to, by znała go tylko jako Nicka-ogrodnika, a nie Nicka-dyrektora. Wiedział, że takie kłamstwo oznacza budowanie związku na ruchomych piaskach, ale było to konieczne, dopóki nie odkryje, kim ona jest naprawdę.

- Oczywiście. - Uśmiechnął się. - Chętnie to zrobię... ale pod pewnym warunkiem.

-Tak?

- Weźmie pani aktywny udział w planowaniu ogrodu. Muszę wiedzieć, czego pani chce, jakie krzewy i kwiaty pani lubi.

Nick miał nadzieję, że zobaczy promienny uśmiech, ale zamiast tego jej piękna twarz posmutniała, a ramiona opadły, jak gdyby obciążył je jakimś wielkim obowiązkiem.

- Nic nie wiem o kwiatach.

- Ale ja wiem. Pani ma tylko obejrzeć fotografie w katalogu, który dostarczę. I wybrać kwiaty, które się pani spodobają. Ja zrobię resztę.

Nick przerwał, przeglądając w pamięci swój kalendarz. Czas, który spędzał z córkami, był nietykalny. Czas poświęcany na kierowanie olbrzymim imperium był znacznie bardziej elastyczny. Miał wyjechać nazajutrz rano

26

wraz z dziewczynkami, by spędzić weekend na ranczu w Santa Barbara, ale w przyszłym tygodniu szef "Eden Enterprises" znajdzie czas, aby zostać ogrodnikiem Śnieżki.

-No więc, zrobimy tak. Jutro rano, zanim jeszcze pani się zbudzi, zostawię na ganku stos katalogów. Proszę je przejrzeć przez weekend. Spotkamy się w tygodniu, by zobaczyć, co pani wybrała. Jaki termin pani odpowiada?

- Każdy. - Łagodnie wzruszyła ramionami i z jeszcze łagodniejszym uśmiechem poprawiła się. - Oprócz godzin pracy.

- A więc przed czy po pracy?

- Przed, jeśli to panu odpowiada. O tej porze łatwiej mi zaplanować rozkład dnia.

- Proszę podać dzień i godzinę.

- Może być poniedziałek? Do pracy idę dopiero na pół do dziesiątej.

- Będę tu za piętnaście ósma.

Pomimo jej protestów, którym całkowicie przeczyła wdzięczność w błękitnych oczach, przed odjazdem Nick przeniósł kartonowe pudła z ganku do przestronnego białego salonu. Wcześniej, gdy przechodzili szybko przez to pomieszczenie w drodze do kuchni, doznał wrażenia, że pozbawione jest całkowicie kolorów. Teraz uświadomił sobie, że są tu jakieś barwy. Na podłodze koło kanapy stała pękata walizka w kolorze czerwonego wina. Miała wyryte złote monogramy RWW, tak samo jak pasująca do niej torba podręczna, która leżała obok. Była więc ta ciemnoczerwona plama na grubym dywanie w odcieniu kości słoniowej, a na alabastrowym stoliku do kawy położono książkę w jaskrawej liliowo-złotej okładce.

- Dary miłości - powiedział. - Moja matka mówi, że to wspinała książka.

- Też to słyszałam. Właśnie dzisiaj ją kupiłam. Gdy Raven skłoniła z namysłem głowę w kierunku książki, na jej ustach pojawił się uroczy, nieobecny uśmiech.

- Czemu się pani uśmiecha?

Jej śnieżnobiałe policzki poróżwiały, tak zaskoczyło ją to pytanie - i jego wyraźne zainteresowanie odpowiedzią. Po

chwili, ku swemu jeszcze większemu zaskoczeniu, usłyszała, jak mu wyznaje:

- Pomyślałam o swoim weekendzie... Czeka mnie wybieranie kwiatów i czytanie romansu.

- Nie jest to pani zwykły weekend?

- Nie. - Zaśmiała się cicho. - Całkiem nietypowy.

- Ale miły, mam nadzieję.

Miał łagodny i poważny ton głosu, jak gdyby naprawdę interesowało go to, czyjej weekend będzie miły.

Nieoczekiwanie przeszył ją dreszcz.

27

- Lepiej już pójdę, żeby mogła pani wziąć gorący prysznic. Aha, nazywam się Nicholas Gault.

Powiedział to obojętnym głosem, ale bacznie obserwował jej reakcję. Nic. Nawet śladu oddźwięku. Albo to nazwisko absolutnie nic dla niej nie znaczyło, albo była najlepszą aktorką w tym mieście aktorów. Raczej w grę wchodziła ta pierwsza możliwość. To nie było niezwykle nazwisko. Prawdę mówiąc, według jego dziewięcioletniej córki, w wielkiej książce telefonicznej Los Angeles figurowało aż czterech Nicków czy Nicholasów Gaultów, z których żaden nie był jej ojcem. I chociaż firma "Eden Resort Hotels" była powszechnie znana, z nim rzecz miała się inaczej. Zadowolony, że może zachować anonimowość, dodał:

- Przyjaciele mówią do mnie Nick.

-Cześć.

- Cześć, Nick - poprawił.

- Cześć, Nick - powtórzyła z lekkim uśmiechem wdzięczności... i zaskoczenia. Gdy uświadomiła sobie, co powinno teraz nastąpić, jej uśmiech zbladł, a smukłe ciało zeszytywniało, jakby przygotowując się na atak. Wreszcie, unosząc dzielnie głowę, powiedziała cicho: - Mam na imię Raven.

Jej słowa nie były dla Nicka zaskoczeniem. Na kartonowych pudłach wypisano obok adresu "Raven Winter".

"Znam twoje imię - pomyślał. - Ale przede wszystkim chciałbym wiedzieć, dlaczego wyglądasz tak, jakbyś oczekiwała, że będę się z ciebie wyśmiewał. I dowiem się tego kiedyś".

- Raven. To bardzo piękne imię.

Kodiak, Alaska Piątek, 10 marca

Świat za oknem był atramentowo czarny, a śnieg pokrywał wszystko grubą kurtyną przejrzystej ciszy. Pora, gdy Holly powinna była pisać, uciekać od swych bolesnych wspomnień o śniegu i mroku, podróżując w fikcyjny świat miłości, romansu ze szczęśliwym zakończeniem.

Ale dziś nie mogła uciec od koszmaru na jawie w odległe marzenia. Dziś musiała stawić czoło dawnym przerażającym wspomnieniom - i przerażają-

28

cej rzeczywistości: obietnicy, danej Raven Winter, że poleci do Los Angeles, by spotkać się z Jasonem Coleem.

Przez długi czas po rozmowie telefonicznej Holly bez ruchu stała przy oknie w saloniku swej wiejskiej chaty i patrzyła na spektakl nieba i morza, który rozgrywał się przed jej oczami. W końcu, gdy miękkie barwy wczesnego wiosennego zmroku ustąpiły czerni nocy, przeszła do sypialni i otworzyła pachnącą cedrem szafę. Jej dłoń drżała, gdy dotykała jedynej sukni, która tam wisiała.

Muślin koloru kości słoniowej pokrywał skomplikowany haft, łąka dzikich kwiatów, delikatne pąki - różowe, lawendowe, złote i fiołkowo-różowe. Długie rękawy były przymarszczane przy mankietach, suknia miała też wysoki, marszczony kołnierz, a poza niewielkimi zaszewkami przy biuście była luźna i skromna jak nocna koszula małej dziewczynki. Suknia o dziesięć miesięcy starsza od Holly była ślubnym strojem jej matki. Miała ją ona trzydzieści jeden lat temu, w dzień świętego Walentego, kiedy para siedemnastolatków, Lawrence Elliott i Claire Johnson, stała się mężem i żoną.

Jako mała dziewczynka Holly często przymierzała tę suknię. "Wyglądasz tak dorośle, Holly Elizabeth Elliott - i tak pięknie!" - za każdym razem zachwycali się zakochani w niej rodzice. Minęło już ponad dwadzieścia lat od czasu, gdy Holly po raz ostatni była w nią ubrana, a ponad siedemnaście - od kiedy znikła bez śladu, zabierając ze sobą suknię i kilka innych skarbów, stanowiących pamiątki z czasów tak szczęśliwych i radosnych...

- Ma taki miękki nos, tatku! - wołała z zachwytem trzyletnia Holly, gdy Lawrence uniósł ją, by mogła małymi rączkami dotknąć pyska kłaczki palomino i poczuć po raz pierwszy aksamitną miękkość końskich chrap. - Taki miękki.

Towarzystwo ojcu do stajni, w której pracował - była to jedna z wielu prac, których się podejmował, aby utrzymać rodzinę - stanowiło dla Holly źródło czystej radości. Żyła otoczona rodzicielską miłością i wszyscy razem snuli wspaniałe marzenia.

Tata, silny, przystojny mężczyzna, którego ciemne oczy śmiały się do niej, miał zostać weterynarzem. Oczywiście to wymagało czasu, gdyż nie mógł poświęcać całego czasu na naukę w collegeu, ale będzie miał w końcu swoją własną klinikę. Będzie zajmował się wszystkimi zwierzętami, dużymi i małymi, dzikimi i oswojonymi. Jej pełna wdzięku i piękna matka też będzie pracowała w klinice, witając "pacjentów" i ich właścicieli. Również Holly ma witać pacjentów i pomagać ojcu.

Ani Claire Johnson, ani Lawrence Elliott nie mieli dzieciństwa, które pozwoliłoby im zrealizować takie marzenia.

Jednak dzięki miłości, którą czuli do siebie i do swej złotowłosej córeczki, wydawało im się, że mogą teraz wszystko osiągnąć.

29

Nawet gdy Lawrencea powołano do wojska i wiadomo już było, że pojedzie do Wietnamu, on i Claire nadal ośmielali się marzyć. Powróci cały i zdrowy, pójdzie do collegeu - podejmie normalne studia dzięki ustawie o szkoleniu weteranów - a gdy Holly skończy trzynaście lat, on będzie już weterynarzem.

Ale to cudowne marzenie nigdy nie miało się spełnić. Na dwa dni przed końcem służby Lawrencea w Wietnamie oddział wrócił z dżungli bez niego. Jego kolega, Derek Burke, złożył krótki raport. Stał obok Lawrencea, gdy kula trafiła go w pierś. Derek go podtrzymywał i wysłuchał jego ostatnich słów o miłości do żony i córki. Powrócił z dżungli ze znaczkiem identyfikacyjnym Lawrencea, ale bez ciała. Po prostu nie można było zabrać zwłok podczas ataku nieprzyjaciela i, tak poinformowano parę dni później Claire, mało prawdopodobne, by zostały kiedykolwiek odnalezione.

Siedem miesięcy po śmierci Lawrencea Derek pojawił się u drzwi Claire. Powiedział, że on i Lawrence byli najlepszymi przyjaciółmi. Lawrence, umierając, błagał go, by po powrocie do Stanów odwiedził Claire i upewnił się, iż z nią i Holly wszystko w porządku. Miał powiedzieć Claire, że powinna żyć dalej, znaleźć nową miłość i być szczęśliwa.

Derek był miły, czarujący i tak wspaniale odnosił się do Holly. Claire nigdy nie przestała tęsknić za Lawrenceem, nawet na chwilę, ale kiedy była z Derekiem, który też kochał Lawrencea, jej wielki ból trochę malał.

Derek i Claire pobrali się osiemnaście miesięcy po śmierci Lawrencea. Jak Derek obiecywał przed ślubem, przeprowadzili się z małego apartamentu, gdzie Holly i Claire mieszkały z Lawrenceem, do przestronnego domu z dużym podwórkiem. Jednak przeprowadzka była dalsza, niż oczekiwała Claire - do zupełnie innego stanu: z Montany do Waszyngtonu. To była wielka zmiana, nostalgiczna i trochę niesamowita, ponieważ dawne cudowne marzenia Claire, Lawrencea i Holly właśnie łączyły się z przeniesieniem do Waszyngtonu, gdzie Lawrence miał studiować na sławnym wydziale weterynarii Washington State University.

Teraz Derek przeniósł się z nimi do Waszyngtonu nie po to, by chodzić do collegeu, lecz żeby zajmować się interesami, których istoty nigdy nie wyjawiał Claire. Wiedziała tylko, że była to praca, w której wykorzystywał doświadczenie zdobyte w Wietnamie, i że wymagała od niego częstych podróży.

Przez długi czas, zbyt długi, Claire zwalczała niejasne przecucia, że nie wszystko jest w porządku z mężczyzną, którego poślubiła. Derek był taki nieobliczalny, w jednej chwili czarujący, w drugiej - nieobecny duchem. Ale za każdym razem, gdy jej niepokój narastał do punktu, w którym decydowała

30

się stawić mu czoło, jego zły humor nagle znikał. Znowu stawał się czarujący i jej lęki znikaly.

I przez długi czas, zbyt długi, Claire starała się zapominać o swych lękach. Chciała wierzyć, że wszystko jest w porządku, że jej podejrzenia są niemądre, że dokonała właściwego wyboru dla Holly... i dla bliźniąt, syna i córki, które urodziła Derekowi.

Gdyby Derek kiedykolwiek uderzył któreś dzieci lub ją samą, Claire natychmiast by go opuściła. Ale nigdy tego nie zrobił. Musiał wiedzieć, jak by zareagowała, a nie chciał utracić Claire. Choć stawał się wobec niej coraz chłodniejszy, daleko mu było do obojętności. Pragnął jej. I chciał ją kontrolować, sprawić, żeby była całkowicie i nieodwołalnie od niego zależna. Claire uległa bez oporu żądaniu Dereka, by nie zawierała żadnych przyjaźni. Przecież miała dzieci, trójkę cudownych dzieci, z którymi pragnęła spędzić każdą chwilę swego życia.

W końcu, ze względu na dzieci, ponieważ nie mogła już dłużej ignorować niepokojących przecuciu, Claire podjęła odważną decyzję.

"Odejdę od niego, Lawrence - szeptało serce Claire do jedyne go mężczyzny, którego kochała. - Wiem, że był twoim przyjacielem, najdroższy, ale musiał się zmienić od czasu, gdy go znałaś. Sądzę, że jest niebezpieczny, i czasem zastanawiam się nawet, czy nie bierze narkotyków".

Odejście od Dereka należało starannie zaplanować. Claire wiedziała, że nie może wrócić do Montany. Pojechałby tam za nią. Pomyślała o Seattle. Ona i Lawrence marzyli, że kiedyś zamieszkają w Seattle...

Zaczęła odkładać pieniądze z małych sumek, które Derek dawał jej na domowe wydatki. To musiało potrwać, ale jak tylko będzie miała dosyć, by wystarczyć na cztery bilety w autobusie, który przewiezie ich przez Casca-des, oraz na życie, zanim znajdzie jakąś pracę, natychmiast wyjadą.

Claire podzieliła się tym odważnym planem z Holly. Jej złotowłosa córka kończyła już trzynaście lat i jej błękitnozielone oczy, które dawniej błyszczały promienną radością i nieokiełznanymi marzeniami, były teraz smutne i poważne. Oczy Holly znowu rozblęskły, gdy Claire powiedziała jej, że zaczną nowe życie w Seattle.

- Do kwietnia będziemy miały dość pieniędzy - powiedziała Holly z cichą radością. - Gdy Derek wyjedzie w jedną z swych podróży służbowych, uciekniemy, wszyscy czworo.

Ale tak jak nigdy nie miało się spełnić marzenie Lawrencea o klinice weterynaryjnej, tak samo nie spełnił się sen o Seattle - przynajmniej nie dla wszystkich. W śnieżysty lutowy dzień, w dzień świętego Walentego, który byłby czternastą rocznicą ślubu Claire i Lawrencea, Derek wpadł w szal.

Kiedy tylko wrócił do domu, Claire pomyślała, że jest naćpany. Jego ciemne oczy miały dziki wyraz, ale narkotyk sprawił, że był podniecony,

31

a nie zamroczony, czujny, a nie oglupiały. Czarne oczy, które się w nią wpatrywały nie były ani trochę szkliste, głos miał przeraźliwie wyraźny, gdy wygłosił złowieszcze słowa.

- Czy jesteś moją Walentynką, Claire? - wyszczał cicho, wciskając jej do ręki bukiet krwistoczerwonych róż. - A może twoje serce wciąż należy do twego najdroższego Lawrence'a?

Gdy uśmiechnęła się mężnie i powiedziała mu, że go kocha, uświadomiła sobie, że Dereka wcale nie interesuje jej odpowiedź. Jego dzikie oczy lśniły niebezpiecznie, a dłoń ścisnęła teraz strzelbę myśliwską, jedną z wielu, które posiadał. To, co mówiła, nie miało znaczenia. Derek już napisał swój makabryczny scenariusz.

- Chcesz być z nim, prawda, Claire? Chcesz być z Lawrence'em?

Rozmawiali w kuchni. Dzieci w salonie nie słyszały, że Derek wrócił. Nie słyszały też przyciszonych słów - ani cichych rozpaczliwych próśb, ani syków krańcowego szaleństwa. Telewizor był włączony, szła powtórka Klubu Myszki Miki. Holly siedziała na kanapie z bliźniętami. Odrabiała lekcje, ale kiedy rozpoczęły się Przygody Corky i Białego Cienia, przyłączyła się do swego braciszka i siostry, by obejrzeć ukochaną historię dzielnej dziewczynki i jej mężnego białego psa.

Holly nic nie słyszała, żadne z nich nie słyszało nic, nawet skrzypu kuchennych drzwi. Gdy nagle pojawili się Claire i Derek, spostrzegła przerażenie matki, chociaż chciała ona zachować spokój ze względu na dzieci. W jakiś sposób zauważyła też szaleństwo Dereka i z zaskakującą jasnością zrozumiała, co to znaczy.

- Cześć, dzieciaki - głos Dereka był złowieszczo uprzejmy. - Miałabyście ochotę wybrać się na wycieczkę?

Wycieczka, którą zaplanował Derek, była ostatnią podróżą dla nich wszystkich - z wyjątkiem Holly. Dla niej stanowiła źródło niewyobrażalnych wspomnień, które będą się stale powtarzać, w zwolnionym tempie, w żywych - lub raczej śmiertelnych - kolorach.

W pamięci Holly, w jej koszmarach, ta zgroza trwała wiecznie. Każdy grymas przerażenia, każde oszalałe błaganie ciągnęły się przez całą wieczność rozpacz. Na szczęście bliźnięta były za małe, żeby w pełni zrozumieć, co się dzieje. Jednak Claire i Holly rozumiały. Claire próbowała gorączkowo ocalić dzieci, błagając o ich życie, ofiarowując w zamian swoje. Stawała pomiędzy nimi i strzelbą, zakrywając je własnym ciałem. A kiedy Dereka znużyły prośby Claire i nacisnął spust, z kolei Holly przesunęła się przed śmiertelnością lufy, by zasłonić siostrzyczkę i braciszka. Uchwyciła ją obiema rękami, jej wątłe siły wzmacniało męstwo, zrodzone z miłości.

Miłość musiała wystarczyć. Przez pierwsze lata swego życia Holly i jej rodzice przebywali w krainie, w której miłość była wszechmocna. Ale teraz,

32

choć miała zaledwie trzynaście lat, ten wspaniały świat należał do odległych wspomnień. I nawet najmniejsza miłość dziewczynki była żałośnie słabym przeciwnikiem dla oszalałej potęgi jej ojczyma.

Zdżiczałe oczy Dereka kpiły z nierozsądnej odwagi Holly, potem stały się jeszcze bardziej lodowate, zabójczo chłodne i wypełnione nienawiścią.

- Ty i twój ojciec - szydził.

Gdy wyszczał te niewytłumaczalne słowa, złapał Holly, unieruchamiając ją przy sobie w taki sposób, że musiała być świadkiem zabijania swego małego rodzeństwa. Ich oczy były takie wielkie, takie niewinne, gdy przyglądały się rozgrywającej się tragedii. Wydawała się im nierealna, jak w telewizji, jak dalszy ciąg sagi o Corky i jej psie.

"Zabij mnie! - błagała złamane serce Holly, kiedy troje istot, tak bardzo przez nią kochanych, leżało przed nią na podłodze nieruchomo i w milczeniu. - Zabij mnie teraz... proszę. Pozwól, bym była z nimi. ..i z tatkiem".

Holly nie bała się śmierci. Czekwała na nią z radością, pragnęła jej, a gdy Derek ją puścił, nie próbowała uciekać. Stała przed nim wyprostowana i dumna, akceptując śmierć z królewską godnością.

"Pośpiesz się - błagała w duchu. - Chcę być z nimi..."

Ale Derek poruszał się w zwolnionym tempie, rozkoszując się tymi ostatnimi chwilami udręki i przerażenia. Skierował strzelbę ku jej sercu, ale nie pociągnął za spust. Być może uświadomił sobie, że serce Holly jest już złamane, że nawet strzał z bliskiej odległości nie może wyrządzić jej większej krzywdy. Powoli... bardzo powoli przesunął broń z serca na twarz... na oczy, które były zaskakującym połączeniem jasnego błękitu Claire i głębokiej, leśnej zieleni oczu Lawrence'a.

Czy Derek chciał, aby błagała go o życie? Jeśli tak, to się zawiódł. Życie Holly było już skończone. A gdyby chciał zobaczyć strach w tych przejrzystych, błękitnozielonych oczach, musiałby czekać całą wieczność. Nie miała się już czego bać. Straciła wszystko.

Wreszcie Derek uśmiechnął się, a gdy to zrobił, był to ten sam czarujący uśmiech, za pomocą którego przekonał kiedyś Holly i Claire, że jest dobry i zaopiekuje się nimi - gdyż tego właśnie pragnął Lawrence.

- Żegnaj, Holly. Baw się dobrze.

Z tym szyderczym pożegnaniem Derek Burke przyłożył lufę do swej skroni i pociągnął za spust.

Grzmot ostatniego wystrzału szybko ucichł i Holly nagle została sama - ale teraz głosy z telewizora, które przedtem ginęły w tym całym koszmarze, huczały jej w uszach. Holly uciszyła te głosy, jej ręka pozostawiła krwawe ślady, gdy nacisnęła wyłącznik. Potem uklękła na podłodze, która była szkarłatna od walentynkowych róż, i delikatnie dotknęła drobnych, pozbawionych życia ciał siostrzyczki i braciszka.

33

-Holly...

- Mamusiu!

Kochające ramiona Claire otuliły Holly, ale dziewczynka natychmiast uświadomiła sobie, że aby ocalić ukochaną matkę, będzie musiała rozluźnić ten czuły uścisk.

- Muszę zadzwonić po karetkę!

-Nie, moje najdroższe kochanie.

Claire uniosła blade, drżące dłonie, by dotknąć policzków córki.

- Posłuchaj mnie, kochanie. Możesz dalej żyć. Jesteś silna i byłaś tak bardzo kochana przez tatę i przeze mnie. Będziesz o tym pamiętać, Holly?

-Tak, ale...

- I obiecujesz, że będziesz szczęśliwa?

- Tak, obiecuję - wyszeptła Holly. - Kocham cię, mamusiu. Proszę, nie umieraj!

- Zawsze będę cię kochać, Holly. Zawsze.

I Claire umarła. I tak żyła dłużej, niż pozwalały na to śmiertelne rany. Po prostu jej serce z uporem nie chciało zaprzestać bicia, dopóki nie wyszeptła słów miłości do swej córki.

Policjantów wezwali sąsiedzi, zaniepokojeni odgłosami strzałów, dochodzących z wnętrza domu. Znaleźli Holly w zbryzganym krwią salonie. Wciąż tuliła swą matkę i szeptała słowa, których nie mogli usłyszeć. Kiedy wreszcie udało się im odciągnąć dziewczynkę, zobaczyli jeszcze więcej krwi. Bawełniana bluzka, którą miała na sobie Holly, była przesiąknięta na wylot, w złotych włosach widniały pasma czerwieni, a na bladych policzkach -jaskrawo czerwone smugi w miejscach, gdzie Claire kochającymi palcami przekazała ostatnie pożegnanie.

Holly była w szoku, nie mogła odpowiadać na pytania i tylko bezradnie kiwała szkarłatno-złotą główką. Ale świadectwo jej jako naocznego świadka i tak w gruncie rzeczy nie było potrzebne. Krwawa sceneria aż nadto wyraźnie świadczyła o tym, co zaszło.

Dlaczego jednak doszło do tej zbrodni? Dlaczego ten człowiek zabił żonę, dzieci i siebie?

Z powodu Wietnamu, uznali mieszkańcy miasta. Niemoralność wojny rodziła niemoralność w żołnierzach, żądę krwi i szaleństwo, podtrzymywane przez oślepiające migawki rzezi w cieplarnianym gorącu odległych dżungli południowo-wschodniej Azji. To, że weteran z Wietnamu wrócił do kraju jako morderca, było więcej niż prawdopodobne. Jak mógł nim nie zostać?

Bardziej niepokojące było, dlaczego żołnierz-zabójca oszczędził swą trzynastoletnią pasierbicę. Po długich dyskusjach uznano, że mógł być tylko jeden

34

powód: sama Holly. Była śmiercionośną lolitą. Dręczyła tego mężczyznę, którego wojna wpędziła w szaleństwo, wzbudzając w nim głębokie i zakazane uczucie. A potem bawiła się nim, zaspokajając jego namiętności, dopóki ją to bawiło. I gdy znudziła ją ta gra, odrzuciła go bez litości.

Zarówno Holly, jak i jej ojczym popełnili zbrodnię namiętności. Ale nawet w swym szaleństwie Derek nie mógł zabić nieletniej kusicielki, którą kochał.

To miało sens. W ciągu czterdziestu ośmiu godzin od zabójstwa uwierzyła w to większość - nie wyłączając sąsiadów, którzy ofiarowali Holly tymczasowe schronienie.

Pasma taśmy, którą policja zaznaczała ślady zbrodni, wciąż spowijały dom - żółta pajęczyna śmierci, fosforyzująca niesamowicie w świetle bladego zimowego księżycy. Było po północy, kiedy Holly rozchyliła wstęgi zagradzające drzwi i weszła po raz ostatni do domu.

Opuściła sypialnię, w której przebywała przez ostatnie trzy noce, niejako więzień, ale i nie będąc też pożądanym gościem. Sąsiedzi, traktujący ją teraz z nieukrywaną pogardą, odczują ją ulgę, gdy okaże się, że zniknęła. Całe miasto odetchnie z ulgą, a Holly musiała uciec od otaczającej ją wrogości... i od armii reporterów, którzy chcieli usłyszeć z jej własnych ust historię uwiedzenia i morderstwa. Ale przede wszystkim musiała być sama ze swą rozpaczą, przekraczającą niemal ludzką wytrzymałość.

Jej matka, siostra i brat nie leżeli już na podłodze salonu, ale Holly i tak widziała ich ukochane postaci, a plamy krwi, które w ciągu trzech dni stały się brązowoczarne, dla niej wciąż były szkarłatne i lśniące.

- Zabiorę pieniądze, które odkładałyśmy, mamusiu - powiedziała cicho do pustego pokoju, gdzie także jej życie dobiegło końca. - Jadę do Seattle, jak planowałyśmy. Może będziesz tam na mnie czekać.

Jej głos załamał się. Tak bardzo potrzebowała dotknięcia, przytulenia, pociechy. Ale była zupełnie sama i po chwili upomniała się surowo, że mamusia nie spotka jej w Seattle. Nikt nie będzie na nią czekać. Nie możesz sobie pozwolić na udawanie, że jest inaczej.

- Wiem, że cię tam nie zobaczę, mamusiu. Ale będziesz ze mną. Ty i tatko będziecie ze mną... zawsze... prawda?

Holly wiedziała, że jeśli uwierzy w szczęśliwe zakończenie, którego nie będzie, oszaleje. I wiedziała coś jeszcze, coś bardziej ważnego: jeśli nie opuści od razu splamionego krwią salonu, mogłaby urzeczywistnić pomysł, który wibrował w jej mózgu. Wziąć jeden z rewolwerów Dereka i dołączyć do tych, których kochała.

"Obiecuj mi, że będziesz żyć, Holly. Obiecuj, że będziesz szczęśliwa".

35

- Mamusiu! - Ten głos był tak realny, że Holly odwróciła się, niemal oczekując, iż zobaczy Claire. - Mamusiu!

Ale nie było nikogo ani niczego, poza brązowoczarnymi plamami, milczącymi i ponurymi nagrobkami wszystkiego, co umarło.

Niczego, poza uroczystą obietnicą, jaką złożyła umierającej matce.

Drżące nogi Holly zawiodły ją na górę, do miejsca, gdzie starannie ukryte zostały pieniądze, które odłożyła Claire. Było ich dość, by zapewnić przejazd i mieszkanie dla czworga. Dla kilkunastoletniej dziewczynki mogły wystarczyć na

bardzo długo.

Zapakowała do plecaka trochę własnych ubrań - swetry i dzinsy - a na wierzchu ułożyła starannie złożoną suknię ślubną Claire. Potem odszukała także ukryty album z fotografiami, jedyny namacalny dowód tamtych radosnych, odległych czasów, gdy ona, Lawrence i Claire byli rodziną.

Miała na ten album dość miejsca w plecaku i nie było na świecie innej osoby, dla której te fotografie coś by znaczyły. Jej rodzice nie żyli, nigdy nie miała kochających dziadków, ciotek, wujów czy kuzynów. Nikogo.

Jednak coś bardzo silnego, jakaś niewidzialna ręka powstrzymała Holly przed zabraniem całego albumu. Wyjęła z niego tylko pięć ulubionych fotografii: ślubne zdjęcie rodziców, zrobione przez żonę sędziego pokoju, portret bezgranicznej miłości i mężnej nadziei; zdjęcie jej jako dziecka w ich objęciach; i jeszcze jedno - Claire i Lawrence wpatrzony w obiektyw i śmiejący się z miłością, gdy jej małe, gorliwe paluszki nacisnęły migawkę; i to, na którym ona i Claire pokrywały lukrem urodzinowe ciasto dla ojca; i wreszcie fotografię Lawrence'a trzymającego ją, gdy głaskała aksamitnie miękkie chrapy klaczki palomino.

Holly zabrała tych pięć drogocennych pamiątek dawno minionego czasu, a z albumu, który nie był ukryty, wzięła dwie fotografie małej siostrzyczki i braciszka.

Potem opuściła dom - i miasto - na zawsze.

- Jeśli będziemy szanować te nazwiska, to nic złego się nie stanie, nie sądzisz? - spytała Claire, gdy wyjaśniła Holly, że będą mogli zniknąć, przybierając nazwiska osób, które zmarły jako dzieci.

Holly wspominała pytanie matki, gdy wędrowała przez cmentarz koło Seattle Volunteer Park na Capitol Hill. Holly Elliott, trzynastoletnia niewinna dziewczynka, uznana przez cały świat za nieletnią uwodzicielkę, musi zniknąć na zawsze bez śladu. Powinna mieć teraz co najmniej osiemnaście lat, stać się na tyle dorosła, by żyć na własny rachunek i móc się utrzymać.

Szła wolno przez cmentarz, z uwagą studiując każdy nagrobek. Ta ponura wędrowka doprowadziła ją w końcu do grobu Mary Lynn Pierce. Według

36

dat, wrytych na lśniącym granicie, Mary urodziła się pięć lat przed Holly i żyła tylko miesiąc.

Holly przysięgła czcić i szanować pożyczone nazwisko. Ale nie mogła obiecać nic więcej. Nie mogła przyrzec duchowi jego pierwszej właścicielki, że zabierze je ze sobą we wspaniałą podróż pełną nadziei i cudownych marzeń. Prawdę mówiąc, Holly nie miała ochoty iść dalej. Pragnęła po prostu spokoju, jaki znalazła na tym cichym cmentarzu z jaskrawymi bukietami wiosennych kwiatów.

W urzędzie stanu cywilnego King County Holly zdobyła kserokopię aktu narodzin Mary, którą wykorzystwała do złożenia podania o numer ubezpieczenia niezbędny, jeśli chciała znaleźć pracę. Następnym etapem był sklep optyczny, gdzie zamówiła oprawki ze złotego drutu, w które miało być wprawione zwykłe szkło.

- Wzrok mam w porządku - wytłumaczyła zaskoczonej pracownicy sklepu. - Jestem aktorką. Potrzebuję okularów jako rekwizytu w sztuce.

W gruncie rzeczy Holly uznała, że potrzebuje jakiegoś kamuflażu dla ukrycia swej łatwej do rozpoznania twarzy, czegoś więcej poza długimi, złotymi włosami, które teraz nosiła jak zasłonę. Okulary miały jej pomóc wyglądać na tyle lat, ile by ich miała Mary Lynn Pierce.

Prawdę mówiąc, nikt z ludzi, których spotykała Holly, nie wątpiłby, że ma ona prawie dziewiętnaście lat, tak jak twierdziła. Spoza zasłony złotych włosów można było zobaczyć poważną, smutną twarz dojrzałej kobiety. Znacznie więcej trudności miałaby z przekonaniem znajomych, że mogła być kiedyś uśmiechniętą nastolatką z mysimi ogonkami, której fotografie wraz z wstydliwą, ale zajmującą historią ukazywano w wieczornych wiadomościach, dopóki nie doszło do innej tragedii.

Holly nie została rozpoznana, gdy jej makabryczna historia była jeszcze nowością, a kiedy dziwnym zbiegiem okoliczności powrócono do niej po ośmiu miesiącach, nawet ci, którzy widywali Mary Lynn Pierce codziennie, nigdy nie zgadliby, że nieśmiała i poważna młoda kobieta, którą znają, była kiedyś gorąco kochaną i promiennie szczęśliwą Holly Elliott.

Holly znalazła pracę w księgarni na University Avenue. Pracowała niezmordowanie, a kiedy nie pracowała - czytała książki o miłości, ale tylko ze szczęśliwym zakończeniem. A gdy ogarniało ją zmęczenie, ale broniła się przed snem z powodu koszmarów, które jak wiedziała, czyhały na nią, tworzyła w myślach własne historie. Oczywiście ze szczęśliwym zakończeniem - niezbędnym antidotum na przerażające wspomnienia, które zaatakowałyby jej mózg, gdyby pozwoliła mu na beczynność choćby przez jedną chwilę.

37

Dwa lata po zabójstwie jej rodziny Holly przeczytała romans, którego akcja toczyła się, na Alasce. Przeczytawszy go trzy razy, przestudiowała wszystko, co mogła znaleźć na temat czterdziestego dziewiątego stanu. Opis dziewiczej przyrody przypomniał jej Montanę, gdzie ona, matka i ojciec byli kiedyś tak szczęśliwi. I nawet nazwanie Alaski "ostatnią granicą" budziło w niej odzew.

Holly kupiła bilet w jedną stronę na statek, którym miała popłynąć śródlądowym kanałem z Seattle do Anchorage. Zanim opuściła Seattle, wzięła list polecający od kierownika księgarni z entuzjazmem wychwalający spokojną, fachową pracownicę. Ponieważ nie miała prawa jazdy ani żadnego dowodu tożsamości poza kopią metryki i numerem ubezpieczenia, zdecydowała się również wystąpić o paszport. Zanim wypełniła formularz, zmodyfikowała swoje imię, oficjalnie zmieniając Mary Lynn na Marilyn, bo choć nigdy nie złamałaby obietnicy, że będzie czcić i szanować

pożyczone nazwisko, wiedziała aż za dobrze, że nigdy nie da mu szczęścia. Chciała, by Mary Lynn Pierce spoczywała w pokoju wśród kwiatów na cmentarzu, gdzie nie będą jej już dręczyć upiory, nie odstępujące na krok od Holly. To Marilyn Pierce wsiadła na pokład "Gwiazdy Arktyki" tamtego majowego ranka. Zgodnie z dokumentami, które miała ze sobą, była dwudziestolatką. Tymczasem pięć miesięcy wcześniej, w Boże Narodzenie, nie istniejąca już Holly Elizabeth Elliott skończyła piętnaście lat.

Przyjazd Holly na Alaskę zbiegł się z początkiem dnia polarnego. I przez to pierwsze lato, pracując w fabryce konserw w Kodiaku i przebywając w świetle niemal bez przerwy skąpanym w jaskrawym, złotym blasku, poczuła słaby przyływ nadziei.

Potem nadeszła zima, przynosząc śnieżną ciszę i nieubłagane ciemności, które przypominały jej o tamtym walentynkowym wieczorze śmierci.

Holly mogła wrócić do Seattle. Mogła też pojechać dalej na południe w ślad za słońcem. Ale odziedziczyła siłę i odwagę swych rodziców i było to dziedzictwo, którego nie mogła odrzucić, gdyż dzięki niemu czuła z nimi żywą więź. Musiała zostać. Musiała znaleźć sposób, aby żyć ze śniegiem, z ciemnością.

Spędzała długie ciemne zimowe noce na czytaniu, a w końcu zaczęła pisać własne historie miłosne. Zatracała się w nich i czuła się z nimi o wiele bezpieczniej niż z tymi pisanymi przez innych. Miała władzę nad fikcyjnymi światami, które tworzyła. Życia jej bohaterów i bohaterek nigdy nie zniszczą nieprzewidziane tragedie. Nie pozwoliłaby na to. Holly pisała o ludziach kochających i życzliwych, o kobietach i mężczyznach, którzy nigdy by nie złamali uroczystych przysięg i pełnych czci obietnic

38

miłości. Jej bohaterowie i bohaterki miewali, rzecz jasna, kłopoty, głębokie i bolesne tajemnice serca, które czasem wydawały się nierozwiązywalne. Ale niezmiennie wszystkie sekrety zostawały odsłonięte, upiory przegnane, a błędy wybaczone. I zawsze nawet najbardziej nieprzewidywane przeszkody pokonywano - dzięki nadziei, odwadze... i miłości.

Holly spisywała swoje opowiadania o miłości ręcznie, dziecinnym charakterem pisma, tak wyraźnym, a zarazem tak pełnym uroku, że wbrew niezłomnym zasadom, iż egzemplarze wysyłane do wydawcy muszą być porządnie przepisane na maszynie, zwłaszcza te od nie publikowanych jeszcze autorów, jej pierwsze dzieło zostało przeczytane.

Przeczytane... i wydane... i powitane z radością przez czytelników, budzące w nich nadzieję i radość.

Nieliczni mieszkańcy Kodiaku, którzy wiedzieli, że Holly w ogóle istnieje, znali ją jako Marilyn Pierce, cichą, młodą kobietę, mieszkającą sześć kilometrów za miastem, w wiejskim domku, zawieszonym wysoko nad morzem. Nikt w Kodiaku nie miał pojęcia, że Holly to Lauren Sinclair, autorka bestsellerów. Trzymała zaledwie niewielką sumę pieniędzy w lokalnym banku, tyle, by starczyło na życie. Resztę przechowywała gdzieś indziej, inwestując ostrożnie, i co roku przekazywała anonimowo spore fundusze organizacjom zajmującym się opieką nad ofiarami przestępstw.

Cała jej poczta przybywała do Kodiaku na adres Marilyn Pierce. Firma wydawnicza z Nowego Jorku przysyłała listy od czytelników w wielkich brązowych kopertach, a czasem w olbrzymich kartonowych pudłach. Holly odpisywała na te wszystkie listy i wysyłała swe odpowiedzi wydawcy, który przekazywał je na pocztę, żeby nosiły stempel nowojorski. To kwestia zachowania prywatności, tłumaczyła Holly wydawcy. Nie chciała, by ktokolwiek wiedział, gdzie mieszka, ani nawet, że Lauren Sinclair to pseudonim.

Świat Holly, ograniczający się do jej małego domku, był światem ciszy. Serce bolało ją wciąż na myśl, że gdyby tamtej walentynkowej nocy nie oglądała telewizji, gdyby głos odbiornika nie zagłuszał dźwięków dobiegających z kuchni, mogłaby zrobić coś, by nie dopuścić do tragedii.

W domku Holly nie było telewizora ani radia, nie dostawała też gazet. Kiedy chodziła do sklepu spożywczego w miasteczku, jej błękitnozielone oczy wędrowały czasem ku tłustym nagłówkom w gazetach, ale nigdy żadnej nie kupiła. Nagłówki aż nadto świadczyły o rzeczywistości. Woliała żyć w tworzonych przez siebie światach, gdzie mieszkali życzliwi i kochający ludzie, którym mogła zagwarantować, że nie spotkają ich bezsensowne tragedie ani nikt nie złamie im nieodwracalnie serca.

39

Podczas krótkiego dnia w Boże Narodzenie, w dwudziestą szóstą rocznicę swych urodzin, Holly zdecydowała się na długi spacer do miasta. Niebo było jaskrawoniebieskie, a kryształowy śniegu i lodu błyszcząły niczym diamenty w promieniach zaskakująco ciepłego, złotego słońca. Wędrując po mieście, dotarła do kina i zobaczyła plakat reklamujący Mistrza ucieczek, w którym występował Jason Cole. Przez długi czas stała, wpatrując się w jego zdjęcie. Miała wrażenie, że ożył jeden z jej bohaterów - silny i łagodny, kochający i życzliwy.

Kino było wtedy zamknięte, ale Holly następnego dnia pokonała jeszcze raz tę dwunastokilometrową trasę, żeby obejrzeć film Jasona Colea. W ciągu czterech lat oglądała każdy sprowadzony do miasteczka film, w którym występował, i każdy, którego był reżyserem.

Holly nigdy nie zachwiała się w swoim przekonaniu, że prawdziwy Jason Cole jest życzliwy i łagodny, silny i bohaterski. Ale teraz zmuszona była stawić czoło gorzkiej prawdzie: człowiek, którego obsadziła w roli romantycznego bohatera, był w istocie niefrasobliwym draniem. Bez śladu wyrzutów sumienia czy żalu Jason Cole zamierzał zabijać. Chciał bezlitośnie zamordować kogoś, kogo stworzyła z taką miłością... czułą matkę, która pragnęła żyć, kochając swoją małą córeczkę.

Za siedemnaście dni Holly miała spotkać się z prawdziwym Jasonem Coleem. Jakoś wytłumaczy mu, że nie może pozwolić, by ta matka zmarła.



Delikatne palce Holly drżały, gdy dotknęła pożółkłego muślinu ślubnej sukni matki. Nagle podjęła decyzję. Założyła suknię na spotkanie z Jasonem Coleem. Może przyniesie jej szczęście. Zabierze też ze sobą pięć fotografii, które zabrała z domu, symbole jej rodziny... umiłowane symbole najdroższej miłości.

Los Angeles, Kalifornia Poniedziałek, 13 marca

Choć Nicholas Gault spędził weekend z córkami w Santa Barbara, udało mu się zdobyć trochę więcej danych o Raven W. Winter. Późno w nocy, gdy dziewczynki zasnęły, zatelefonował w kilka miejsc. Żaden z informatorów Nicka nie potrafił powiedzieć mu, co oznacza środkowe "W" w jej nazwisku.

40

Ale był to blahy szczegół, w porównaniu z innymi, bardziej ważnymi i niepokojącymi wiadomościami.

Informatorzy powiedzieli mu, że Raven znana jest jako Biały Rekin. W wieku trzydziestu trzech lat uznana została za jednego z najwybitniejszych doradców prawnych gwiazd w światowej stolicy rozrywki, za najlepszą z najlepszych. Ponieważ zdobyła sobie zasłużoną opinię, że zawsze niszczy przeciwników, wszyscy w Hollywood pragnęli mieć ją po swojej stronie podczas negocjacji. Raven mogła pozwolić sobie na luksus wybierania klientów, których miała reprezentować - i wybierała najbardziej utalentowanych, potężnych.

To była Raven-prawnik. Twarda. Przenikliwa. Błyskotliwa. Wybitna. ARaven-kobieta? Nick odkrył, że łączono ją z kilkoma najbogatszymi i najbardziej wpływowymi mężczyznami Hollywood - były to najwidoczniej płomienne, zmysłowe romanse, z których żaden nie prowadził do małżeństwa.

Jej ostatni związek, z producentem i reżyserem Michaeliem Andrewsem, właśnie się zakończył. Andrews wrócił po siedmiu tygodniach spędzonych na zdjęciach w Hiszpanii i już pierwszej nocy wyrzucił ją ze swej posiadłości w Beverly Hills. Oczywiście była inna kobieta, czarująca i zmysłowa "pierwsza naiwna", ale zdrady Michaela to nic nowego. W ciągu prawie trzyletniego związku z Raven miał wiele kobiet.

A jednak Raven z nim została pomimo publicznego upokorzenia i zrad.

Dlaczego? Czyżby kobiecie, która osiągnęła szczyty w tradycyjnie męskim zawodzie, brakowało pewności siebie? Ci, z którymi rozmawiał Nick, nie mieli najmniejszej wątpliwości, że Raven dotarła na szczyt o własnych siłach, nie przez łóżko. Odniosła sukces na przekór swej zadziwiającej urodzie. Zmusiła ludzi, by poważnie traktowali jej wybitną inteligencję.

Raven nie szła na ustępstwa w pracy, nie musiała tego robić, dlatego więc decydowała się na takie kompromisy w życiu osobistym?

Czy tak bardzo kochała Michaela Andrewsa, że zapominała o sobie - o godności i dumie - i pokornie znosiła jego ciągłe zdrady? Sam Nick był ekspertem, jeśli chodzi o zdradę w miłości. Ze swego doświadczenia wiedział, że gdy zdrada zostanie odkryta, miłość przestaje istnieć. Czy Raven kochała Michaela tak mocno, miała tak mało szacunku dla siebie, że wybaczala mu raz po raz?

Wydawało się niewiarygodne, że Raven Winter może brakować pewności siebie... a jednak żywo pamiętał lęk w jej błękitnych oczach. Czyżby w przeszłości przeżyła taki wstrząs, że zwątpiła w swoją wartość i przyjmowała poniżenie i zdrady, jakby na nie zasługiwała? A może miłość nie miała dla niej żadnego znaczenia, może ceniła jedynie władzę i pieniądze?

Biały Rekin, genialna prawniczka, była bogata i potężna. Cóż to jednak znaczyło wobec potęgi i bogactwa Michaela Andrewsa. Jego celuloidowe imperium było ogromne... choć nie tak znów wielkie w porównaniu z królestwem Nicholasa Gaulta.

41

Świadomość, że mógłby kilkakrotnie wykupić Michaela Andrewsa, była dlań bardzo niepokojąca. Jeśli Raven zgadzała się znosić stałe upokorzenia i zdrady ze strony Michaela, do jakich kompromisów byłaby gotowa, gdyby wiedziała, że Nick i "Eden Enterprises" to jedno? Do jakich kompromisów, cudownego uwodzenia, fałszywych i wyrachowanych obietnic miłosnych?

Kiedy Nick opuszczał w piątkowy wieczór uroczą, bezbronną Raven, nie myślał o jej kosztownym domu, strojach i samochodzie. Teraz, gdy zatrzymał ciężarówkę przed jej domem, pomimo niepokoju wywołanego tym, czego się o niej dowiedział przez weekend, w jego myślach na nowo pojawił się intrygujący i kuszący obraz tej bezbronności.

Raven nie miała pojęcia, kim on jest, i na razie tak powinno zostać. Będzie Nickiem-ogrodnikiem, a nie hotelowym potentatem. A ona nie będzie Białym Rekinem... tylko uroczą i bezbronną Śnieżką.

O ile nie okaże się od razu, że to, co widział w piątek, było jedynie czarującą iluzją...

Nie było.

Owszem, brzoskwiniowy lniany kostium od Armaniego świadczył wyraźnie o tym, że wygląd i pieniądze znaczą bardzo wiele dla Raven Winter, ale nawet to drogie ubranie mówiło o niepewności właścicielki. Było doskonale - nieskazitelne - uzupełnione dodatkami, dokładnie tak, jak zaplanował to projektant, jak gdyby była tylko modelką, tylko manekinem, a nie kobietą bogatą, zawdzięczającą wszystko samej sobie. Nick znał wiele bogatych kobiet sukcesu i wiedział, że każda z nich uzupełniłaby ten strój jakimś własnym symbolem, jakimś wymownym kolorem lub klejnotem mającym świadczyć o jej niezwykłym stylu, szczególnym guście.

Czy Raven tak bardzo brakuje pewności siebie? Czy naprawdę aż tak lęka się być inna, wyjątkowa, nadzwyczajna? Czy to, co widział w jej szafirowych oczach, było rzeczywiście autentyczną niepewnością?

- Dzień dobry - odezwał się cicho.

- Dzień dobry.

- Jak się czujesz?

Jej pokaleczone i prawdopodobnie obandażowane kolana były zakryte sięgającą do połowy łydek brzoskwińową spódnicą. Dłonie miała zabandażowane - śnieżna biel gazy na śnieżnobiałej skórze. Przytrzymała je biała papierowa taśma, którą jej kupił, ale były na niej drobne zagniecenia, a kwadratowe kawałki gazy z lekka się przekrzywiły.

Najwyraźniej niewygodnie jej było samej opatrzeć rany.

- Mogę zobaczyć? - spytał Nick.

Gdy Raven kiwnęła w odpowiedzi głową, lśniąca kaskada połyskliwych, kruczoczarnych włosów zatańczyła wokół jej twarzy i musnęła ramiona.

42

Z pewnością w pracy Biały Rekin miewał znacznie bardziej surową fryzurę. - gładki, błyszczący kok, mocno upięty na karku. Ale ten surowy styl wymagał doskonałości - każde czarne jedwabiste pasmo musiało być na swoim miejscu, żaden włos nie mógł sterczeć - było to zadanie ponad siły dla jej mocno pokaleczonych dłoni.

Nick uniósł papierową taśmę tak delikatnie i ostrożnie, jak trzy dni temu wyjmował klucz z głębokiej kieszeni jej szortów. I teraz, tak samo jak wtedy, jego cudowna i zaskakująca czułość przyprawiła Raven o dreszcz.

- I co myślisz?

Nick słyszał niepokój w jej głosie i zgodnie z prawdą zapewnił:

- Myślę, że wszystko w porządku. - Uspokajając ją jeszcze bardziej, dodał: - Podgoiło się i nie widzę nawet śladu infekcji. A ty jak sądzisz?

Raven nie wiedziała, co sądzić o skaleczeniach, które krwawiły tak obficie - o wiele bardziej niż podczas skąpych miesiączek, stanowiących comiesięczne przypomnienie o lodowatej bezpłodności jej łona. Dotychczas wszystkie rany w jej życiu były ukryte głęboko w środku. Czują je - och, jak bardzo je czuła - ale nigdy nie było ich widać.

Raven też uznała, że rany na dłoniach się goją. To było zaskakujące stwierdzenie... ponieważ żadna z jej wewnętrznych ran nigdy się nie zagoiła. Ani jedna, przenigdy.

- Też mi się wydaje, że się goją.

- A co z bólem?

Raven uśmiechnęła się nareszcie i przyznała:

-O wiele lepiej.

- Więc mogłaś odwracać strony Darów miłości?

-Tak. - Raven była pełna podziwu dla tej książki. Zdawało jej się jakby Lauren Sinclair pisała specjalnie dla niej, lała balsam na ukryte głęboko rany, które nigdy się nie zabliznyły. Zdawało się, że Lauren Sinclair wiedziała o jej ranach i przesyłała Raven kojącą obietnicę nadziei: nawet najgłębsze rany kiedyś się zagoją. Może istnieje szczęście, może pojawić się miłość... nawet dla niej.

- I co? - ponaglił ją Nick.

- To cudowna książka. - Pochylając z namysłem ciemną główkę, dodała: - I mogłam odwracać karty katalogów, które mi zostawiłeś. Też są cudowne. Mam je w kuchni. I zaparzyłam dla nas kawę.

To Nick nalewał kawę. A potem usiadł koło niej przy stole, na którym leżały katalogi, zostawione przez niego na ganku w sobotę rano.

Wiele, wiele stron oznakowano bladożółtymi zakładkami. Małe żółte papierki były przyklejone precyzyjnie, tworząc z kartkami idealnie prosty kąt.

43

Nick przypuszczał, że tak samo starannie założyłaby na swych dłoniach bandaż, gdyby mogła to zrobić.

- Wygląda, że znalazłaś mnóstwo kwiatów, które ci się podobają.

- Tak... pomyślałam, że wybiorę różne warianty, gdyby okazało się, że niektóre kwiaty nie pasują do siebie.

Nick wpatrywał się z namysłem w kobietę, która- jeśli jej dzisiejsze ubranie mogło być jakąś wskazówką - nie ważyła się wprowadzać poprawek do decyzji projektanta.

- Wszystkie kwiaty pasują do siebie, Raven. Naprawdę nie można tu popełnić błędu. Wybierz, co najbardziej lubisz.

Bądź twórcza. Bądź odważna.

Stopniowo, gdy dzięki jego cierpliwej i nieustającej zachęce Raven nabierała pewności siebie, okazywało się, że ma swoje upodobania, i to wyraźne. Chciała mieć bez i róże - i nic więcej. A kiedy Nick przyjął jej oświadczenie z -jak się wydawało - bezgraniczną aprobatą, powiedziała mu, jakie kolory lubi najbardziej. Dla bzu wybrała tradycyjny odcień lawendy i koronkową, uroczą biel. A gdy chodziło o róże, jej smukłe palce wskazywały subtelne, romantyczne połączenie koloru kremowego i różu.

- Uwielbiam te nazwy - powiedziała impulsywnie, a śnieżnobiałe policzki zabarwił słaby rumieniec; przypominały teraz lekko różowe na białe płatki Pristine, jej ulubionych róż. - Nigdy wcześniej nie zdawałam sobie nawet sprawy, że róże mają imiona.

Ma zamiar nazywać róże po imieniu. Nick był zadowolony, że Raven odnosi się z takim entuzjazmem do swego ogrodu pełnego bzów i róż, ale poczuł smutek, gdy bardziej się nad tym zastanawiał. Ma zamiar nazywać róże po imieniu... jak gdyby były jej przyjaciółmi... jak gdyby były jej rodziną.

Szybko, nazbyt szybko minął zaczarowany, nierealny czas, w którym byli Nickiem-ogrodnikiem i Śnieżką. Dochodziła dziewiąta. Biały Rekin miał spotkanie w swym biurze w Century City, a Nicholas Gault także zaplanował naradę służbową o dziesiątej, w swej rezydencji w Bel Air.

- W ciągu tego tygodnia usunę chwasty i przygotuję ziemię pod sadzonki.  
- W tym tygodniu? - powtórzyła Raven, zaskoczona, ale wyraźnie zadowolona. - Tak prędko?  
- Pewnie - potwierdził Nick. - Pod koniec tygodnia zdobędę wszystkie kwiaty i, jeśli nie masz nic przeciwko temu, w poniedziałek je posadzę.  
- Zgoda.  
Nick zawahał się przez chwilę, a potem rzekł:  
- Byłoby dobrze, gdybyś uczestniczyła przy tym.  
- Ja? Po co?

44

- Żeby mi pomóc w projektowaniu. - Nick uśmiechnął się, widząc jej zaskoczenie. - Oczywiście, mogę to zrobić sam, ale są pewne, niezwykle drażliwe kwestie etykiety i dworskiego protokołu.  
- Protokołu?  
- Wyobraź sobie, że zaprosiłaś do ogrodu Lady Dianę, królową Elżbietę, księżnę Monako i Barbarę Bush. Kogo umieścić na honorowym miejscu? Komu dać więcej słońca?  
Teraz Raven też się uśmiechała, a jej szafirowe oczy błyszczały.  
- Nie wiem - wyszeptwała.  
- No cóż. Pomyśl o tym. Mimo wszystko to twój ogród. Twoja rodzina... twoi przyjaciele.  
Telefon zadzwonił w chwilę po odejściu Nicka.  
- Cześć, Raven.  
- Michael.  
- Mam do ciebie sprawę...  
Raven słuchała zaskoczona. Jak mężczyzna, który niecały tydzień temu wykreślił ją ze swojego życia, tak okrutnie wykpił jej sugestię, że jednak kiedyś ją kochał, może teraz mówić do niej, jak gdyby nigdy nic ich nie łączyło. Miał taki sam ton głosu, jak trzy lata temu, kiedy namówił ją, by dodała jego nazwisko do swej elitarniej listy klientów. Dzwonił teraz do niej w sprawach zawodowych. Chciał, by w następnym poniedziałek poszła z nim na spotkanie w interesach.  
Raven czuła przeszywający ból - wszystko, co Michael wykrzyczał jej tydzień temu, było prawdą. Nigdy jej nie kochał. Uważał ją za kawał lodu - bez serca, bez uczuć, nie interesowała go w trwały sposób, nie cenił jej wcale... Widział w niej tylko błyskotliwego prawnika.  
- W przyszły poniedziałek? - powtórzyła za nim.  
- Będziesz mi potrzebna przez cały dzień. Sprawdziłem już u twojej sekretarki. Nie zaplanowałaś na ten dzień nic, czego nie można z łatwością odwołać.  
"A właśnie, że zaplanowałam" - pomyślała Raven. Tej myśli towarzyszyła zadziwiająca pewność siebie - i zadziwiający spokój.  
- Prawdę mówiąc, Michaelu, mam na przyszły poniedziałek plany, których nie mogę zmienić.  
- Zawsze można zmienić plany, Raven. To interes równie wielki, jak tamta umowa na cztery filmy z Gold Star, którą opracowałaś dla Jasona. Do diabła, może być nawet jeszcze większy.  
- Przykro mi, Michaelu, ale nie mam czasu. - Potem w pełną zaskoczenia ciszę, która zapanowała po jej słowach, rzuciła zdanie jeszcze bardziej

45

szokujące: - Myślę, że lepiej będzie, gdy znajdziesz sobie kogoś innego, by reprezentował twoje interesy, i to nie tylko na tym poniedziałkowym spotkaniu.  
Obrzucił ją wtedy przekleństwami, wysłuchała ostrej, wulgarnej tyrady, która nie była dla niej zaskoczeniem. Raven przywykła do takiego poniżenia - ze strony Michaela i ze strony innych mężczyzn. Spodziewała się też czegoś podobnego od mężczyzny, który z powodu jej bezzmysłności omal nie potracił ją ciężarówką.  
Ale Nick jej nie przeklinał.  
Nick się o nią troszczył.  
I zaledwie parę minut wcześniej powiedział, że chciałby, by pomogła mu w planowaniu swojego ogrodu z różami i bżem.  
To żywe - i czule - wspomnienie Nicka dało jej siłę, by odeprzeć pełną złościłości wściekłość Michaela Andrewsa.  
Część druga

Seattle, Waszyngton Poniedziałek, 13 marca

Caroline Hawthorne przebierała się przed lunchem w klubie tenisowym i słuchała KBSG, jednej ze stacji softrockowych Seattle, które nadawały półgodzinne wiązanki starych, lecz bardzo dobrych melodii: zawsze wzruszających piosenek o pierwszej miłości i miłości zakazanej, o rewolucji i pokoju, o lodowatych zimach smutku i nie kończących się latach radości.  
Gdy Leslie Gore śpiewał It s My Party, Caroline wkładała prostą, dopasowaną spódnicę, zieloną jak nefryt i bluzkę z długimi rękawami w odcieniu kości słoniowej. Podczas Good Yibrations Beach Boysów energicznie szcztokowała sięgające do ramion kasztanowe włosy, które przy niewielkim nakładzie pracy obramowywały jej twarz, tworząc ogniste nawiasy. A kiedy Roy Orbison miękkiem głosem śpiewał Pretty Woman nakładała delikatnie makijaż, odrobinę

podkreślając jasną cerę, będącą świadectwem jej dobrego zdrowia.

Za dwa tygodnie Caroline miała skończyć czterdzieści lat. Tak właśnie wyglądają w dzisiejszych czasach czterdziestolatki: zdrowe, energiczne, sprawne. Oczywiście miała drobne zmarszczki, wyraźne świadectwo, że żyła na tej planecie przez prawie cztery dekady i że w tym czasie poznała śmiech i łzy, smutek i radość. W jej szmaragdowych oczach kryła się pełna powagi mądrość, której tam nie było za młodu. Ale iskrzyły się przy tym, jaśniały większą pewnością siebie, większym optymizmem, niż to się zdarzało w ciągu wielu lat.

Podczas Unchained Melody Caroline stała przy oknie sypialni, na piętrze domu przy Queen Annę Hill, i patrzyła w dół na wzburzony wiatrem przepych wód w kolorze indygo, pokrytych białą pianą, słuchając wzruszającej muzyki - i jeszcze bardziej wzruszających słów.

"Jestem spragniona twego dotyku". Jak zawsze słowa te obudziły w niej palący głód. Jak to by było... kochać tak mocno? Jak to by było... być kochaną, budzić takie emocje, pożądanie?

49

Najprawdopodobniej okazałoby się to katastrofą. Unoszenie się na fali ekstazy, która mogła załamać się bez ostrzeżenia, spowodowałoby niekontrolowany upadek w przepaść smutku, zdrady i bólu.

Lepiej żyć bezpiecznie. Caroline Hawthorne była zadowolona z życia. Ciężko walczyła o spokój, a jej stanowcze zmagania zostały więcej niż sowicie wynagrodzone, gdyż była nie tylko zadowolona - lecz szczęśliwa. Była szczęśliwa, bo miała optymistyczny stosunek do życia, a realistyczny - do miłości. A jednak, gdy piosenka się skończyła, poczuła lekki smutek, niebezpieczny, kuszący głód, który i tym razem wzbudził w niej te słowa.

Caroline wyciągnęła rękę, by wyłączyć radio przed wyjściem, ale powstrzymał ją komunikat disc jockeya.

- Katastrofa tankowca, która wydarzyła się w nocy niedaleko od wybrzeża Waszyngtonu, spowodowała wyciek ropy naftowej, stanowiący zagrożenie dla środowiska morskiego od przylądka Flattery do Kalaloch. Utworzono tymczasowe schroniska w Neah Bay i Moclips, a służba ochrony wybrzeża i inne organizacje zapewniają transport dla wydr i ptaków. Pilnie poszukuje się ochotników do pomocy przy oczyszczaniu ich z ropy. Po bliższe szczegóły proszę dzwonić na gorącą linię KBSG, na numer...

Kwadrans później Caroline siedziała już w samochodzie, rozpoczynając trzygodzinną podróż do Moclips. Mała nadmorska miejscowość wczasowa położona była pięćdziesiąt kilometrów na północ od Hoquiam. Budynek tamtego szego liceum, zamkniętego na czas przerwy wiosennej, został przeznaczony na tymczasowe schronisko dla zwierząt. Caroline nie zapomniała o lunchu w klubie tenisowym w Seattle, przełożyła go tylko. Miało to być spotkanie poświęcone planowaniu Balu Szmaragdowego Miasta, dobroczynnego wydarzenia sezonu, którego była gospodynią. Ale ponieważ nadzór należał do jak zawsze kompetentnej Caroline Hawthorne, wszystko było pod kontrolą i przyjaciółki, z którymi miała zjeść lunch, przyjęły jej telefon z pełnym zrozumieniem. Nie dziwiło ich, że Caroline pędzi jak strzała na wybrzeże z powodu spraw o wiele pilniejszych niż uroczysty bal, który miał się odbyć za kilka miesięcy.

- Serdecznie witamy - przyjęła ją rumiana kobieta, stojąca w holu gimnazjum w Moclips High. Trzymała w ręce wielki notes i z jej zachowania, widać było, że zajmuje się rozlokowaniem ochotników i zwierząt. - I z góry dziękujemy.

- Nigdy jeszcze tego nie robiłam - przyznała się Caroline. - Ale człowiek ze stacji radiowej, z którym rozmawiałam, powiedział, że przydadzą się każde ręce... nawet niedoświadczone.

50

- Oczywiście. Zobaczmy. - Kobieta zajrzała do notesu. - Może dać panią do Lawrencea? Ulokował się w szatni dla chłopców. Do samego końca, a potem w lewo. Proszę podać mi swoje nazwisko. Będzie na panią czekać pokój - oczywiście bezpłatny - w motelu po drugiej stronie ulicy. Nawet jeśli nie zamierzała pani spędzić tu nocy, proszę z niego skorzystać, by odświeżyć się przed wyjazdem.

Caroline nigdy przedtem nie zgłaszała się na ochotnika do oczyszczania ptaków i wydr z ropy ani nigdy dotąd nie była w szatni dla chłopców. Kluczyła w labiryncie drewnianych ławek i metalowych szafek, kierując się odgłosem płynącej wody. Gdy zbliżyła się do pryszniców, usłyszała niski, spokojny, łagodny, męski głos, wypowiadający kojące słowa. Mężczyzna nie słyszał jej kroków w szumie płynącej wody, więc Caroline mogła obserwować go niezauważona. Rozpoznała go od razu.

Gdy szła do szatni, po prostu nie przyszło jej do głowy, że to może być on. A chyba powinno. Przecież rumiana dyspozytorka podała jego imię i z tego, co Caroline wiedziała o doktorze Lawrence Elliotcie, logiczne było, że ten pełen oddania weterynarz natychmiast tu się zjawi.

To, co o nim wiedziała... Dlatego Caroline potrzebowała kilku minut, by ochłonąć.

Aż do ubiegłego miesiąca, kiedy położyła temu kres, jej "przyjaciele" toczyli bezlitosną kampanię, by namówić ją na spotkanie z nim. Oczywiście nie chodziło tu o coś tak banalnego jak swaty. Przyjaciele Caroline nigdy by jej czegoś takiego nie zrobili i nikt nie próbowałby zachowywać się w ten sposób w stosunku do człowieka, którego życie było tak tragiczne.

Nie, powód, dla którego Caroline Hawthorne miała spotkać doktora Lawrencea Elliotta, był o wiele ważniejszy od miłości.

"Powinien ubiegać się o jakiś urząd publiczny, Caroline. Powinien zostać senatorem, gubernatorem, a może nawet prezydentem. Tylko ty możesz go do tego namówić".

Caroline była niewątpliwie mistrzynią w przekonywaniu bogatych filantropów, by przeznaczili pokaźne sumy na cele dobroczynne lub sztukę. Ale od samego początku wątpiła, by ta umiejętność wystarczyła do przekonania takiego człowieka jak Lawrence Elliott, aby poświęcił życie dla dobra ogółu. I właśnie miesiąc temu, z zupełnie innego

powodu, powiedziała zdecydowanie przyjaciołom, że nigdy i w żadnych okolicznościach nie będzie nawet próbowała tego robić.

Powodem był sam Lawrence Elliott i to, co dowiedziała się o nim z nadawanego na żywo programu 20/20, którego czas emisji został celowo tak wybrany, by zbiegł się z dniem świętego Walentego, ze względu na wyjątkowe - tragiczne - znaczenie, jakie miało dlań to święto zakochanych. Gdy

51

nadawano ten program, była w operze, więc nastawiła magnetowid i kilkakrotnie obejrzała później nagranie.

Caroline zmuszona była zgodzić się z przyjaciółmi, że Lawrence Elliott powinien zostać prezydentem, że z takim charakterem, prawością i polotem mogłyby zrobić wiele dobrego dla kraju. Ale jeszcze silniej wierzyła, że ten weteran wojny wietnamskiej, który uciekł po siedmiu latach niewoli tylko po to, by dowiedzieć się, że jego żona została zamordowana, a kilkunastoletnia córka zniknęła, zasługiwał na to, by uszanować jego prywatność. Za to niezbywalne prawo zapłacił drożej niż jakikolwiek inny człowiek.

Z programu jasno wynikało, jak bardzo jest skryty, jak trudno mu publicznie mówić o przerażającej przeszłości. Ale to zrobił. Otworzył swoje serce przed wszystkimi, ponieważ dla Lawrence'a Elliotta najważniejsze było - choć upłynęło już siedemnaście lat - odnalezienie córki, która zniknęła bez śladu.

Caroline wiedziała, że z powodu poszukiwań dawno zaginionej córki odmówiłby ubiegania się o wszelkie urzędy.

Dziewczynka, która uciekła ze wstydem, gdy takie jak ona uznawano za winowajczynię, a nie ofiary, mogła nigdy nie wrócić do ojca bez względu na okoliczności. Pewne było, że pozostałaby na zawsze w ukryciu, gdyby jej ojciec zmienił adres z Issaquah, wiejskiej osady położonej dwadzieścia kilka kilometrów na wschód od Seattle, na posiadłość gubernatora... lub Biały Dom.

Przed obejrzeniem tamtego odcinka 20/20 Caroline, ustępując naleganiom przyjaciół, zamierzała się wybrać do Issaquah, by poznać Lawrence'a Elliotta. Jednak po tym programie, z powodów jak najbardziej odległych od polityki, wiedziała już, że nigdy tego nie zrobi, choć było coś w jego udreńczonych, ciemnych oczach, co sprawiało, że chciała go spotkać.

Teraz mimo wszystko miało do tego dojść i Caroline poczuła dreszcz lęku. Co mogła mu powiedzieć, ona lub ktokolwiek inny? Jej życie nie zawsze było radosne. Prawdę mówiąc, gdy miała zaledwie dwadzieścia jeden lat, smutek po śmierci rodziców wydawał się nie do pokonania, jakby zamykał szczęśliwy rozdział zapoczątkowany w dniu jej narodzin. Przez następne siedem lat, które nastąpiły po tej olbrzymiej stracie, doznawała jeszcze bardziej druzgoczących ciosów.

Jednak śmierć ukochanych rodziców to nie w porównaniu z emocjonalnym wstrząsem młodego ojca i męża, zmuszonego iść na wojnę. I siedem lat, jakie Caroline Hawthorne spędziła w nieudanym małżeństwie, w luksusowych warunkach, były błahostką, jeśli porównać je z siedmioma latami więzienia i tortur w odległej dżungli.

Caroline pogodziła się w końcu ze śmiercią rodziców, a jej złamane serce i zmaltretowana dusza przezwycięzły wreszcie spustoszenie, jakie pozostawiło

52

po sobie pozbawione miłości małżeństwo. I teraz, po dwunastu latach, znowu czuła się szczęśliwa.

Ale dla Lawrence'a Elliotta nie było szczęśliwego zakończenia. Udało mu się uciec od siedmioletniego koszmaru tylko po to, by napotkać inny, gorszy, który czekał na niego w domu. I teraz, po siedemnastu latach, jego serce nadal cierpiało, gdy nie ustawał w poszukiwaniach zaginionej, gorąco kochanej córki.

Nawet zawód wybrał ze względu na nią. "To było nasze marzenie" - odpowiedział, gdy dziennikarz z 20/20 spytał go, dlaczego został weterynarzem. Szukał swego dziecka i nie pozwalał umrzeć jego marzeniu...

Caroline zastanawiała się, co może mu powiedzieć. Nie miała pojęcia. A on wciąż nie zdawał sobie sprawy z jej obecności i cicho, łagodnie przemawiał do przerażonej mewy.

Caroline słyszała czułość w głosie Lawrence'a i widziała, jak delikatne są jego dłonie trzymające drżące ciało. Niemal przeproszał za to, że ją więził, podczas gdy jego długie, szczupłe palce ostrożnie zdejmowały - jedną po drugiej - warstwy tłustej, czarnej ropy. Mewa była zaskakująco spokojna, drżała, ale nie szamotała się. Czuła instynktownie, że w dłoniach nieznajomego człowieka jest bezpieczna.

"Nie wiem, co mu powiedzieć - myślała Caroline, obserwując zręczność tych wprawnych i łagodnych dłoni. - Nie potrzebuje mojej pomocy. Po prostu wycofam się po cichu i zaproponuję swoje usługi komuś innemu".

Ale nie wycofała się, bo nie było prawdą, iż Lawrence Elliott nie potrzebował pomocy. Gęsty pukiel ciemnobrązowych włosów opadł mu na czoło, ograniczając pole widzenia. Przynajmniej w tej chwili Lawrence potrzebował jeszcze jednej ręki. Gdyby trzymała ptaka albo wzięła od Lawrence'a ręcznik, mógłby odgarnąć nieposłuszny lok - zapewne nie po raz pierwszy, uznała, zauważywszy smugi ropy na jego skroni.

Caroline zaczerpnęła tchu, a potem, nie chcąc przestraszyć ani mężczyzny, ani ptaka, powiedziała cicho:

- Dzień dobry.

Nie tak łatwo było przestraszyć Lawrence'a Elliotta. Serce i nerwy, które wycierpiały nieopisane tortury podczas siedmiu lat niewoli, nie mówiąc już o poprzedzających je okropnościach wojny w dżungli, bez wątpienia tak pokryte były bliznami, że nie reagowały na wstrząsy, pozbawione czucia.

Przez chwilę Caroline zastanawiała się, czy w ogóle usłyszał jej ciche powitanie. Nie podniósł wzroku, nim po raz ostatni nie przesunął ostrożnie ręcznikiem po pokrytych ropą piórach.

Kiedy spojrział w górę, wprost na nią, Caroline drgnęła zaskoczona. Obejrzała kilkakrotnie tamten odcinek 20/20, więc

uznała, że wie, jak wygląda

53

Lawrence. Producenci widowiska nie tracili okazji do pokazania z bliska jego poważnej i przystojnej twarzy. Była to niezwykła twarz, urzekające studium siły, dyscypliny... i dumy. Ta duma świadczyła o godności człowieka, którego uwięziono, ale nie ujarzmiono, nie złamano, człowieka skrytego, któremu odebrano wszystko, co miało dlań znaczenie, a mimo to zachował swoją prawosć, szlachetność.

Caroline uważała, że wie, jak wygląda, ale nie spodziewała się, że będzie aż tak seksowny. I całkowicie myliła się co do koloru jego niezwykle ciemnych oczu. Na ekranie wyglądały na prawie czarne, uznała jednak, że podobnie jak włosy mają ciemnobrązową barwę. W rzeczywistości oczy Lawrencea Elliotta były zielone, jak jej własne, lecz miały ciemną zieleń najgłębszych leśnych zakamarków. Jak te tajemnicze, pradawne ustronia, jego oczy mieściły w sobie zagadkowe sekrety i starożytną mądrość. I jak w tych ostępach, które stawały się zaczarowane, magiczne, gdy promienie słońca przebijały się przez gruby baldachim liści, w ciemnej zieleni jego oczu migotało złote światło.

To przyjazne, magiczne ciepło jego wzroku skierowane było ku drżącej mewie... i ku niej.

- Jestem Caroline. Przyszłam pomóc.

- Jestem Lawrence. Cieszę się, że tu jesteś.

Podczas programu się nie uśmiechał i Caroline nie wiedziała, jak może wyglądać uśmiech na jego przystojnej twarzy. Nie była przygotowana na wrażenie, jakie na niej wywarł. Ten lekki uśmiech nie zawierał śladu fałszu czy dwuznaczności. Nie było wątpliwości, że miał to być uśmiech powitalny - nie seksowny ani uwodzicielski, ale pod jego pieczęcią poczuła przypływ ciepła.

"Jestem spragniona twego dotyku" - pomyślała. Ta myśl zaskoczyła ją niemal tak samo, jak bijące od niego ciepło... dopóki nie uświadomiła sobie, że w gruncie rzeczy wiązały się ze sobą. Oto stał przed nią bezspornie pociągający mężczyzna, który przetrwał siedem lat uwięzienia w klatce, bo tak bardzo kochał swoją żonę. Wytrzymał to więzienie i tortury, gdyż konieczność zobaczenia Claire, dotknięcia i kochania jej była o wiele potężniejsza od najbardziej nawet niewyobrażalnego fizycznego bólu.

Jeśli mogły ją poruszyć słowa piosenki, nic dziwnego, że tak samo działał na nią mężczyzna, który był uosobieniem bezgranicznej miłości. Caroline miała więc wytłumaczenie tego zaskakującego przypływu ciepła - a zatem mogła nad nim zapanować. To dobrze.

Tyle że znowu poczuła ciepło, gdy intensywnie zielone oczy ogarnęły całą jej postać. Wciąż miała na sobie jedwabny strój w kolorach kości słoniowej na wytworny lunch w klubie tenisowym w Seattle.

- Muszę się przebrać - wyszeptła. - Zabrałam dzinsy i sweter, ale podobno są tu ubrania robocze.

54

- Tak, spodnie, bluzy i kitle. Leżą na ławce, za pierwszym rzędem szafek.

Zielone oczy, które wzniósł, odpowiadając na jej pytanie, znowu przesunęły się na jej ciało. Oceniały ją z namysłem, badawczo, bez zachłanności i drapieżności, ale i tak Caroline ogarniały fale ciepła.

- Wszystkie ubrania robocze są w męskich rozmiarach - powiedział w końcu Lawrence. - Sądzę, że "eska" będzie na ciebie pasować.

"Eska" była istotnie najbardziej odpowiednia. Co prawda, góra zbyt opinała jej pełny biust, a ściągane gumką spodnie nieco zwisały na szczupłych biodrach, ale te niedostatki kroju nie miały znaczenia, gdyż przed wyjściem zza ściany szafek Caroline przykryła swój niebieski strój papierowym kitem.

- Musisz już być zmęczona.

Przez całe popołudnie i wieczór z ust Lawrencea płynęły kojące słowa, kierowane do Caroline i pokrytych ropy ofiar, które przynoszono do nich bez końca. "Wszystko w porządku" - zwracał się łagodnie do drżącego zwierzątka albo do niej, kiedy nie była pewna, czy właściwie trzyma skrzydło, pług albo dziób. "Tak, dobrze" - stwierdzał, poprawiając w razie potrzeby jej rękę.

Tym razem po raz pierwszy skierował swoje słowa wyłącznie do niej, bo po raz pierwszy byli zupełnie sami. Ostatnia z mew została oczyszczona z ropy i wyniesiono ją z szatni, by załadować na ciężarówkę, zmierzającą do schroniska, gdzie miała pozostać wraz z innymi, dopóki ropa nie zniknie z ich środowiska. Żaden ptak ani wydra nie czekają już na swoją kolej. Cały proces zacznie się na nowo o świcie, kiedy będzie dość jasno, by poszukujący mogli znaleźć więcej poszkodowanych zwierząt, ale na razie Lawrence i Caroline skończyli pracę.

- Ty też musisz być zmęczony - odparła cicho Caroline.

- Powinienem zapytać kilka godzin temu, czy chcesz zrobić przerwę.

- Odpowiedziałabym, że nie - zapewniła Caroline mężczyznę, który pracował z niezmordowanym zapalem, by ocalić zwierzęta, witał każde z nich z serdeczną troską i nigdy nie narzekał, że jest zmęczony, głodny czy spragniony. Była już prawie trzecia, gdy zjawiała się, aby mu pomóc, i miała pewność, że Lawrence przebywa tu od wielu godzin, że był jednym z pierwszych, których powiadomiono, bo wszyscy wiedzieli, że przyjedzie od razu i zostanie tak długo, jak długo będzie potrzebny.

- Zjesz ze mną kolację? - spytał Lawrence. - A może zamierzałaś już wracać?

- Nie, mam zamiar zostać, by jutro znowu pomagać. I chętnie zjem z tobą kolację.

55

Zabrali swoje ubrania, by je założyć, gdy wezmą już prysznic w motelu, i opuścili szkołę nadal odziani w roboczą

odzież.

- Jaki wspaniały wieczór - z entuzjazmem stwierdziła Caroline, kiedy wyszli na dwór. Nocne niebo błyszczało mnóstwem gwiazd, srebrna obwódka otaczała księżyc, a morska bryza była pachnąca i ciepła. - Wcale nie jest zimno. A powietrze jest takie balsamiczne.

Caroline słyszała, jak Lawrence nabiera tchu, jak gdyby zamierzał coś powiedzieć, ale kiedy nie padły żadne słowa, spojrzała nań i w jego ciemnozielonych oczach, rozjaśnionych teraz księżycową poświatą, zobaczyła wahanie... niepewność...

- Wspomniałeś o swetrze i dżinsach - zaczął cicho. - Jeśli masz ochotę, moglibyśmy zrobić sobie piknik na plaży.

- Oczywiście, że mam ochotę.

- Więc każę przygotować w kuchni kilka kanapek, a do tego zupę rybną.

Najwidoczniej Lawrence składał już wcześniej takie zamówienia w kuchni motelu, być może podczas poprzedniego wycieku ropy. Ale jego wahanie, zanim złożył jej tę propozycję, doprowadziło ją do wniosku, że kiedy ostatnim razem urządził sobie późną nocą piknik na zalanej księżycową poświatą plaży, był całkowicie sam.

Plaża należała tylko do nich i była to najwspanialsza sceneria, w jakiej Caroline kiedykolwiek jadła kolację. Nie zabrakło muzyki, cichej serenady chlupoczących fal, pośrodku śnieżnobiałego piasku natura umieściła stół z wybielonego słońcem drzewa, wyrzuconego przez fale, a zamiast migotliwego światła smukłych świec ich twarze rozjaśniał blask gwiazd i księżycowa poświata.

- Gdzie mieszkasz, Caroline?

- W Seattle.

- A ja po drugiej stronie jeziora, w Issaquah. - Lawrence przerwał, widząc, że zmarszczyła brwi. - Issaquah leży około dwudziestu pięciu kilometrów na wschód od Seattle.

- Tak, wiem. Wiem, kim jesteś, Lawrence. Widziałam ten odcinek 20/20.

Lawrence skinął głową i w jego oczach pojawił się mroczny cień. Czyżby miał wyrzuty sumienia, iż w trakcie rozpaczliwych poszukiwań zaginionej córki naraził innych na przeżywanie swej życiowej tragedii?

56

- Bardzo ci współczuję - powiedziała cicho Carolina. - Czy po tym programie miałeś jakąś wiadomość o córce?

- Nie, żadnych.

Jego córka prawdopodobnie nie żyje. Tak stwierdziły przyjaciółki Caroline. A gdyby jakimś cudem jeszcze żyła, to - o ile sama nie była więziona w klatce w odległej dżungli przez ostatnie siedemnaście lat - wie, że ojciec jej szuka, i nie chce zostać znaleziona. Czas, aby zrezygnował z poszukiwań.

Od chwili, gdy Caroline po raz pierwszy zobaczyła Lawrence'a Elliotta w telewizji, wyczuła, że on nigdy nie przestanie szukać swego zaginionego dziecka. Teraz tym bardziej stało się dla niej jasne, że będzie próbował odnaleźć Holly do samej śmierci.

- A więc, Caroline, wiesz już o mnie wszystko - powiedział Lawrence ze spokojem. - Ale ja wiem o tobie tylko to, że chętnie poświęcasz czas, by pomagać pokrzywdzonym zwierzętom.

Jej chęć niesienia pomocy niewinnym stworzeniom była dla Lawrence'a bardzo ważnym listem uwierzytelniającym i Caroline miała nadzieję, że nic więcej o niej nie wie. A jeśli ludzie, którym nie powiodły się usiłowania, by skłonić go do ubiegania się o urząd publiczny, wspomnieli jej nazwisko? Jeśli błagali, aby porozmawiał z Caroline Hawthorne, zanim podejmie ostateczną decyzję?

- Nazywam się Hawthorne. - Te słowa wzbudziły jego zainteresowanie, nie czujność. Czując, jak ogarnia ją ulga, dorzuciła jeszcze - Moim dziadkiem był Alistair Hawthorne.

Caroline wymówiła nazwisko dziadka z pełną miłości dumą. Alistair Hawthorne był niezwykłym człowiekiem. Sierota, bez grosza przy duszy, stworzył stoczniove imperium i poświęcił znaczną część dojrzałego wieku na dzielenie się bogactwami ze społeczeństwem - jako mecenas sztuki i orędownik godnych szacunku celów. Był legendą Seattle, człowiekiem szanowanym, którego wspaniałomyślność została unieśmiertelniona nie tylko w budynkach, muzeach i parkach tego miasta, lecz również w jego firmie. Chociaż Stocznia Hawthorne'a została już dawno sprzedana, zachowano zarówno dawną nazwę, jak i zasadę lojalności względem pracowników.

- Czy to znaczy, że pochodzisz ze Seattle?

- Nie. Urodziłam się w Egipcie - odparła z uśmiechem Caroline. - Mój ojciec był archeologiem. Nie amatorem, ale prawdziwym uczonym, ogarniętym żądzą podróżowania. Spędziłam dzieciństwo na wędrownkach z rodzicami po całym świecie, od wykopaliska do wykopaliska, od jednego skarbu do drugiego.

- Lubiłaś to.

- O, tak. Każdy dzień był przygodą. Moi rodzice byli niepoprawnymi romantykami. Każde nowe wykopalisko uważali za coś fantastycznego. Poza

57

tym wszystko było jak w bajce, bo gdy nie sypialiśmy w namiotach na terenie wykopalisk gdzieś na końcu świata, bywaliśmy gośćmi w pałacach książąt i królów. Mój ojciec zyskał sobie taki sam szacunek w środowisku akademickim, jak dziadek w biznesie.

- Czy twój dziadek nie pragnął, by syn poszedł w jego ślady?

- Jeśli nawet tak, to o tym nie wiem. Sądzę, że dziadek był naprawdę, dumny z taty, zadowolony, że jego majątek może pomóc w sfinansowaniu kilku, jak się okazało, bardzo ważnych odkryć.

- A twoja matka?

Caroline pochylała kasztanową główkę oświetloną blaskiem księżyca. Czuła się zażenowana bogactwem swojej rodziny.

- Moja matka była z domu Raleigh. Jedyńca jednej z najznakomitszych rodzin w Seattle. Ale stała się podróżnikiem z prawdziwego zdarzenia.. Zawijała rękawy i kopała ze wszystkimi. Bardzo kochała tatę.

- A oni oboje bardzo kochali ciebie.

Caroline popatrzyła z namysłem na Lawrencea, którego siłą napędową w życiu była miłość do córki.

- Tak, bardzo.

"Tworzyliśmy świetny zespół" - pomyślała Caroline, ale nic nie powiedziała. Z telewizyjnego programu dowiedziała się, że Lawrence, Claire i Holly też kiedyś stanowili radosną, kochającą się rodzinę.

- Caroline - spytał Lawrence, widząc jej nagły smutek - czy coś się stało twoim rodzicom?

- Tak - odparła. Smutek, który zauważył Lawrence, wywołany był myślą jego, a nie jej rodzinie. Teraz głos Caroline spowaźniał, gdy wspominała swoją stratę. - Wszyscy troje... rodzice i dziadek... zginęli w katastrofie samolotu nad Afryką Zachodnią. Była mgła i nie należało lądować...

- A ty gdzie byłaś?

- W Nowym Jorku, studiowałam w Yassar. Moja edukacja w zakresie szkoły średniej była bardzo nietypowa, ale wszechstronna dzięki programowi korespondencyjnemu, opracowanemu specjalnie dla mnie w szwajcarskiej szkole prywatnej. Kiedy skończyłam osiemnaście lat, podjęliśmy całą rodziną decyzję, że powinnam pójść do collegeu. Wiedzieliśmy, że będzie to smutne rozstanie, ale...

- Nadeszła pora na twoją własną przygodę?

- Tak. - Caroline zaśmiała się cicho. - I to naprawdę była przygoda. Ponieważ całe życie spędziłam w towarzystwie dorosłych, samo przebywanie z dziewczętami w moim wieku było czymś nowym i niezwykłym.

- A spotkanie chłopców w tym samym wieku?

- Przeróżające. Nawet po trzech latach spędzonych w Yassar byłam wciąż bardzo naiwną dwudziestoletnią dziewczyną, a kiedy zginęli rodzice

58

i dziadek, nagle stałam się nieprawdopodobnie bogata. - Krzywy uśmiech przemknął po jej ustach. - I wtedy pojawił się Grant Gannon.

- Czarny charakter?

- Tak... sprytnie przebrany za błędnego rycerza. Starszy ode mnie o pięć lat, był już robiącym karierę maklerem. Od sześciu miesięcy umawiał się z moją współlokatorką z Yassar, ale jak tylko stałam się dziedziczką, skupił na mnie całkowitą i niepodzielną uwagę. Twierdził, że nie może już dłużej udawać, że pragnie mojej koleżanki, skoro stracił dla mnie głowę od pierwszej chwili, gdy mnie ujrzał. Patrząc wstecz, nie mam wątpliwości co do tej chronologii i jego planów, ale w owym czasie byłam strasznie łatwowierna, niesamowicie ufna. Grant był starszy i ogromnie czarujący, a ja - smutna, samotna i nieszczęśliwa.

Caroline urwała gwałtownie. Oto opowiada Lawrenceowi historię zdrady, swoje przeżycia ze starszym mężczyzną, który uwiódł ją jej kolosalnego majątku. Grant Gannon był draniem, ale jego egoistyczna chciwość to błahostka w porównaniu z podłością Dereka Burkea, człowieka, który z zimną krwią postrzelił swego kolegę, i sądząc, że nie żyje, zostawił go w dżungli, a potem oczarował nieszczęśliwą i samotną żonę Lawrencea opowiadaniem o wielkiej przyjaźni z jej ukochanym mężem.

- Caroline - odezwał się łagodnie Lawrence. Choć od bardzo dawna nie czuł strachu, nagle zaczął się bać, że Caroline nic już nie powie, nie spojrzy na niego.

Gdy podniosła na niego szmaragdowe oczy, dojrzała jego mroczne, spojrzenie. Odezwała się cicho:

- To, co mi się przydarzyło, małżeństwo z mężczyzną, któremu zależało tylko na moich pieniądzech i pozycji społecznej, jest banalną historią, niemądrym wyborem, dokonany przez naiwną dziewczynę, niewartym, by o nim mówić.

- Masz na myśli... w porównaniu z tym, co spotkało Claire?

-Tak.

- Nie. Zdrada jest zdradą, Caroline. Strata jest stratą. Dlatego nie myśl, iż to, co mnie się przytrafiło, jest gorsze od tego, co spotkało ciebie.

Pod każdym względem to, co spotkało Lawrencea, było o wiele gorsze. Ale Caroline zrozumiała jego cichą, lecz gorącą prośbę. Chciał wysłuchać opowiadania o innej udręce, pomóc, jeśli będzie w stanie - żeby nie być tak wiecznie osamotnionym dlatego tylko, że niewiele tragedii mogło się równać z jego własną.

Historia Lawrencea Elliotta była niezwykła, nie miała sobie równych. I sam Lawrence Elliott był nadzwyczajnym człowiekiem. Ale teraz chciał zostać zwykłym, pełnym współczucia słuchaczem, nikim więcej.

Czy od czasu powrotu z wojny ktoś dzielił się swymi problemami z Lawrenceem? Z jakiegoś powodu Caroline wątpiła w to i schlebiała jej, że on wyciąga do niej rękę.

59

Schlebiała... a gdy z jego ciemnozielonych oczu znikły cienie i zobaczyła z zapierającą dech jasnością, jak bardzo potrzebował tego, by z nim rozmawiała, jak pragnął, by to zrobiła, odczuła niebezpieczny przypływ pragnienia i pożądania.

- Opowiedz mi, Caroline - szepnął Lawrence. - Opowiedz mi, jak przeżywałaś to, co ci zrobił.



Caroline nigdy wcześniej nikomu o tym nie mówiła. Sama poradziła sobie z bolesnymi emocjami, wykorzystując głęboko ukrytą siłę, dzięki czemu poczuła się lepiej i mogła marzyć, że znowu stanie się szczęśliwa.

Teraz wyznała temu mężczyźnie, wiedzącemu wszystko o wewnętrznych zmaganiach i wewnętrznej sile:

- Nie rozumiałam, dlaczego troskliwość i urok Granta natychmiast znikły po naszym ślubie. Ciągle starałam się zrozumieć, co złego zrobiłam, i próbowałam odzyskać miłość, w którą wierzyłam, choć oczywiście była tylko grą pozorów.

- To musiało być dla ciebie bardzo trudne.

- Oczywiście - potwierdziła Caroline, ale natychmiast pomyślała, że w najmniejszym stopniu nie tak trudne, jak to, co on przeżył, co wciąż przeżywa. Powstrzymało ją to przed dalszym opowiadaniem banalnej historii zdrady. Jednak Lawrence zdawał się czytać w jej myślach i jego ciemne oczy kazały jej mówić dalej. Był to łagodny, lecz stanowczy rozkaz, nie miała więc wyjścia, musiała się mu podporządkować. - Małżeństwo trwało siedem lat, choć mogło trwać wiecznie. Byłam zdecydowana zrobić absolutnie wszystko, aby się udało, a on czuł się całkiem zadowolony z tego, jak się sprawy mają. Jednak pewnego dnia zadzwoniła do mnie niezadowolona kochanka... jedna z wielu, jak się okazało... by uraczyć mnie gorzką prawdą o moim mężu. Byłam wstrząśnięta, ale poczułam też ulgę, że w końcu znam odpowiedź. To umożliwiło mi działanie. Zapobiegłam dalszym stratom i zaczęłam nowe życie. Uzyskałam szybko rozwód i przeniosłam się z Nowego Jorku do Seattle, gdzie często wpadaliśmy z rodzicami pomiędzy ekspedycjami, aby przegrupować szyki i opracować nowe plany. Sądziłam, że pobędę tu tylko jakiś czas, zanim się pozbięram... ale upłynęło już dwanaście lat.

- Dwanaście? - powtórzył Lawrence, szybko robiąc w pamięci obliczenia. Miała dwadzieścia jeden lat, gdy wyszła za mąż, małżeństwo trwało siedem lat, od tego czasu minęło dwanaście... - Masz czterdzieści lat?

- Skończę za dwa tygodnie. - Uśmiechnęła się na widok jego zaskoczenia i poczuła dreszcz, gdy zauważyła coś jeszcze. Najwidoczniej uznał, że jest od niego o wiele młodsza... zbyt młoda? A teraz wiedział, że różnica wieku nie była aż tak wielka. Wydawało się, że ta wiadomość sprawiła mu ulgę, więcej niż ulgę. W końcu udało jej się dorzucić lekkim tonem: - Czterdziestolatka, znowu szczęśliwa i pełna optymizmu.

60

I zadowolona oraz ustabilizowana, poprawiła się w duchu. Przynajmniej było tak... zanim te uważne i życzliwe, zielone jak las oczy nie obudziły w niej niebezpiecznych i drapieżnych pragnień.

- Bo jesteś taka silna.

Dopiero po chwili Caroline uświadomiła sobie, co Lawrence miał na myśli. Że jest znowu szczęśliwa i pełna optymizmu dzięki tej wewnętrznej sile. Tak, pewnie to prawda. Jednak Lawrence powinien usłyszeć, że źródłem jej siły jest wspaniały dar, który otrzymała, przychodząc na świat.

- Wierzę, że udało mi się przetrwać różne wstrząsy dzięki temu, że byłam tak bardzo kochana jako dziecko. Miłość moich rodziców dała mi pewne i stałe wspomnienie szczęścia i nadziei. - Caroline zahałała się przez króciutką chwilę i dodała spokojnie: - Myślę, że jest to takie samo wspomnienie jak to, które ty i Claire pozostawiliście Holly.

Zmarszczył czoło z namysłem i po chwili bardzo cicho powiedział:

- Mam taką nadzieję, Caroline. Mam taką nadzieję.

Jego serce napełniało się smutnymi, a zarazem słodkimi wspomnieniami. W złocistej poświacie wiosennego księżyca Caroline zauważyła jego cierpienie.

Bezczelny złoty księżyc dodał odwagi Caroline.

- Opowiedz mi o sobie - rzekła - wszystko, od samego początku. Urodziłeś się czterdzieści kilka lat temu...

Przez kilka uderzeń serca Caroline myślała, że posunęła się za daleko, że w tym wypadku nie jest dopuszczalna ingerencja w życie prywatne. Obawiała się, że odpowie jej gniewem, a może pełną zdumienia pogardą, że ważyła się być równie arogancka, jak księżyc.

Caroline zauważyła jego zaskoczenie, na chwilę przedtem nim zaczął mówić. Dostrzegła, że dziwił się sam sobie, własnemu pragnieniu podzielenia się tym, czym nigdy wcześniej się nie dzielił.

- Urodziłem się czterdzieści osiem lat temu w Teksasie. Matka odeszła, gdy miałem pięć lat. Przez następne dziewięć lat wędrowałem z moim ojcem-kowbojem od jednego miejsca pracy do drugiego, z rodeo na rodeo. Miałem czternaście lat, gdy znalazł pracę na ranchu w Montanie. Nadeszła wiosna i ojciec nie mógł się doczekać, by ruszyć w drogę. Mnie zawsze zależało na szkole i w dodatku poznałem Claire. Zostałem więc tam i pracowałem na ranchu za jedzenie i dach nad głową. Claire i ja zamierzaliśmy wziąć ślub po skończeniu szkoły, ale ponieważ koniecznie chciała, abym zabrał ją od ojczyma, pobraliśmy się na trzy miesiące przed rozdaniem świadectw, w same walentynki.

- Została zabita w rocznicę waszego ślubu?

W telewizji szczególnie uwypuklano fakt, że tragedia wydarzyła się w dzień świętego Walentego i że pomiędzy krwawymi plamami rozrzucone

61

były krwistoczerwone róże. Czy ta ponura okoliczność, że zabójstwa popełniono w rocznicę ślubu, znana była producentom programu? Chyba nie. Gdyby tak było, z pewnością wspomniano by o tym makabrycznym zbiegu okoliczności. Lawrence zachował ten bolesny fakt dla siebie... aż do tej chwili.

- Nikt o tym nie wiedział, prawda?

- Tak.

Nagle twarz Lawrence'a spochmurniała.

- Lawrensie?

- Derek wiedział, że dzień świętego Walentego to nasza rocznica ślubu -powiedział twardym głosem Lawrence. - Gdy mnie postrzelił, zdjął mi obrączkę, odczytał głośno napis, a potem cisnął ją w dżunglę.

Caroline zastanawiała się, czy poważnie ranny młody żołnierz próbował z wysiłkiem odszukać złote kółeczko w gęstwinie tropikalnej roślinności. Czy wierząc, że zaraz umrze, zamierzał powstrzymać śmierć do chwili, gdy weźmie w dłoń ten złoty symbol miłości, nadziei, marzeń? Czy to poszukiwanie obrączki cudem utrzymywało go przy życiu?

Caroline domyśliła się, że wrogowie znaleźli Lawrence'a, zanim odnalazł obrączkę. Inaczej nosiłby ją teraz, byłby wciąż mężem Claire, poszukiwałby Holly, desperacko próbując ocalić to, co zostało z jego rodziny.

Kiedy Lawrence wreszcie się odezwał, jego głos był łagodny, znowu poruszony wspomnieniami miłości.

- Holly urodziła się w Boże Narodzenie, dziesięć i pół miesiąca po naszym ślubie. Była zaplanowanym dzieckiem. Gdy teraz o tym myślę, zdumiewam się, że Claire i ja mieliśmy dość odwagi, by założyć rodzinę.

- Ponieważ żadne z was nie miało szczęśliwego dzieciństwa? Lawrence skinął głową i Claire rozpoznała uczucie, które znowu pojawiło się w jego oczach - mroczną wściekłość.

- Derek nigdy nie tknął Holly, Caroline. Claire przeżyła taki sam koszmar ze swym ojczymem. Nigdy by na to nie pozwoliła. Może właśnie dlatego zginęła...

- Och, Lawrensie...

- Przepraszam.

- Ty przepraszasz? - powtórzyła z niedowierzaniem Caroline. - Dlaczego?

- Bo wydaje mi się, że to nie w porządku zmuszać ludzi do wysłuchiwania mojej historii - powiedział spokojnie Lawrence. Potem jeszcze spokojniej dorzucił: - Ale to moja jedyna szansa na odnalezienie córki.

Caroline pomyślała, że ludzie nie mają nic przeciwko wysłuchiwaniu tragicznych historii. Prawdę mówiąc, nawet w jakiś niezdrowy sposób to ich fascynuje.

Jak gdyby czytając w jej myślach, Lawrence wyjaśnił:

62

- Mam niewielki wpływ na to, co zechcą powiedzieć dziennikarze. Ale nigdy nie pozwoliłem, by przedstawiali Holly jako uwodzicielkę.

- Siedemnaście lat temu musiałeś stoczyć niejedną bitwę.

-Tak.

Poważny wyraz twarzy Lawrence'a powiedział jej, że bitwy wygrywał... zawsze... dla Holly.

Lawrence był pewien, że Derek nie molestował Holly, nie darował jej życia z powodu zdeprawowanej miłości, a więc...

- Caroline? O czym myślisz?

- Dlaczego oszczędził Holly? Masz jakąś teorię?

- Tak - odpowiedział głosem, w którym wyczuwało się ogromne poczucie winy. - Oszczędził ją z mojego powodu...

Chciał, by moja córka widziała tę okropność, to, co zrobił z jej bliskimi, a potem do końca życia wspominała ten koszmar. W telewizji sugerowano, że Derek mnie postrzelił, bo wyczuł, całkiem słusznie, iż podejrzewam go o przemyt narkotyków. Ale to było bardziej skomplikowane. On mnie nienawidził, Caroline, bezlitośnie, chorobliwie. Chciał, żebyśmy zostali przyjaciółmi, ale od chwili, gdyśmy się poznali, było w nim coś, co mnie niepokoiło.

- I miałeś rację.

- Tak... ale nie wiedziałem, jak bardzo jest szalony, groźny.

- Skąd mogłeś to wiedzieć? - odparła i zobaczyła milczącą odpowiedź w jego przepelnionych poczuciem winy oczach.

Lawrence najwidoczniej wierzył, że powinien był wiedzieć, pomimo swego młodego wieku, pomimo tego, że znalazł się w samym środku szaleństwa wojny. I nawet wtedy, gdy został porzucony w dżungli jako zmarły, powinien był znaleźć sposób, by uciec wcześniej i ocalić żonę i córkę przed morderczym szaleństwem Dereka. Taka była odpowiedź Lawrence'a.

- Nie mogłeś wiedzieć. Po prostu nie mogłeś.

Caroline zobaczyła, że przyjął jej słowa z wdzięcznością, ale jasne było, iż żadne takie zapewnienia nie zmażą poczucia winy, jaką odczuwał.

Podczas gdy rozmawiali, świat wokół nich zmienił się, jakby oburzony na to, co wydarzyło się dawno temu w dzień świętego Walentego. Fale, które nuciły im serenadę, huczały teraz ponuro, a od morza powiało chłodem.

Jednak księżyc wciąż świecił jasno. Nie stracił ani jednego karata ze swej złotej zuchwałości... podobnie jak Caroline.

To, co Lawrence opowiadał przed telewizyjnymi kamerami o siedmiu latach niewoli, sprawiało, że miała ochotę krzyczeć i płakać. Ale zarówno wtedy, jak i teraz czuła, że podczas programu ukazał jedynie wierzchołek przerażającej góry lodowej, tyle, by zaspokoić żądzę krwi, która przyciąga widzów do ekranu. Nie chciał ich szokować swymi przeżyciami. Chciał tylko odnaleźć swoją córkę.

Caroline zebrała się na odwagę i zapytała:

63

- Powiedziałeś w telewizji bardzo mało o tym, co naprawdę, działo się w obozie dla jeńców wojennych, prawda?

- To, co działo się ze mną w Wietnamie, jest niczym w porównaniu z tym, co przeżyła moja trzynastoletnia córka tamtej walentynkowej nocy.

Caroline skinęła z powagą głową. I czekała. Nie chciała więcej słyszeć o torturach, nie miała w sobie żądzę krwi. A

jednak, gdyby Lawrence chciał... potrzebował... mówić o tym na głos, mogłaby słuchać go wiecznie.

Jednak Lawrence Elliott milczał.

W końcu Caroline powiedziała łagodnie:

- Całkiem słusznie ten program pokazano w dzień świętego Walentego. Była to jakby walentynka, najczulsza walentynka od ciebie dla Holly.

- Dziękuję.

Caroline Hawthorne, orędowniczka spraw istotnych dla ludzkości, dziedziczka wielkiej fortuny, pożądanym gościem cesarzy, prezydentów i królów, patrzyła z namysłem na niezwyklego mężczyznę, który siedział naprzeciwko niej.

W końcu powiedziała po prostu:

- Czy mogę coś zrobić, Lawrensie? Mam znajomości i... Z jakiegoś powodu nie wspomniała o pieniądzach. Po prostu pozwoliła, by wyczytał to w jej oczach. I nie czuła się obrażony.

- Ja też mam znajomości i pieniądze, Caroline. Władze bardzo poszły mi na rękę. Na koncie Dereka pozostały po jego śmierci duże sumy. Prawdopodobnie nadal handlował narkotykami, ale skoro nie było dowodu, że te pieniądze zdobyto nielegalnie, zapadła decyzja, że mogę je wykorzystać do poszukiwań Holly. Wydałem na ten cel majątek... a jeszcze sporo zostało. -Lawrence zmarszczył brwi. - Ciągłe mi się zdaje, że pominąłem jakąś istotną wskazówkę. Dawałem ogłoszenia w mediach, wynajmowałem prywatnych detektywów. W kartotekach policyjnych są odciski jej palców i przez ostatnie siedemnaście lat zarówno wydział ubezpieczeń społecznych, jak i urzędy paszportowe szukały podań, w których wymienionaby była metryka urodzenia jej, Claire albo przyrodniej siostry Holly, która wtedy zginęła.

- Trudno wyobrazić sobie, co mógłbyś jeszcze zrobić. Te szczerze słowa Caroline skłoniły Lawrence'a, by odsłonił więcej bolesnych prawd.

- Wiem, że są tacy, co wierzą, iż to, co się stało, było winą Holly, i że z tego powodu zdecydowała się pozostać w ukryciu. Jednak większość ludzi uważa, że ona nie żyje. - Jego zrozpaczone, ciemnozielone oczy wpatrywały się w nią nieustępliwie, gdy zapytał bardzo cicho: - A co ty sądzisz, Caroline?

- Sądzę, że ty i Claire daliście Holly fundament miłości i szczęścia. Jest to największy z darów. Nie wierzę, by choć w najmniejszym stopniu była winna temu, co się stało, ale...

64

-Ale?

Zaczerpnęła tchu, żeby się uspokoić.

- Ale bardzo trudno jest wyobrazić sobie, żeby przez te wszystkie lata nie wiedziała, że ją szukasz. Zwłaszcza na początku, po twoim powrocie z Wietnamu, wszyscy o tym mówili.

- Pamiętasz to?

- Tak. - Caroline pamiętała nagłówki. Trudno ich było nie widzieć. Ale tak zajmowały ją własne problemy... pozbawione miłości małżeństwo... że nie zagłębiała się w makabryczne szczegóły.

- A więc - powiedział powoli Lawrence - sądzisz, że Holly nie żyje.

- Ja... - Pomyślała ze skrucą, że tak właśnie uważa. Patrzyła mu w oczy i była pewna, że czyta w jej myślach. Ale zareagował łagodnie, nie gniewem. Lawrence Elliott był człowiekiem, który nie uważał szczerości za zdradę, a także potrafił znieść prawdę. Przeciwnie zniósł prawdy najbardziej przerażające i nie załamał się. - A co ty sądzisz, Lawrensie?

- Ja nie sądzę, ja po prostu czuję. Czuję, że ona żyje. - Przerwał, zastanawiając się przez chwilę, zanim dorzucił. - Podobnie jak niegdyś ja jest w jakimś więzieniu, z dala od świata. - Urwał gwałtownie. - Pewnie myślisz, że oszalałem.

-Nie. - Caroline pomyślała, że Lawrence jest cudowny. Powiedziałyby to głośno, gdyby nie zobaczyła jego zdumienia świadczącego, że właściwie odczytał jej śmiałą myśl.

Kilka godzin temu Caroline uznała, że prawdopodobnie niczym nie da się zaskoczyć Lawrence'a Elliotta. A teraz właśnie tego dokonała. I zauważyła na jego twarzy słabiutki cień uśmiechu. Był to uśmiech olśniewający, trochę niepewny, całkiem bezwiednie seksowny...

Po chwili uśmiech znikł. Ale kiedy Lawrence znowu się odezwał, łagodność w jego pełnym powagi głosie sprawiła, że jej serce zaczęło walić.

- Jest coś jeszcze. Zanim wróciłem z Wietnamu, wszystko, co było w domu, policja zapakowała w pudła. Jedno z nich zawierało album z robionymi przez Claire zdjęciami, przedstawiającymi naszą rodzinę, gdy byliśmy jeszcze razem.

Znikło pięć fotografii wyjętych z albumu.

- Myślisz, że Holly wzięła zdjęcia ze sobą?

- Tak i sądzę również, że zabrała suknię ślubną Claire. Holly nie miała powodu wierzyć, że wciąż żyję, ale nie było nikogo na świecie, dla kogo ten album mógł mieć jakieś znaczenie. Jak gdyby zostawiła go dla mnie, żebym wiedział, iż zachowała te cudowne wspomnienia.

- Ona nie zapomniała - potwierdziła szybko Caroline. I w chwili, gdy wypowiadała to zapewnienie, uświadomiła sobie, co stało się z otaczającym ich, zalany księżycowym blaskiem światem. Fale znowu złagodniały i zaczęły śpiewać, pieszczotliwa bryza odzyskała swoje balsamiczne ciepło, a promienie

65

księżycy zatańczyły na śnieżnobiałym piasku. Po chwili pełnej szacunku ciszy Caroline dodała miękko: - Ona nie zapomniała, Lawrensie. Nie zapomniała.

Była prawie pierwsza, gdy pożegnali się przed drzwiami pokoju Caroline w motelu. Mieli zobaczyć się znowu o świcie, gdy pierwsze uratowane zwierzęta zaczną przybywać do schroniska.

Kiedy jednak Caroline zjawiała się w szkole, jeszcze przed większością ochotników, powitała ją wieść, że Lawrence wyjechał. Poleciał helikopterem na jedną z łodzi służby ochrony wybrzeża. Miał spędzić cały dzień na jej pokładzie, zajmując się zwierzętami, które były w tak złym stanie, że bez natychmiastowej pomocy nie przeżyłyby podróży do Moclips ani do Neah Bay.

Caroline próbowała ukryć rozczarowanie. Tym lepiej, że tak się stało. W złocistej czarodziejskiej poświacie zuchwałego wiosennego księżycy ona i Lawrence Elliott bez wątpienia powiedzieli sobie wszystko, co było do powiedzenia.

8

Brentwood, Kalifornia Poniedziałek, 20 marca

O siódmej trzydzieści Nick podjechał swoją wypełnioną różami ciężarówką pod domek Raven w Brentwood. Dziesięć minut później przyjechał samochód ze szkółki w Santa Monica, przywożąc jeszcze więcej róż i krzaki bzu. O ósmej dziesięć rośliny z obu ciężarówek zostały już wyładowane i samochód szkółki odjechał z turkotem.

Raven nie wyszła przywitać się z Nickiem, gdy przyjechał. Musiała załatwić jeszcze jeden telefon. Jednak nim zatelefonowała, długo i z namysłem wpatrywała się we wspaniałe kwitnące kwiaty, rozrzucone po szmaragdowym trawniku.

Jakby ktoś przysłał jej pachnący żywy obraz. Jednak Raven upominała się surowo, że to ona sama przysłała sobie ten piękny, pastelowy bukiet i jest to najbardziej romantyczny kwiatowy prezent, jaki kiedykolwiek otrzymała.

66

Raven dostawała kwiaty od trzynastego roku życia, kiedy to na jej szkolnej ławce pojawiła się czarna orchidea. Było to następnego dnia po tym, jak straciła... oddała... dziewictwo Blaneowi Calhounowi. Jej młode serce napełniło się nadzieją, gdy zobaczyła rzadki i egzotyczny kwiat. Z pewnością był to symbol tego, jak ją widział Blane: jako rzadki, egzotyczny czarnowłosy kwiat, który specjalnie dla niego rozwinął się z dziewczynki w kobietę.

Ale czarne kwiaty pojawiały się wielokrotnie w ciągu następnych lat, za każdym razem, gdy oddała się jakiemuś bogatemu chłopakowi. Były po prostu nagrobkami nadziei, symbolami wstydu i śmierci, nie romantycznych uczuć i miłości. Nigdy nie dowiedziała się, czy kruczoczarne orchidee przysyłali jej namiętni z początku, a potem okrutni kochankowie, czy ich okrutne i złośliwe dziewczyny. Ale pomimo ogromnego bólu, który czuła za każdym razem, gdy pojawiał się na jej szkolnej ławce kolejny dowód zdrady, Raven zawsze przypinała kwiat do bluzki i nosiła go dumnie, tak jak z dumą nosiłaby bukiet na tańcach, na które nigdy jej nie zapraszano.

Czarne orchidee, posyłane kilkunastoletniej Raven przez bogatych chłopaków i dziewczęta, z którymi chodziła do jednej klasy w Meadow Academy, były jedynymi kwiatami, jakie miała w życiu otrzymać. Później, gdy dorosła i stała się przedmiotem niemal obsesyjnego pożądania bogatych i potężnych mężczyzn, obrzucano ją lśniącymi klejnotami, nie delikatnymi bukietami. Kwiaty znaczyłyby dla niej o wiele więcej. Ale coś w niej musiało wysłać sygnał, że nie jest "kwiatowym" typem. Bo bardziej przypominała brylant niż różę. Iskrzący się lód niż miękka, kruchą piękność.

Żaden mężczyzna nie przysłał jej dotąd róż. Nie, to nieprawda. Jason Cole przysłał jej dwa tuziny kremowych róż w podziękowaniu za wynegocjowaną przez nią umowę z Gold Star na cztery filmy.

A teraz spiskowała przeciwko jednemu mężczyźnie na ziemi, który uznał, że godna jest róż. Nie, nie spiskowała, powiedziała sobie Raven, idąc zdecydowanym krokiem w kierunku telefonu. Miała po prostu pomóc Lauren Sinclair w uświadomieniu Jasonowi ważnej prawdy - że Dary miłości będą o wiele lepszym filmem, jeśli zachowane zostanie zakończenie szczęśliwe, jak w książce.

Raven była tak poruszona powieścią, że kupiła wszystkie książki Lauren, które mogła znaleźć. Przeczytała już dwie z nich, a choć wątki były inne, znalazła w nich to samo pełne nadziei przesłanie, cudowną obietnicę: gdy odsłonięte zostaną wszystkie wstydlive sekrety, przegnane wszystkie mroczne cienie, odrzucone maski i przebrania, możemy być kochani za to, kim jesteśmy.

Z każdym przeczytanym słowem Raven czuła się bliższa znakomitej autorce i jeszcze bardziej dziwiło ją wspomnienie głosu, który był cichy, taki niepewny. Biorąc pod uwagę wspaniałe przesłanie nadziei i miłości, typowe dla książek Lauren Sinclair, jej głos powinien być kipieć szczęściem i radością.

67

Wybierając numer do Kodiaku, miała nadzieję, że autorka powita ją z radością.

Już po pierwszym sygnale usłyszała jej niepewny, jakby zaskoczony głos.

- Tu Raven Winter. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

- Nie. Pracuję już od kilku godzin.

- To dobrze. Po naszej ostatniej rozmowie dowiedziałam się od Barbary Randall, że Lauren Sinclair to pseudonim, a naprawdę nazywasz się Marilyn Pierce. Nie była pewna, którego nazwiska wolisz używać.

- To naprawdę nie ma znaczenia... - wyszeptwała Holly z roztargnieniem. - Czy coś się stało, Raven?

- Nie, absolutnie nic. Dzwonię tylko, by porozmawiać o twoich planach na przyszły tydzień, zaproponować, że przyjadę po ciebie na lotnisko i pokażę ci Los Angeles, jeśli zechcesz.

- To bardzo miło z twojej strony.

- Czy znasz godzinę przylotu?

- Nie. - To było konieczne kłamstwo. Holly czuła wdzięczność do Raven za tę propozycję, ale wiedziała, że musi skupić całą energię na przygotowaniu do spotkania z Jasonem Coleem. Musi zmobilizować całą wewnętrzną siłę i odwagę. - Nie jestem całkiem pewna, w każdym razie w niedzielę wieczorem. Poradzę sobie.

- Jesteś pewna? - spytała Raven, czując mimo wszystko niepokój, gdyż i tym razem usłyszała lęk w odległym głosie. - A może wpadnę po ciebie rano w poniedziałek? Wiesz, gdzie się zatrzymasz?

- Nie, jeszcze nie... i dziękuję. Mam przyjaciół... znajomych w Los Angeles. Może zatrzymam się u nich albo w hotelu. Wiem, że to spotkanie ma się odbyć za tydzień i pewnie się zdziwisz, że nie jestem jeszcze przygotowana. - Holly rzuciła okiem na kupione już bilety lotnicze, na mapy i przewodniki po Los Angeles leżące na podłodze. Była całkowicie przygotowana. Przyleci do Los Angeles w sobotę wieczorem. Po raz pierwszy w życiu weźmie taksówkę - z lotniska do hotelu Bel Air. Opisy domków w ogrodzie z widokiem na stawy z łabędziami brzmiały wprost idyllicznie, a położenie hotelu wydawało się idealne. Zgodnie z jej starannymi obliczeniami odległość do studia Gold Star mieszczącego się w bloku na South Sepulveda, w zachodniej części Los Angeles, wynosiła tylko pięć kilometrów. Gdy dzwoniła do hotelu, zapewniono ją, że zawsze czekają tu taksówki, są także limuzyny, a jedne i drugie można zamówić wcześniej. -Zaraz wszystkim się zajmę i w południe, za tydzień, będę w biurze Jasona Colea.

- Mój numer domowy i biurowy są w książce telefonicznej, więc w razie czego, nie wahaj się i dzwoń. Dobrze?

- Tak. Dziękuję ci.

68

Raven powinna się była już pożegnać, ale musiała jeszcze przekazać swoje własne przesłanie nadziei.

- Chcę, byś wiedziała, że przeczytałam Dary miłości. To naprawdę wspaniała książka i całkowicie zgadzam się z tobą, że nie powinno się zmieniać zakończenia.

- Powiesz to Jasonowi?

- Oczywiście, że tak - obiecała Raven. - Obie to zrobimy.

Pożegnawszy się z Lauren Sinclair, Raven musiała stawić czoło konsekwencjom właśnie zakończonej rozmowy. Tak więc nie spędzi weekendu z tą utalentowaną autorką, a to znaczy, że mogłaby nie odwoływać wyprawy do Chicago. Nadal miała zarezerwowany apartament w hotelu "Fairmont". Ale nie było Michaela, nie było nikogo, chyba że...

- Dzień dobry.

- Dzień dobry - powtórzył jak echo Nick, wstając i odwracając się od białoróżowej wspaniałej Garden Party, by spojrzeć na pięknie zaróżowione policzki Raven. Jej czarne jak noc włosy były związane w nieco przekrzywiony koński ogon, a do luźnego, szkarłatnego swetra z grubej bawełnianej włóczki włożyła tanie, spłowiałe, workowate dzinsy. Jego stalowoszare oczy rozbliły aprobatą. - Jednak zdecydowałaś się na wagary.

-Tak.

Gdy wrzuciła ramionami, Nick zauważył niepewność w jej szafirowych oczach.

- Cieszę się - powiedział. - Jak tam twoje ręce?

- O wiele lepiej, dziękuję. - Raven pozwoliła, by obejrzał pozbawione już bandaży, wyraźnie gojące się dłonie.

- Lepiej - zgodził się Nick. - Teraz bez trudu możesz pokazywać mi, gdzie mam zasadzić wybraną różę lub bez. -

Zobaczył błysk niepokoju w jej oczach, jak gdyby nie czuła się dobrze w roli wielkiej księżnej, i zapewnił ją miękko. - To twoje zadanie na dziś, Raven. Ty decydujesz, ja sadzę.

- Dziś mogę już sama zaparzyć i nalać kawy. Miałbyś ochotę się napić?

- Pewnie. A tak na marginesie: podobają mi się twoje dzinsy.

- Dziękuję. Mnie też. Mam je od czasów gimnazjum. - To była okazja do swobodnego przejścia do rzeczy. Wystarczyło tylko powiedzieć: a jeśli już mowa o gimnazjum...

Jednak Raven pomyślała, że poprosi go o to później.

Dopiero dużo później, gdy wszystkie rośliny zostały zasadzone w ciemnej żyznej ziemi, a jej dom otoczyła zapierająca dech obfitość kolorów i zapachów,

69

zebrała odwagę, by zwrócić się do niego z prośbą. Musiała zdobyć się na odwagę teraz, bo za chwilę Nick odejdzie na zawsze.

Raven przez cały dzień zastanawiała się, jak go poprosić o tę przysługę, ale powiedziała coś całkiem innego, niż sobie poprzednio postanowiła.

- Umiesz tańczyć?

- Tańczyć?

-Tak... -zawahała się pod baczny spojrzeniem jego ciemnoszarych oczu.

-Nie gorzej niż inni. - Prawdę mówiąc, był wspaniałym tancerzem, przynajmniej tak mówiło mu wiele kobiet. Tańczył z tą samą niespieszną zmysłowością, z tym samym głębokim wycuciem rytmu, które czyniło z niego doskonałego kochanka. Nick wpatrywał się w jej zaróżowioną z niepewności uroczą twarz, obramowaną czarnymi jedwabistymi lokami. Łagodnym tonem spytał: - Zapraszasz mnie na tańce, Raven?

"Jak gdyby prosił, bym się z nim kochała" - pomyślała.

Była to oszałamiająca, zadziwiająco radosna myśl, ale natychmiast odezwał się kpiący lodowaty głos: "Skąd możesz wiedzieć? To prawda, mogłaś zauważyć płomienne pożądanie w jego stalowych oczach. I prawdopodobnie je zobaczyłaś. Ale żaden mężczyzna nigdy dotąd nie prosił cię z taką czułością, byś się z nim kochała. I nigdy żaden tego nie zrobi".

Raven odwróciła wzrok, musiała to zrobić, i utkwiała oczy w białym bie, nieskazitelnym, ażurowym i pięknym.

- Tak - przyznała. - Chyba... zapraszam cię na tańce. Nie teraz, rzecz jasna, w najbliższą sobotę.

Nick przesunął się, stając pomiędzy zaniepokojonymi błękitnymi oczami a delikatnym białym bzem. Kiedy skupiła na

nim całą uwagę, powiedział spokojnie:

- Zgadza się.

- To oficjalne przyjęcie. Wymagane są stroje wieczorowe. Będziesz musiał wypożyczyć smoking, za który, rzecz jasna, zapłacę.

Nick miał smoking, prawdę mówiąc - nawet dwa. Oba były czarne, o ponadczasowej elegancji, nienagannie skrojone.

- Sam zapłacę za wypożyczenie.

Nick powstrzymał odruch irytacji, gdy zaobserwował zaskoczenie, a potem niepokój Raven. Może się zastanawiała, czy nie wskazać mu, dokąd powinien się udać? Na przykład w której z wypożyczalni w Beverly Hills mogłaby wcześniej zostawić wyraźne wskazówki, jaki rodzaj stroju wieczorowego mają mu zaproponować.

Irytacja Nicka szybko znikła. Chciał z nią zatańczyć.

- Znajdę coś bardzo tradycyjnego... czarnego, bez żabotu.

Kiedy jej niepokój nie zniknął, Nick, zorientował się, że chodzi o coś więcej niż o troskę, czy Nick-ogrodnik wybierze odpowiedni strój na uroczyste spotkanie.

70

- O co chodzi, Raven?

- Uroczystość odbędzie się w Chicago. Ma to być bankiet z tańcami i zacznie się o ósmej wieczorem w sobotę, więc musimy wylecieć z Los Angeles wczesnym rankiem. Chciałabym złapać samolot o szóstej trzydzieści, żeby mieć pewność, iż dotrzemy na czas. - Raven przerwała, by zaczerpnąć tchu i dać mu okazję do odmowy, zanim zapędzi się zbyt daleko.

- Kiedy wracamy?

- Kiedy zechcesz. Najważniejszy jest sobotni wieczór, ale w niedzielę zaplanowano lunch. Jeśli zostaniemy na nim, to znaczy, że musimy złapać lot o czwartej, żeby być w Los Angeles około siódmej.

Nick skinął głową, jak gdyby zastanawiał się na tym, co powiedziała. W gruncie rzeczy nie było żadnych problemów z wyjazdem w tę sobotę. Dziewczęta miały pójść po południu na przyjęcie urodzinowe, a potem zamierzały nocować u przyjaciółki. A jeśli chodzi o niedzielę? Dzwoniła Deandra. Powiedziała, że pragnie zabrać dziewczynki na cały dzień, łącznie z kolacją. A to znaczyło, że może być nieobecny także w niedzielę, byle tylko znalazł się na czas w domu, by przywitać córki, kiedy wrócą po spędzeniu kilku niespokojnych godzin z matką.

Raven spostrzegła jego niepokój i zapewniła go szybko:

- Oczywiście pokryję wszystkie koszty, a ponieważ twój wyjazd na weekend oznacza, że musisz zrezygnować w te dni z pracy, też ci to wynagrodzę.

- Nie zwracaj sobie tym głowy. - Jeśli ta maskarada z Nickiem-ogrodnikiem ma trwać nadal (a było to konieczne), musiał pozwolić, by pokryła jego wydatki. Ale nie chciał pozwolić, by zapłaciła więcej. - Z łatwością nadgonię zaległości.

- Tak, ale poczuję się lepiej, jeśli to pokryję - odparowała spokojnie. - Naprawdę.

- Dobrze - zgodził się Nick z równym spokojem.

To brak pewności siebie Raven sprawił, że uległ jej prośbie bez dalszych protestów. Wiedział, że bez wątpienia była o wiele silniejsza i śmielsza, gdy prowadziła pertraktacje w sprawie wielomilionowych umów.

To życzenie wypowiedział nie Biały Rekin, lecz Śnieżka, pełna niepewności.

Zanim Nick odezwał się znowu, pomyślał przez chwilę o układzie, na który właśnie się zgodził. Najwidoczniej wyprawa do Chicago była dla niej bardzo ważna. I najwidoczniej - całkiem słusznie - uznała, że będzie wyglądał całkiem znośnie w smokingu.

Więc on, Nicholas Gault, został wynajęty z powodu swej aparycji, ponieważ będzie stanowił olśniewającą eskortę olśniewająco pięknej kobiety, która za tę usługę zamierzała płacić jemu, obcemu człowiekowi, bo nie miała do kogo się zwrócić.

71

- Jak to okazja, Raven?

- Piętnasta rocznica ukończenia szkoły.

- Byłaś też na obchodach dziesięciolecia?

-Nie. Nie widziałam nikogo ze swojej klasy od czasu rozdania świadectw.

Z jakiegoś powodu czuła potrzebę, by ich teraz zobaczyć, po tych wszystkich latach, a nie miała dość pewności siebie, aby pójść tam sama. Skoro Michael Andrews nie był już nią zainteresowany, wybrała jego, ponieważ wiedziała, że w czarnym jedwabnym smokingu będzie wyglądał na eleganckiego, zamożnego człowieka sukcesu. Czy to jedyny powód, dla którego go zaprosiła? Dla pozoru?

- Będziemy mieli wspólny pokój w hotelu?

- Apartament z dwiema sypialniami.

- Myślę, że lepiej będzie, jeśli powiesz mi, za kogo mam uchodzić.

Nick przypuszczał, że Raven będzie miała już gotową odpowiedź. Może zaproponuje mu, aby podawał się za tego, kim w gruncie rzeczy był: za specjalistę w dziedzinie architektury terenów zielonych, który stworzył kilka największych na świecie ogrodów.

Jednak Raven nie miała przygotowanej odpowiedzi. Nie napisała jeszcze dla niego roli, którą mógłby ćwiczyć do perfekcji.

Gdy wreszcie się odezwała, pełne wahania słowa zdumiały go.

- Gdybyś mógł... chciałabym, abyś udawał, że coś do mnie czujesz.

- Że jesteśmy kochankami?

- Tak.

- Dobrze - powiedział Nick do kobiety, która zdawała się wierzyć, że właśnie wyraziła prośbę nie do spełnienia, i powtórzył bardzo cicho, bardzo łagodnie: - Dobrze, Raven, mogę to zrobić.

Nick cieszył się na myśl o ich podróży do Chicago, o rozmowach tłumionych dźwiękiem silników, kiedy można się rozweselić bezpłatnym szampanem, obficie płynącym w kabinie pierwszej klasy.

Jednak od chwili, gdy DC-10 oderwał się od płyty lotniska w Los Angeles, Raven była jakaś nieobecna. I nie chodziło tylko o to, że zagłębiła się w romansie Lauren Sinclair łyli długo i szczęśliwie, który trzymała w białych, już wygojonych dłoniach. Wpatrywała się w jedną i tę samą stronę od

72

chwili startu, a z udręki, którą zauważył Nick, wyraźnie było widać, że jej myśli nie mają nic wspólnego z pełną nadziei opowieścią o miłości.

Raven znajdowała się w całkiem innym miejscu, realnym, a nie fikcyjnym świecie beznadziejności i rozpacz. A choć Nick nie chciał, aby tam była, nie chciał widzieć smutku na jej pięknej twarzy, nic na to nie mógł poradzić.

Z jakiegoś powodu Raven Winter czuła potrzebę, by podjąć tę najwyraźniej wcale nie sentymentalną podróż do przeszłości.

Czy potrzebowała do tej podróży towarzysza? Nick uznał, że nie. A przynajmniej nie potrzebowała jego. Raven dała mu to jasno do zrozumienia pół godziny temu, gdy zadał ostrożnie pytanie, które mogło mu umożliwić wgląd jej przeszłość. Wskazując wytłaczane złotem inicjały na jej portmonetce -RWW - spytał:

- Co oznacza to środkowe "W"?

Jej pierwszą reakcją było zmarszczenie brwi i Nick uświadomił sobie, że spytał o coś, czego zazwyczaj nie wyjawiała. "Powiedz mi - rozkazywał jej w myślach. - Zaufaj mi".

Raven spełniła tylko częściowo jego rozkaz. Odpowiedziała mu, ale to ciche wyznanie świadczyło o bólu i rezygnacji, a nie o zaufaniu.

- "W" oznacza Willow.

- Czy to rodzinne imię?

- Nie - stwierdziła, zanim zamknęła się w sobie. - Po prostu imię.

Zanim jeszcze dowiedziała się, skąd się biorą dzieci, matka opowiedziała jej o magicznej scenerii, w jakiej została poczęta: na wiosennej łące gdzieś w odległym zakątku stanu Nowy Jork, pod wielką wierzbą, gdy w górze, na tle jaskrawobłękitnego nieba, szybował kruk. Dlatego właśnie nadano jej te imiona - Raven Willow - oznaczające kruka i wierzbę.

Jako mała dziewczynka Raven uwielbiała tę historię, w tajemniczy sposób opowiadaną przez Sheilę Winter. Jako mała dziewczynka uwielbiała być Raven Winter. Ale w miarę jak dorastała, imiona, które kiedyś wydawały się takie czarujące, zaczęły być wykorzystywane przeciwko niej jako okrutne szyderstwa okrutnych dzieci.

Kruki to takie niesamowite ptaki, kpiły z nieukrywaną pogardą. Czarne, paskudne ptaki śmierci. A wierzyby też są brzydkie, takie omdlewające. Gdyby ich rodzice dali im takie straszne imiona - ptak śmierci i żałobne drzewo - płakałyby bez końca.

- Płacz, Wierzbo! - żądały okrutne dzieciaki z radością. - Zapłacz dla nas, Ścierwniku, płacz, płacz!

Te bezlitosne kpiny wyciskały łzy z oczu Raven. Ale ukrywała je przed koleżankami z klasy, a także przed matką.

73

Im Raven była starsza, tym mniej wyraźne stawały się wspomnienia matki o tym, jak poczęta została jej córka, i o wiele mniej czarujące. Może i była kiedyś wiosenna łąka i wierzba, możliwe też, że kruk, czarny jak jej włosy, unosił się na tle nieba koloru jej oczu. Ale możliwe, że cały ten wizerunek był tylko halucynacją, wspaniałym żywym obrazem, wytworzonym w umyśle Sheili Winter przez LSD, które zażywała niemal codziennie przez całą ciążę.

Raven Winter była dzieckiem kwasu. To i tylko to było pewne. Była to prawda, której nie kwestionowała. Nie miała wątpliwości, że na bardzo wczesnym etapie jej życia ostry i żrący kwas zdołał przedostać się do jej wnętrza.

Kwas ten palił strasznie. Niszczył w niej najdelikatniejsze i najwrażliwsze miejsca, pozostawiając blizny i sprawiając, że to, co powinno być młode i pełne nadziei, stawało się stare i jałowe. W końcu nad najbardziej spustoszonymi rejonami utworzyły się grube warstwy lodu. Raven powitałaby z radością chłód lodu i odrętwienie, ale lód nie zdławił buzujących pod spodem płomieni. I wciąż był tam kwas, nadal parzący, nadal palący, wżerający się coraz głębiej w jej mocno poranione serce.

Głęboko we wnętrzu dziecka kwasu płonął wciąż ognisty ból... choć świat widział tylko ascetyczną oziębłość lodu.

Raven była dzieckiem kwasu, a Sheila dzieckiem-kwiatem, i pomimo że czasem, gdy była w odpowiednim nastroju, potrafiła wyczarować barwny obraz drzewa i kruka, nie zachowała w pamięci - ani nawet nie próbowała wytworzyć - podobizny jej ojca. Więc Raven wykreowała swoje własne wyobrażenie.

Przestudiowawszy dokładnie historię plemion indiańskich w stanie Nowy Jork, uznała, że jej ojciec był Irokezem, dumnym, szlachetnym i dzielnym. To on zachwycał się wspaniałością wierzyby, kruka i nieba. To on nadał jej zaczarowane imię. Także po nim Raven odziedziczyła kruczoczarne włosy, wydatne kości policzkowe i wielki szacunek dla przyrody.

A jej śnieżnobiała skóra? To właśnie z tego powodu zmuszona była w końcu odrzucić cudowny mit, że jest w części

Irokezką. Bez wątpienia jej prawdziwy ojciec, jak i inni kochankowie matki, miał niezdrową bladą cerę z powodu bezsensownego życia pełnego seksu i narkotyków.

Kiedy Raven miała dziewięć lat, wraz z matką i jej ostatnim kochankiem przeniosła się z Nowego Jorku do Chicago. Kochanek ulotnił się szybko, jak wszyscy mężczyźni Sheili, ale przedtem Sheila usłyszała o lśniącym Złotym Wybrzeżu jeziora Michigan i o możliwości pracy w majestatycznych rezydencjach położonych nad jeziorem, na północ od miasta.

Z początku Sheila pracowała jako pokojówka, sprząając w wielu domach i rozglądając się za lepszą, lżejszą pracą. Kiedy nadarzyła się taka

74

wspaniała okazja, szybko z niej skorzystała. Kucharka z posiadłości Thornwood przechodziła na emeryturę i wyjeżdżała na Florydę, zwalniając w ten sposób nie tylko cudowną pracę, lecz także stróżówkę.

Sheila podała się za znakomitą kucharkę, sprytnie ukrywając brak doświadczenia, ponieważ odchodząca kucharka pokazała jej, jak ma przygotowywać ulubione potrawy rodziny Wainwright. Podszkoliła ona zarówno matkę, jak i córkę. Teraz Sheila odkryła, jaki pożytek może mieć ze swego milczącego i uciążliwego dziecka. Fotograficzna pamięć Raven zarejestrowała wszystkie pouczenia kucharki. To Raven, nie Sheila przygotowywała posiłki, zarówno te dawne, ulubione, jak i stale rozszerzając repertuar potraw godnych podniebienia smakosza, które poznawała, studiując książki kucharskie. Podstęp udał się w znacznej mierze dzięki temu, że była tam też inna służba, odziana w świeże białe-czarne uniformy, która podawała do stołu.

Raven nie miała nic przeciwko gotowaniu. Dzięki temu czuła się potrzebna. ... choć trochę potrzebna matce, która nigdy wcześniej jej nie potrzebowała. I mogły mieszkać w tak wspaniałym miejscu. Stróżówka w Thornwood wydawała się Raven pałacem, położona była w zacisznym zakątku malowniczego terenu, który ciągnął się niczym pluszowy dywan w kierunku migotliwego szafirowego jeziora. W parku rosły olbrzymie majestatyczne wierzby.

A samo Lake Meadow, mała, położona na północnym brzegu jeziora wioska, która miała być ich nowym domem, okazała się pełna uroku. Toczyło się tu typowo prowincjonalne życie, a bogaci mieszkańcy znani byli z dobrego serca. I żyłaby tu z matką spokojnie, gdyby nie to, że była tak zdolna. Kiedy kierownik szkoły publicznej, do której chodziła w Chicago, dowiedział się o jej przenosinach do Lake Meadow, natychmiast zadzwonił do dyrektora Meadow Academy. Jeśli ta mała, prywatna szkoła chciała się wywiązać z dalszego zobowiązania, że zapewni doskonałe warunki edukacji jakiemś zdolnemu, ale niezamożnemu dziecku, to teraz miała do tego okazję... I to Raven Winter była tym dzieckiem. Raven została stypendystką w "the Meadow". Jednak bogate, uprzywilejowane koleżanki nie przyjęły jej dobrze. Na czele okrutnej i bezlitosnej krucjaty przeciwko niej stała Victoria Wainwright, która mieszkała z rodzicami w Thornwood i dla której Raven przygotowywała codziennie wyszukane posiłki. Być może rozpuszczona spadkobierczyni rodu jakimś szóstym zmysłem wyczuwała, że pewnego dnia naprawdę będzie miała powód do nienawiści.

Ponieważ Victoria rządziła klasą, a przynajmniej jej żeńską w swej zapamiętałej kampanii przeciwko Raven miała cały orszak

75

podziwu i pomocnych przyjaciółek. To więcej niż bezczelność ze strony nieślubnej córki służącej, że przypuszcza, iż może się między nie w mieszać, oznajmiła Victoria tym przyjaciółkom. Ta chuda przybłęda przynosiła im wszystkim wstyd, z powodu zniszczonych ubrań, wazeliny, którą pokrywała chude, gołe nogi, gdy zimowy wiatr od jeziora stawał się lodowaty, zabójczy, zimny, i oczywiście z powodu swego śmiesznego imienia.

Bogate dziewczęta w klasie Raven miały egzotyczne imiona: Chelsea, Brittany, Caitlin i Taylor, była też dziewczynka, która otrzymała imię po ptaku: Ptarmigan. Nosiły te imiona tak jak swe markowe stroje: z dumą i gracją. Raven Willow Winter próbowała nosić swoje egzotyczne imiona z taką samą pełną dumą i gracją, ale Victoria i jej przyjaciółki nigdy by na to nie pozwoliły. To brzydkie imiona, sztydliły, równie brzydkie jak jej wytarte ubrania, blada, chuda twarz i posmarowane wazeliną nogi.

Raven miała cerę białą jak śnieg, była bardzo szczupła, a z jej poważnych błękitnych oczu wyzierało zaniepokojenie i beznadzieja. Wydawało się, że została stworzona, by być zawsze przedmiotem kpiny... ale gdzieś około dwunastego roku życia Raven Winter nagle stała się piękna. Sama mogłaby nie zauważyć tej odmiany, bo rzadko się sobie przyglądała, ale świadczyły o tym zdumiony wzrok jej koleżanek i kolegów, a także słowa, które do niej kierowali.

Szyderstwa dziewcząt stały się jeszcze zjadliwsze niż dawniej i miały teraz seksualny podtekst. Raven - chuda mała dziewczynka była ptakiem śmierci, płaczącą wierzwą, przemoczonym i sękatym drzewem. Ale Raven - czarująco piękna młoda kobieta była lafiryndą, ładacnicą, dziwką, tak jak jej matka.

A chłopcy? Nie przyłączali się nigdy do kampanii przeciwko Raven, nie zawracali sobie tym głowy, ale teraz wchodzili już w wiek dojrzwania. Ci młodzi bogacze pożerali ją wzrokiem, palili się do niej, pragnęli jej... I ponieważ po raz pierwszy w życiu Raven miała wrażenie, że komuś na niej zależy, pozwalała się im dotykać.

W wieku trzynastu lat straciła dziewictwo. Blane Calhoun miał lat szesnaście. Raven nie uważała, że coś straciła - był to radosny dar miłości. I przysięgała sobie, że da mu jeszcze inny, cudowny dar, bo nawet wtedy jako trzynastolatka Raven pragnęła dziecka.

Blane pojawiał się w jej życiu i znikał przez następne pięć lat, przewijając się niczym złota nić bólu i męczarni. Pragnął jej pięknego ciała, tylko ciała, ale nigdy jej samej. Brał ją z okrucieństwem, porzucał ją z okrucieństwem i wracał do niej z okrucieństwem, ilekroć jej znowu zapragnął. Byli też inni chłopcy, rzecz jasna, i to wielu. Raven oddawała się im



wszystkim, mając nadzieję na miłość, na dziecko - i nie otrzymywała tego.

Czego się spodziewała? Przecież była dzieckiem kwasu, nieodwracalnie uszkodzonym od chwili wcale nie tak czarodziejskiego poczęcia. Głęboko

76

w środku wciąż płonął w niej ogień, ale jedyne, co widzieli wszyscy -jedyne, czego wszyscy pragnęli - to było jej doskonale śnieżnobiałe ciało. Pożądano jej rozpaczliwie, ale kiedy pożądanie zostało zaspokojone, jej kochankowie szybko znikali.

Nie było miłości dla Raven Winter i nie było dziecka. Pozostawione przez kwas blizny przekształciły jej łono w lodową tundrę, zimną i jałową, gdzie nie mogło zakiełkować nowe życie.

Inteligencja Raven i azył, jaki znalazła w nauce, dobrze się jej przysłużyły. Na trzy miesiące przed ukończeniem Meadow Academy przyznano jej pełne stypendium naukowe w UCLA, Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles. Był to jej pierwotny wybór i nie zmieniła zdania pomimo nacisku ze strony dyrektora, który chciał, aby Raven, obiekt nadspodziewanie udanego eksperymentu, zaakceptowała którąś z podobnych ofert stypendium w Radcliffe, Yassar czy Yale.

Ale od czasu, gdy przeczytała uważnie informator UCLA, ta uczelnia stała się przedmiotem jej marzeń. Tylko tam mogła znaleźć ciepło, wolność i spokój. Nie będzie miało znaczenia, że nie posiada nylonów. Jej gołe nogi nie będą marznąć. W Meadow Academy istniał sztywny kodeks ubierania się: żadnych spodni dla dziewcząt. A na fotografiach w informatorze Raven zobaczyła, że na UCLA można nosić nawet dżinsy.

Założy dżinsy i uszyje sobie letnią sukienkę, a na uniwersytecie będzie tylu studentów z tak różnych środowisk, że zniknie w tłumie. Dadzą jej spokój i będzie mogła się uczyć bez przeszkód... Może, wśród tych studentów znajdzie się ktoś, kto ją polubi, a nawet zostanie jej przyjacielem?

Raven zamierzała wyjechać do Los Angeles dzień po ukończeniu szkoły. Ten cel, to jasne światło na końcu mrocznego tunelu jej życia napawało ją wielką nadzieją. Mówiła sobie, że jakoś zniesie te ostatnie trzy miesiące. Że już nic nie może jej bardziej zranić.

Ale myliła się. Gdy sześć tygodni przed końcem szkoły wróciła do domu, zaskoczyła Sheilę w trakcie pakowania. Matka powiedziała Raven, że ona i jej aktualny przyjaciel opuszczają Illinois. Nie prosiła córki, by im towarzyszyła, i niezwykle mgliście mówiła o tym, dokąd wyjeżdżają. Nie wspomniała też, że chciałaby się skontaktować z Raven w przyszłości. Zaoferowała jej tylko drobną macierzyńską pociechę: pani Wainwright wie, że Raven poradzi sobie z gotowaniem dla całej rodziny, i nawet zgodziła się łaskawie, by mieszkała ona nadal w stróżówce do chwili rozdania świadectw.

O północy, siedem godzin po wyjeździe Sheili, Raven obudziło głośne stukanie. Natychmiast pomyślała, że to musi być Blane. Studiował teraz na

77

uniwersytecie i przez ostatnie dwa lata chodzili z Victorią. Często jednak, gdy pożegnał się już grzecznie ze swą bogatą dziewczyną, wpadał do stróżówki, by dostać coś więcej od Raven.

Raven podeszła do drzwi z samobójczą rezygnacją. Wiedziała, że nie odmówi Blaneowi, i wiedziała, że potem jej serce będzie znowu cierpiało. Gdy jednak zbliżała się do drzwi, to wielokrotnie krzywdzone serce nagle napęliła nadzieja.

To Sheila, nie Blane. Wróciła, być może tylko na chwilę, bo zapomniała przytulić córkę na pożegnanie. Chce powiedzieć, że ją kocha, wymyślić jakiś sposób, aby nie straciły kontaktu - nigdy.

Ale w drzwiach nie zobaczyła przystojnej twarzy Blanea Calhouna ani zniszczonego narkotykami i nikotyną oblicza Sheili Winter. Niespodziewanie o tej porze odwiedziła ją Patrice Wainwright, matka Victorii. Jej twarz z jedwabście gładką skórą była tak ponura, że Raven poczuła strach, iż usłyszy tragiczne wieści o swej matce, być może o wypadku samochodowym...

Te obawy na szczęście szybko się rozwiały, gdy Patrice Wainwright powiedziała, że chce się widzieć z Sheila.

- Już wyjechała.

-Wyjechała?

- Tak. - Wyraźne zaskoczenie Patrice Wainwright stanowiło dla Raven złowróżbne ostrzeżenie: że za chwilę dowie się czegoś, czego nie chce wiedzieć. Ciągnęła więc pośpiesznie, jak gdyby wypowiedzenie tych słów mogło sprawić, że staną się prawdą: - Powiedziała pani, że wyjeżdża i że ja będę gotować przez następne sześć tygodni. Umieję gotować. Też o tym mówiła pani.

Na patrycjuszowskiej twarzy Patrice Wainwright pojawił się wyraz wyniosłego lekceważenia i niewypowiedzianej pogardy. Raven bardzo dobrze знаła tę minę. Przybierała ją Victoria, gdy z nią rozmawiała.

- Twoja matka mówiła mi tylko to, Raven, jak wiele masz problemów.

- Problemów? - Serce Raven wypełniła nieśmiała nadzieja. Czy matka wiedziała o jej cierpieniach? Czy ją to obchodziło?

- Wiem wszystko o narkotykach, o twojej nimfomanii, a także i to, że jesteś złodziejką.

Przez chwilę osłupiała Raven nie mogła się odezwać. Nigdy nie brała narkotyków ani razu. A choć wielokrotnie uprawiała seks, nigdy nie sprawiało to jej przyjemności. Była to jedynie rozpaczliwa próba zdobycia miłości. I..

- Moja matka mówiła pani, że jestem złodziejką?

-Nie próbuj zaprzeczać. Wiem, że wielokrotnie krađaś w naszym domu pieniądze i wiem dlaczego - żeby kupować narkotyki i, przynajmniej raz, żeby opłacić skrobankę.

Nie! Serce Raven zareagowało krzykiem na to okropne oskarżenie. To jej matka kupowała narkotyki... i to matka usunęła ciążę. Raven dowiedziała się o tym po fakcie. A kiedy dowiedziała się, że przez krótki czas istniała cudowna nadzieja na braciszka lub siostrzyczkę, błagała cicho matkę o wyjaśnienie. Dlaczego, dlaczego, dlaczego? Sheila zareagowała pełnym zdumienia milczeniem, podkreślonym jeszcze twardym spojrzeniem, które wyjaśniło Raven z druzgoczącą jasnością, że jej matka żałuje, iż nie postąpiła tak samo w jej przypadku.

- Do tej pory przymykałam oczy na to, co robiłaś. Twoja matka dobrze nam służyła i bardzo jej współczułam, że musi tyle znieść z twojej strony. Ale nie mogę patrzeć przez palce na kradzież trzech tysięcy dolarów. Zwróć mi zaraz te pieniądze albo wezwij policję.

-Ale ja ich nie mam!

- Nie wierzę ci. - Patrice podeszła do telefonu. - Miałam nadzieję, że załatwimy tę sprawę dyskretnie, bez nieprzyjemnego rozgłosu i policji. Szczerze mówiąc, ukrywałam wszystkie poprzednie kradzieże przed mężem, bo wiedziałam, iż będzie nalegał, bym natychmiast zwolniła twoją matkę. Mam miękkie serce i bardzo jej współczułam.

-Westchnęła, jak gdyby ciężar tego współczucia był o wiele ważniejszy niż kłopoty, w których znalazła się samotna matka, Sheila Winter. - Mogłabym wstrzymać wypłacanie jej pensji, by w ten sposób odzyskać to, co ukradłaś, ale nawet tego nie zrobiłam, bo wiedziałam, że większość zarobków przeznaczasz na opłacanie twoich seansów u psychiatry. Nie winię jej, że wyjechała, ale powiem ci, że zabrała ze sobą moje miłosierdzie. -Głos jej stwardniał. - Chcę mieć te pieniądze, Raven, i to już.

- Ale ja ich nie mam - powtórzyła cicho Raven. Moja matka je ma. Moja matka jest złodziejką. Raven nie mogła wypowiedzieć tego na głos. Pomimo że matka tak strasznie ją zdradziła, nie potrafiła odpłacić jej tym samym. Uniósła dumnie głowę i rzuciła jej w twarz przekonujące kłamstwo. - Wydałam je, by zapłacić zaległe rachunki za terapię.

- Jawna strata pieniędzy. Dano ci cudowną okazję, byś się uczyła, przyjęto cię zyczliwie w świecie, którego nigdy byś nie poznała, a ty po prostu kpisz sobie z tych, którzy tak bardzo starali ci się pomóc.

- Doceniam tę szansę, pani Wainwright. Naprawdę. I jest już ze mną o wiele lepiej. Proszę, niech mi pani uwierzy. Skończyłam z narkotykami i wszystko pani zwrócę, obiecuję. Każdego centa, z odsetkami. Proszę nie dzwonić na policję, proszę.

Patrice westchnęła znowu i tym razem było to westchnienie umęczonej arystokratki, zmuszonej do konfrontacji z podejrzaną rzeczywistością klasy niższej. W rzeczywistości poczuła ulgę. Jej mąż byłby wściekły, gdyby dowiedział się, że tolerowała te kradzieże tylko dlatego, że nie chciała stracić najlepszej kucharki, jaką mieli.

79

- W porządku, Raven, nie zawiadomię policji. Ale chcę, byś wyniosła się z mej posiadłości, i to w tej chwili.

Raven opuściła azyl stróżówki w Thornwood i przez ostatnie sześć tygodni szkoły była bezdomna. Czyż jednak nie była bezdomna przez całe życie?

Znalazła pracę, dwie prace, obie w barach szybkiej obsługi. Pracowała codziennie po szkole, aż do zamknięcia, i na dwie zmiany w weekendy. Czasem spała w restauracji, czasem w parku, a czasem na szkolnym stadionie. Każdego dnia budziła się o świcie i przed rozpoczęciem lekcji brała prysznic w szatni dla dziewcząt.

Po sześciu tygodniach wszystko się skończyło. Raven Willow Winter skończyła szkołę z najwyższymi ocenami i następnego dnia wsiadła do autobusu jadącego do Los Angeles, w kierunku wabiącego ją jasnego światła.

Z początku Raven wierzyła, że UCLA będzie takie, jak ośmieliła się marzyć. Balsamiczne, ciepłe powietrze wibrowało energią i śmiechem młodości. Z pewnością tutaj, w samym środku miasteczka studenckiego, po prostu wtopi się w tłum.

Ale nawet w tyglu UCLA Raven była inna. Jej śnieżnobiała skóra nie pokrywała się opalenizną ani nie ulegała oparzeniu słonecznemu, jak gdyby jej smukłe, pięknie rzeźbione ciało zrobione było z marmuru. Zauważano ją, gapiono się na nią, budziła zazdrość i pożądanie... gdyż na tle tych wszystkich wspaniałych złocistych kalifornijskich ślicznotek jej kruczoczarne włosy i alabastrowa cera wydawały się niezwykle i wyjątkowe.

Nikt nie kpił z jej imienia ani strojów, ale kobiety miały się przed nią na baczności, tak jak Victoria i jej przyjaciółki. I tutaj, jak w Meadow Academy, mężczyźni po prostu jej pragnęli.

Raven zauważała poufale uśmiechy zakochanych par i bardzo starała się nauczyć śmiechu i flirtu. Ale to było niemożliwe. Nie znajdowała takiej autentycznej radości w swym poranionym sercu, a bycie obiektem miłości to sprawa zbyt poważna, aby z tego żartować. Nie chciała bawić się we flirty.

Oddawała swe idealne ciało mężczyznom, którzy go pragnęli. Przy każdym kochanku modliła się, by intensywne pożądanie, które widziała w jego oczach, przekształciło się kiedyś w czułą miłość. Ale nigdy tak się nie stało. Każdy mężczyzna odchodził, zostawiając jej to samo pogardliwe pożegnanie: jest taka lodowata, taka poważna, taka sztywna.

80

Czy nie mogli odgadnąć, że jej sztywność wynikała ze strachu, iż znowu zostanie zdradzona? Czy nie rozumieli, że była tak poważna, ponieważ miłość była dla niej tak ogromnie istotna? I czy nie uświadamiali sobie, że pod pozornym złodowaceniem wciąż płonął i palił kwas?

Raven dotrzymała słowa, że zwróci Patrice Wainwright każdego centa wraz z odsetkami. Jeszcze przed opuszczeniem Lake Meadow wysłała na adres posiadłości Thornwood pierwszą z wielu kopert. Ta koperta zawierała gotówkę. Z Los Angeles jako studentka wysyłała przekazy, zaś później jako studentka prawa, a potem jako prawniczka wysyłała czeki z

wydrukowanym nazwiskiem i adresem. Razem zwróciła dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, sumę z pewnością przekraczającą znacznie to, co ukradła Sheila Winter.

Ostatnią ratę wysłała osiem lat temu, podczas pierwszego roku praktyki w charakterze doradcy w dziedzinie rozrywki. Gdy wysłała pocztą ten czek, poczuła, że coś się skończyło, że jej kontakt z tym bolesnym rozdziałem jej życia został zerwany na zawsze. I wydawało się, że jest tak istotnie, dopóki sześć miesięcy temu nie przysłała koperta, nadana pół kilometra na wschód od Thornwood. Zawierała zaproszenie, ze złożonym ornamentem, na zjazd z okazji piętnastej rocznicy ukończenia Meadow Academy. Proszono o odpowiedź na adres posiadłości niedaleko Thornwood, gdzie mieszkała teraz z mężem, Blanem Calhounem, Victoria Wainwright, jedna z organizatorek zjazdu.

Victoria Wainwright-Calhoun nie musiała wysłać Raven zaproszenia na uroczystą galę w hotelu "Fairmont" w Chicago. Ale to zrobiła. I było to największe szczyście. Raven odpowiedziała bezzwłocznie, wysyłając czek na pięćset dolarów - stanowiący opłatę za wstęp dla dwóch osób, na elegancką kolację z tańcami w sobotni wieczór oraz sutą przekąskę z szampanem następnego ranka.

Raven miała teraz pieniądze, markowe ubrania i lśniące klejnoty, ale ciężko zapracowane bogactwo nie dało jej szczęścia ani nie zapewniło wstępu do złotego kręgu przyjaźni i miłości. Wciąż była samotna, wciąż była outsiderem, a teraz postanowiła sobie kupić towarzystwo na ten nader ważny wieczór. Płaciła Nicholasowi Gaultowi, by pomógł jej stworzyć iluzję szczęścia i miłości, by mogła pokazać im wszystkim, że odniosła sukces przewyższający ich najśmielsze oczekiwania.

Gdy jednak podniosła wzrok znad nie przeczytanej stronicy powieści Lauren Sinclair na niebo, które miało barwę jej oczu, pomyślała ponuro: "W gruncie rzeczy płacę za to, by nie mieli pojęcia, iż stałam się właśnie tym, za co mnie zawsze uważali - ptakiem śmierci... wierzba, która wciąż płacze... dzieckiem kwasu, w którym nawet najzimniejsze lodowce nie ochłodzą palącego ognia bólu".

81

10

Apartament, który Raven zarezerwowała w "Fairmont" należał do najlepszych w hotelu. Pomiędzy dwiema przestronnymi sypialniami znajdował się luksusowy salon, w którym nie brakowało nawet małego fortepianu. Każdy pokój urządzony był w subtelnym fiołkoworóżowym i kremowym kolorze i z każdego rozpościerał się panoramiczny widok na jezioro Michigan, Grant Park, Lincoln Park i słynną chicagowską Miracle Mile.

Nick i Raven spędzili tu trzy godziny przed tańcami, osobno, w luksusowych sypialniach. Nick zadzwonił do domu, aby podać rodzicom numer telefonu, pod którym można go znaleźć. Okiem doświadczonego hotelarza ocenił z aprobatą wysoką jakość wszystkiego, co go otaczało, rozkoszując się wspaniałymi widokami z okna. Jednak większość czasu spędził na rozmyślaniu o Raven. Z niecierpliwieniem czekał na umówione spotkanie w salonie, o ósmej.

Nick czekał w salonie, gdy pojawiła się Raven. Przebywał tam już jakiś czas, gdy dostarczono przesyłkę: bukietek czarnych orchidei.

Patrzył ze zmarszczonymi brwiami na kwiaty, kiedy usłyszał za sobą jej głos:

- Doskonałe.

Odwrócił się i aż dech mu zapařło z wrażenia. Raven miała na sobie czarno-białą kreację królewskiej elegancji. Suknia idealnie przylegała do jej ciała, była prowokacyjna nie dzięki temu, co odsłaniała, ale dzięki temu, co pozostawało skromnie ukryte.

Lśniące czarne włosy Raven, zaczesane do tyłu, odsłaniały śnieżnobiałą twarz i były zwinięte w gruby węzeł na czubku jej ślicznej główki. Korona nocy lśniaca, jak gdyby pieścił ją niewidzialny księżyc. Makijaż Raven jak zawsze miała idealny, a jedynymi klejnotami, jakie nosiła, były szafirowe kolczyki, tak jaskrawobłękitne jak jej oczy. Twarz jej wyrażała równocześnie niepewność i odwagę.

Śnieżka wyglądała wspaniale, jak baśniowa księżniczka, której nie brak niczego poza wiarą w siebie, a już na pewno nie potrzebuje czarnych orchidei.

- Doskonałe? - powtórzył w końcu Nick. - Ty je zamówiłaś?

- Tak. - Raven wzruszyła ramionami. - To taki żart dla wtajemniczonych.

Nick pomyślał, że w gruncie rzeczy to nie jest żaden żart. To sprawa bardzo poważna. Tak poważna, że nawet jej suknia została bez wątpienia

82

wybrana - a może nawet specjalnie uszyta - by idealnie pasowała do bukietka czarnych orchidei.

- Czy mam pomóc ci je przypiąć?

- Och - odpowiedziała zaskoczona tą propozycją. - Tak... dziękuję.

Gdy Nick wyjmował czarny bukietek z białego pudełka, podziwiał w milczeniu jakość kwiatów. Były doskonałe, niezwykle i lśniły wewnętrznym blaskiem, przypominającym połysk jej wspaniałych włosów.

Wspaniały bukietek, bez wątpienia bardzo kosztowny, ale...

- Są nieodpowiednie.

- Nieodpowiednie?

- W niczym nie poprawią twojego wyglądu. Prawdę mówiąc, myślę, że mogą mu zaszkodzić. - W odpowiedzi na te słowa w jej pełnych niepewności szafirowych oczach zabłysło coś, co przypominało ulgę. Nick uświadomił sobie, że Raven nie chce nosić tego bukietka, a on nie pozwoli, by go przypięła. - Zaufaj mi, Raven. Jeśli chodzi o kwiaty, jestem ekspertem.

- No cóż...

Obawiała się, że Victoria - a może Blane - zechce ofiarować jej czarne orchidee i uznała, że lepiej przypiąć je z wczesnym, kpiąc ze swych dawnych koleżanek i kolegów, zanim oni będą mieli szansę zakpić z niej. Zamierzała nosić egzotyczne kwiaty z dumą, jak zawsze nosiła je w szkole, chociaż były symbolem hańby. A teraz Nick stwierdził, że są nieodpowiednie, a jego stalowoszare oczy mówiły jej, że będzie się upierał przy swoim zdaniu. I Raven nagle poczuła się zadziwiająco bezpiecznie. Nawet gdyby Victoria lub Blane wcisnęli jej podobny bukiet, Nick ją ochroni, zdecydowanie odmówi przypięcia czarnego symbolu hańby do nieskazitelnego białego atlasu. Czy w innym stuleciu Nicholas Gault zerwałby rycersko szkarłatną literę "A" z purytańskiej sukni Hester Prynne? Pewnie tak.

- W porządku. Nie będę ich nosić.

- Dobrze - uśmiechnął się Nick, i dodał: - A tak na marginesie, wyglądasz bardzo pięknie.

- Dziękuję - wyszeptła, czując nagły przypływ gorąca do twarzy w odpowiedzi na jego serdeczność. Raven zwalczyła tę reakcję za pomocą surowego upomnienia: płaci mu za udawanie, że coś do niej czuje. Kiedy znowu się odezwała, jej głos był chłodny i rzeczowy. - Ten smoking leży na tobie bardzo dobrze.

- Dziękuję.

Nick wpatrywał się w kobietę, która nie potrzebowała niezwykłych i egzotycznych kwiatów, by podkreślić swą niezwykłą i egzotyczną urodę. Pomyślał jednak, że Raven Winter potrzebuje czegoś więcej. Jej ustom brakowało uśmiechu, a niebieskim oczom - błysku pewności siebie. Miała wszelkie powody, by nią wprost tryskać. Osiągnęła oszałamiający sukces. Wątpliwe,

83

by ktokolwiek ze szkolnych kolegów i koleżanek, zgromadzonych w Imperialnej Sali Balowej, dokonał więcej.

Ale z Raven nie promieniowała pewność siebie, nie było też w niej tego pogodnego spokoju, który uzyskuje się po ciężko zapracowanym zasłużonym sukcesie. Zamiast tego wyglądała jak ktoś, kto nie ma najmniejszych wątpliwości, że jest zerem, że wszystko, co osiągnął, nie ma znaczenia.

Pod wpływem impulsu dotknął delikatnie jej policzka. Był znowu śnieżnobiały, bez śladu rumieńca, który tak czarująco zabarwił go w odpowiedzi na komplement. Gdy ją dotknął, poczuł atlas i lód, a pod chłodną powierzchnią - pulsujący żar.

- Nie wiem, kim oni są, ani dlaczego tak bardzo cię niepokoją, Raven, ale mam propozycję: zrobimy im piekło.

Najpierw odpowiedziały mu jej oczy - zaskoczeniem i wdzięcznością. A potem uśmiechnęła się, miękko, pełnym nadziei uśmiechem, który okazał się dla niej najwspanialszą ozdobą. I w końcu powiedziała spokojnie:

- Dobrze, Nick.

Victoria Wainwright-Calhoun osłupiała, kiedy otrzymała czek, potwierdzający obecność Raven na zjeździe. Osłupiała, a potem poczuła radość. Bezczelna arogancja Raven dała Victorii okazję podzielenia się z przyjaciółkami odrażającą historią, którą matka opowiedziała jej dopiero w ostatnim czasie. Patrice była zmuszona wyjaśnić, skąd wie, że Raven jest prawnikiem w Los Angeles.

Kradzieże zostały dopisane do długiej listy występów Raven i w ciągu miesięcy poprzedzających zjazd Victoria starannie uzupełniła swoją historijkę, dodając do skradzionych pieniędzy także biżuterię. Dzięki temu w wieczór zjazdu, kiedy wszystkie upiększą się klejnotami wartymi fortunę, będą mogły z pogardą spoglądać na Raven, ilekroć jej pożądlive błękitne oczy spoczną na ich bezcennych ozdobach.

Przez ostatnie piętnaście lat wielu absolwentów Meadow Academy przebywało nadal w okolicach Chicago. Victoria i jej przyjaciółki stale komunikowały się ze sobą i często jadały razem kolacje w towarzystwie współmałżonków. Bez Raven uroczysta gala w "Fairmont" byłaby jeszcze jednym przyjęciem z wytwornym jedzeniem, markowymi strojami i wybornym szampanem. Ale teraz ta beznadziejna Raven Winter zabawi je raz jeszcze, zapewniając im zapas anegdot, którymi będą rozkoszować się w przyszłości, tak jak przez ostatnie miesiące bawiło je wspomnianie plągowych historyjek o dawnych dniach tej dziewczyny w Meadow Academy. Historyjki stawały się jeszcze wstrętniejsze, jeszcze bardziej smakowite, gdy wspominali je jako

84

ludzie dorośli. Mężczyźni, którzy byli wtedy kilkunastoletnimi chłopcami, teraz z przyjemnością odsłaniali nigdy wcześniej nie opowiedane szczegóły ich zażyłości z Raven -jaka zawsze była chętna, jaka ochocza, jaka rozpustna, jaka niemoralna.

Nawet Blane, który zawsze chętnie opowiadał o pozbawieniu Raven dziewictwa, teraz odsłonił skrywaną przedtem prawdę, że ich związek trwał w istocie pięć lat, nawet wówczas, kiedy spotykali się już z Victorią. Ponieważ Victoria zareagowała na to z wściekłością, zrzucił całkowicie winę na Raven, mówiąc, że bezlitośnie go uwodziła swoją czarującą niemoralnością. Obiecał zonie, że podczas zjazdu raz na zawsze pokaże Raven, gdzie jej miejsce.

Victoria i jej przyjaciółki oczekiwały pojawienia się Raven z taką samą złowrogą rozkoszą, z jaką myśliwy czeka na swą ofiarę. Jako doradca prawny, ma - rzecz jasna - pieniądze, nie tyle co one, ale z pewnością dosyć, by kupić jakiś strój. Przepowiadały jednak z wyższością, że jej suknia będzie całkowicie pozbawiona smaku. Aksamitna, głęboko wycięta, w dekadentckim, burdelowym odcieniu szkarłatu.

Przewidywały też ze złośliwą radością, że mężczyzna, z którym przyjdzie Raven, na pewno będzie się różnił od niej wiekiem. Może będzie o wiele młodszy, jakiś model albo początkujący aktor, "ogier", "przystojniak", niezwykle atrakcyjny w seksowny, podejrzany sposób. Za bardziej prawdopodobne uznały jednak, że mężczyzna jej życia będzie o wiele od niej starszy i ogromnie bogaty. Będzie jego kochanką, jego zdobyczą, a pojawiając się tu ze swymi

drapieżnymi szponami wbitymi w jego starcze ramię, Raven udowodni bez najmniejszych wątpliwości, że nadal jest gotowa na wszystko, by złowić mężczyznę z pieniędzmi.

Paciorkowate oczy Victorii Calhoun i jej przyjaciółek były wpatrzone w wejście do Imperialnej Sali Balowej. Żadna z nich nie chciała przegapić chwili przybycia Raven. Ale i tak pomimo ich złośliwego skupienia, pomimo tego, że wszyscy obserwowali łuk wejścia do sali balowej, kiedy w końcu zjawiła się, upłynęło kilka chwil, zanim zorientowano się, że ona już tu jest.

Ich oczy instynktownie skierowały się na Nicka. Wyglądał jak jeden z nich, bogaty, potężny i pewny siebie. Ale jego przystojna twarz nie była nikomu znana. Czy ten wysoki, ciemny, tajemniczy nieznajomy pojawił się tu bez zaproszenia? Jeśli nawet tak, był więcej niż mile widziany.

Dopiero gdy Victoria i Blane zbliżyli się do Nicka, ich wzrok spoczął na jego pięknej towarzysze. Idealnie pasowała do niego, wyglądała jak prawdziwa dama z wyższych sfer. Też widziano ją tu mile. Tyle, że to była...

- Raven - z tłumionym przerażeniem wyszeptła Victoria do Blanea. To słowo z sykiem wymknęło się pomiędzy doskonałych zębów, zaciśniętych

85

pomimo pozorów idealnie uprzejmego uśmiechu. - Raven! Jesteśmy zachwyceni, że zdecydowałaś się przyjść.

- Witaj, Victorio - powiedziała spokojnie Raven. Widziała pogardę w uśmiechniętych oczach bogaczki, skrywaną pogardę, przeznaczoną wyłącznie dla niej... A kiedy przesunęła wzrok na Blanea, dostrzegła coś, jeszcze bardziej zatrważającego: pożądanie.

Nick wyczuł silny dreszcz, który zamroził Raven. Już wcześniej zdecydował, że o ile nie będzie do tego zmuszony, nie poda swojego nazwiska. Absolwenci Meadow Academy czytali "Fortune" i "The Wall Street Journal", które publikowały artykuły na temat "Eden Enterprises" i ich potężnego dyrektora. Kiedy przypuszczał, że spotka się z przyjaciółmi Raven, zamierzał przedstawić się po prostu jako "Nick". Ale ponieważ stało się aż nadto jasne, że ci ludzie wcale nie są jej przyjaciółmi, wyciągnął silną dłoń do Blanea i powiedział:

- Jestem Nicholas.

Potrząsnąwszy ręką Nicka, Blane przedstawił swoją żonę.

- Cześć, Nicholasie - zagruchała Victoria. Musiała zagruchać, bo czarnowłosa, szarooki nieznajomy był jeszcze wspanialszy z bliska niż widziany z drugiego końca sali.

Victoria gruchała z Nicholasem, ale w środku skręcała się z gniewu. Raven nie powinna była mieć Blane a i z całą pewnością nie powinna mieć tego eleganckiego mężczyzny. Niech tylko Nicholas dowie się całej prawdy o Raven, to porzuci ją natychmiast. A dowie się prawdy, przysięgała sobie w duchu. To będzie jej osobista misja na ten wieczór, a raz dopełniona, wynagrodzi jej z nawiązką niezwykle rozczarowanie, które poczuła, widząc bezczelną Raven Winter, pięknie ubraną i wspartą na ramieniu mężczyzny, wyraźnie zasługującego na kogoś o wiele od niej lepszego.

Pozostaną anegdotki, którymi można się będzie rozkoszować: szok Nicholas, a potem jego wdzięczność, kiedy Raven zostanie zdemaskowana jako dziwka i złodziejka. Victoria wyobraziła sobie publiczną scenę, podczas której arystokratyczny Nicholas z pogardą odrzuca tandetną Raven Winter.

Miła perspektywa nieuniknionej kompromitacji Raven połączona z faktem, że wciąż mogła patrzeć na Nicka, podtrzymała na duchu Victorię.

- Pozwoliłam sobie posadzić was przy naszym stoliku - zagruchała. - Będą jeszcze dwie inne pary. - Z wyraźnym zalem odwróciła wzrok od Nicka i rzuciła Raven kpiące wyzwanie. - Chyba nie masz nic przeciwko temu.

"Mam" - odpowiedziało serce Raven. Ten milczący krzyk był jedynym dowodem, że jej serce wciąż bije, wysyłając ogniste impulsy spod pokrywy lodu, który zmroził jej członki. Jak mogłaby jeść kolację z kobietą, która kiedyś dręczyła ją z taką zjadliwością? I jak to możliwe, by jadła kolację

86

z mężczyzną, któremu kiedyś z taką ochotą i nadzieją oddała wszystko, co miała do zaoferowania, tylko po to, by chciwie przyjął ten bezcenny dar, a potem z niej sztychł? I brał znowu, znowu i znowu, ilekroć miał na to ochotę.. Raven nie mogła jeść kolacji z Victorią i Blanem. To było po prostu niemożliwe. W ich obecności czuła, że jest taka, jak jej zawsze mówili: zero, mniej niż zero, nie zasługujące na życzliwość ani miłość.

I... czy te piętnaście lat nie udowodniło, że mieli rację?

Raven zamierzała uciec, gdy tylko uwolni się od obezwładniających okowów lodu. Oczyma duszy widziała już, jak wybiega niczym Kopuszek z wybicciem północy... Kopuszek, którego nie będzie szukał żaden zakochany książę.

Palące impulsy ognistego bólu zaczęły roztopiać krępujący ją lód. Gdy jednak tylko próbowała się odwrócić, znowu została uwięziona, tym razem przez silne, łagodne ramiona, które otoczyły jej szczupłą talię.

Szare, wpatrzone w nią oczy były ciepłe, łagodne i pełne siły. Nick uśmiechnął się, a potem przesunął płonące stalowe spojrzenie na Victorię i odpowiedział zamiast Raven:

- Bardzo się cieszymy, że będziemy z wami siedzieć przy kolacji, Victorio. Ale teraz, weźmiemy sobie po kieliszku szampana i wmieszamy się na jakiś czas między gości.

- Ja nie piję - powiedziała Raven, kiedy doszli do srebrnej fontanny, z której tryskały bursztynowe kaskady znakomitego szampana.

- Ja też nie piję dużo - przyznał się Nick, sięgając po dwa napełnione już kryształowe kieliszki. Podając jej jeden z nich, powiedział: - Jednakże mam wrażenie, że dziś trochę szampana może nam pomóc. Nie czuję się wystarczająco przygotowany na pytania, które mogą paść podczas kolacji. Potrzebny mi jest krótki wykład na temat Raven Willow

Winter.

- Niewiele jest do opowiadania.
  - Więc po prostu odpowiedz na moje pytania. Pytanie numer jeden: jaki jest twój zawód?
  - Jestem doradcą prawnym. Zajmuję się rozrywką.
  - Negocjujesz umowy i spisujesz kontrakty dla aktorów, reżyserów, scenarzystów?
- Nick znał już odpowiedź, ale chciał to usłyszeć z ust Raven.

-Tak.

- A na jakim miejscu uplasowałabyś się wśród doradców prawnych świata rozrywki Los Angeles? Bądź szczerą.
- Na samym szczycie.
- Najwybitniejsi klienci? Największe umowy?
- Tak. Jedno i drugie.

87

- W porządku. A więc uzgodniliśmy wcześniej, że jesteś bardzo piękna. - Nick oderwał od niej wzrok i rozejrzał się po sali. Był to niespieszny i dokładny przegląd, a kiedy go dokończył i jego oceniające szare oczy znowu spoczęły na niej, powiedział łagodnie: - Prawdę mówiąc, jesteś tu najpiękniejsza. Więc...

- Więc? - powtórzyła Raven z cichą nadzieją.

-Więc jesteś zadziwiająco piękna i osiągnęłaś zadziwiający sukces. A to znaczy, że nie ma żadnego racjonalnego powodu, byś czuła się choć trochę zastraszona przez kogokolwiek w tej sali. Ale - dodał miękko - to nie jest powód racjonalny, prawda?

-Tak.

Nick chciał, by powiedziała mu wszystko, odkryła to, co ją boli, ale zbliżali się już do nich ludzie, zjawy z przeszłości, która najwyraźniej przyczyniła jej wiele cierpień. Nie było teraz czasu, by zadać więcej pytań. Należało się uśmiechnąć, stuknąć się kieliszkami i wznieść toast.

- Za ciebie, Raven. I za mój plan, który wygląda następująco: udawajmy, że jesteśmy w Los Angeles i ci wszyscy ludzie przyszli do ciebie, ponieważ potrzebują kogoś, by prowadził dla nich negocjacje w sprawie umów wartych miliony... A słyszeli, że jesteś najlepsza.

To nie był wpływ szampana. Raven wiedziała, że kilka łyków, które upiła z kryształowego kieliszka, to zbyt mało, by wywołać jakikolwiek efekt, a co dopiero wrażenie ciepła i unoszenia się w powietrzu. Źródłem ciepła i cudownego poczucia bezpieczeństwa był Nick, a nie Don Perignon. Był przy niej - silna, potężna osobowość - nie odstępował jej nawet na krok. Kiedy jej dotykał, jego delikatnie opiekuńcze pieszczoty mówiły o czymś o wiele bardziej intymnym niż pożądanie... mówiły o głębokim przywiązaniu, o trosce, o miłości.

Nick udawał kochanka, tak jak go o to prosiła, za co mu płaciła. Raven wiedziała, że to tylko pozory, ale odsuwała tę myśl, musiała to robić, żeby przetrwać.

Iście epikurejska kolacja zaczęła się od królewskiej sałatki oraz uprzejmego, lecz zjadliwego przesłuchiwania Raven. "Przyjaciele" chcieli wiedzieć wszystko o jej pracy. Warunki umów, które negocjowała, były ściśle tajne -o ile zainteresowane strony nie zdecydowały się ich ujawnić - ale same umowy i jej rola jako negocjatora były publiczną tajemnicą. Omawiano je regularnie w prasie handlowej, i często, ponieważ były tak ważne, pojawiały się w "People", "Entertainment Tonight" i "USA Today".

Ale, o dziwo, kiedy naciskano ją, by podała nazwiska znakomitości, które reprezentowała, Raven wahała się.

88

- A więc - podsumowała Victoria z ledwo maskowanym zadowoleniem -nikt z ludzi, o którym byśmy słyszeli.

- Nie, Victorio - spokojnie odparł Nick. - Mylisz się. Raven reprezentuje prawie wszystkich ludzi, o których słyszeliście.

- Naprawdę?

Nick przez chwilę wpatrywał się stalowoszarymi oczami w oczy Victorii, zanim potwierdził.

- Tak. Naprawdę.

- No cóż, to robi wielkie wrażenie, Raven - oznajmiła Victoria z wymuszoną wesołością. - Więc prawdopodobnie nie masz wiele czasu na osobiste życie, prawda? Byłaś kiedyś mężatką?

Raven miała udawać, że znajdują się w Los Angeles i ci wszyscy ludzie przyszli do niej z powodu jej kwalifikacji, ale ta fikcja nie skutkowała. Nie ona panowała nad sytuacją, lecz Victoria - i wydawało się, że nic nie jest w stanie jej powstrzymać.

- Nie, nigdy nie wyszłam za mąż.

Ta odpowiedź zdawała się sprawiać Victorii przyjemność, i już po chwili wiadomo było dlaczego. Dało jej to szansę zadania następnego zjadliwego pytania kobiecie, która nigdy nie była zamężna, a której często wytykano nieślubne pochodzenie.

- A co z dziećmi, Raven? Masz dzieci?

Nick nie dotykał w tej chwili Raven, ale i tak wyczuł, że zeszywniała, jak gdyby dosięgnął ją ogłuszający cios. Delikatnie ujął jej drżącą dłoń.

- Raven nie ma żadnych dzieci, Victorio - odpowiedział. Potem, uśmiechając się czule do Raven, dodał: - Na razie.

- No cóż - mruknęła Victoria, rozczarowana tą odpowiedzią i zirytowana intymnością między nimi, jaką sprowokowała.

- Nic dziwnego, że jesteś w takiej dobrej formie, Raven.

Ogłuszający efekt pytania Victorii o jej nieślubne dzieci zmalął pod wpływem słów Nicka i jego kochających szarych oczu. "On po prostu udaje -napominała siebie Raven. - Płacę mu, by udawał". A jednak, ponieważ żaden mężczyzna nigdy nie patrzył na nią z taką czułością, przez jedną cudowną chwilę odważyła się uwierzyć w to wspaniałe marzenie. Gdy Nick ujrzał z olśniewającą jasnością czarodziejskie marzenia jej serca, też pozwolił sobie uwierzyć w iluzję ich miłości. Z radością zagubiliby się na zawsze w tych pozorach, ale narastający przeciwko Victorii gniew stanowił mocną więź z rzeczywistością - i prowadzoną mową.

I Nick jeszcze raz odpowiedział na pytanie skierowane do Raven.

- Raven uprawia jogging - tłumaczył, a jego palce czule dotykały śnieżnobiałej dłoni. Skaleczenia znikły, ale atlasowa skóra była jeszcze trochę

89

chropowata - przerażająca pamiątka ich pierwszego spotkania. - A poza tym pracuje w ogrodzie.

- Dla mnie jest tu na to przez pół roku albo za gorąco, albo za zimno. -Victoria powiedziała to tak, jak gdyby z powodu klimatu Chicago była w gorszej formie od Raven. - Poza tym, im więcej czytam o joggingu, tym bardziej mi się wydaje, że nie jest on zdrowy. Powoduje przemęczenie organizmu.

- Tak - poparła ją Sandra, żona jednego z "kochanków" Raven, z którą przed tym wieczorem nigdy się nie spotkały. Sandra miała miękki, typowo południowy akcent. - Jogging może powodować przemęczenie, ale praca w ogrodzie to cudowna gimnastyka. Nie wymaga wysiłku i działa jak aerobik. Ilu z was słyszało o przyrządzie gimnastycznym - edenie?

Pięć na osiem osób przy stole przyznało, że słyszało o edenie, a dwoje innych, w tym Raven, wzruszyło ramionami na znak przeczenia. Nick udzielił wymijającej odpowiedzi.

- Jest po prostu wspaniały - entuzjazmowała się Sandra. - Najwidoczniej wymyślił go ogrodnik. Dokładnie odtwarza ruchy osoby pracującej w ogrodzie, które jeśli są prawidłowo wykonywane, angażują wszystkie grupy mięśni. Celem ćwiczeń jest ujędrnienie i hartowanie ciała bez rozbudowy muskulatury, ale są tam również dodatkowe urządzenia do ćwiczenia mięśni, jeśli ktoś postawił sobie takie zadanie. Sądzę, że zawodowi ogrodnicy mają wspaniałe sylwetki, jedynie dzięki pracy, którą wykonują. Prawdopodobnie wiesz już o tym, Nicholasie. Mówiłeś, że jesteś architektem terenów zielonych, prawda?

- Tak, ale nie jestem znawcą męskich sylwetek.

- Jednak słyszałeś o tym urządzeniu do ćwiczeń?

- Oczywiście.

-I co?

- Myślę, że więcej daje niż tradycyjne podnoszenie ciężarów. - Wzrok Nicka skierowany był na Sandrę, ale nadal dotykał dłoni Raven. Czuł, jak się odpręża w odpowiedzi na jego dotyk, a nawet trochę rozgrzewa. Musiał teraz zobaczyć jej twarz. Czy wciąż jest zagubiona w odległych marzeniach? A może jej inteligentne, błękitne oczy stały się nagle przenikliwe - co dowodziłoby, że wie, że cały czas wiedziała, kim on jest?

Nick spojrział na nią i zobaczył jej oczy, które nie były ani zamyślane, ani przenikliwe, lecz roztańczone, iskrzące się jakimiś niewypowiedzianymi myślami.

- Masz jakąś opinię na temat podnoszenia ciężarów? - spytał cicho.

- Nie - uśmiechnęła się Raven. - Ale myślałam sobie, że gdybym miała wybierać pomiędzy podnoszeniem ciężarów i podlewaniem róż, zawsze wołałabym podlewać róże.

90

11

Mogę z tobą zatańczyć, Nicholasie? - spytała Victoria, jak tylko orkiestra zaczęła grać. - Nie będziesz miała nic przeciwko temu, Raven? Poza tym ty i Blane powinniście chociaż raz zatańczyć ze względu na dawne czasy, prawda? Raven zorientowała się natychmiast, że Victoria chce, by zatańczyła z Blanem, co miało dla niej stanowić rodzaj kary. Myśląc o tym wieczorze, Raven planowała, że zatańczy z Blanem, że zatańczy z nimi wszystkimi. Zamierzała pozwolić im, by jeszcze raz jej dotknęli, wiedząc, że znowu jej zapragną. I planowała dać im wszystkim jasno do zrozumienia, że teraz czuje do nich jedynie pogardę.

Jednak w tej chwili Raven nie chciała już z nimi tańczyć. Nie chciała nigdy więcej czuć ich rąk na swym ciele. To pragnienie wypływało z siły, nie słabości. Dawniej tak rozpaczliwie pragnęła, by ją zaakceptowali, włączyli do swego koła. Teraz to już nie miało znaczenia. Jak gdyby unosiła się wysoko nad nimi, podczas gdy przedtem nigdy nie dorastała im do pięt.

Raven nie chciała, by Blane Calhoun jej dotykał.

Było to życzenie, które Nick odczytał z zadziwiająco jasnością.

- Nie mam dzisiaj ochoty nikomu odstępować Raven, Victorio - powiedział. - Jesteśmy tak zapracowani, że rzadko mamy okazję tańczyć ze sobą. To dla nas taki luksus, że nie chcę stracić ani jednej minuty.

- A ty, Raven? - rzuciła jej wyzwanie Victoria. - Zechcesz odstąpić Nicholasowi na jeden taniec? Przecież był czas, kiedy wszystkie musiałyśmy się dzielić...

- Tak - wtrąciła szybko Raven, wiedząc doskonale, co zamierzała powiedzieć Victoria: "Przecież był czas, kiedy wszystkie musiałyśmy się dzielić z tobą naszymi chłopakami". To było ostrzeżenie i Raven nagle uświadomiła sobie, że niezależnie od tego, czy Victoria zatańczy z Nickiem, czy nie, postara się, by poznał wszystkie jej wstydlive sekrety. "To nie ma znaczenia, czy Nick dowie się o mnie prawdy - powiedziała sobie. - On tylko udaje, że mu na mnie zależy".

To udawanie było takie cudowne... ale Nick to tylko doskonały aktor, a teraz jego sztuka aktorska miała zostać poddana ostatecznej próbie. Jakiś instynkt samodestrukcji sprawiał, że Raven pragnęła, aby Victoria opowiedziała wszystko Nickowi. Wtedy skończy się fantazjowanie, że może go naprawdę obchodzić.

- No, Nick - powiedziała spokojnie - zatańcz z Victorią.

91

- Musisz być bardzo pewny siebie w sprawach seksu, Nicholasie. Na prowokacyjną uwagę Victorii, Nick odpowiedział leniwym uśmiechem bez najmniejszego zakłócenia rytmu powolnego tańca.

- Tak? Dlaczego tak mówisz?

- Bo Raven spała... uprawiała seks... z niemal każdym mężczyzną w rym pokoju.

Nick, nadal uśmiechając się, odpowiedział lekko:

- Ponad piętnaście lat temu.

-Tak, ale...

- Przepraszam, Victorio, ale jeśli chcesz poddać próbie moją seksualną pewność siebie, to musisz znaleźć coś poważniejszego niż seks pomiędzy nastolatkami wiele lat temu.

- Nie niepokoją cię tłące się uczucia?

"Niepokoją mnie czarne orchidee - pomyślał Nick. - Śnieżnobiałe, zlodowaciałe palce, śliczne, zagubione szafirowe oczy i palący ból, który nie daje jej wytchnienia - a nie żar uczuć. I niepokoi mnie także, że próbujesz przyczynić jej jeszcze więcej cierpienia, starając się i mnie nastawić przeciwko niej".

Złośliwość Victorii rozwścieczyła Nicka, ale zmusił się do zachowania spokoju. Victoria była najwyraźniej zdecydowana odsłonić przed nim największe wady Raven i jej najhaniebniejsze występki. Aon postanowił, że wysłucha tego i beznamytnie zbije jedno oskarżenie po drugim.

- W najmniej szym stopniu nie martwią mnie tłące się uczucia, Victorio. A ciebie? Przypuszczam, że Blane...

- Raven była dziwką, Nicholasie, nimfomanką. Spała ze wszystkimi. Była biedna, a chłopcy - bogaci i to był najłatwiejszy sposób zdobycia ich pieniędzy.

Łatwy? Nick był przekonany, że Śnieżce wcale nie przychodziło to z łatwością.

- Próbowała zająć w ciążę, by zmusić któregoś z nich do małżeństwa. Dzięki Bogu, nigdy do tego nie doszło.

- Po co mi o tym mówisz, Victorio? Sądzisz, że mnie też chce złapać?

- Sądzę, że istnieje taka możliwość.

- Raven jest bardzo bogata. Nie potrzebuje moich pieniędzy.

- Jej pragnienie bogactw może być równie nienasycone, jak jej pragnienie seksu. - Victoria powiedziała więcej, ale jego szare oczy stały się ostre, lodowate. Było jasne, że Nicholas słyszał już dosyć o seksualnych wybrykach Raven. Po chwili powiedziała z powagą:

- Jest jeszcze coś, co powinieneś wiedzieć o Raven, o tym, czym była piętnaście lat temu...

92

Podczas gdy Nick i Victoria tańczyli, siedzący przy stole Blane przysunął się bliżej do Raven.

- Raven, Raven - wyszeptał miękko, uwodzicielsko. - Nigdy ze sobą nie tańczyliśmy, prawda?

Raven zdrząła, reagując na jego słowa, na jego ton, na okropne wspomnienia o tym, kim dla niej był. Raven Winter i Blane Calhoun nigdy ze sobą nie tańczyli, nigdy nie chodzili na randki, a nawet nie rozmawiali - nie licząc kilku słów stanowiących wstęp do seksu.

- Zatańcz ze mną, Raven.

-Nie.

- To może zrobimy coś innego? Takie spotkanie po latach, prawda...

Znaczenie jego słów było boleśnie jasne. A gdyby nawet było inaczej, widziała w jego oczach przerażająco znajome, zachłanne pożądanie. Blane chciał ją mieć, natychmiast. Gdzie? Za którąś z aksamitnych draperii? A może na górze, w jego apartamencie lub jej apartamencie?

- Nie bądź taka zdziwiona, Raven - skarcił ją. - Wiesz, że zawsze cię pragnąłem. A teraz jesteś jeszcze piękniejsza, jeszcze bardziej pociągająca. Zawsze było nam tak dobrze razem... pamiętasz?

Dobrze? Coś poruszyło się głęboko w niej, żarzące się węgle nagle drgnęły, sypiąc iskry, a potem nagle zapłonęły palącymi płomieniami bólu. W ciągu dwudziestu lat od czasu, gdy tak chętnie oddała swoje dziewictwo Blaneowi, były chwile, wiele chwil, zwłaszcza na samym początku, kiedy jej kochankom zdarzały się przejawy autentycznej -jak się wydawało - czułości. Raven w końcu zrozumiała, że działo się tak dlatego, że byli dorosłymi mężczyznami, a nie kilkunastoletnimi chłopcami. Dowiedzieli się gdzieś lub przeczytali, że kobiety podobno potrzebują najbardziej czułości. Dlatego też jej dojrzały kochankowie uwodzili ją pozorami czułości, zwłaszcza na początku. Ale w gruncie rzeczy byli tacy jak Blane, pragnęli jej dla swej przyjemności, a ich pożądanie było brutalne, rozpaczliwe i zachłanne. Blane nigdy nawet nie udawał czułości. Raven uświadomiła sobie teraz, że pożądając jej, szukając tylko własnej satysfakcji, był z nich wszystkich najuczciwszy.

Ale tylko jemu było dobrze. A Raven czuła się potem jeszcze bardziej pusta, osamotniona i opuszczona niż przedtem.

- No, Raven- ponaglał Blane, a w jego głosie pojawiła się odrobina czułości, najwyraźniej i on czegoś się nauczył. - Chodź.

-Nie.

Odrzuciła wzrok od Blanea i odnalazła Victorię i Nicka. Nie miała wątpliwości, że Victoria powie Nickowi całą



prawdę o niej, częstując go wszystkimi brudnymi szczegółami, jakie знаła. Jednak, obserwując ich taniec, doszła do wniosku, że ów spektakl jeszcze się nie rozpoczął. Nick wciąż poruszał

93

się z wdziękiem i zmysłowością, co najbardziej wymownie świadczyło o tym, że Victoria jeszcze nie podzieliła się z nim druzgoczącą prawdą. Raven pozna natychmiast, kiedy rozpocznie się opowiadanie: zmysłowy wdźwięk opuści ciało Nicka, gdy jego twarde mięśnie napną się ze wstrętu.

- Myślisz, że twój amant miałby coś przeciwko temu? - naciskał Blane.

Nie, Nicka nie obeszłoby, gdyby zniknęła z Blanem, zwłaszcza po tym, jak Victoria skończy raczyć go opisami jej młodzieńczych wyczynów. Nick jak dotąd bardzo poważnie traktował swoją pracę, chronił Raven, był taki czuły, czulszy niż jakikolwiek mężczyzna. Po chwili, choć wiedziała, że jest to kłamstwo, odpowiedziała z powagą na pytanie Blanea.

- Tak. Miałby coś przeciwko temu. Prawdopodobnie zabiłby cię gołymi rękami.

Twarz Nicka była poważna niczym kamienna rzeźba, gdy szedł za Victorią z parkietu do stolika.

"Wie wszystko - pomyślała Raven. - Żadne pieniądze nie skłonią go teraz, by ze mną został i nadal udawał, że coś do mnie czuje. Ma na to zbyt wiele dumy. Nie zniósłby tego, że zrobiono z niego głupca. Może po prostu minie stół i wyjdzie z sali..."

W pewnym stopniu odczułaby ulgę, łatwiej byłoby jej znieść to niż jego gniew.

Gdy jednak Nick dotarł do stolika, przystanął i uśmiechnął się do kobiety, która witała go z takim przepraszającym lękiem.

- Zatańczmy, Raven.

Zaprowadził ją do odległego, ciemnego kąta sali. Choć nikt ich tam nie mógł dostrzec, chciał, by tańczyli jak kochankowie. Położył jej smukłe ramiona na swej szyi, a potem ujął oburącz jej talię.

Ich ciała nie stykały się. Byli pewnymi siebie kochankami i kiedy mieli ochotę na zbliżenie, zaspokajali ją zawsze tam, gdzie nie mogły ich wypatrzeć oczy ciekawskich.

Wyglądali jak kochankowie, kołysząc się łagodnie w takt romantycznej melodii, ale Nick czuł lodowate napięcie milczącej kobiety w jego ramionach. Raven była sztywna, zaniepokojona - i czekała.

- Miałem ciekawą rozmowę z Victorią - powiedział w końcu. - Raven, spójrz na mnie.

Czekał bardzo cierpliwie, aż wreszcie z wyraźnym lękiem spełniła jego rozkaz.

- Chcesz wiedzieć, co mi powiedziała?

- Jestem pewna, że już wiem.

- A więc mi powiedz.

Dodawał jej otuchy swymi dłońmi i szarymi oczami.

94

- Powiedziała ci, że byłam bardzo biedna, że moja matka i ja mieszkaliśmy na terenie jej posiadłości i że wszyscy mnie nienawidzili.

- Dlaczego, Raven? Dlaczego wszyscy mieliby cię nienawidzić? - Po chwili dodał bardzo miękko: - Dlaczego ktokolwiek miałby cię nienawidzić? Jego łagodność sprawiła, że zadrzała.

- Chyba dlatego, iż byłam taka inna- wyznała. Oni byli bogaci, a ja biedna. Miałam używane, zniszczone ubrania, a oni nosili markowe stroje. I, oczywiście, jeszcze to moje imię...

- Co złego jest w twoim imieniu?

- Drażnili mnie, że jestem ptakiem śmierci... płaczącym drzewem.

Gorąca wściekłość przeszła Nicka, gdy zorientował się, jak bardzo zraniły ją te bezlitosne kpiny. Instynktownie zapragnął zniszczyć ich wszystkich. .. i to zaraz. Ale zapanował nad sobą.

- Raven to piękne imię, tak samo Willow. Prawdę mówiąc, to idealne imię dla kruczowłosej piękności, smukłej jak wierzbowa gałązka.

- Dziękuję - wyszeptała. Przez jedną cudowną chwilę Raven Willow Winter zapomniała o swym wstydzie... i bólu.

Szybko jednak, zbyt szybko, przypomniała sobie kamienną powagę na jego twarzy, gdy skończył tańczyć z Victorią. - Co jeszcze powiedziała ci Victoria?

- Powiedziała, że muszę być bardzo pewny siebie pod względem seksualnym, żeby przebywać w sali pełnej mężczyzn, którzy kiedyś byli twoimi kochankami.

Raven spuściła głowę zawstydzona, ale Nick palcem podparł jej podbródek, uniósł go - i czekał.

- Nigdy nie byli moimi kochankami - powiedziała cicho. - Tak, spałam. .. uprawiałam seks ... z wieloma mężczyznami z tej sali. Mieli wtedy po kilkanaście lat, a ja byłam...

- Samotna? Opuszczona? Tak jak teraz?

- Nie jestem dumna z tego, co robiłam, Nick.

- To oni powinni się wstydzić.

- Byliśmy nastolatkami.

- Nie ma usprawiedliwienia dla okrucieństwa. - Znow zakipiała w nim złość: - Dlaczego tu jesteśmy, Raven?

- Co masz na myśli?

- Dlaczego tak obchodzi cię, co ci ludzie myślą o tobie? Nie potrzebujesz ich aprobaty, prawda?

- Myślałam, że potrzebuję.

-A teraz?

- Nie - uśmiechnęła się uroczym, męznym uśmiechem, który jednak już po chwili zbladł, zniknął. - Możemy wyjść, jeśli chcesz.

- Chcę z tobą tańczyć, Raven - powiedział Nick.

95

Jej zaskoczone, szafirowe oczy rozbłysły łagodną nadzieją.

- Ja też chcę z tobą tańczyć.

- Więc może pójdziemy na górę, znajdziemy w radiu jakąś stację soft-rockową i potańczymy sobie na osobności?

12

Tańczyli w swoim fiołkoworóżowym i kremowym salonie wyłożonym pluszowym dywanem. Ich ciała kołysały się lekko, jak przy niewinnym, czułym pocałunku.

W końcu, ponaglana śmiałymi podszeptami pożądania, Raven uniosła ku niemu zapraszająco twarz; a kiedy rozkoszna zachęta tego gestu stała się dla Nicka jasna jak słońce, schylił się, by powitać jej usta. Jego pocałunek był czysty i delikatny jak gorące pozdrowienie. A im szybciej narastało pragnienie, z tym większym naleganiem - choć wciąż delikatnie - badały jego usta. Kiedy pozdrowienie zmieniło się w pytanie, odpowiedziały nań miękkie wargi Raven, rozchylone w radosnym zaproszeniu.

Nick był jak stal, a Raven - jak lód, ale w ich pieścizotach nie było nic chłodnego ani nieustępliwego.

Gdy ich pocałunek pogłębił się i słyszała ciche westchnienia pożądania - jego i swoje - po raz pierwszy płonący w niej ogień nie sprawiał bólu, lecz wywoływał ciepło, pulsujące ciepło, otulające ją tak łagodnie jak jego ramiona.

- Czego chcesz, Raven? - spytał miękko. Intensywne lśnienie jego oczu zdradziło wyraźnie, czego on pragnie, ale to zmysłowe spojrzenie przekazywało też inny, wymowny sygnał: że wybór należy do niej.

Raven pragnęła się kochać. Nigdy dotąd tak naprawdę tego nie chciała, nigdy też nie miała faktycznie wyboru. Zamiast tego był przymus, rozpaczliwe pragnienie akceptacji, wstąpienia w jakiś urojony krąg miłości, ucieczki od lodowatej samotności i palącego bólu.

A i teraz czy nie potrzebuje czegoś rozpaczliwie od tego uwodzicielskiego nieznajomego, który jest taki czuły, zna jej wstydlive tajemnice, a jednak - jak się wydaje - wciąż ją lubi? Płaci mu za to, by ją lubił. Płaci mu, by udawał, że jest nią zainteresowany, że są kochankami.

Zastanawiała się, czy Nick po prostu nie gra doskonale swej roli. Może ma nadzieję na sowity napiwek? A może spodziewa się, że zarekomenduje jego usługi - jako ogrodnika-kochanka - swoim bogatym przyjaciółkom?

96

Raven odsunęła się.

- Nie musisz tego robić, Nick. Naprawdę doceniam to, że tak przed wszystkimi udawałeś...

Nick powstrzymał dalsze słowa, kładąc łagodnie palec na jej ustach. Wolał nie przyznawać się, że Raven interesuje go bardziej niż jakakolwiek kobieta, ale nie mógł też z całkowitą szczerością oświadczyć, iż niczego nie udaje. Pożądanie, które do niej czuł, nie było, rzecz jasna, udawane, ale Raven uważała go wciąż za dobrego ogrodnika, a nie za bogatego niczym Krezus człowieka, którym był w rzeczywistości. Pragnął wierzyć w to, co opowiadała mu o swej przeszłości, o dziewczętach, które z niej szczydziły, o chłopcach, którzy ją wykorzystywali. Jego serce w to wierzyło. Jednak ciągle słyszał ostrzeżenia Victorii: to Raven ich wykorzystywała, to ona z wyrachowaniem uwodziła bogatych młodych mężczyzn, mając nadzieję, że ich usidli.

Nick pragnął mieć Raven dzisiaj, jutro, przez wszystkie dni i noce swego życia. Było to niebezpieczne pragnienie, może nawet nierealne, bo ze względu na swe ukochane córki, tak okrutnie zdradzone kiedyś przez kobietę, która uwodziła po to, by usidlać, musiał kontynuować tę maskaradę.

Nick potrzebował Raven, pragnął jej i był w niej zakochany.

Ale w gruncie rzeczy nie wiedział, czy może jej zaufać.

- Powiedz mi, czego chcesz, Raven - powtórzył spokojnie.

- Ciebie - wyszeptala. Ten szept zdawał się nieść echem poprzez czas, daleko poza granice tej nocy. - Chcę ciebie, Nick.

Nick kochał się z wieloma kobietami, przed ślubem z Deandrą i po rozwodzie. Nie zamierzał powtórnie się żenić ani angażować emocjonalnie. Nick oddał swą miłość, całą bez wyjątku, córkom. Kobiety, z którymi się umawiał, wiedziały o tym, akceptowały to i traktowały ich związek tak, jak on to robił: jako przelotny romans, zapewniający towarzystwo i rozkosz, epikurejską ucztę, którą należy się delektować bardzo powoli, a w końcu - zapomnieć.

Kochanki Nicka rozповідаły, że był najlepszy ze wszystkich, których znały, najbardziej utalentowany i doświadczony. Że to odkrywca w dziedzinie zmysłów, znający mapę rozkoszy na pamięć, który udawał się w tę zapierającą dech podróż z niezachwianą pewnością siebie i niewiarygodnym opanowaniem.

Jednak podróż z Raven, którą miał właśnie rozpocząć, była czymś zupełnie nowym, wyprawą w dzikie i niezbadane terytoria pożądania, namiętności... i miłości. I jak powinien odbyć tę najważniejszą... i najniebezpieczniejszą... ze wszystkich podróży?

97

Grunt się nie śpieszyć. Tylko jedna pieścizota naraz, ale każda z nich będzie obietnicą wieczności. Jego usta będą tkliwie celebrować kochającym pocałunkiem każde odkrycie. Ślady pozostawione przez jego czule wargi będą

niewidzialne. Nie pozostawi żadnych drogowskazów na jej śnieżnobiałej skórze, za którymi mógłby podążać, gdyby się zagubił. Z tej raz rozpoczętej podróży nie ma powrotu.

Rozpaczliwie potrzebował Raven.

Ale chciał, by ten pierwszy raz wydawał się jej początkiem wieczności.

Zaczął rozbierać ją powoli, bardzo powoli, zaczynając od spinek, które przytrzymały te pasma włosów, które nie wymknęły się z lśniącej korony, kiedy tańczyli i całowali się.

- Co robisz?

- Rozbieram cię.

Nick pocałunkiem pożegnał na chwilę śnieżnobiałą szyję, ukrytą teraz za kurtyną czarnego jak noc jedwabiu. Potem jego długie, szczupłe palce i pociemniałe zmysłowo szare oczy skoncentrowały się intensywnie na delikatnym i powolnym zdejmowaniu szafirowych klejnotów, które zdobiły jej uszy.

- Pośpiesz się.

-Nie.

-Nick...

Naleganie w jej głosie sprawiło, że przesunął wzrok z migotliwych błękitnych kolczyków na migotliwe błękitne oczy... i zobaczył w nich lęk. Uświadomił sobie, że nigdy dotąd nie udawała się w taką podróż. Sądzi, że to niemożliwe, że zdarzy się coś, co wszystko zniszczy, że marzenie potrwa tylko kilka chwil.

- Nie ma tu dyni, Kopciuszku - powiedział miękko. - Ani białych myszy. Tylko ty i ja... i mamy przed sobą całą noc. Odczytywał teraz jej myśli, pragnienia i lęki. Raven słyszała te uspokajające słowa, a pomimo to wyciągnęła ręce, by zacząć jego rozbierać.

- Jeśli to zrobisz - ostrzegł ją łagodnie - nie będziemy mieli całej nocy.

- Też mnie pragniesz?

- Pragnę cię, Raven.

Nick zabrał ją do sypialni, do jej sypialni. Zaciągnął ciężkie zasłony i uśmiechnął się czule i uspokajająco, widząc jej niepokój, kiedy sięgał, aby zapalić porcelanową lampę. Lampa stała na toalecie, z dala od łóżka, dawała złociste, łagodne światło, jakby to był ich własny księżyc. Nick rozbierał ją, zdejmując czarny jedwab i biały atlas, aż pozostała tylko czarno-biała jedwabistość samej Raven. A kiedy była już naga, całował najpierw te miejsca, których nie całował dotąd żaden mężczyzna: dłonie i kolana, poranione przez upadek na jezdnię. Gdy czule pieścił gojące się skaleczenia, jego usta i serce

98

wysyłały przeprosiny i obietnicę: "Przepraszam, że sprawiłem ci ból. Będę się bardzo starał, by nigdy więcej cię nie zranić".

- Potrzebuję cię, Nick.

Ponaglony jej słowami Nick oderwał wzrok od pokaleczonej dłoni - i powitało go spojrzenie błękitnych oczu, które lśniły pewnością siebie, nie lękiem. Raven wierzyła teraz w marzenia, wierzyła, że nie znikną, ale wciąż było w niej ponaglenie - cudowne ponaglenie, wywołane pożądaniami.

- A więc mnie rozbierz.

Drżała, dygotała w środku od gorąca, ale jej palce były spokojne i pewne, gdy odszukały guziki jego koszuli... Kiedy skończyła go rozbierać, położyła ją ostrożnie na chłodnych, miękkich prześcieradłach. I gdy go przyjmowała, zobaczył w jej rozjarzonych błękitnych oczach pełne odwagi słowa... Były to te same radosne słowa, które wyśpiewywało jego serce: "Kocham cię! Kocham cię!"

Nigdy dotąd nie zaznał takiego spokoju. Byli spleceni... byli jednością... spojeni wciąż przez ogień namiętności, stopieni w kulę rozkoszy, gdzie zacierały się różnice pomiędzy ciałem jej i jego, sercem jej i jego.

Nick ostrożnie wplótł palce w czarne włosy Raven, które splątały się, gdy się kochali. Ujął dłońmi jej twarz, ponaglając ją, by spojrzała na niego, bo chciał zobaczyć, jak taka doskonałość, taki spokój odzwierciedlają się na jej ślicznej twarzy.

Ale gdy uniosła głowę, a on czule odgarniał czarne włosy, by spojrzeć w jej oczy, zobaczył w nich tylko niepokój.

- Co się stało, Raven?

- Jest jeszcze coś, o czym Victoria prawdopodobnie ci nie mówiła.

-Tak?

- Ona... i pewnie, wszystkie jej przyjaciółki... uważają, że jestem złodziejką, że kradłam pieniądze w domu jej rodziców, gdy moja matka i ja mieszkaliśmy w ich posiadłości.

- I klejnoty - uzupełnił Nick. Potem, patrząc w jej zdziwione oczy, piękniejsze niż najdoskonalsze z szafirów, powiedział: - Mówiła mi. Byłaś młoda, Raven, zdesperowana i biedna.

Wiedział wszystko i już jej wybaczył, a jego łagodność mówiła Raven, że nie miało to dla niego znaczenia. Ale dla niej miało to znaczenie. Chciała, by znał prawdę. Gdy jednak zaczęła mówić, poczuła ból w sercu - nawet po tylu latach uważała, że wyznając prawdę, zdradza Sheilę.

Nicka też bolało serce, gdy słuchał słów Raven. Słyszał w jej głosie żal, poczucie winy z powodu wyjawienia prawdy o kobiecie, która przyczyniła jej tyle cierpienia, ale była jej matką. I gdy Raven skończyła swoją historię, powiedział z wielką delikatnością:

99

-Chroniłaś ją.

Pomyślał, że Raven nawet teraz jest lojalna wobec matki, choć ona nigdy nie dbała o nią. Podobnie jak coś głęboko ukrytego zmusza jego śliczne dziewczynki, by na przekór wszystkiemu kochały swoją matkę.

- Przyznałaś się, Raven. Wzięłaś na siebie winę za to, co ona zrobiła. Gdyby wniesiono oskarżenie, konsekwencje dla ciebie byłyby katastrofalne. Mało prawdopodobne, by przyjęto na prawo osobę karaną.

- Ale oskarżenie nie zostało wniesione i, tak jak obiecywałam, w końcu spłaciłam ten dług. - Uśmiechnęła się krzywo. - W gruncie rzeczy matka Victorii bardzo na tym skorzystała. Wysłałam jej w sumie dwadzieścia pięć tysięcy dolarów, co z pewnością znacznie przekracza wartość rzeczy skradzionych. .. I pani Wainwright nigdy nie mówiła nic o klejnotach. - Uśmiech Raven zbladł, a jej błyszczące niczym drogie kamienie oczy stały się bardzo poważne. - Nie jestem złodziejką, Nick, nigdy nią nie byłam. Chciałam, abyś to wiedział.

"Owszem -pomyślał Nick. - Skradłaś moje serce. I możesz je sobie zatrzymać".

- Teraz to wiem - szepnął miękko przy jej ustach. Pragnął jej, potrzebował jej znowu, już, w tej chwili. - I zamierzam cię kochać... bardzo powoli... jeśli tylko zdołam.

Kochać cię. Te słowa obmyły ją falą ciepła, o wiele potężniejszą od poprzednich, choć były tak niezwykle. "Kochać cię" powiedział, a nie "kochać się z tobą". Raven czuła, że jest to różnica taka, jak między pozorami a wiarą, między wyobraźnią a rzeczywistością.

Witał pocałunkami te części jej ciała, na które zabrakło mu czasu poprzednim razem. I Raven po raz pierwszy w życiu nie bała się takiej intymności, czuła radosny bezwstyd. Oddała się Nickowi jak nigdy przedtem, a słysząc jego ciche westchnienia, pełne pożądania, po raz pierwszy uwierzyła -i nie było to udawane - że naprawdę ma coś do zaoferowania...

Dryfowali od rozkoszy do błogich snów, ale raz po raz budziły się ich splecione ciała, które nawet podczas snu ciągle od nowa rozpoczynały cudowny taniec miłości.

W końcu obudziło ich coś o wiele mniej czarownego: przeraźliwy dzwonek telefonu. Gdy Nick poruszył się, aby podnieść słuchawkę, zauważył godzinę na znajdującym się koło łóżka zegarze. Piętnaście po jedenastej.

- Dzień dobry, Nicholasie. Mówi Victoria. Zarezerwowaliśmy dla was miejsce przy naszym stole. Jedzenie jest wspaniałe, a szampan leje się strumieniami.

100

- Poczekaj chwilkę, Victorio. - Nick zakrył dłonią słuchawkę i spojrzał na śliczną twarz Raven, znów zaniepokojoną. Nick uśmiechnął się, przypominając jej, co ich wiązało, i dopiero wtedy, gdy się uspokoiła, powiedział: -Zaczął się lunch. Victoria i Blane zarezerwowali dla nas miejsce przy stole.

- Jesteś głodny?

- Mam apetyt tylko na ciebie. - Powiedziawszy to, Nick odsłonił słuchawkę. - Myślę, że Raven i ja darujemy sobie lunch.

- Więc nie zobaczymy się już?

- Chyba nie.

- Czy coś się stało, Nicholasie?

Poczuł przyплыw gniewu, gdy usłyszał w głosie Victorii nutkę nadziei, oczekiwania, że zrani Raven, porzuci ją, gdy znudzi się jej doskonałym ciałem. Zapanował nad sobą i odpowiedział wesoło:

- Nie, Victorio, wszystko jest w absolutnym porządku. Przekaż wszystkim pozostałym nasze przeprosiny.

Odłożywszy słuchawkę, Nick spojrzał na Raven i powtórzył namiętnie:

- Mam apetyt tylko na ciebie.

Następnym razem obudziło ich radio, które Nick nastawił na budzenie, zanim udowodnił jej, jak bardzo jej pragnie. Ten sygnał znaczył, że jest wpół do drugiej, czas, by wziąć prysznic i ubrać się, jeśli mają zdążyć na lot o czwartej do Los Angeles.

Nick pocałował ją, niechętnie wyszedł z łóżka, narzucił jeden z hotelowych płaszczy kąpielowych i podszedł do okna, by odsunąć ciężkie zasłony. Zanim zaczną przygotowywać się do wyjazdu, mogą jeszcze spędzić chwilę na wspólnym podziwianiu wspaniałości jeziora i nieba.

Ale za oknem nie było jeziora ani nieba, jedynie niepokalanie biała płatanina wirujących płatków śniegu. Gdy Nick i Raven dokonywali tego dramatycznego odkrycia, głos z radia powiedział im, co to znaczy. Wiosenna zamieć śnieżna pojawiła się dosłownie jak grom z jasnego nieba. Miasto, zawsze przygotowane na zimowy śnieg, tym razem zostało nim zaskoczzone i sparaliżowane. Międzynarodowe lotnisko OHare, zamknięte przynajmniej do rana, a jeśli nawet zostanie wtedy otwarte, na pewno będą duże opóźnienia, spowodowane koniecznością zakwaterowania wszystkich pasażerów.

Nick i Raven byli bezpieczni w samym środku krainy baśni, ale każde z nich miało ważne zobowiązania w drugiej części kontynentu.

- Tak mi przykro - wyszeptła Raven, instynktownie spodziewając się wybuchu gniewu Nicka. Michael z pewnością byłby wściekły, gdyby to jemu się przydarzyło. Ale ona i Michael nie zostaliby uwięzieni przez zamieć.

101

Wylecieliby wczesnym rankiem, zanim rozpętała się zadyмка. Michael, Victoria i Blane zostaliby przyjaciółmi.

Michael nalegałby, by tańczyła z Blanem i ze wszystkimi byłymi kochankami, podczas gdy on czarowałby ich żony. I kiedy w końcu przekonałaby go, że pora iść do łóżka ze względu na wczesną porę odlotu, zadbałby o swoje seksualne

zaspokojenie, biorąc ją szybko i brutalnie, a ona byłaby uszczęśliwiona, wdzięczna, że zgodził się towarzyszyć jej podczas tego ważnego zjazdu.

Nick pomyślał, że Raven znów sprawia wrażenie smutnej i zagubionej.

- Hej, Raven - powiedział miękko. - To nie koniec świata. W gruncie rzeczy jest to nawet bardzo romantyczne. Muszę tylko zatelefonować. Przypuszczam, że ty też. Co więc powiesz na taką kolejność: telefon, prysznic i śniadanie w pokoju?

Pragnął pokonać jej smutek, pośpieszyć jej na ratunek - i udało mu się. Uśmiechnęła się uroczonie... ale po chwili wyraz jej twarzy znowu się zmienił. Jednak tym razem nie był to smutek. Intensywnie nad czymś myślała.

- Przypominasz sobie jutrzejszy harmonogram? - próbował zgadnąć.

- Nie. Staram się przypomnieć sobie numer telefonu w Kodiaku na Alasce. Należy do Lauren Sinclair. Miałyśmy się obie spotkać jutro na lunchu z Jasonem Coleem, by omówić film, który zamierza on nakręcić na podstawie Darów miłości.

- Sinclair może już być w drodze do Los Angeles.

- Tak, ale nie wiem, gdzie się zatrzyma.

- Musisz być na tym spotkaniu?

-Nie, nie jest to konieczne, ale chciałam tam przyjść. - Pomyślała, że to szczególnie Sinclair na tym zależało, ale nie powiedziała tego na głos. Pomyślałaby jeszcze, że się przechwała. - Ona i ja musimy przekonać Jasona, by nie zmieniał szczęśliwego zakończenia jej książki. - Raven potrząsnęła delikatnie spletanymi w nocy czarnymi lokami. - Dzwoniłam do niej dwukrotnie, więc powinnam zapamiętać numer.

- Masz pamięć fotograficzną?

- Kiedyś miałam. W miarę upływu lat coraz częściej odnoszę wrażenie, że film się kończy... a przynajmniej, że zapomniałam założyć nową rolę.

- Zjrzyj do książki telefonicznej? A może Lauren Sinclair to pseudonim?

- Tak, ale znam jej prawdziwe nazwisko. Jednak ona tak zazdrośnie broni swej prywatności, że byłabym zaskoczona, gdyby nie zastrzegła numeru.

- Przetnę zadawać ci pytania, żebyś mogła spokojnie myśleć. Pójdę do drugiej sypialni i skorzystam z tamtego telefonu. A czy będę mógł potem przyjść do ciebie pod prysznic?

- Tak... proszę.

102

13

Raven była zupełnie pewna, że przypomniała sobie właściwy numer telefonu, ale kiedy nikt nie podnosił słuchawki, na wszelki wypadek zadzwoniła do informacji telefonicznej w Kodiaku. Jednak, jak przypuszczała, w spisie abonentów nie było ani Lauren Sinclair ani Marilyn Pierce. A tymczasem autorka bez wątpienia była już w drodze do Los Angeles. Raven zadzwoniła jeszcze do swego biura, zawieszono ponad Aleją Gwiazd, i zostawiła sekretarce wiadomość, że najprawdopodobniej nie będzie jej jutro w pracy i należy odwołać wszystkie wyznaczone na ten dzień spotkania.

Potem, podeszła do okna i przyglądała się zadymce śnieżnej. Na dworze musiało być okropnie zimno, ale ona nawet tam czułaby wewnętrzne ciepło. Wspaniałe ciepło i szczęście. Po raz pierwszy w życiu prawdziwe szczęście...

Nick też wpatrywał się w okno, podziwiając rozgrywający się spektakl. Też czuł się szczęśliwy. Gdy wybierał numer do swej posiadłości w Bel Air, oczekując, że słuchawkę podniesie jego ojciec albo matka, zastanawiał się, czy szczęście, które czuł, słuchać będzie w jego głosie.

Ale telefon odebrała jego dwunastoletnia córka, Samantha. Znaczyło, że Deandra odwołała spotkanie. Gdy sobie to uświadomił, poczuł nienawiść do Deandry oraz gorącą, opiekuńczą miłość do córek. Obie jego dziewczynki zostały zdradzone przez matkę, ale jedynie starsza z nich, Samantha, zachowała wspomnienia tej zdrady.

- Cześć - powiedział czule.

- Tatusi!

Przystępując od razu do sedna sprawy, gdyż był to najlepszy sposób, aby skłonić jego wrażliwą córkę do mówienia, spytał:

- Co się stało?

- Powiedziała, że jest bardzo zażębiona. - Po chwili Samantha dodała cicho: - Jej głos brzmiał, jak gdyby naprawdę tak było.

Nowy przypływ nienawiści zalał Nicka, gdy usłyszał, jak Samantha broni matki, która nie zasługiwała na obronę, która porzuciła ją przed laty i wciąż na nowo ją porzucała. Samantha nie czuła jeszcze gniewu w stosunku do Deandry, ale ostatnio miał wrażenie, że wrażliwe serduszek jego starszej córki zaczęło w końcu rozumieć, po czyjej stronie leży wina. Teraz, kiedy Deandra odwoływała czasem ich spotkania, wydawało się, że Samantha czuje raczej ulgę niż rozczarowanie i ból.

103

Nick nie mógł się doczekać dnia, kiedy dziewczynki po prostu uznają, że nie potrzebują wizyt u matki. Już dawno chętnie podjąłby za nie tę decyzję. Ale wiedział, że byłoby to błędne posunięcie. Zakazać im kontaktów z Deandrą znaczyło, że będą jej jeszcze bardziej potrzebować - i idealizować. Z czasem, jego córki zobaczą matkę taką, jaką była: samolubną pozbawioną uczuć.

- Wszystko w porządku, kochanie?

- Tak. Babcia, dziadek i ja graliśmy w kanastę.

Czuły uśmiech pojawił się na twarzy Nicka. Nigdy się nie dowie, czy zdołałby sam wychować pozbawione matki córeczki, czy wystarczyłoby im miłość ojca, bo rodzice byli przy nim od pierwszej chwili, gdy ich potrzebował, kochając jego małe dziewczuszki tak gorąco, jak on je kochał.

- Wygrywasz?

Jego pytanie wywołało efekt, o jakim marzył: radosny śmiech w słuchawce.

-Nie! Oczywiście wygrywa babcia.

- Oczywiście - powtórzył Nick. To była ich rodzinna tradycja. Babcia zawsze pokonywała wszystkich w kanaście. Nikt nie chciał tego zmieniać. A dzisiaj, gdy świat Samantha jeszcze raz zachwiał się w posadach z winy matki, która jej nie chciała, wszystko powinno działać się normalnie. - A gdzie Mel?

- U Jessiki.

Nick nie był zdziwiony. W dniu, kiedy Samantha ponownie została odrzucona przez Deandrę, musiała być w domu, z dziadkami, którzy kochali ją bezgranicznie. Ale dziewięcioletnia Melody, która nawet nie przyszłaby na świat, gdyby Deandra postawiła na swoim, nie czuła takiej potrzeby. Melody nie wiedziała, nigdy się nie dowie, jak bardzo matka jej nie chciała. I w przeciwieństwie do Samantha, która spędziła pierwsze trzy lata życia z matką, kochającą ją tylko w obecności ojca, Melody uważała Deandrę niemal za przelotnego gościa w świecie wypełnionym ogromną miłością ojca, dziadków i dużej siostry.

- Jesteś w drodze do domu, tatusiu?

- Nie - przyznał się Nick przepaszczając. Chciał być tam z nią teraz. - Wygląda na to, że wrócę do domu jutro po południu, a może i w nocy. Chcesz wiedzieć dlaczego?

-Tak.

- Bo nagle bez żadnego ostrzeżenia nad Chicago rozpułała się burza śnieżna.

- Śnieg?

Nick uśmiechnął się, słysząc entuzjazm, który tak szybko zastąpił rozczarowanie w głosie Samantha. Obie dziewczynki uwielbiały śnieg. Jak tylko dowiedziały się, że istnieje takie zjawisko, chciały zetknąć się z nim osobiście. Przez kilka ostatnich lat cała rodzina spędzała święta Bożego

104

Narodzenia w hotelu "Eden" nad jeziorem Tahoe. Dokazywali w śniegu, jeździli na sankach i popijali gorącą czekoladę z cukierkami ślazowymi, obserwując, jak na dworze pada śnieg.

- Żałuję, że cię tu nie ma - powiedział Nick. - Czy wiesz, jakie to sprawia wrażenie?

-Jakie?

- Jak gdybym był we wnętrzu szklanej kuli, którą ktoś mocno potrząsa.

-Fajnie!

- Bardzo fajnie - zgodził się, myśląc jednocześnie o kolekcji szklanych kul swych córek.

To były prezenty od niego, przywożone z przymusowych podróży służbowych, podejmowanych w celu kontrolowania budowy jego hoteli w Tahoe, Aspen, Chamonix i Gstaad. Ze swych podróży, zwłaszcza tych do odległych miejsc, Nick zawsze wracał z podarkami. A z krótszych wyjazdów, takich jak w ten weekend, przywoził prezenty tylko wtedy, gdy zobaczył coś, co -jak sądził - spodoba się dziewczynkom. Na ich życie składały się dary miłości, nie pieniędzy, a gdy wróci z Chicago, najbardziej uszczęśliwią ich jego uśmiechy, uściski i szczegółowy opis zamieci.

Nick nie planował wrócić z Chicago z podarunkami dla córek, ale teraz serce podszeptowało mu coś ogromnie niebezpiecznego: żeby przywieźć im najwspanialszy z darów, taki, jakiego nigdy nie zamierzał im dać - matkę.

- Tatusiu?

- Słucham, kochanie - zwrócił się łagodnie do córki, która potrzebowała matki, do małej dziewczynki, tak szybko... zbyt szybko... przekształcającej się w małą kobietkę.

- Babcia ma taki błysk w oku, jak wtedy, kiedy znowu ma z kimś wygrać.

Nick zaśmiał się.

- Więc lepiej idź do niej. Kocham cię, skarbie. Zobaczymy się jutro wieczorem.

- Ja też cię kocham, tatusiu.

"Kocham cię, skarbie. Zobaczymy się jutro wieczorem". Tak brzmiały słowa -wstrząsające słowa, wypowiedziane z wielką czułością -które usłyszała Raven, zbliżając się do otwartych drzwi sypialni Nicka.

Nick powiedział jej dokładnie, co chciał, aby zrobiła: ma zatelefonować, a potem spotkają się pod prysznicem. Tak właśnie powinna była postąpić. Czy życie nie dało jej nauczki (i to wielokrotnie), że mężczyźni, będący jej kochankami, oczekują, iż będzie spełniała ich rozkazy co do joty?

105

Ale to cudowne ciepło dodało jej odwagi. Szczęśliwa, powiedziała sobie: "Idź do niego, podziwiał z nim cud śnieżnej burzy, a potem, gdy nadejdzie czas, by podziwiać inne cuda, uwiedź go, jak on uwodził cię przez całą noc..."

Ciepło znikło teraz bez śladu, zastąpił je lód. Łzy napływały jej do oczu. Nikt nigdy nie widział jej płaczu, ani razu, i nie pozwoli, by właśnie Nick zobaczył jej cierpienie. Ukryje łzy, zanim Nick przyłączy się do niej pod prysznicem, krople wody zamaskują krople łez. Co prawda, on i tak nie poświęci wiele czasu na przyglądanie się jej twarzy. Jego uwagę przyciągnie coś innego, inne, oczywiście przyjemności.

Odchodząc od drzwi, Raven uświadomiła sobie, że tego właśnie pragnie. Chciała, by ją dotykał, by ją kochał.

Tak, wiedziała, że to wszystko pozory, marzenie, które zniknie razem ze śniegiem. Ale na razie, jak długo się da, zamierzała wciąż udawać...

- Raven?

Znajdowała się w drugiej części pokoju, daleko... zbyt daleko od prysznicy, który by zamaskował jej idiotyczne łzy. Nie zamierzała się odwracać, nie mogła tego zrobić. Ale on już podszedł do niej, jego silne palce uniosły jej podbródek i delikatnie dotknęły lez.

- Cokolwiek zdołałaś usłyszeć, jestem pewien, że źle to zrozumiałaś.

- Słyszałam, jak rozmawiasz ze swą przyjaciółką... albo żoną.

- Nie mam żadnej przyjaciółki, Raven, i nie mam żony - powiedział miękko Nick, wpatrując się w oczy, które napęły się łzami, gdyż tak bardzo zmartwiło ją to, że mogła istnieć jakaś kobieta, którą kochał. "Nie jesteś jej obojętnym, szeptało serce Nicka z niebezpieczną radością. Chce być twoją przyjaciółką... a może nawet żoną. Powiedz jej, że może być jedną i drugą, poproś ją o to". Nick odsunął od siebie te myśli, wspominając młode, ukochane istoty, które tak łatwo było zranić. - Rozmawiałem z córką.

- Z córką?

- Tak. Mam dwie córki. Samantha, z którą rozmawiałem, skończyła dwanaście lat, a druga - dziewięć. Dwie córki, Raven, ale żadnej przyjaciółki ani żony.

- Czy ona umarła? - spytała Raven.

- Kto? Deandra? - Nick zaśmiał się krótko i gorzko. - Nie. Moja była żona jest jak najbardziej żywa.

- Bardzo cię zraniła.

- Nie - odparł z powagą. - Zraniła moje córki.

- Och!

106

To jedno słowo, cichy szept, ale powiedziało Nickowi wszystko. Raven martwiła się o niego, że mógł zostać zraniony przez byłą żonę, ale nawet ta głęboka troska bladła w porównaniu z niepokojem, wywołanym myślą o tym, jaką krzywdę mogła zrobić Deandra jego córkom.

"Raven by je pokochała" - mówiło serce Nicka. Ta kobieta, tak strasznie skrzywdzona przez matkę, wiedziała doskonale, jak łatwo zranić młode dziewczęta.

Jednak jakiś głos wewnętrzny ostrzegł go, że krzywda, której doznała, gdy była biedna i odrzucona przez wszystkich, sprawiła, iż Raven bardzo troszczyła się też o inne sprawy: bogactwo, wygląd, możliwość wejścia do hermetycznego kręgu ludzi uprzywilejowanych. Nie należy zapominać, co mówiła Victoria: żądza pieniędzy jest u Raven nienasycona. Całą duszą Nick pragnął powiedzieć Raven wszystko o sobie i dziewczynkach, poprosić, by włączyła się do ich kręgu - kręgu miłości - na zawsze. Ale było na to o wiele za wcześnie. Zakochał się w niej, to pewne, i wierzył, że ona także zaczyna go kochać. Jednak na razie musiał kontynuować tę maskaradę.

Zamiast otoczyć Raven ramionami, Nick poprosił ją gestem, by usiadła na kanapie, podczas gdy sam nadal stał. Taki dystans był konieczny, ponieważ miał jej właśnie opowiedzieć za pomocą starannie dobranych słów mocno ocenianą historię Deandry. Gdyby dotykał Raven, wyczułaby jego wściekłość. I gdyby jej dotykał, mógłby niebacznie wyznać całą prawdę.

- Deandra i ja pobraliśmy się pół roku po ukończeniu college'u. To nie była pochopna decyzja. Zналиśmy się od przeszło dwóch lat i rozmawialiśmy często o naszym wspólnym marzeniu, by mieć dzieci. Kiedy po szesnastu miesiącach urodziła się Samantha, byliśmy zachwyceni. Deandra w mojej obecności zachowywała się jak kochająca matka, ale jak przekonałem się później, była po prostu wspaniałą aktorką. Kiedy mnie nie było w pobliżu, całkowicie ignorowała Samanthę.

- Bardzo ci współczuję - wyszeptała Raven, ale Nick zdawał się jej nie słyszeć. To nie była cała historia, wiele jeszcze zostało do opowiedzenia.

- Mniej więcej rok po urodzeniu Samanthy postanowiliśmy postarać się o drugie dziecko. Nie byłem mężem-tyranem, który narzuca swoją wolę potulnej, uciśnionej żonie. Sądziłem, że również ona pragnie mieć więcej dzieci. I razem żalowaliśmy, że miesiąc po miesiącu mijał bez poczęcia dziecka.

Nick zaczerpnął tchu, żeby się uspokoić. Ale uczucia, które w nim szalały nie uspokoiły się i nigdy nie uspokoją. Ani teraz, po upływie dziewięciu lat, ani nigdy.

Raven widywała wcześniej wściekłość, pełną pogardy złość w oczach kochanków sfrustrowanych jej chłodem. Jednak to, co obserwowała teraz, przewyższało wszystko, co dotąd widziała. W szarych jak dym oczach Nicka

107

szalał płomień, ogniste piekło, zawsze tak starannie maskowane. Stał, z której stworzony był Nick, topiła się, stawała się srebrną rzeką, grożącą zniszczeniem, unicestwieniem wszystkiego, co stanie na jej drodze.

Ale Raven, która zawsze tak bardzo bała się męskiej wściekłości, o dziwo, nie czuła wcale lęku.

-Nick?

Oczy miał wbite w dal, w jakiś niewidzialny, nienawistny obraz. Kiedy jednak usłyszał troskę w jej głosie, trochę złagodniał.

Ta łagodność była przeznaczona dla Raven. Nie było jej w jego głosie, gdy opowiadał Raven o tamtym dawno minionym dniu.

- Pewnego popołudnia, kiedy Samantha miała prawie trzy lata, przypadkowo wróciłem wcześniej do domu. Telefon

zadzwoił, gdy stanąłem w drzwiach. Dzwoniono z gabinetu lekarskiego, potwierdzając zabieg przerwania ciąży, który Deandra miała wyznaczony na następny dzień. Zaszła w ciążę, choć przez te wszystkie miesiące, kiedy udawała niepocieszoną, że nie mogliśmy spłodzić dziecka, miała założoną spiralkę. Zamierzała przerwać ciążę i jednocześnie przejść operację podwiązania jajowodów.

Serce Raven płakało ze smutku. Jak dobrze znała cierpienie z powodu zdrady. Towarzyszyło jej stale przez całe życie. Zastanawiała się, dlaczego Deandra zdradziła Nicka? Jak mogła nie chcieć jego dziecka? To nie była zdrada pod wpływem impulsu, wywołana nagłą zmianą zdania, lecz przemyślane oszustwo.

Deandra zdecydowała się poślubić Nicka, chciała tego. W gruncie rzeczy jej pragnienie, by zostać jego żoną, było tak silne, że systematycznie go okłamywała, udając, że dzieli z nim marzenie o dzieciach.

Dlaczego?

Dla Raven odpowiedź była prosta: bo Deandra bardzo kochała Nicka, za bardzo. Pragnęła rozpaczliwie jego miłości, ale nie chciała dzielić się nią z nikim, nawet z ich dziećmi.

- Deandra pragnęła tylko ciebie.

"Nie - pomyślał Nick. - Deandra chciała jedynie moich pieniędzy". Taka była gorzka prawda, ale w głosie Raven usłyszał coś cudownego: wierzyła, że Deandra kochała go nie dla jego bogactw, nie dla przedmiotów, które można kupić za jego pieniądze.

- Co się potem stało, Nick?

- Przekonałem ją, by urodziła dziecko. - "Zapłaciłem jej" - poprawił się w duchu. Zapis w kontrakcie rozwodowym był bardzo hojny... ale to drobiazg w porównaniu z tym, co w ten sposób kupił... co ocalił. - Oczywiście małżeństwo było skończone. Prawnie przestało istnieć w dniu narodzin Melody.

- Melody.

108

Nick uśmiechnął się z miłością.

- To idealne imię dla niej. Wesoło maszeruje przez życie w rytm własnego bębenka. - Uśmiech Nicka zbladł i emocje zawładnęły jego głosem. - Kiedy pomyślę, co mogło się zdarzyć, gdybym nie wrócił wcześniej do domu tamtego popołudnia...

- Ale wróciłeś - przypomniała mu spokojnie Raven, myśląc jednocześnie o swym nie narodzonym bracie lub siostrze. - Raven?

Potrząsnęła lekko głową, wracając do rzeczywistości. Potem spojrzała na niego i zapytała:

- Kto zajmuje się dziewczynkami w ten weekend?

- Moi rodzice. Mieszkamy razem. Deandra miała spędzić z nimi dzisiejszy dzień, ale odwołała spotkanie w ostatniej chwili... nie po raz pierwszy.

- Więc ona w dalszym ciągu mieszka w Los Angeles?

- W Los Angeles, w Nowym Jorku, w Palm Beach. Poślubiła bogacza, który miał już tyle dzieci, ile chciał.

- Nadal ją kochasz?

- Prawdę mówiąc, nie pamiętam, bym ją kiedykolwiek kochał. Wszystko, co do niej czułem, zostało wymazane z mej pamięci w chwili, gdy zrozumiałem, co by zrobiła, gdybym nie odkrył jej planu.

Raven skinęła z powagą głową, i przez jakiś czas panowało milczenie. W końcu Nick spytał ją:

- Czy wciąż kochasz swoją matkę, chociaż cię zdradziła? Raven długo zastanawiała się, zanim odpowiedziała na pytanie, najwyraźniej mające dla niego wielkie znaczenie.

- Czy wciąż ją kocham? Nie. Ale kochałam bardzo długo, nawet gdy wyjechała. Zdaję sobie sprawę, jak bardzo była niepoczytalna, i po prostu jej współczuję. Nie kochała samej siebie i dlatego nie była w stanie pokochać dziecka.

Dlaczego mnie o to pytasz, Nick? Ze względu na to, co Samantha i Melody czują do Deandry?

- Tak. Zwłaszcza Sam. Chociaż została tak skrzywdzona, to jej najbardziej zależy na zachowaniu więzi z matką.

- Musisz jej pozwolić, by zachowała tę więź, Nick, tak długo, jak zechce. Kiedy nadejdzie odpowiednia pora, zrezygnuje z niej.

Raven rozumiała jego stan ducha i starała się coś pomóc w sprawie córek. Teraz Nick nie mógł już zagłuszyć niebezpiecznego pragnienia swego serca.

- Chcę, żebyś je poznała.

- Och - szepnęła - bardzo bym tego chciała.

- Co powiesz na kolację w tym tygodniu?

- Wspaniale. - Raven wahała się przez chwilę. Ostatni raz przygotowywała dla kogoś posiłek przed piętnastu laty.

Tamtego wieczora, gdy odeszła

109

jej matka, zanim Patrice Wainwright pojawiła się o północy, by zniszczyć jej świat, przyrzędną dla Victorii i jej rodziców wytworną kolację. - A może wpadlibyście do mnie? Ugotuję coś.

- Naprawdę tego chcesz?

- Jak najbardziej.

- W porządku. Przyjdziemy. - Nick zauważył, że Raven o czymś myśli, przygryzając dolną wargę. - O co chodzi?

- Może twoi rodzice też chcieliby przyjść?

Nick pomyślał, że jego rodzice zgodziliby się chętnie. Zwłaszcza matka, która w innym razie pękałaby z ciekawości,



kim jest kobieta, dla której urządził ogród różany, z którą pojechał do Chicago i której, co najdziwniejsze, chciał przedstawić swe córki.

- Dziękuję - odparł - ale spotkanie z dziewczynkami to dosyć na jeden wieczór. Z Melody nie będzie żadnych problemów, jednak Samantha może być zamknięta w sobie, a nawet trochę wroga. To wspaniała dziewczynka, wspaniałomyślna i kochająca w stosunku do siostry, dziadków i mnie, ale innym nie pozwala przekraczać tego kręgu miłości.

- Rozumiem, Nick. Wiem, co to zdrada i zaufanie.

- Mam tylko nadzieję, że kiedy dowiesz się, iż ukryłem coś przed tobą, by znowu nie zawieść moich córek, potrafiś to zrozumieć... i przebaczyć.

Część trzecia

14

2.05 Angeles, Kalifornia Poniedziałek, 27 marca

Pan Cole? Tu Elaine z recepcji. Zadzwoniła sekretarka Raven Winter, by odwołać dzisiejszy lunch. Najwidoczniej śnieżycy zatrzymała panią Winter w Chicago.

- W porządku. Dziękuję - odpowiedział chłodno Jason, skrywając irytację. Wcale nie był zadowolony z tej wiadomości, ale nie było powodu, by zabijać - czy choćby wprawiać w zakłopotanie - posłańca.

Jednak Jason był zirytowany. Z powodu planowanego lunchu z Lauren Sinclair i Raven Winter dał Grecie wolny dzień. Po lunchu zamierzał wrócić do domu, by zająć się pracą w swym apartamencie na dachu Santa Monica Palisades, dopóki o czwartej czterdzieści pięć nie przyjedzie limuzyna, by zawieźć go do pawilonu Dorothy Chandler.

Jason nie znosił marnowania czasu. Prawdę mówiąc, nigdy tego nie robił. Niezaprzeczalnie twórczy geniusz, reżyser o wyjątkowej i sugestywnej wyobraźni różnił się od innych utalentowanych osobistości tym, że nigdy nie tracił kontaktu z rzeczywistością. Był skupiony, zorganizowany, z reguły kończył swe wielomiliardowe arcydzieła przed czasem, a koszty były niższe od zaplanowanych.

Teraz, gdy dowiedział się, że nagle ma wolne popołudnie, natychmiast pomyślał o następnych czterech dniach. W czwartek leci do Hongkongu, na plan filmu Nefrytowy pałac. Przedtem miał wiele spraw do załatwienia. Niektóre były błahe, inne wyjątkowo ważne. Ale Jason nie wprowadzał rozróżnienia. Wszystko będzie zakończone, zanim we czwartek o godzinie trzeciej odrzutowiec Gold Star wystartuje z lotniska.

W ciągu tych kilku godzin przygotowuje wiele listów, które powinny zostać wysłane. Mógłby je dyktować, ale z powodu nieobecności Greta trzeba znaleźć kogoś, kto by je przepisał. Po chwili wahania Jason wybrał znajomy czterocyfrowy numer i połączył się z kierowniczką administracji Gold Star. Sprawność i wydajność Margot, jej rozsądek oraz zdolności organizacyjne

113

stanowiły doskonałe uzupełnienie jego umiejętności. Jason wiedział też, że chociaż dzień przyznawania Oscarów jest w Hollywood nieoficjalnym światem, Margot będzie na swoim miejscu.

- Musisz mi pomóc - powiedział, nie przedstawiając się.

- Och, nie, Jasonie. Dzisiaj?

- Wiem. Ale spróbuj kogoś dla mnie znaleźć.

- Jedna osoba? - spytała z nadzieją w głosie Margot. Zwykle Jason żądał kilku pracowników, i to natychmiast

- Jedna - potwierdził Jason. - Żeby przepisała kilka listów między dwunastą a trzecią.

- A nie przed dwunastą?

- W tym czasie będę zajęty. No więc jak?

- Przyślę kogoś punktualnie w południe.

- Dziękuję.

- Nie ma za co. I oby ci się poszczęściło dziś wieczorem, Jasonie.

Była dokładnie dwunasta, gdy pojawiła się w jego drzwiach, ale choć miał swój wewnętrzny zegar, dzięki któremu nigdy nie tracił rachuby czasu, to nie świadomość, że jest już południe, i najwyższy czas, by pojawiła się obiecana sekretarka, skłoniła Jasona do oderwania się od korespondencji. Żaden szelest, nawet najcichsze westchnienie nie oznajmiło jej przybycia. Było w niej coś tak eterycznego, że wydawało się niemożliwością, by jego uwagę przyciągnęła jakaś zmiana cienia lub światła, sygnalizująca ruch.

Jason nie miał pojęcia, dlaczego uniósł głowę. Po prostu coś go do tego zmusiło, a kiedy to zrobił, zdołał ukryć zaskoczenie tylko dzięki swemu wybitnemu talentowi aktorskiemu.

Sekretarki i recepcjonistki, które pracowały w hollywoodzkich studiach, często marzyły dawniej, by zostać aktorkami. Nosiły eleganckie, jaskrawe stroje, a ich makijaż był zawsze nienaganny. Każde zadanie, nawet najnudniejsze przyjmowały z ogromnym entuzjazmem, a na wydarzenia w biurze reagowały w ten sposób, by zademonstrować pełną skalę swoich uczuć.

Aktorki in spe, pracujące jako sekretarki w Hollywood, były piękne, utalentowane i doświadczone. I każda z nich miała cechę, niezbędną do przetrwania w mieście blichtru: pewność siebie, a przynajmniej jej pozór.

Kobieta, która pojawiła się w drzwiach Jasona w samo południe, nie miała nawet cienia pewności siebie. Może sama była cieniem, mirażem, który rozwieje się równie tajemniczo, jak się pojawił? Wyglądała, jakby chciała zniknąć. Twarz miała niemal całkiem ukrytą pod wspaniałym woalem złotych

114

włosów. Jason dostrzegł intrygujące fragmenty delikatnych rysów, ale jej oczy ukryte były za okularami w drucianej oprawce.

Kiedy pod jego natarczywym spojrzeniem kobieta ukryła jeszcze bardziej twarz, Jason przesunął wzrok na jej ubranie. Zamiast jaskrawego upierzenia, typowego dla większości sekretarek, strojów skrojonych tak, by uwydatnić zgrabne nogi i zmysłowo kształtne ciało, nosiła sukienkę równie maskującą jak złoty woal - szeroką, sięgającą do ziemi, z całą łąką haftowanych polnych kwiatów.

Jason uznał, że sukienka jest naprawdę ładna, choć wydawała się zabytkiem z innej epoki - tak samo jak jej właścicielka. Zjawa, która przed nim stanęła, była dzieckiem-kwiatem. Tak wyjątkowo delikatne kwiaty czas już dawno zmiotł z powierzchni ziemi. Takie jak ona powinny siedzieć na łące, trącać struny gitary i śpiewać ballady o miłości. Tymczasem stała tu, wyrwana z sielskiej ciszy, gdzie było jej miejsce, przeniesiona poprzez dziesięciolecia do tego zwariowanego świata... do niego, człowieka, który był tu władcą.

To, że tu stała, wydawało się okropną pomyłką. Ale była tu, dokładnie o czasie, jak obiecała Margot. Miała być jego sekretarką tego popołudnia, a jeśli Jason potrzebował jeszcze jakiegoś dowodu jej tożsamości, wystarczyło, by spojrzął na jej ręce. Tkwił w nich kołonotatnik, ściskany palcami, które powinny trącać struny gitary.

Przyszła tu punktualnie, gotowa do pracy.

Jednak nie należała do grona niespełnionych aktorek. Każda z nich gotowa była popełnić morderstwo, by mieć szansę spędzenia popołudnia na pracy dla Jasona Colea. Czy istniał lepszy sposób, by zostać odkrytą? Czy był jakiś potężniejszy od niego człowiek w Hollywood? A nawet gdyby nic z tego nie wyszło, większość byłaby po prostu zachwycona okazją spędzenia z nim kilku godzin.

Jason nie miał najmniejszej wątpliwości, że zjawa, stojąca w jego drzwiach, wcale nie jest zachwycona, że się tu znalazła. A jednak zdecydowała się tu przyjść, okazując wielką odwagę.

Czy naprawdę jest aż tak przerażający? Czy można go oskarżyć o okrucieństwo w stosunku do tych, którzy nie stanęli na wysokości zadania?

Owszem, był wymagający, bardzo wymagający. Ale nikt nie widział, by kiedyś stracił cierpliwość, ani razu. Nawet teraz, gdy Jason poczuł silny przypływ irytacji, że delikatny kwiatusek stojący przed nim tak wyraźnie się go boi, jego głos był równie miły i pokrzepiający jak uśmiech.

Wstał i powitał ją.

- Dzień dobry, proszę, niech pani wejdzie. Jest pani punktualna.

W odpowiedzi na milczący, władczy gest zdobywcy wielu nagród weszła do biura i usiadła na krześle. Teraz, gdy był od niej oddzielony tylko

115

błyszczącym biurkiem, widział wyraźnie czubki jej bladych, trochę drżących palców z obgryzionymi paznokciami. Zobaczył też jej oczy. Ich kolor stanowił zadziwiające połączenie błękitu i zieleni, a niezwykle blask podkreślony był jeszcze optycznymi szklami, które nosiła. I - uświadomił sobie z kolejnym przypływem gniewu - wydawało się, że te niesamowite błękitnozielone oczy również drżą.

Pragnął rozwiać jej obawy, musiał to zrobić. Najłatwiejszy sposób polegał na zademonstrowaniu jej, jak łatwo jest dla niego pracować. Mógłby dać jej po prostu taśmę z nagrany tekstem listów, by mogła zacząć je przepisywać, podczas gdy on nagrywałby następne. Ale wtedy zniknęłaby w pokoju jego sekretarki i czekałaby tam, drżąc ze strachu, że znajdzie jakiś błąd w jej pracy.

Jason nie miał zamiaru spuścić dziewczyny z oczu, dopóki ona nie zrozumie, że nie ma powodu go się obawiać. Był już w połowie listu, gdy się zjawiła, więc po prostu osobiście podyktuje jej dalszy ciąg.

- Możemy wziąć się do pracy? - Kiedy złoty welon włosów zadrżał potwierdzająco, dodał: - Może coś pani podyktuję? Jasonowi wydało się, że dostrzegł błysk zdziwienia w jej oczach, ale szybko schyliła się, by wyjąć pióro z dzianinowej torebki, która leżała obok niej na podłodze. To była typowa torebka z lat sześćdziesiątych. I Jason uświadomił sobie, widząc, jak jest zniszczona, że najwidoczniej została nabyta w tamtych czasach.

- Gotowa? - spytał, gdy wzięła do ręki pióro i otworzyła kołonotatnik. Gdy krótkie skinęła głową wzburzyło złote fale, powiedział: - W porządku. Proszę pisać: "Chciałbym wyjaśnić, że choć nabyłem prawa do książki, nie jestem na tyle zainteresowany tym projektem, by zgodzić się na inne rozwiązania dotyczące zakończenia..."

- Pan Cole? Bardzo mi przykro, że się spóźniłam!

Chociaż ten zdyszany głos przerwał dyktowanie, upłynęła chwila, zanim Jason spojrzął na intruza. Był wciąż zahipnotyzowany siedzącą przed nim zjawą, zafascynowany - i zakłopotany - tym, co zobaczył. Jej delikatne palce, z bezlitośnie poobgryzаныmi paznokciami, ścisnęły pióro tak mocno i wydawało mu się, że zapisuje starannie jego słowa, nie używając stenografii, którą powinna znać.

Kiedy w końcu oderwał wzrok od bladych palców i spojrzął ponad słonecznym woalem, zobaczył w drzwiach kobietę, która pasowała do zdyszanego głosu. Była elegancko ubrana i bardzo piękna, a gdy tylko sięgnęła na siebie uważne spojrzenie jego ciemnoniebieskich oczu, jej urocza twarz zademonstrowała mistrzowi całą gamę dramatycznych możliwości, od ściągniętych brwi, sygnalizujących wielki smutek z powodu spóźnienia, do wspaniałego i pełnego nadziei uśmiechu pierwszej naiwnej.

116

Zdyszana, piękna kobieta bez wątplenia była jego sekretarką na dzisiejsze popołudnie.

Więc kim, u diabła, jest ta osoba, która tak starannie zapisywała jego słowa? Kim jest ta blada, złocista zjawa z lat sześćdziesiątych? I dlaczego w jej oczach pojawiła się ulga, gdy spojrzała na piękną kobietę w drzwiach?

- Kim pani jest? - Jason skierował to pytanie do zjawy, a zabrzmiało ono jak rozkaz. Spojrzała na niego z lękiem. Wtedy łagodnie, bardzo łagodnie, powtórzył: - Kim pani jest?

Czekając, by się odezwała, Jason uświadomił sobie, że nie słyszał dotąd jej głosu. Do tej pory porozumiewała się z nim bez słów, za pomocą sygnałów przestraszonych oczu i potakiwaniem złocistej główki. Nie słyszał jej głosu, ale wyobrażał ją sobie na jakiejś dalekiej łące, w dawno minionych czasach, jak miękko śpiewa balladę o miłości...

Głos, którym w końcu się odezwała, był jeszcze bardziej miękki, bardziej muzykalny, niż sobie wyobrażał.

- Jestem Marilyn Pierce... Lauren Sinclair. - Za pomocą lekkiego wzruszenia ramion Holly przesłała przeprosiny ciemnoniebieskim oczom, które, jak się zdawało, zareagowały na jej słowa niedowierzaniem i gniewem. - Mieliliśmy się dzisiaj spotkać na lunchu. To znaczy, tak myślałam. - Zawahała się i spojrzała wyczekująco na piękną kobietę w drzwiach, jak gdyby intruzka mogła w jakiś sposób jej pomóc.

- To nie jest Raven - wyjaśnił Jason. - Zatrzymała ją śnieżycą w Chicago. A ja prawdopodobnie źle zrozumiałem wiadomość, którą otrzymałem dziś rano z jej biura. Sądziłem, że spotkanie zostało odwołane. Ale znaczy to tylko, że Raven nie przyłączy się do nas.

- Może powinniśmy zmienić termin?

Jason uświadomił sobie, że ona tego właśnie pragnie. Ale jeśli spełni jej życzenie, to czy kiedykolwiek jeszcze ją zobaczy? Bez wątplenia uważała, że otrzymała już odpowiedź na swoją prośbę, by nie zmieniać zakończenia jej książki. Że skłonił ją, by tę odpowiedź zapisała uczennica, której dano nauczkę, zmuszając do wielokrotnego pisania na tablicy: nie jestem na tyle zainteresowany tym projektem, by zgodzić się na inne rozwiązania dotyczące zakończenia. Ale słowa, które jej podyktował, odnosiły się do zupełnie innego filmu. Nie wiedząc, co teraz zrobić, spojrzał przepraszająco w jej oczy. Jason Cole rzadko bywał w sytuacji, kiedy musiał przepraszać, a łagodność i wrażliwość zachowywał zwykle dla kamery.

Jednak teraz nie grał. Łagodności jego głosu towarzyszyły zadziwiające, nieznanne uczucia. Zastanawiał się, czy mimo wszystko nie jest ona utalentowaną aktorką, która przywdziała zniszczony strój z lat sześćdziesiątych i kruchość dziecka-kwiatu niczym kostium, gdyż akcja Darów miłości rozgrywała się w tamtych czasach.

117

Jeśli zauważy jego skruchę, czyjej niezwykle oczy koloru akwamaryny nie rozbłysną nagle triumfalnie? Czy nie zapłoną pewnością siebie, które spodziewał się po autorce bestsellerów?

Jason czekał. Ale łagodność jego spojrzenia zdawała się wywoływać w niej jeszcze większą niepewność niż jego gniew. Wtedy spojrzał na olśniewającą kobietę, która miała być jego sekretarką tego popołudnia i powiedział:

- Obawiam się, że zaszło pewne nieporozumienie. Moje spotkanie w czasie lunchu nie zostało jednak odwołane, więc pani pomoc nie będzie mi potrzebna.

Aktorka in spe wspaniale zniosła rozczarowanie, maskując je pięknym uśmiechem, i z wdziękiem zeszła ze sceny.

Jason pomyślał, że jest bardzo dobra. Musi dopilnować, by zrobiono jej zdjęcia próbne.

Kiedy został sam na sam z Lauren Sinclair, powiedział łagodnie:

- Nie wiedziałem, kim pani jest. List, który dyktowałem, nie ma nic wspólnego z Darami miłości. - I dodał z uśmiechem: - Musiałem jednak przeczuwać, że pani przyjdzie, bo nie odwołałem rezerwacji na lunch.

15

Jason dokonał rezerwacji w Bel Air Hunt Club. Tego dnia, gdy Los Angeles pełne było ludzi z całego świata, lunch w którejkolwiek z restauracji odwiedzanych przez znakomitości, nieustannie byłby zakłócany przez dziennikarzy, mających nadzieję, że zdradzi im w ostatniej chwili, ile nagród z siedmiu nominacji spodziewa się zdobyć. Bel Air Hunt Club zapewniał spokój. Tego żądali jego bogaci i sławni członkowie i sami to prawo respektowali. Gdy maitre d'hotel prowadził ich przez elegancką salę restauracyjną, wypełnioną największymi gwiazdami Hollywood, Jasona witało wiele porozumiewawczych uśmiechów. Ale nikt nie zastąpił mu drogi.

Zarezerwował stolik ukryty w osobnej niszy. Znajdowali się w zamkniętym pomieszczeniu, ale nieskazitelnie czyste szyby stwarzały wrażenie, że siedzą pośrodku różanego ogrodu, a tę iluzję umacniał zapach licznych bukietów zdobiących salę.

Gdyby Jason, który rzadko zwracał sobie głowę lunchem, przyszedł tutaj z kimś innym, zamówiłby tylko małą porcję sałatki. Ale była z nim ona, wyglądająca tak, jakby rzadko traciła czas na jedzenie. Obgryzała paznokcie,

118

to pewne, ale uznał, że pod falującą suknią kryje się kruche, żałośnie chude ciało.

- To wszystko jest bardzo smaczne - powiedział, patrząc, jak jego towarzyszka studiuje menu.

- Na pewno. Ale nie jestem głodna... Zwykle nie jadam lunchu. Pomyślał, że pewnie z jego powodu jest zbyt zdenerwowana, by coś zjeść.

- Może więc zamówimy ciepłe bułeczki i sałatkę?

- Dobrze - zgodziła się z widoczną ulgą.

Odpowiadając, spojrzała mu w oczy, i teraz w tej intymnej niszy wypełnionej różami Jason zobaczył, że w okulary, które nosiła, wprawione były zwykłe szkiełka. Nie powiększały jej błękitnozielonych oczu, nie zmieniały ich w żaden sposób. Jej oczy były naprawdę świetliste, migotliwe... i podkrążone, jak gdyby nie spała od wielu nocy w oczekiwaniu na to przerażające spotkanie.

Jason poniekąd chciał, by ta maskarada się skończyła. Nagle pojawi się Raven oraz prawdziwa - olśniewająca i pewna

siebie - Lauren Sinclair. Pogratuluje aktorce, która siedziała przed nim, przekonującego występu i zmuszą go, by przyznał, że istotnie błędem jest zmienianie zakończenia.

Gdy jednak patrzył na swą towarzyszkę, wiedział, że tak się nie stanie. To nie był starannie opracowany występ. To ona, ta nieśmiała kobieta napisała słowa, które tak go oczarowały. Jej twórczość była poetycka, liryczna i oderwana od tego świata - jak ona sama. W jej romantycznych opowieściach nie ma olśniewającej wspaniałości ani pełnej blasku wiary w siebie. Jest tylko mężna nadzieja: radosna i niewinna... tak niewinna jak ona.

W jej opowieściach o miłości pojawiał się, rzecz jasna, seks, ale nigdy nie opisywała go ze szczegółami... jakby nie miała w tym doświadczenia... Jak gdyby z odwagą i nadzieją wierzyła, że miłość fizyczna jest aktem ostatecznego zjednoczenia serc i umysłów, psychiki i dusz. W powieściach Lauren Sinclair seks był tylko opakowaniem miłości, ozdobną wstążką, dodawaną na końcu, kiedy właściwy dar - ten, który znajdował się w środku - został już wybrany starannie i z radością.

Tysiące pytań kotłowało się w głowie Jasona. Chciał wiedzieć o niej wszystko. Dlaczego właśnie to pisała? Dlaczego była taka? Gdzie przebywała przez ten cały czas od lat sześćdziesiątych? Pragnął poznać prawdziwą Lauren Sinclair. Nie, poprawił się w duchu. Nie Lauren Sinclair, lecz kobietę ukrytą za maskującymi okularami.

- Naprawdę nazywasz się Marilyn Pierce?

Holly zastanawiała się, jak długo jej serce może tak walić? Zaczęło bić tak szybko w chwili, gdy Raven zaproponowała spotkanie z Jasonem.

Gwałtowne uderzenia serca uniemożliwiały jej sen, nie mogła nic jeść. Zastanawiała się nawet, czy zdoła dożyć do dzisiejszego dnia.

119

Ale dożyła. Kiedy taksówka wiozła ją szybko do studia Gold Star, mówiła sobie, że przeżyje również to przerażające spotkanie. Ostatnie siedemnaście dni udowodniło, jak silne jest w rzeczywistości jej kruche ciało. Nie potrzebowała jedzenia ani snu, a jej serce pędzące z nieprawdopodobną szybkością nie zawiodło jej.

Kiedy jednak podniósł wzrok, wyczuwając jej obecność, gdy się tylko pojawiła, a jego poważne, niebieskie oczy spojrzały tak, jakby czekał na nią, szukał jej przez całe życie, jej trzepoczące się serce uniosło się pod niebo.

Nadal żyła, znajdowała się w czarodziejskiej krainie, choć wiedziała, że jest to tylko iluzja, prawdopodobnie stanowiąca drugie oblicze śmierci. I gdy teraz spytał ją z taką delikatnością, jak powinien się do niej zwracać, zapragnęła, by przez tę czarodziejską chwilę nazywano ją imieniem, którego nikomu nie zdradziła.

- Marilyn Pierce to moje oficjalne nazwisko, a naprawdę jestem Holly.

- Holly - powtórzył. - Urodziłaś się w Boże Narodzenie?

- Tak - wyszeptala ledwo dosłyszalnie, bo wypowiedział jej imię z takim czułym podziwem.

- A ile Bożych Narodzeń upłynęło od tego czasu?

- Trzydzieści. Skończyłam trzydzieści lat w ostatnie Boże Narodzenie.

Wyznając to, Holly lekko zmarszczyła brwi. Prawie już wierzyła, że ma trzydzieści pięć lat, tyle ile miałyby Marilyn Pierce. Że dotarła już do punktu uważanego za półmetek życia, znajdując się w połowie drogi do domu...

- Holly? - odezwał się miękko Jason, kiedy w jej pięknych oczach zobaczył wyraz udręki. Co sprawia jej taki ból? Co zmusza ją do chowania się za złotym woalem włosów i za okularami? - Holly?

Odpłynęła już daleko - do obrazów śmierci, przeszłości i przyszłości - ale łagodna troska w jego głosie sprawiła, że wróciła do teraźniejszości, budzącej jednocześnie zachwyt i przerażenie.

- Tak?

- O czym właśnie myślałaś?

- O niczym. - A potem, ponieważ nie chciała go oszukiwać, nie mogła tego zrobić, dodała: - To takie odległe wspomnienie.

- Możesz mi je opowiedzieć?

Holly wiedziała, że nigdy nie będzie w stanie podzielić się z kimkolwiek wspomnieniami tamtej zaśnieżonej walentynkowej nocy. Była całkowicie pewna, że gdyby zaczęła opowiadać ohydne szczegóły tamtego koszmaru, jej udręka wydoستاłaby się na zewnątrz w krzyku, który nigdy się nie urwie. Nie umarłaby, po prostu krzyczałaby przez całą wieczność. Holly wiedziała, że wspomnienie ukochanych twarzy, rozpaczliwego błagania i nieustępliwego

120

szaleństwa musi pozostać na zawsze w niej ukryte. Nie miała prawa dzielić się z nikim takim koszmarem.

- Nie mogę - odpowiedziała w końcu.

Serce bolało Jasona, gdy widział przemianę jej pięknych oczu. Były teraz szare, nieprzejrzyste i martwe. Holly musi to komuś wyznać. Cokolwiek to jest, musi wypowiedzieć te słowa na głos.

Ale dlaczego miałyby to powiedzieć jemu? Człowiekowi, którego decyzja o zmianie szczęśliwego zakończenia jej książki zmusiła ją do opuszczenia azylu romantycznej twórczości i bezpiecznego kokonu minionego czasu, w którym najwidoczniej przebywała?

Jason wiedział już, że powie Holly, iż filmowa wersja Darów miłości będzie dokładnie taka, jak jej wspaniała, przepelniona nadzieją książka o miłości. Ale jeśli powie to teraz, ona odejdzie. Po prostu zniknie, odpłynie równie tajemniczo, jak się pojawiła.

Jason nie chciał, by odeszła. Pragnął znowu zobaczyć jej migotliwe błękitnozielone oczy i piękny uśmiech, który pojawił się na jej wargach, gdy wyznała, że naprawdę jest bożonarodzeniowym dzieckiem, i znowu usłyszeć

wzruszenie w jej głosie wywołane tym wspomnieniem.

Jason pragnął tego - i o wiele więcej. Mężczyzna, którego największe namiętności związane były z jego filmami, a nie olśniewającymi i pewnymi siebie kobietami, dzielącymi z nim łóżce, pragnął czegoś innego od Holly... dla Holly... z Holly. Marzył o wspaniałym darze miłości, o którym pisała.

Ta świadomość wstrząsnęła nim. Jason Cole zawsze dostawał to, czego chciał. Niczego jednak nie dostał na srebrnym talerzu. Jego triumfy, zdaniem postronnych osiągnięte bez wysiłku, były rezultatem ciężkiej pracy, w którą wkładał mnóstwo energii i determinacji.

Jednak nigdy dotąd Jason Cole nie pragnął miłości. I nigdy dotąd to, czego pragnął, nie wydawało się tak całkowicie nieosiągalne.

Zastanawiał się nad tym, patrząc w zachmurzone oczy, które całkowicie się przed nim zamknęły.

A jeszcze niedawno tak migotały. I napełniły się taką ufnością, gdy wyznała mu, że naprawdę nazywa się Holly.

- Holly? - Jason usłyszał w swoim głosie czułą prośbę. I Holly też ją usłyszała, bo nagle jak gdyby zaczęła z wysiłkiem przebijając się przez gęstą mgłę, żeby dotrzeć do niego.

- Słucham?

"Czy ty też to czujesz? - pytało jego serce, gdy z głębin mglistej szarości zaczęły pojawiać się przebliski błękitu i zieleni... przeznaczone dla niego. - Czujesz tę magię?"

"Tak, tak" - zdawały się odpowiadać migotliwe barwy, zanim nagle znikły, skryły się pod spuszczoneymi, bladymi powiekami.

121

Czuła tę magię, Jason wiedział o tym, ale bała się jej. Więc znalazł inny temat do rozmowy, bezpieczniejszy od tego, o którym nadal chciało mówić jego serce.

- Nigdy nie byłem na Alasce.

- Jest bardzo piękna.

- Opowiesz mi o niej?

- Czy spojrzysz na mnie, Holly? Będziesz ze mną rozmawiać?

"Tak - odpowiedziały jej oczy, gdy jeszcze raz rozwarły się dla niego. - Tak".

Z początku jej słowa były pełne wahania i niepewności, ale w końcu górę wziął jej talent narracyjny. Mówiła mu o lodowcach i lasach, zielonym morzu i niebie koloru indygo, o majestatycznych niedźwiedziach i wysoko szybujących orłach. Oraz o ludziach: o bogactwie i wspaniałości rodzimej kultury mieszkańców Alaski.

Holly przerywała czasem swoje opowiadanie, jak gdyby nie była pewna, czy Jason chce, by mówiła dalej. Chmury znikły z jej oczu, a w jej głosie pełno było emocji.

A czasem nawet się uśmiechała.

W końcu jednak jej opowiadanie o Alasce dobiegło końca. Jej opowiadanie? Nie, uświadomił sobie Jason. Nie opowiedziała mu nic o sobie.

- Jak długo mieszkasz na Alasce?

- Piętnaście lat.

- Mam wrażenie, że zwiedziłaś ją całą.

Holly skinęła głową, ale na jej czole pojawił się mars.

- Dawniej wiele podróżowałam, na początku, kiedy się tam sprowadziłam.

Pomyślała, że teraz rzadko opuszcza swoją chatę. Dziś nawet wyjazd do miasta wydaje się jej kolosalnym przedsięwzięciem, podejmowanym tylko z konieczności, by zrobić zakupy, wysłać rękopis, sprawdzić, czy w kinie nie grają filmu Jasona Colea.

- Masz jakieś ulubione miejsce? - spytał Jason, ratując ją, ratując ich oboje, gdyż znowu zaczęła odpływać od magii teraźniejszości w szarość swoich odległych wspomnień.

- Barrow - odpowiedziała z wdzięcznością i czułym uśmiechem. - Jeździłam tam kiedyś każdego lata.

- Dlaczego?

- Ponieważ w lecie, między majem i sierpniem, słońce nigdy nie zachodzi. Zniża się, ale gdy tylko dotknie linii horyzontu, zaczyna znowu wschodzić, jak ognista piłka wlatująca do nieba.

Gdy to mówiła, jej oczy rozblęły na wspomnienie tego cudu.

- Chciałbym to zobaczyć - powiedział Jason.

122

A jego ciemnoniebieskie oczy wysłały sygnał, zapowiedź przyszłego cudu: "Chciałbym zobaczyć to z tobą".

To była najważniejsza wiadomość, jaką kiedykolwiek przekazały jego oczy, i Holly odczytała ją z zadziwiającą łatwością. Jej blade policzki pokrył lekki rumieniec, ale nie odwróciła oczu. Rozblęły w odpowiedzi i były teraz jeszcze bardziej świetliste, jeszcze bardziej lśniące niż w chwili, gdy opisywała cud olśniewającego piruetu letniego słońca na tle nocnego nieba nad Barrow.

Holly i Jason mówili o magii - o czarodziejskiej wspaniałości natury i magii techniki, dzięki której tworzone filmy.

Żadne z nich nie wspominało o magii miłości, ale oboje wiedzieli, że przeżywają w trakcie tych kilku zaczarowanych godzin, że zanurzają się w miłości, tak jak wspaniałe letnie słońce zaczyna opadać tylko po to, by znowu wrócić na niebo, i szybuje radośnie, nie pozwalając, by zbladła jego złota jasność.

Ta magia powinna być trwać wiecznie, oboje tego chcieli, ale Jason nagle powrócił do rzeczywistości, spojrzawszy na

zegarek.

Była godzina czwarta. Limuzyna, która ma zawieźć go - ubranego w smoking - do pawilonu Dorothy Chandler, pojawi się pod jego domem za niecałą godzinę.

- Muszę iść - wyjaśnił przeprasząc. - Ceremonia rozdania nagród zacznie się punktualnie o szóstej i muszę tam być przynajmniej dwadzieścia minut wcześniej.

- Ceremonia rozdania nagród?

Jasne było, że Holly naprawdę nie ma pojęcia, o czym mówił. Jasonowi udało się ukryć zdumienie. Ale był zaskoczony... i zaniepokojony.

Być może dla Kodiaku Oscary nie były wielkim wydarzeniem, ale mówiła mu, że jest w Los Angeles od soboty. Czy w ciągu tych dwóch dni nie włączyła telewizora, nie czytała gazet, nie rzuciła nawet okiem na nagłówki? Zagubiona gdzieś w latach sześćdziesiątych? Albo żyła w świecie ostatniej romantycznej opowieści, którą pisała? A może pograżyła się w szarej udręce, którą tak bardzo pragnął przegnać raz na zawsze?

- Dzisiaj jest rozdanie Oscarów - odpowiedział w końcu łagodnie. Potem, jeszcze łagodniej dodał: - Kiedy potwierdziłem swoją obecność, powiedziałem organizatorom uroczystości, że będę sam. Gdybym jednak pojawił się z kimś... z tobą... znaleźliby dla nas miejsca. Czy chciałabyś pójść tam ze mną, Holly?

- Och, nie - wyszeptowała. Potem, niemal z pośpiechem poprawiła się: -

Chciałam powiedzieć, że bardzo bym chciała... - Urwała, musiała to zrobić, bo następne słowa brzmiałyby "być z tobą". Holly wiedziała o tym, ponieważ

123

nieśmiałe bohaterki, które tworzyła, stawały się ogromnie odważne, kiedy bohaterowie - mężczyźni silni i łagodni jak Jason - wpatrywali się nie tak, jak on teraz na nią patrzył. Jej bohaterki wymówiłyby te śmiałe słowa, a jej bohaterowie powtórzyłyby je, ale... - Ale nie. Dziękuję.

Jason nie nalegał. Chciał być z nią, rzecz jasna, ale sam na sam, w ich magicznym świecie. A gdyby znalazła się z nim dzisiaj na najwspanialszej uroczystości Hollywood, ich prywatność zakłóciłyby legiony fotoreporterów którzy tłoczyliby się, aby mieć lepszy widok na tajemniczą kobietę Jason Colea.

- Musimy jeszcze porozmawiać o twojej książce - powiedział Jason, kiedy dojechali do hotelu Bel Air. - Może więc jutro zjemy razem śniadanie?

- Z Raven?

Jason poczuł nagły zawód. Gdy wspomniawszy o jej książce, na twarzy Holly pojawił się cień niepokoju, i teraz stało się jasne, że chciała, by przy ich spotkaniu była Raven. Raven, która stanie po jej stronie.

A przecież to on był po jej stronie.

- Sądzę, że możemy to przedyskutować we dwoje, Holly, ale jeśli chcesz by była przy tym Raven, sprawdzę, czy już wróciła i czy może do nas dołączyć.

- Nie, wszystko w porządku.

- To dobrze. - Potem, ponieważ nie chciał, by ze zdenerwowania nie spała przez kolejną noc, powiedział: - Chcę z tobą porozmawiać o twojej książce, Holly, ale obiecuję, że nie zmienię żadnego słowa, żadnej sylaby jeśli się na to nie zgodzisz. A więc... Wpadnę po ciebie o dziewiątej. Pójdziemy do Malibu. Jest tam restauracja z widokiem na morze, która ci się spodoba, jak sądzę.

16

Holly nie oglądała telewizji od ponad siedemnastu lat, od tamtej śnieżnej nocy, kiedy radosny głosik fikcyjnej Corry zagłuszał odgłosy praw dziwego życia: przerażające szepty jej matki i Dereka. Gdyby nie oglądała wtedy telewizji, gdyby bawiła się z bliźniętami, mogłaby usłyszeć te szepty zawołać o pomoc, ocalić życie ukochanej rodzinie.

124

Samotny i intymny świat, w którym Holly żyła od tamtej walentynkowej nocy, był światem ciszy. W jej chacie w Kodiaku nie było telewizora, radia ani odtwarzacza stereo. Żadne dźwięki nie zagłuszały nawet najcichszych szepków - szepków, które wciąż starała się usłyszeć, choć tak dawno temu umilkły na zawsze.

Przez bardzo długi czas Holly patrzyła na telewizor w swym luksusowym pokoju w hotelu Bel Air - milczący, uśpiony, ale wciąż kuszący. Ceremonia rozdania Oscarów z pewnością będzie transmitowana. Przypominała sobie niewyraźnie, że jako dziecko oglądała tę wspaniałą uroczystość.

Od tylu lat telewizor był wrogiem, sojusznikiem potwornego szaleństwa Dereka, ale teraz stał się sprzymierzeńcem jej rozedrganego serca, które pragnęło jeszcze raz zobaczyć Jasona...

Palce Holly drżały, kiedy włączała odbiornik, przygotowana na ostry, przeraźliwy i ogłuszający zgiełk, który zapamiętała. Ale dźwięk był ściszony i Holly wydawało się, że piękna dziennikarka stojąca przed pawilonem Dorothy Chandler na czerwonym chodniku, którym kroczyły sławne osobistości po wyjściu z limuzyn, mówi wprost do niej.

Holly patrzyła na ekran i słuchała, jak dziennikarka relacjonuje pojawianie się kolejnych gwiazd, ale do przybycia Jasonajakaś część jej duszy - większa część - nasłuchiwała odległych szepków, stanowiących preludium śmierci.

W chwili, gdy się pojawił, gdy ubrany w smoking z wdziękiem wysiadł z limuzyny, skończyło się daremne nastawianie uszu na mordercze szepty. Zawdzięczała to napływowi wspomnień z ich magicznego popołudnia. Trzepoczące serce Holly walczyło teraz z innym wrogiem, głosem, który przypominał jej, że ta magia była tylko iluzją, oszalamiającą sztuczką w wykonaniu jednego z najbardziej utalentowanych hollywoodzkich aktorów.

"On cię oszołomił - mówił ów głos. - Uwodził cię czułością w oczach, by osiągnąć to, czego pragnął: żebyś nie

sprzeciwiała się zmianom, które ma zamiar wprowadzić w Darach miłości. Wyraz szczerości na jego twarzy, kiedy prosił, byś poszła z nim dziś na ceremonię rozdania Oscarów -jak gdyby on też nie chciał końca tej magii - był po prostu atutową kartą w jego grze. Wiedział, że mu odmówisz. Od razu zorientował się, że nigdy w życiu nie byłaś na randce i że nie istnieje nawet cień szansy, abyś się zgodziła. Sama zobaczysz. Wysiada teraz z limuzyny i za chwilę odwróci się, by podać szarmancko rękę swej towarzysze. Będzie niesamowicie pewna siebie i piękna, równie olśniewająca, jak on. Jego przyjaciółka, jego kochanka..."

Ale gdy tylko Jason wysiadł, portier zamknął za nim drzwi i samochód odjechał.

Jason przyszedł sam do pawilonu Dorothy Chandler, co dziennikarka komentowała cichym głosem: "Wiele osób zastanawiało się, czy Jason Cole

125

pojawi się z Nicole Haviland, swoją partnerką z filmu Bez ostrzeżenia, i jak głoszą plotki, partnerką poza planem. Ale jak widać, dzisiejszego wieczoru Jason fruwa sobie w pojedynkę, co każe nam zastanowić się, czy Nicole została sama w domu".

Oprócz zjadliwości w głosie dziennikarki kryło się coś jeszcze - cień satysfakcji, jak gdyby Jason i ją zostawił kiedyś samą w domu, więc była zachwycona, że najwidoczniej jedną z najpiękniejszych aktorek Hollywood potraktowano w równie pogardliwy sposób. Wrażenie, że łączyła ją z Jasonem bliska znajomość, podkreślał jeszcze wstydlivy uśmiezek, który pojawił się na jej ustach, gdy zbliżyła się do niego po krótki wywiad.

- A więc, Jasonie - zagruchała -jak czuje się człowiek, który ma siedem nominacji do Oscara, w tym za najlepszą rolę, najlepszą reżyserię i najlepszy film?

- To wspaniałe uczucie.

- Inni kandydaci, z którymi dziś rozmawiałam, mówili, że ważne jest nie to, by zdobyć figurkę Oscara. Liczy się zaszczyt samej nominacji. Zgadzasz się?

Na jego przystojnej, seksownej twarzy pojawił się przelotny uśmiech.

- Nominacja jest ważna. A wygrana znaczy jeszcze więcej. - Uśmiech znikł, gdy Jason dodał z powagą: - Ale najważniejsze, by zrobić film, w który się wierzy... i żeby był możliwie najlepszy.

Caroline uśmiechnęła się z aprobatą, gdy obserwowała wymianę zdań -z wyraźnie sugerowaną intymnością - pomiędzy piękną dziennikarką a Jasonem Coleem. Na stereotypowe pytanie udzielił bez wątpienia szczerzej odpowiedzi.

Szczerzej i otwartej. Były to cechy, które Caroline Hawthorne ceniła również w sobie.

Nagły dzwonek telefonu (nie ruszyła się nawet, by podnieść słuchawkę) zmusił Caroline do uznania, że dzisiejszego dnia nie była całkowicie szczerą.

Rzeczywiście miała plany na swoje czterdzieste urodziny. To była prawda, całkowicie uczciwe, choć nie do końca szczerze stwierdzenie faktu. Nie wyjaśniła jednak przyjaciółkom, które zamierzały urządzać wielką uroczystość, by uczcić tak doniosłą okazję, na czym te plany polegają. Że zamierza spędzić ten wieczór sama na oglądaniu ceremonii rozdania Oscarów, wypije trochę szampana, który jeszcze się chłodził, przegryzając paluszkami kupionymi dzisiejszego popołudnia.

Tak Caroline chciała spędzić swoje urodziny i zamierzała postawić na swoim. Ponieważ liczne przyjaciółki, którym powiedziała, że ma już plany

126

na wieczór, bez wątpienia uznały, że obejmują one co najmniej wyjazd za miasto, nie mogła teraz odebrać telefonu. Ten, kto telefonował, odczekał cztery kolejne dzwonki i czekał nadal, gdy jej automatyczna sekretarka odtwarzała powitanie: "Cześć! Mówi Caroline. Nie mogę teraz podejść do telefonu, ale jeśli zostawisz wiadomość po sygnale, oddzwonię tak szybko, jak to będzie możliwe. Dziękuję!".

Usłyszała najpierw sygnał, a potem niski, poważny głos. Zastanawiała się nieraz, czy go jeszcze kiedyś usłyszy - oczywiście poza taśmą wideo, którą często włączała w ciągu ostatnich dziesięciu dni.

- Cześć, Caroline. Mówi Lawrence Elliott. Chciałem ci tylko życzyć...

- Lawrence!

- Więc jesteś w domu? Życzę szczęścia z okazji urodzin.

- Dziękuję.

- Sprawiasz wrażenie zdyszaney. Może byłaś już w połowie drogi do drzwi, żeby wyjść na urodzinowe przyjęcie?

- Nie. Po prostu miałam daleko do telefonu. - Była to tylko częściowa prawda. W rzeczywistości zabrakło jej tchu już w chwili, gdy usłyszała jego głos, na długo przed szaleńczym biegiem do aparatu. I gdzie jej uczciwość i szczerłość? -

Jestem sama i oglądam ceremonię rozdania Oscarów.

- Taki jest twój wybór na ten wieczór? Zamiast wielkiego przyjęcia, urządzonego przez przyjaciółki?

- Tak. - Jej wybór? Za każdym razem, gdy zaczynała myśleć o tym, czego naprawdę chciała, stanowczo uciniała te rozważania. Ale skoro sam do niej dzwonił... - Jak na jedną osobę mam trochę za dużo szampana... Gdyby cię to interesowało...

To była jawna zachęta, na którą Lawrence Elliott zareagował nie kończącym się, jak jej się zdawało, milczeniem.

- Piłeś już szampana? - spytał w końcu.

-Nie.

- Jeśli więc masz ochotę, przyjedź tutaj. Mam telewizor. Pomożesz mi w sprowadzaniu na świat dziesięciu szczeniąt i obejrzysz rozdanie nagród.

- Oczekujesz dziś narodzin szczeniaków?
- Ścisłe biorąc, oczekuje tego Katie, czarno-biała springer spanielka. -Nagła czułość w jego głosie zdradziła Caroline, że Katie najwidoczniej była obok niego, a teraz uniosła głowę, reagując na swoje imię. - Ja jej tylko pomagam. Urodziła pierwsze szczenię pięć minut temu.
- I mówisz, że będzie ich dziesięć? Skąd wiesz?
- Zrobiłem jej prześwietlenie.
- Nie będzie jej przeszkadzać, że się przyglądam?
- Nie sądzę. Katie nie jest taka nerwowa, jak inne springery. Na drugie imię powinna mieć "Łagodność". Prawdę mówiąc, spodziewam się kilku

127

obserwatorów. Katie mieszka siedem kilometrów stąd, w sąsiedztwie mnóstwa dzieciaków. Kilkoro z nich, które dostaną szczeniaki, postanowiło oglądać poród. Początkowo zamierzałem pójść do domu Katie, ale trzy dni temu jej właścicielka nadwerzężyła sobie kręgosłup i musi jeszcze leżeć w łóżku przez co najmniej dwa dni. Więc Katie jest tutaj, a za parę minut pojawią się dzieciaki... i ich rodzice.

- Bardzo miło z twojej strony, że przенiosłeś ten pokaz do swojego mieszkania.
- To żaden kłopot. Dzieciaki są bardzo podniecone i będzie to dla nich pamiętne wydarzenie.
- Bardzo bym chciała też to zobaczyć.

-Dobrze. -Lawrence podał jej szczegółowe wskazówki, jak ma dotrzeć do jego domu na przedmieściu Issaquah, i dorzucił jeszcze: - Drzwi obok podjazdu będą otwarte, więc wejdź od razu do środka.

Drugi szczeniak Katie właśnie się rodził, gdy Caroline weszła do jasnej i przestronnej kuchni. Ponieważ na drzwiach przyczepiona była kartka z prośbą o zdjęcie obuwia, dołączyła swoje pantofle do rzędu małych i dużych butów, ustawionych wzdłuż ścian korytarza.

Jadąc do Issaquah, zatrzymała się w swojej ulubionej piekarni na Queen Annę Hill i kupiła ciastka, trochę paluszków, czekoladowe chipsy i snickersy. Gdy stawiała pachnącą białą torbę na kuchennym kontuarze, zobaczyła następną kartkę - tym razem z prośbą o umycie rąk. Zrobiła to szybko i dokładnie, a potem spędziła kilka chwil na oglądaniu podświetlonego zdjęcia rentgenowskiego. Naliczyła dziesięć małych czaszek, kręgosłupów i tyleż kompletów kończyn, a potem weszła - kierując się dźwiękiem przyciszonych, lecz pełnych podniecenia szeptów - do sąsiedniego pokoju.

Zachwycone dzieci wpatrywały się szeroko otwartymi oczami w pudełko, gdzie Katie energicznie lizła swoje nowo narodzone szczenię. Ten energiczny masaż był czymś więcej niż tylko powitaniem dziecka przez matkę. W ten sposób pobudzała jego małe płuca do przejścia od świata, w którym zanurzone były w płynie, do tego, w którym musiały się nauczyć - i to szybko - samodzielnego oddychania życiodajnym powietrzem.

Gdy Katie kontynuowała lizanie, Lawrence odsysał gumową gruszką wewnątrz małego pyszczka, oczyszczając gardło szczeniaka z pozostałości wodnego świata. A gdy skończył, założył sprawnie jeden szew na cieniutką pępówinę, by zatrzymać sączącą się krew.

Nie tylko dzieci były zachwycone. Caroline i zebrani rodzice z takim samym zachwytem połączonym z lękiem obserwowali, jak malutkie, nieruchome stworzonko nagle ożywa, kicha i zaczyna oddychać. O dziwo, po pokonaniu

128

tej pierwszej przeszkody maluch natychmiast stanął na chwiejnych jeszcze nogach. Matka osuszała językiem czarno-białe futerko szczeniaka, lśniące od płynu owodniowego, tlen we krwi zabarwiał jego nosek na różowo. Machał ogonem dla zachowania równowagi, gdy jego łapki szukały punktu oparcia na grubych ręcznikach, wyścielających pudełko.

Kiedy szczenię było już suche i oddychało, jak należy, Lawrence ostrożnie przeniósł je do mniejszego pudełka, w którym spało już inne, mając tu zapewnione ciepło i bezpieczeństwo. Katie nie protestowała. Później, gdy wszystkie szczeniaki przyjdą na świat, będzie bardzo troszczyć się o nie. Jednak teraz, gdy się szczeniła, jej instynkt opiekuńczy i obronny z konieczności uległ uśpieniu.

Kiedy Lawrence ostrożnie przenosił szczeniaka, Caroline miała wrażenie, że wszystkich obecnych kusi, by wyciągnąć ręce po małą istotkę, przytulić ją, jak to zrobił Lawrence.

- Nie możemy jeszcze dotykać szczeniaków - usłyszała jakiś młody głos. - Musimy poczekać, aż będą miały przynajmniej tydzień.

- Masz rację, Jenny - potwierdził Lawrence, uśmiechając się do dziewczynki, która w odpowiedzi skinęła kędzierzawą, jasną główką. - To by bardzo zdenerwowało Katie, a nie chcemy, by się niepokoiła, prawda?

- Nie chcemy - odparła Jenny, energicznie potrząsając złotymi lokami.

- Nie chcemy - powtórzył miękko Lawrence. Spojrzał w górę, a jego uważne, zielone oczy wydawały się trochę niespokojne... dopóki nie spostrzegły Caroline. - Cześć. A więc udało ci się przyjść.

- Tak. Zatrzymałam się po drodze, by kupić ciastka. - Wzruszyła lekko ramionami, gdy jej wzrok padł na stojący obok stół i tace z ciastkami. - Ale, jak widzę, przywiozłam węgiel do kopalni.

- Ciastek nigdy nie jest za dużo - odpowiedział z uśmiechem Lawrence. Potem, czując, że dla dorosłych pojawienie się tajemniczej kobiety jest równie fascynujące, jak narodziny szczeniąt Katie, dodał niedbałym tonem: - To jest Caroline. Teraz, gdy Katie odpoczywała, dopóki nowy skurcz nie zasygnalizuje przybycia następnego szczeniaka, był czas, by się przywitać. Gdy Caroline gawędziła z dziećmi, cały czas czuła na sobie palące spojrzenie.

Tę jawną obserwację prowadziła ładna blondynka. Caroline natychmiast domyśliła się, że to matka Jenny. Na imię



miała Eileen, nie nosiła obrączki i to ona przyniosła ciastka. Eileen interesowała się Lawrenceem, to było oczywiste, i miała mu wiele do zaoferowania: siebie - ładną, młodą i pełną życia... oraz śliczną, jasnowłosą córeczkę, która tak bardzo przypominała jego utraconą Holly.

Caroline zastanawiała się, czy Eileen i Lawrence byli kochankami. Z zachowania Lawrence'a nie sposób było nic wynioskować. Pomimo wyraźnego

129

zainteresowania ze strony Eileen traktował ją równie po przyjacielsku, lecz z dystansem, jak resztę rodziców.

Ale Lawrence był taki, że gdyby nawet jego i Eileen łączyły intymne stosunki, strzegłby tej tajemnicy.

I właśnie w tej chwili Caroline znowu poczuła ciepło, zupełnie odmienne, a kiedy zwróciła się w kierunku jego źródła, ujrzała wpatrzona w siebie ciemnozielone oczy. Wydawało się, że ślą jakieś sygnały - bardzo intymne i przeznaczone wyłącznie dla niej.

Ta pieszczota zaparła jej dech w piersiach, zmąciła myśli i napełniła ją pełnym euforii ciepłem, jakby jednym haustem wypijała kieliszek szampana. Pomimo upajającego zawrotu głowy Caroline zebrała całą odwagę i zamierzała odpowiedzieć uśmiechem.

Zanim jednak uśmiech zdążył pojawić się na jej ustach, Lawrence odwrócił wzrok. Jakieś podniecone, niecierpliwe dziecko ciągnęło go za rękaw koszuli, by spytać, kiedy Katie urodzi następnego szczeniaka... i jakby na zawołanie Katie znowu zaczęła się szcenić.

I gdy oczy Lawrence'a znowu napotkały spojrzenie Caroline, zielony ogień pożądania był tylko wspomnieniem... może nawet mirażem. Spoglądały przyjaźnie, uśmiechały się, gdy spytał, czy mogłaby mu pomóc, jak to robiła w szkole w Moclips High. Caroline została jego asystentką. Tym razem przypadło jej ważne zadanie podawania mu gumowych gruszek, strzykawek, szwów i środków powstrzymujących krwawienie.

- Mam dla ciebie jeszcze jedną misję - powiedział do niej cicho Lawrence, patrząc jak ostrożnie kładzie czwarte zdrowe szczenię koło śpiącego rodzeństwa.

- Dobrze.

- Za tamtymi drzwiami jest złocista cocker spanielka, która przed nocą musi wyjść na dwór. Prawdopodobnie drzemie na sofie w salonie, ale mogła też położyć się na swojej poduszce na podłodze w sypialni.

- Musi być niezwykle opanowana, jeśli nie reaguje na to, co się tu dzieje.

- Ma piętnaście lat, jest ogromnie żywotna, ale i bardzo głucha. - Lawrence dostrzegł niepokój na twarzy Caroline i szybko dodał: - Głuchota wcale jej nie przeszkadza. Prawdę mówiąc, jej właściciel jest zdania, że od lat udaje głuchą.

- Jej właściciel? Nie należy do ciebie?

- Nie. Nie ma tu żadnych innych zwierząt poza moimi gośćmi, którzy mieszkają tutaj, gdy ich właściciele są na wakacjach, i przybłędami potrzebującymi dachu nad głową, dopóki nie znajdziemy im domu.

130

Lawrence powiedział Caroline, że spanielka nazywa się Mindy, ma zwyczaj przynoszenia z dworu kamyków i układania ich koło drzwi. A gdy miała już udać się na poszukiwanie głuchej, lecz żywotnej suczki, dorzucił:

- Jeśli cię nie zobaczy i nie wyczuje, podsuń jej rękę pod nos, żeby się nie obudziła zbyt gwałtownie. Porozmawiaj z nią. Choć jest głucha, potrafi czytać z ust.

"Dobry z ciebie człowiek, Lawrence Elliotcie - myślała Caroline, wychodząc z pokoju na poszukiwania Mindy. -

Dobry, uprzejmy, łagodny... i udręczony".

W dużym pokoju, pachnącym świeżo upieczonymi ciastkami, wypełnionym tłumem zachwyconych dzieci, panowała atmosfera ciepła i wspólnoty. Ale gdy Caroline opuściła tę wibrującą wesołość i zagłębiła się w ponurość salonu, olśniła ją prawda: jego świat był bardzo odizolowany. Lawrence trzymał się na dystans, był samotny, skupiony na nieustępliwym, prowadzonym w pojedynkę poszukiwaniu swej złotowłosej córki.

Caroline zaskoczyła surowość salonu i jego wielkość. Był wysoki, z wielkimi świetlikami w suficie i przeszklonymi ścianami. Stwierdziła ponuro, że taki właśnie rodzaj pomieszczenia musiał wybrać sobie człowiek, który spędził siedem lat życia w klatce.

Surowość, brak jakichkolwiek ozdób przywodziły na myśl więzienie, ale gdy jej wzrok padł na sięgające od sufitu do podłogi półki z książkami, uświadomiła sobie, że Lawrence zapewnił sobie jednak możliwość ucieczki. Był takim samym mołem książkowym, jak ona i lubił taką samą literaturę.

To było coś, co ich ze sobą łączyło. Wraz z tą myślą pojawił się wspólny obraz. Ten przestronny salon, z jego skąpym umeblowaniem i kamiennym kominkiem, straciłby swą surowość, całą swą bolesną pustkę, gdyby było w nim dwoje ludzi. Dwoje ludzi czytających przed buzującym ogniem, popijających gorącą czekoladę, słuchających, jak deszcz bije o szyby świetlików... a gdyby wśród całej tej ciepłej przytulności ciemnozielone oczy spojrzały na nią z takim zmysłowym głodem, jaki widziała w nich wcześniej...

Dosyć tego, rozkazała Caroline wyobraźni, która tak bezwstydnie patrzyła na świat przez różowe okulary.

Różowy kolor znikł zgodnie z jej surowym poleceniem i znowu widziała jedynie surowość, która była symbolem życia, jakie prowadził Lawrence Elliott. W całkowitej samotności. Pozbawiony swobody przez wspomnienia i swe rozpaczliwe poszukiwania. Tak, czasami ofiarowywał swoje umiejętności - a nawet dom - dzieciom i zwierzętom innych ludzi, ale byli tylko gośćmi, niczym więcej, niczym trwałym - zwykłymi przechodniami.

131

W salonie nie znalazła cocker spanielki, choć zauważyła sporą kupkę kamieni, nie było jej też w obszernym gabinecie ze stosami czasopism weterynaryjnych i mnóstwem książek ani w pierwszej sypialni, do której weszła. Był to uroczy pokój, różniący się od tych, które widziała, wesoło urządzone i promieniejący ciepłem.

Smutek ścisnął serce Caroline, gdy uświadomiła sobie, że ten pokój jest dla Lawrence'a symbolem prawdziwej wolności: kiedy Holly wróci, to będzie jej sypialnia.

Och, Lawrence! Musisz mieć własne życie. Musisz pozwolić, by coś cię emocjonalnie poruszyło... Coś lub ktoś.

"Może to robi - pomyślała, idąc w kierunku otwartych drzwi, które musiały prowadzić do głównej sypialni. - Może tam znajdę dowód, że ten udęczony, ale pociągający mężczyzna przynajmniej nie krępuje całkowicie swych potrzeb fizycznych. Może na toalecie zobaczę butelkę perfum albo książkę o miłości, pozostawioną na nocnym stoliku przez jego kochankę".

Jednak sypialnia Lawrence'a była jeszcze bardziej ascetyczna. Stanowiłaby kwintesencję osamotnienia, gdyby nie złocista cocker spanielka, która spała błogo - nie na podłodze, na swojej poduszce, lecz na samym środku łóżka.

"Mam nadzieję, że z nim sypiasz - pomyślała Caroline. Łagodny uśmiech pojawił się na jej ustach, gdy uznała, że ta złota, futrzana kula na pewno śpi z Lawrence'em, że nigdy nie zrzuciłby suczki na podłogę, gdyby weszła na jego łóżko. - Mam nadzieję, że zwijasz się przy nim w kłębek. Mam nadzieję, że czuje twoją obecność i twoje ciepło".

Zanim Caroline podeszła do łóżka, by jej zapach obudził Mindy z głębokiego snu, po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem sypialnię. Nie naruszała w ten sposób niczyjej prywatności, ponieważ - tak jak w innych pokojach - nie było tu nic osobistego.

I jak w tamtych pokojach nie zobaczyła zdjęć jego rodziny, ani jednej oprawionej fotografii z albumu, który pozostawiła Holly, nim zniknęła na zawsze.

Te fotografie gdzieś tu były. A może rozstawiał je tylko wtedy, gdy nikt ich nie mógł zobaczyć? Nie w takim dniu jak dzisiaj, kiedy jego dom otwarty był dla pełnych podziwu, lecz niewątpliwie ciekawskich obcych ludzi. Doktor Lawrence Elliott uchodził w Issaquah za bohatera, za ideał, budzący ogromny szacunek i niepokonaną ciekawość.

Oczywiście wszyscy wszystko o nim wiedzieli. Obserwowali w telewizorach, jak otwiera swoje krwawiące serce.

Niewiele prywatności mu pozostało. Ale to, co zostało, drogocenne fotografie rodziny przeznaczone były tylko dla jego ciemnozielonych oczu.

132

Do dziesiątej piętnaście na świat przyszło dopiero sześć szceniąt. Dzieci czekała nazajutrz szkoła i rodzice już dawno zabrali je do domu. Lawrence i Caroline zostali sami.

Katie chciała wyjść na dwór, więc jej towarzyszyli, a kiedy silny promień latarki Lawrence'a oświetlił ogrodzone podwórze, po którym hasała Mindy, Caroline przekonała się, że to tylko mała część jego posiadłości. Drzwi salonu wychodziły na rozległą łąkę. Obok znajdowała się stajnia i otoczony płotem padok, a dalej, aż do sosnowego lasu, ciągnęło się stworzone przez naturę morze krzewów i dzikich kwiatów.

"Jak tu spokojnie - myślała Caroline, gdy tak stali otuleni ciszą nocy. - Mam nadzieję, że Lawrence może tu znaleźć choć trochę wytchnienia od prześladowających go upiórów".

O jedenastej czterdzieści pięć Katie urodziła ostatnie szczenię. Za każdym razem, gdy Caroline obserwowała pojawianie się nowo narodzonego, zapierało jej dech z niepokoju od momentu, kiedy Katie energicznym lizaniem uwalniała drobne, nieruchome ciałka z worka owodniowego, do czasu, gdy małe płuca śmiało chwyciły pierwszy haust powietrza.

Przy ostatnim szczeniaku prawie już zapomniła o niepokoju. Poprzednio przejście od życia w łonie matki do życia na własny rachunek dokonywało się bez większych kłopotów. Co prawda, Lawrence założył szwy na kilka pępów i przyśpieszał pierwszy oddech, ostrożnie odsysając pyszczki gumową gruszką, jednak, jak sam powiedział, te nowoczesne wynalazki były na ogół niepotrzebne.

Ale ostatni maluch potrzebował jego pomocy... jej pomocy.

Katie była wyczerpana. Mimo to, czując niebezpieczeństwo grożące jej dziecku, widząc, jak wolno ożywa nieruchome ciałko, lizała je jeszcze gorliwiej, jeszcze energiczniej, tak, że pod naciskiem szorstkiego języka przetaczało się po ręczniku - ale nie udało się zapalić w nim iskielki życia.

Silne i delikatne palce Lawrence'a także masowały szczenię, a gdy Caroline przekazała mu gumową gruszkę, również jej dłonie przyłączyły się do tych wysiłków.

Masując delikatną klatkę piersiową, myślała z nadzieją, że w ten sposób pobudzi płuca do heroicznej próby złapania pierwszego oddechu.

I wtedy, gdy Lawrence odwrócił małą główkę, by włożyć do pyszczki strzykawkę, Caroline zobaczyła nos szczeniaka. Widziała, jak wyglądały nosy innych pieszków w tym niebezpiecznym okresie, kiedy przestawał dopływać tlen z krwi matki, a przed pobraniem tlenu z powietrza. Były sinawe, łącząc w sobie pastelowe odcienie różu i błękitu.

Teraz, gdy mijały kolejne sekundy bez dopływu tlenu, róż znikł całkowicie, zostawiając tylko chłodny, ciemny, złowieszczy błękit.

133

- No, dalej - szeptała. - Do roboty, mały.

- Caroline - powiedział Lawrence. Na jego przystojnej twarzy pojawił się niepokój, a w głosie dzwięczała przepraszająca nuta.

Chciał właśnie powiedzieć jej to, co i tak wiedziała, że w przyrodzie szansę przetrwania mają tylko jednostki

najsilniejsze, ale zanim zdołał się odezwać, szczenię prychnęło, złapało haust powietrza i wreszcie zaczęło oddychać. I na ich oczach siny nos przybrał różowy kolor, a po chwili krótkie nóżki zaczęły się ruszać z zadziwiającą siłą. Katie nadal lizła malucha, ale mniej energicznie, a Lawrence - tak, jak to robił z pozostałymi - zaczął osuszać mu futerko miękką szmatką.

Zachowywał się tak, jak gdyby to szczenię, które było bliskie śmierci, nie różniło się niczym od innych. I rzeczywiście, po chwili nowo narodzona suczka stała się równie krzepka, jak jej rodzeństwo. Chodziła już, podnosząc się sprężysto za każdym razem, gdy przewracała się i toczyła jak kula w trakcie energicznego lizania.

- Wygląda dobrze - stwierdziła z nadzieją Caroline. Lawrence uśmiechnął się.

- Będzie zdrowa. Jak tylko szczeniaki złapią pierwszy oddech i przekroczą tę niewidzialną barierę, wykazują zadziwiająco dużo siły.

Kiedy maleństwo było już suche, Lawrence podał je Caroline, tak jak przekazywał jej przedtem inne szczeniaki, pozwalając, by przeniosła je do drugiego pudełka. Ale tym razem przenosiny trwały dłużej, bo Caroline miała coś specjalnego do powiedzenia nowo narodzonej.

- Nieźle nas, a przynajmniej mnie, wystraszyłaś - przemówiła cicho do czarno-białego pyszczka. - Ale teraz jesteś strasznie rozbrykana.

- Sądzę, że powinna należeć do ciebie. Caroline spojrzała na niego.

-Co?

- Właścicielka Katie zaproponowała mi, bym wybrał sobie jedno szczenię z miotu. - Lawrence głośno gwałkał drobne ciałko, które trzymała Caroline, a choć jego palce nawet jej nie musnęły, poczuła ich delikatność... i ciepło. - Sądzę, że powinienem ci ją dać na twoje czterdzieste urodziny. Oczywiście, jeśli zechcesz. Nie musisz się decydować w tej chwili. Powinna przebywać z Katie co najmniej dwa miesiące i nie będzie kłopotu ze znalezieniem jej domu, gdybyś zmieniła zdanie.

Caroline pomyślała bez wahania, że chce ją mieć. Wiedziała, że wzięcie na siebie odpowiedzialności za psa jest sprawą poważną, takiej decyzji nie powinno się podejmować impulsywnie. Jednak nie miała wrażenia, że postępuje w sposób nieprzemyślany. Z głębokim spokojem i pewnością siebie czuła, że chętnie zdecyduje się na długotrwały związek z małym stworzonkiem, które ostrożnie tuliła w dłoniach. To prawda, że od czasu do czasu miewała

134

spotkania zarządu, musiała też zorganizować wielki bal charytatywny i wziąć w nim udział - ale wiązało się to z krótkimi nieobecnościami. Zwykle przesiadywała w domu, a jeśli chodziło o podróże, to wyprawa do Moclips, by pomóc przy ratowaniu pokrytych ropą wydr i mew, była najdalszą, jaka jej się od bardzo dawna trafiła.

Stanie się więc domatorką, w ciągu tych dwóch miesięcy ogrozi podwórze i przygotuje dom na przyjęcie psiaka, a gdy jego krótkie nóżki staną się silne i zręczne, będą razem chodzić na spacer po Quenn Ann Hill i...

Caroline wiedziała, że nie zmieni podjętej decyzji, by z radością powitać w swym życiu tego szczeniaka. Ale pomyślała o cocker spanielce, śpiącej na pobliskim łóżku, o przywiązaniu, które dźwięczało w głosie Lawrence'a, gdy opowiadał o głuchocie Mindy i o jej kamykach. I po chwili powiedziała cicho:

- Myślę, że miałyby dobrze tutaj, z tobą.

- Nie - odpowiedział szybko. A potem, już łagodniej, dodał: - Ale chętnie się nią zaopiekuj ę, ilekroć będziesz tego potrzebować.

- Dobrze - zgodziła się Caroline, nieco zaskoczona konsekwencjami jego propozycji, więzią, jaka w ten sposób między nimi powstanie, więzią, która może przetrwać całe lata. - Chcę ją mieć, Lawrensie, i nie potrzebuję dwóch miesięcy na podjęcie decyzji. Nie zmienię zdania.

Caroline zanotowała w pamięci charakterystyczne cechy swego szczeniaka: pięć białych piegów na aksamitnej czarnej mordce i śnieżnobiałą lewą przednią łapkę, a potem położyła go obok innych. Gdy Lawrence kąpał Katie w pralni, usunęła brudne ręczniki z pudełka i położyła na ich miejscu grubą warstwę świeżych.

Zanim Lawrence wysuszył Katie, wszystkie maluchy przebudziły się i z niecierpliwością oczekiwały na pierwszy posiłek. Działał tu czysty instynkt. Katie leżała na boku - istny obraz spokoju i pogody - a jej potomstwo, wciąż z mocno zamkniętymi oczami, trafiało bezbłędnie do jej sutek.

- Nadzwyczajne - wyszeptala Caroline. Uśmiechała się, widząc, że jej szczenię radzi sobie nie gorzej niż inne. -

Niezwykły sposób na spędzenie czterdziestych urodzin.

- Nawet nie włączyłem dla ciebie telewizora.

- To nie ma znaczenia. Przypuszczam, że Bez ostrzeżenia Jasona Cole'a zagarnęło wszystkie nagrody. A jeśli nie, to i tak cieszę się, że tego nie widziałam.

Umilkli oboje i przez chwilę słychać było odgłosy energicznego ssania, dziwne piski, które kiedyś przekształcały się w pełne zdecydowania szczekanie, a od czasu do czasu westchnienie pogodnej, choć wyczerpanej matki. Tak właśnie szczeniaki spędzą tę noc, nie potrzebowały do tego świadków, a poza tym było już bardzo późno...

- Jeśli chcesz, będę dzwonić, żebyś wiedziała, jak się miewa twój szczeniak - zaproponował Lawrence, odprowadzając ją do samochodu.

135

- Tak... proszę.

- A może mógłbym cię zabrać na zaległą kolację urodzinową?

- Dobrze - odparła Caroline, a wyraz jej twarzy zdradzał szczerze, jak zachwycona jest jego zaproszeniem.

Lawrence uśmiechnął się i pomimo maskujących cieni nocy zobaczyła w jego spojrzeniu głód i poczucie bliskości. Znow, jak poprzednio, pod wpływem pieszczoty tych ciemnozielonych oczu zabrakło jej tchu, poczuła nagle gorąco i przeszył ją dreszcz. Żadne dziecko nie przerwie tego czaru. Nic nie zdoła tego dokonać.

Tym razem Lawrence zobaczy jej odważny, zachęcający uśmiech.

Przez cały wieczór Caroline była świadkiem dramatu narodzin, zadziwiającego momentu, kiedy bezruch stawał się ruchem, a to, co przypominało śmierć, w czarodziejski sposób przechodziło w życie.

Teraz, nagle, była świadkiem całkowitego przeciwieństwa tamtego cudownego widowiska. Uwodzicielskie zielone oczy, napelnione taką zapierającą dech intymnością, takim intensywnym pożądaniem, nagle przestały pulsować życiem. Ta zmiana była gorsza nawet od śmierci, bo tam, gdzie mogły być pustka, nicność, Caroline zobaczyła ból.

Czy w tym cierpieniu było również przerażenie? Czyby Lawrence, wpatrując się z nią z nieskrywanym pożądaniem, zobaczył nagle obraz jedynej kobiety, którą kochał? I czy ten obraz był koszmarem, policyjną fotografią przedstawiającą Claire w kilka minut po jej śmierci?

- Lawrensie? - Caroline zaczerpnęła tchu i ku własnemu zdziwieniu zapytała: - Czy to chodzi o Holly?

Skinął potwierdzająco ciemną głową, a potem potrząsnął nią z niedowierzaniem.

- O co chodzi, Lawrensie? Co się stało? - Caroline uświadomiła sobie, że jego przerażenie zniknęło, zostawiając po sobie jedynie powątpiewanie.

- Ja... - Znowu potrząsnął głową i powiedział cicho, przeprasza ją: - To nedorzeczne.

- Powiedz mi. Proszę.

Po długiej chwili wyznał jej wreszcie:

- Nagle miałem wrażenie, że Holly umiera. Przedtem wyraźnie czułem, że ona żyje, ale jakby coś ją więziło. Tym razem było inaczej, Caroline. Nigdy dotąd czegoś takiego nie czułem.

- Czy to wrażenie minęło?

- Tak. - Minęło, ale trudno było o tym zapomnieć. - Naprawdę nie chciałbym zrobić na tobie wrażenia szaleńca.

W jaki sposób wymówił to "na tobie", jak gdyby naprawdę szczególnie mu na niej zależało. I Caroline odpowiedziała z całkowitym przekonaniem.

- Wcale nie uważam cię za szaleńca.

136

17

Holly sądziła, że umiera, i w chwili śmierci, kiedy jej dygoczące serce nagle zatrzymało się, poczuła ulgę.

Nic dziwnego, że serce w końcu zawiadło. Od lat biło spokojnym, miarowym rytmem, typowym dla rośliny, stanu pośredniego pomiędzy życiem a śmiercią. Potem zatelefonowała do niej Raven i powiedziała, że powinna opuścić kokon samotności i ciszy, aby pojechać do Los Angeles. Wtedy serce Holly, bezceremonialnie zmuszone do wyjścia ze stanu hibernacji, zaczęło niebezpiecznie trzepotać. Wydawało się niemożliwością, by mogło walić jeszcze szybciej, ale tak się stało w chwili, gdy po raz pierwszy spostrzegła czułe z troską w ciemnoniebieskich oczach Jasona.

To zrozumiałe, że już ten dygot mógł stanowić śmiertelne zagrożenie, a to, co zdarzyło się dzisiajszego popołudnia, tylko przyspieszyło nieunikniony koniec. Od bardzo dawna jej kruche serce przepelnione było smutkiem. Ale tego popołudnia, w towarzystwie Jasona, inne zadziwiające uczucia ubiegały się o miejsce w jego umęczonych ściankach.

Holly z radością witała te cudowne, nieznane emocje... choć wiedziała, że ją zabiją. Jej trzepoczące serce, tak niebezpiecznie przepelnione, z pewnością pęknie.

Nie była zaskoczona, gdy to się stało, kiedy w końcu serce, którego przyspieszone uderzenia czuła przez ostatnie dwa tygodnie, nagle zatrzymało się. Kruche, rozdygotane wleciało wysoko nad ziemię, pomiędzy przerażające z początku, a potem zachwycające chmury, by w końcu eksplodować w powietrzu. A wtedy Holly poczuła ulgę, że jest już po wszystkim, że umrze szybko, o wiele wcześniej, nim zdąży roztrzaskać się o ziemię.

Ale cierpiące serce, które trzepotało od tygodni, nie zawadzając jej, zdradziło ją teraz: nie umarło. Zaniechało szaleńczego pędu i podjęło spokojny, miarowy rytm, typowy dla zawieszony między życiem i śmiercią krainy, w której przebywała przez ostatnie siedemnaście lat.

Jej serce biło, jak gdyby znowu przebywała w spokojnym sanktuarium swego kokonu w Kodiaku. Ale jest tutaj... Za kilka godzin miała znowu zobaczyć Jasona, by omówić z nim zakończenie Darów miłości.

Jason powiedział, obiecał jej, że nie zmieni ani słowa, ani jednej sylaby, jeśli ona tego nie zechce. Nawet gdyby to była prawda, istniała jeszcze jedna przeszkoda nie do pokonania: będzie chciał, by wyjawiała mu, dlaczego szczęśliwe zakończenie jest dla niej tak strasznie ważne.

Zanim Holly opuściła Kodiak, uzbroiła się w dane, dotyczące jej książki: jak wysokie honorarium dostała za miliony sprzedanych egzemplarzy, jakie pisano wspaniałe recenzje, kiedy przez wiele miesięcy utrzymywała się na

137

samym szczycie listy bestsellerów, ile dostała listów od wielbiących ją czytelników.

Zamierzała przedstawić Jasonowi te fakty, najlepszy dowód, że jej historia, w takiej właśnie formie, odniosła sukces.

Wyobrażała sobie nawet, że gdy nadejdzie pora, kiedy Jason powie jej, że jak na wojenną sagę zakończenie jest beznadziejnie romantyczne, potrafi przeobrazić się w jedną ze swych bohaterek.

Ze spokojem i odwagą spojrzysz w jego sceptyczne i tak uwodzicielskie błękitne oczy i spyta go, czy właśnie banałem nie jest obowiązkowo smutne zakończenie wojennych historii. Każdy zna tragiczne lekcje wojny. Może czas na zwycięstwo nadziei i miłości?

Jej serce znowu podjęło swój wolny, miarowy rytm, spadło spod chmur tam, gdzie było jego miejsce, i teraz obiecywało jej, że nie będzie już fruwać ani tak trzepotać. Było śmiertelnie wyczerpane. Nigdy już nie skala się tak cudownym szaleństwem.

A gdyby nawet serce mówiło jej prawdę, gdyby nie zaczynało nagle walić na jego widok, istniała poważniejsza sprawa: człowiek, który właśnie zdobył siedem Oscarów, wysłuchałby ze spokojem tego, co by mu przedstawiła, mógłby nawet zaakceptować jej filozoficzny pogląd dotyczący wojny, ale wyczułby, że nie usłyszał dotąd prawdziwego wyjaśnienia, dlaczego tak bardzo zależy jej na szczęśliwym zakończeniu.

Delikatnie, bardzo delikatnie kazałby to sobie wyjaśnić.

A ona nie mogła tego zrobić.

Nie potrafiła powiedzieć Jasonowi Coleem, że nie chciała zgodzić się na śmierć Savannah, gdyż ta fikcyjna postać dla niej istniała naprawdę. Była jej ukochaną przyjaciółką, jak wszyscy stworzeni przez nią bohaterowie, jedyni przyjaciele, jakich miała.

Pomyślałby, że jest szalona.

I miałby rację.

Była szalona, teraz to wiedziała. Obłąd bezlitośnie osaczał ją coraz bardziej z każdym dniem. Oszukiwała samą siebie, że żyje, że udało się jej przetrwać. Ale to nieprawda. Była ledwo żywa... i całkowicie obłąkana. Z rzadka tylko wychodziła ze swej chaty, a jeszcze rzadziej pozwalała, by jej myśli opuszczały stworzoną przez nią krainę.

Jason bez wątpienia postawił już diagnozę, że jest trochę zwariowana, w uroczy, beznadziejnie ekscentryczny sposób.

Jej dziwactwo nawet go trochę intrygowało i najprawdopodobniej uznał, że to fascynacja latami sześćdziesiątymi skłoniła ją do wybrania sukni dziecka-kwiatu, do radosnego świętowania dawno minionej epoki.

Ale Holly aż nazbyt dobrze wiedziała, że nie jest to kwestia wyboru ani świętowania. Śliczna suknia była tylko doskonale trafionym symbolem tego, jaka była niedzisiejsza, jak wielki dystans dzieli ją od rzeczywistości.

138

Nie chciała, by Jason wiedział o jej szaleństwie. Nie pozwoli na to.

- Panna Pierce wymeldowała się dziś rano, panie Cole. - Promienny uśmiech recepcjonistki hotelu Bel Air zbladł, gdy zobaczyła, jaki wyraz pojawił się na jego znanej wszystkim twarzy. - Ale - dodała z ufnością w głosie - zostawiła dla pana liścik.

Jason wziął zapieczętowaną kopertę i wyszedł na zewnątrz. Słońce świeciło jasno, a ciepłe powietrze przenikał upajający zapach gardenii. Opuścił hotel przez główne, łukowate wyjście i skierował się ścieżką w stronę sadzawki.

Białe łabędzie sunęły leniwie po spokojnej powierzchni, ale nie licząc tych pełnych wdzięku ptaków, Jason był zupełnie sam. Sławni goście hotelu jeszcze spali, gdyż do samego świtu bawili się na wielu galach z szampanem, które rozpoczęły się po rozdaniu Oscarów.

Jason nie spał w ogóle, ale jego bezsenność nie miała nic wspólnego z wystawnymi przyjęciami ani zdobytymi przez niego siedmioma statuetkami. Nie mógł zasnąć z powodu zdenerwowania, pragnął znowu zobaczyć Holly, musiał ją zobaczyć. Pomiędzy trzecią nad ranem, gdy opuścił przyjęcie w Spago, a siódmą, kiedy wrócił do swego apartamentu, by wziąć prysznic i przebrać się, był na plaży, spacerował tam i z powrotem po piasku, a w głowie kłębiły mu się pytania, na które tylko ona mogła odpowiedzieć.

Kim jesteś, Holly? Co sprawia, że pragnę cię zatrzymać, nigdy nie pozwolisz ci odejść? I dlaczego tak się boję, że nawet najczulszy dotyk może skłonić cię do ucieczki?

Pytania wciąż powracały, bez odpowiedzi niczym uprzykrzone prorocтво. .. bo zanim jeszcze jej dotknął, Holly naprawdę uciekła.

Wczoraj wieczorem cieszył się z odniesionego sukcesu, a teraz największe znaczenie miał dla niego ten list. Rozerwał kopertę.

Drogi Jasonie!

Musiałam wrócić na Alaskę. Zrób z "Darami miłości", co uznasz za stosowne. Wiem, że spodoba mi się wszystko, na co się zdecydujesz. Jeszcze raz dziękuję za wczorajsze popołudnie.

Holly

Jason wpatrywał się w list, jedyne namacalne świadectwo, że Holly w ogóle istniała. Charakter pisma miała wyraźny, dziewczęco prosty, pozbawiony ozdobników. Gdy szukał wyjaśnienia w jej słowach, znajdował tylko jeszcze głębsze pokłady tajemnicy i niepokoju.

139

"Musiałam wrócić na Alaskę" - napisała. Jason wyczuł w tym jakiś przymus. .. a nawet desperację. I Holly poddała się całkowicie w sprawie zakończenia filmu, bez dyskusji z nim, choć przyjechała do Los Angeles, żeby bronić własnej wersji.

"Jeszcze raz dziękuję za wczorajsze popołudnie". Tylko te słowa pozostawiały Jasonowi nadzieję. Holly dziękowała mu za coś więcej niż lunch -gdyż wczorajsze popołudnie nie miało nic wspólnego z posiłkiem. Za to miało wiele wspólnego z magią, z początkiem miłości... a choć coś wystraszyło ją tak bardzo, że od niego uciekła, ona też to wiedziała.

- Jason! - przywitała go Raven, gdy sekretarka oznajmiła jego nieoczekiwane przybycie. - Gratuluję... co się stało?

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Dobrze. - Raven nigdy nie widziała Jasona tak zdenerwowanego, tak wytrąconego z równowagi, tak poważnego,

nawet w trakcie negocjacji, od których zależały jego majątek i kariera. - O co chodzi, Jasonie? Co się stało?

- Chcę, żebyś znalazła dla mnie adres Holly.

- Holly? Kto to jest Holly?

- Marilyn Pierce. Lauren Sinclair.

- Nie widziałeś się z nią wczoraj?

- Tak, ale mieliśmy się znowu spotkać dziś rano, a ona wróciła na Alaskę.

- Chcesz jej coś wysłać?

- Nie. Chcę jej powiedzieć osobiście, że nie zamierzam zmieniać zakończenia jej książki. Oraz przekonać ją, by napisała dla mnie scenariusz. Pomyślałem, że mogłabyś zająć się jej kontraktem.

Raven wiedziała, że za dwa dni Jason wyjeżdża do Hongkongu. Bez wątplenia było mnóstwo spraw, którymi powinien zająć się przed odjazdem. A teraz zamierzał rzucić wszystko i wyruszyć na Alaskę? Była to zdumiewająca nowina i Raven dopiero zaczynała się z nią oswajać, kiedy Jason odsłonił resztę planu. Nie próbowała nawet ukrywać zdumienia.

- Chcesz, żebym negocjowała kontrakt dla niej? Nie dla ciebie?

- Zapłacę każdą uczciwą cenę, jaką zaproponujesz. A więcf Raven, zadzwonisz do wydawcy i powiesz, że potrzebny ci jej adres? - Jason mógłby zdobyć adres Holly od recepcjonistki w hotelu Bel Air. Złamałaby w ten sposób przepisy, ale nie miał wątpliwości, że zrobiłaby to dla niego. Jednak nie poprosił ją o to, ponieważ nie znosił zarozumiałstwa gwiazd, uważających, że nie obowiązują ich żadne prawa. - Jeśli go nie podadzą, to trudno, ale jest mi potrzebny z powodów całkowicie zgodnych z prawem.

140

Raven uświadomiła sobie, że za tym, co mówi Jason, kryje się jakiś dziwny powód. Pomyślała o miękkim głosie autorki książek pełnych miłości... i o zadziwiającym weekendzie, który właśnie spędziła z Nickiem.

Uśmiechając się uroczo, odpowiedziała Jasonowi.

- Zrobię, co w mojej mocy.

Raven zdobyła adres Holly bez trudu.

- Jesteś wspaniała - powiedział Jason, gdy wręczyła mu kartkę papieru, stanowiącą, taką miał nadzieję, jego paszport do następnej magicznej podróży.

- Nieczęsto dostaję od ciebie czek in blanco za scenariusz - żartowała Raven. Potem, nagle poważniejąc, dodała: - Mam nadzieję, że ci się powiedzie.

- Dziękuję. Też mam taką nadzieję.

Jason chciał jak najszybciej wyjść, zorganizować wszystko tak, by należący do studia odrzutowiec zabrał go do Kodiaku, gdzie czekałby na niego samochód i pokój w hotelu. Ale w połowie drogi do drzwi, odwrócił się do niej.

- Raven?

- Słucham? - spytała, zdając sobie sprawę, że jego ciemnoniebieskie oczy po raz pierwszy patrzą na nią z niepodzielną i skupioną uwagą.

- Wyglądasz... na szczęśliwą. Coś się wydarzyło... ale nie chodzi o Michaela, prawda?

- Tak. Wydarzyło się coś cudownego. I nie chodzi o Michaela. - Raven przechyliła głowę i powiedziała: - Mam nadzieję, że i tobie przydarzy się coś równie cudownego.

18

Kodiak, Alaska Wtorek, 28 marca

Była prawie północ, gdy Jason zameldował się w hotelu "Westmark". Po krótkim wahaniu postanowił przynajmniej zobaczyć, gdzie mieszka Holly, przejechać koło jej domu w nadziei, że wyczuje, iż jest tam w środku, bezpieczna, pogrążona we śnie i spokojnych, szczęśliwych marzeniach.

Wiejska chata Holly znajdowała się sześć kilometrów za miastem, na końcu wąskiej drogi, pół kilometra od najbliższego sąsiada. Droga wiła się

141

wśród zwartej gęstwiny wysokich sosen, i dopiero gdy Jason dotarł do chaty, zawieszanej nad urwiskiem, zorientował się, jak blisko linii brzegowej wyspy biegnie ten leśny trakt. Morze w dole srebrzyło się muskane księżycową poświatą, przefiltrowaną przez wełnistą zasłonę chmur.

Gdy Jason jechał przez leśny mrok na odludzie Holly, miał nadzieję, że na miejscu przywitają go światła na ganku, których zadaniem jest odstraszenie nieproszonych gości. To, co go powitało, było jeszcze bardziej podnoszące na duchu: jasne światła, całe mnóstwo światła. Chata jarzyła się oślepiająco, otoczona gorącą luną, a wszystkie zasłony były odsunięte, jakby na powitanie.

Jason od razu spostrzegł Holly. Jej złote włosy lśniły niczym najjaśniejsza z morskich latarni, przyzywając go. Siedziała na kanapie w salonie, ubrana w szlafrok w odcieniu lawendy. Musiał być pikowany, gdyż zdecydowanie zaokrąglął jej bardzo szczupłą postać.

Zwinęła się w kłębek. Była to jednak poza pełną napięcia, sztywne. Holly pochyliła głowę, oparła czoło na kolanach, podciągniętych blisko ciała, przytrzymywanych mocnym uściskiem ramion.

Jason nie mógł widzieć jej twarzy. Była ukryta za złotym, jedwabistym welonem. Ale nie miał najmniejszej wątpliwości, że Holly nie śpi, że jest czujna i zaniepokojona, a każda komórka jej ciała ma się na baczności. Przed kim? Co ją tak wystraszyło? Z jego punktu obserwacyjnego wydawało się, że Holly jest zupełnie sama.

Zamiast podejść do drzwi, Jason zdecydował się zapukać cicho do okna. W ten sposób uprzedzi ją, że to on - a nie

niewidzialne, nocne zagrożenie, którego tak wyraźnie się bała.

Zapukał cicho, ostrożnie, ale ona zareagowała natychmiast w zadziwiający sposób. Jeszcze bardziej zeszywniała ze strachu, zaczęła dygotać. Białe dłonie, wyciągnęła błagalnie w kierunku zjawy, której nie mógł zobaczyć. Gdy uniosła głowę, Jason zauważył przelotnie jej oczy. Były szare, bezbarwne i nawet nie zwróciły się w kierunku, skąd dobiegało ciche pukanie. Patrzyły prosto przed siebie, białe w coś, ku czemu sięgały tak błagalnie i gorączkowo jej blade dłonie. I wtedy Jason usłyszał ten dźwięk, krzyk tak pełen udręki, że z początku nie potrafił uwierzyć, iż wydała go ludzka istota. Pomyślała, że to wiatr wyjący wśród drzew. Albo przerażający zew mewy. A może upiorne pohukiwanie sowy. Krzyk natury.

Jednak ten dźwięk nie dopływał ze srebrzystego, cienistego bezmiaru zamglonej chmurami nocy. Dochodził z jasno oświetlonego wnętrza chaty. Przez okna z bolesną wyrazistością przebijały się rozpaczliwe słowa.

- Proszę! - krzyczała Holly. - Proszę, nie zabijaj jej!

Jason zapukał znowu, tym razem głośniejszym, próbując gorączkowo odwrócić jej uwagę od tego, co budziło w niej takie przerażenie.

142

-Holly!

Wydawało się, że nie usłyszała jego głosu, a pukanie jeszcze bardziej ją przeraziło.

- Proszę, przestań, proszę.

Zdobywca Oscarów, reżyser Jason Cole, był świadkiem sceny, nad którą nie miał kontroli. Ta świadomość wywołała w nim rzadkie poczucie bezsilności. Pokonał je szybko i ruszył zdecydowanie ku drzwiom. Nawet gdyby były pozamykane na wiele zamków, ustąpią przed siłą jego determinacji, żeby być z nią, przyłączyć się do niej w tym koszmarze, położyć mu kres.

Jednak drzwi nie były zamknięte, co świadczyło o tym, że Holly nie bała się ludzi: złodziei, gwałcicieli czy morderców, którzy mogliby zaatakować samotną kobietę, mieszkającą w chacie pośród lasów. Nie zaryglowane drzwi dowodziły, że Holly wiedziała, iż tego, co teraz tak ją przeraża, nie powstrzymają żadne zasuwki ani łańcuchy.

Przez chwilę Jason zastanawiał się, czy jednak nie zastanie w środku jakiegoś intruza. I, o dziwo, ta myśl nappełniała go nadzieją - wroga łatwiej pokonać niż niewidzialną zjawę.

Jednak poza Holly nikogo nie było w salonie. Nie krzyczała już, kwiliła zaledwie, szeptała z bezgraniczną rozpaczą, gdy jej szare oczy oglądały coś, co mogło być tylko sceną śmierci.

Jason ukląkł pomiędzy nią a upiorną wizją, którą jedynie ona potrafiła zobaczyć. Nie miała swoich drucianych okularów, dzięki czemu mógł widzieć jej bezbarwne oczy... i ciemne sińce, świadectwo tego, że niewiele spała od kilku dni, może nawet tygodni.

- Holly, to ja. Jason.

Nadal go nie widziała, spoglądała ponad nim, przez niego, jak gdyby to on był nierzeczywisty, a nie owa zjawa.

"Nie bój się mnie" - rozkazywał jej w duchu, choć jednocześnie musiał stawić czoło niepokojącej prawdzie: Holly rozpaczliwie błagała o czyjeś życie, o życie kobiety, a to on właśnie zamierzał niefrasobliwie zabić bohaterkę jej książki. Wydawało się niemożliwością, by właśnie to... by on mógł być przyczyną takiej udręki.

A jeśli tak, potrafi temu szybko zaradzić.

- Holly, wysłuchaj mnie. Savannah nie umrze. To dlatego tu jestem. Przyjechałem, by ci to powiedzieć. Będzie żyła długo i szczęśliwie, tak jak chciałaś. - Jego słowa, a może po prostu łagodny ton głosu, wydawały się ją uspokajać, odciągać od krainy wyobraźni do rzeczywistości. - Cokolwiek widzisz, Holly, to tylko miraż. To nie jest nic rzeczywistego, nic, co mogłoby cię skrzywdzić. Najwyraźniej nie spałaś od bardzo dawna i pewnie nic nie jadłaś. Jesteś zmęczona, wyczerpana... - Jason ujął jej lodowate

143

dłonie, przekazując im swe ciepło i siłę. - Holly? Myślę, że mnie słyszysz. To ja, Jason. Jestem tutaj, bo...

- Jason?

- Cześć. - Ja jestem prawdziwy, Holly. Naprawdę jestem tutaj, w twojej chacie, w Kodiaku. A tamto... cokolwiek to było, to złudzenia.

Nieprawda! Ta myśl napłynęła z olbrzymią mocą, gdy jej wyczerpany mózg walczył o zachowanie zdolności rozumowania. Ta walka była tym trudniejsza, że serce, które obiecywało jej, iż nigdy nie będzie dygotać, trzepotało teraz i zaczynała unosić się ku chmurom... ku magii.

Oczy Holly przesunęły się od łagodnego uśmiechu Jasona do jego zaskakująco ciepłej dłoni... Ostatnie ręce, które ją dotykały, należały do matki. Czule ujmowały jej twarz, gdy Claire żegnała się z córką. Teraz, po siedemnastu latach, Holly Elliott znowu była dotykana z taką samą czułością, z pełnym miłości ciepłem.

Nagle cofnęła ręce, jak gdyby to ciepło przekształciło się w palący ogień.

"Jestem obłąkana - przypomniała sobie. - I moje szaleństwo zostało w pełni ujawnione".

Uświadamiała sobie niejasno, że to, co w jej uszach brzmiało jak wystrzały, było pukaniem do okna. Ale ta świadomość stanowiła jedynie słaby przebłysk zdrowego rozsądku w morzu obłądki. Była tak zagubiona w odległych wspomnieniach, że nie mogła odróżnić złudzenia od rzeczywistości.

Przez siedemnaście lat Holly potrafiła trzymać wspomnienia pod kontrolą. Była w stanie usnąć, zmusić do przebywania w tej krainie, zawieszony między życiem i śmiercią, w której sama mieszkała. Ale po powrocie do Kodiaku wspomnienia przebudziły się, odżyły, nabrały energii i agresji. Zaatakowały ją ze zdwojoną siłą, zuchwale

wydostały się z więzienia jej umysłu, wskrzeszone do prawdziwego, przerażającego życia.

Miała halucynacje. Razem z nią w pokoju byli Derek, matka i bliźnięta, naturalnej wielkości, trójwymiarowi i nawet bardziej wyraźni niż w tamtą dawno minioną noc śmierci. Widziała ich. Słyszała. A choć jednocześnie dobiegał do niej łagodny głos, mówiący, że ta wizja... ta halucynacja... jest tylko złudzeniem zmęczonego umysłu, Holly znała prawdę: była obłąkana.

- Holly? Pamiętasz, co się stało? Możesz mi powiedzieć?

Wymijająco wzruszyła ramionami.

"Powiedz mu - szydziły wspomnienia. - Opowiedz mu wszystko. Niech sam zobaczy twój obłąd".

Wspomnienia chciały, by czułość znikła z oczu Jasona, tak jak pragnęły, by on sam zniknął z chaty. Chciały mieć Holly tylko dla siebie, żeby wiecznie odtwarzać przed nią krwawą scenę śmierci.

144

- Błagałaś, by nie zabijano kogoś, jakiejś kobiety. Chodziło ci o Savannah, Holly? Bo jeśli tak, to nie musisz się martwić. Jestem tu, by cię upewnić, że nie zamierzam zmieniać szczęśliwego zakończenia twojej książki.

- Nie chodziło o Savannah. - To prawda, pojechała do Los Angeles, by błagać go o darowanie życia jej bohaterce. Ale tego nie zrobiła. W porę zorientowała się, jak wariacko zabrzmiały te prośby. Los Angeles było wyspą zdrowego rozsądku pośród oceanu szaleństwa. - Dziękuję, ale... nie powinieneś tego robić ze względu na mnie. Rób to, co chcesz, co uważasz za najlepsze.

- Właśnie to uważam za najlepsze. - Pragnął jej zaufania, lśniących iskier błękitu i zieleni tam, gdzie teraz była tylko szarość, promiennych uśmiechów szczęścia i miłości i dotyku jej rąk, stulonych w jego dłoniach... i dotyku ich ciał, przytulonych do siebie. Jason wpatrywał się w jej zmęczoną twarz i czuł, ile wysiłku kosztuje ją mówienie. - Poza tym myślę, że dla ciebie najlepiej będzie, jeśli utniesz sobie drzemkę... porządną drzemkę.

Holly skinęła głową ze słabą nadzieją. Od tak dawna nie zmrugała oka. Może gdyby spała, wspomnienia nie wyzwoliłyby się z więzów jej świadomości. Może za pomocą snu ponownie uda się jej ukryć szaleństwo.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, Holly, chciałbym zostać tu na noc. Ta kanapa wygląda na dość wygodną.

Holly ściągnęła brwi, gdyż jako gospodyni niepokoiła się o wygodę gościa, a nie dlatego że - uświadomił sobie Jason - nie chciała, by u niej nocował.

- Jestem przyzwyczajony do śpiwania na kanapach w studiu, gdy pracujemy nad montażem filmów. Tu mi będzie wygodnie. Dobrze?

Nie odpowiedziała od razu, ale gdy wreszcie kiwnęła złotą główką, Jason poczuł nagły przypływ radości.

Pozwalała mu zostać, bez jednego słowa protestu. Wydawało mu się to cudownym początkiem zaufania.

19

Gdy Holly ocknęła się z głębokiego snu, poczuła dziwne uczucie nadziei. Nadzieja? To wydawało się niemożliwe.

Dlaczego miałyby przyjść do niej teraz, śmiało wtargnąć tu, gdzie przez tak długi czas gościł tylko smutek? Zaskoczona Holly starała się to pojąć, a jednocześnie jej myśli podryfowały do ulubionej ongiś bajki o Śpiącej Królownie, która spała przez wiele

145

lat, skazana na długą drzemkę, przez zaklęcie złej czarownicy, dopóki dzielny książę nie przebił się przez grubą ścianę kolczastych gałęzi, by ją odnaleźć, zbudzić czułym pocałunkiem...

I nagle napłynęły znowu wspomnienia - wydawały się takie realne. Ale nie mogły być prawdziwe. Po prostu przyśnił jej się koszmar śmierci, a od tej męki wybawił ją cudowny sen, tak potężny, że wskrzesił nadzieję, która, jak sądziła Holly, została zamordowana bezlitośnie tamtej śnieżnej, walentynkowej nocy.

W Los Angeles Holly czuła upajającą, pełną euforii magię - choć nie potrafiła znaleźć dla niej nazwy. A teraz sen o czarowniku przywrócił do życia bliską ongiś przyjaciółkę. Magia była iluzją, stworzoną przez Jasona, i bez niego nie mogła istnieć. Ale Holly wiedziała, że musiała kiedyś odczuwać ten tryskający radością optymizm - przynajmniej wtedy, gdy była małym dzieckiem. Żył w niej wówczas, był jej nieodstępnym towarzyszem, a teraz wrócił do niej dzięki niezwykłemu snowi.

Ten optymizm to wspaniały dar, który jakimś cudem znowu odzyskała, i Holly nie zamierzała z nim się rozstać. Nawet jeśli były to tylko symbole jej obłądzenia, znajdzie sposób, by te tańczące iskry złotego światła nigdy więcej jej nie opuściły.

"Będę was strzec jak skarbu! - obiecywała. - Zostańcie ze mną".

Złote iskry odpowiedziały, skłaniając ją, by wyskoczyła z łóżka, rozsunęła zasłony i z radością powitała wspaniały nowy dzień. Holly posłuchała rozkazu, wyszła - ale nie wyskoczyła - z łóżka. Pomimo pulsującej w niej energii poruszała się wolno, ostrożnie, upewniając się, że optymizm towarzyszy jej przez cały czas, gdyż nie chciała go zgubić, jak Piotruś Pan zgubił kiedyś swój cień.

Optymizm usłuchał jej. Był z Holly, gdy rozsunęła zasłony, by wpuścić dzień najpiękniejszy, jaki widziała od siedemnastu lat. I wtedy, gdy weszła do salonu bosa, ubrana tylko w bawełnianą koszulę nocną.

- Dzień dobry - powiedział cicho Jason do uroczego zjawiska z potarganymi, złotymi włosami i promiennymi, błękitnozielonymi oczami.

- Och - wyszeptała Holly. A więc to nie był sen. On widział moje szaleństwo. I to jego delikatność ocaliła mnie i ową cudowną nadzieję. Ale mój optymizm jest tylko iluzją, tak jak była nią magia. Należy do Jasona... i zniknie wraz z nim.

"Nie pozwolisz, by twój optymizm znikł, Holly, i nie jesteś szalona". Ten głos wypływał z głębin jej duszy, był silny,



pewny... i kochający. Czyj to głos? Matki? Ojca?

- Dobrze spałaś? - spytał Jason.

- Tak, bardzo dobrze. A ty?

- Tyle, ile potrzebowałem. - Rzecz jasna, nie spał wcale. Wolał spędzić noc, czuwając nad Holly. Tego pragnął, o wiele bardziej niż snu, a gdy cicho

146

chodził przez całą noc jak strażnik na warcie, oczekujący pojawienia się niewidzialnego intruza, dowiedział się. o niej więcej...

Świat wewnątrz jej chaty, spartański świat, w którym żyła, przypominał bardziej biuro niż dom. Wyposażony w kosztowny i nowoczesny komputer, drukarkę i faks, pozbawiony był całkowicie jakichkolwiek ozdób. Nic nie wisiało na ścianach, nie było tam plakatu przedstawiającego słońce odbijające się od horyzontu w Barrow ani powiększonych okładek jej książek, fotografii przyjaciół czy rodziny ani nawet oprawionej listy bestsellerów z "New York Timesa", z owego tygodnia, gdy Dary miłości zajęły pierwsze miejsce.

Holly nie zdobiła ścian pamiątkami, nie przechowywała ich też gdzie indziej. Jason spostrzegł, że nie miała telewizora. Nie mógł również odszukać radia ani odtwarzacza stereo. A choć wszędzie leżały książki, nie znalazł żadnych gazet czy czasopism, żadnego łącznika z bieżącymi sprawami świata zewnętrznego.

Były tu romanse, wszystkie ze szczęśliwym zakończeniem, rozmaite informatory: Encyclopaedia Britannica, słowniki w siedmiu językach, tezaurs języka, angielskiego i poradniki językowe. Miała wielki zbiór książek na temat Wietnamu, a cały regał zajmowały książki podróżnicze, poświęcone wspaniałym i egzotycznym miejscom. Zauważył wśród nich wydany ostatnio i najwyraźniej czytany przewodnik po Los Angeles.

Jasonowi wielką przyjemność sprawiało czytanie cieszących się olbrzymim powodzeniem książek Lauren Sinclair, których akcja toczyła się w Londynie i Paryżu. Kiedy zdjął z półki przewodniki po tych miastach, zobaczył, że choć z pewnością zostały przestudiowane, nie miały notatek na marginesie, żadnych pośpiesznie kreślonych zapisów, robionych podczas zakupów w Highgrove czy w trakcie podziwiania cudów Luwru.

Holly zabierała swych czytelników we wspaniałe podróże do zaczarowanych miejsc, z których najwspanialszą i najbardziej czarodziejską była miłość. Teraz Jason znał prawdę o egzotycznych sceneriach, w których rozgrywały się jej powieści. Choć opisy były zadziwiająco autentyczne, bogate w szczegóły, ona sama nigdy do tych miejsc nie dotarła.

Czy odnosiło się to również do jej podróży do miłości? Czy też nie miała osobistych kontaktów z tą czarodziejską krainą?

Podczas mrocznej arktycznej nocy Jason zorientował się, że chata, w której mieszkała Holly, jest bardziej biurem niż domem, a nad ranem, kiedy uznał, że najwyższy czas na kawę, dokonał innego, niepokojącego odkrycia. Surową, białą kuchnię wyposażono w różne urządzenia, równie nowoczesne i wysokiej jakości, jak komputer i faks, a także w błyszczące rondle, komplet drogich naczyń, sztućców i talerzy. Ale wszystko to sprawiało wrażenie, jak gdyby Holly urządziła kuchnię dla kogoś innego, dla przyszłego lokatora, ponieważ najwyraźniej nigdy niczego nie używała.

147

A jedzenie? Jason znalazł tylko batony z płatków zbożowych - wiele kartonów - wszystkie w tym samym smaku, a oprócz nich - wielki słoje witamin. Próbował wmówić sobie, że to rozwiązanie tymczasowe. Przecież on sam, kiedy pochłonięty był pracą, rzadko zwracał uwagę na to, co je, z roztargnieniem pochłaniając wszystko, co wpadło mu w ręce, kiedy jego mózg domagał się nowej porcji paliwa.

Jason pragnął wierzyć, że monotonna dieta jest tylko dowodem tego, jak Holly była ostatnio zapracowana. Ale nigdy nie używane rondle, garnki, piekarnik i kuchenka mikrofalowa mówiły mu coś innego: nigdy nie przygotowywano tu gorącego posiłku - nawet zupy. Ani gorącej czekolady, kawy czy herbaty.

W trakcie swych wędrówek Jason odkrył garaż. Były tam śniegowce, duża przyzma porządnie ułożonego drewna - ale ani śladu samochodu. Czy powodem spartańskiej diety Holly była konieczność pokonywania długich odległości do miasta? Z pewnością nie. Lokalni sklepikarze chętnie dostarczyliby jej zakupy, mogła też zawsze wziąć taksówkę.

Po prostu tak już żył ten kruchy, arktyczny kwiatusek: zawsze zimna strawa, nawet w samym środku najsurowszej polarnej zimy, spożywana bez przyjemności i tylko w ilości potrzebnej dla podtrzymania życia w wychudzonym ciele. Teraz szczupłe ciało Holly, z wyjątkiem bladej twarzy, dłoni i stóp było całkowicie ukryte pod skromną, flanelową nocną koszulą. Ale Jason i tak wyczuwał jego drżenie.

Odezwał się do niej łagodnie:

- Pojechałem rano do miasta, żeby wziąć prysznic w hotelu i przebrać się. Przy okazji kupiłem trochę jedzenia. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

"On wie, że jadam tylko batony". Holly poczuła, że świeżo odzyskany optymizm próbuje od niej uciec, odlecieć jak najdalej, jak gdyby była tonącym okrętem, który wkrótce zniknie na zawsze w mrocznych głębinach lodowatego morza.

"Nie rób tego! - błagała w duchu zbuntowany optymizm. - Wiem, że potrzebujesz lepszej stawy niż ta, której ci dotąd dostarczałam. Aby zapewnić życie twoim tańczącym złotym iskierkom, potrzebujesz gorących posiłków, warzyw i owoców. Odtąd będziesz je miał, obiecuję. Kiedy sądziłam, że jesteś martwy, nie potrzebowałam niczego więcej poza batonami. Wystarczyły aż nadto, by podtrzymać powolne bicie serca i lodowaty metabolizm wegetacji... i mój smutek".

-Holly?

- Nie, Jasonie, nie mam nic przeciwko temu. Dziękuję.

Kiedy Holly myślała się i ubierała, Jason nakrył do stołu, schłodził sok pomarańczowy, przyrządził gorącą czekoladę, podgrzał jagodzianki i rogaliki, nadziewane czekoladą, przygotowane w pachnącej kuchni hotelu "Westmark". Szef kuchni chętnie dostarczył mu również jedzenia na później: zupę pomidorową, zestaw kanapek, potrawkę z krabów i cheddaru oraz ciasto z jagodami. Zapewniano go, że hotel dostarczy zamówione dania pod każdy adres w Kodiaku. Jason widywał dotychczas Holly jedynie w długich, powiewnych strojach. Zarówno suknia z lat sześćdziesiątych, jak i skromna koszula nocna nadawały jej czarująco staroświecki wygląd. Holly, która przyszła na śniadanie, wyglądała zupełnie inaczej: džinsy, golf, pulower i buty kowbojskie. Włosy, tworzące przedtem złotą zasłonę, splecione miała w gruby złoty warkocz. Teraz widział piękną twarz Holly. Patrzyła na niego, z odwagą i pomimo wychudzenia, które bardziej niż kiedykolwiek rzucało się w oczy, sprawiała wrażenie osoby silnej i dumnej, dzielnej pionierki z najdalszej granicy Ameryki.

To był domowy strój Holly i jej domowa fryzura. Jason uświadomił sobie, że do ataku niewidzialnych intruzów poprzedniej nocy żyła tu sobie wygodnie i spokojnie.

Wyglądała na osobę delikatną, lecz odważną. Doskonale dawała sobie radę w życiu. Regularnie chodziła dwanaście kilometrów po zakupy, o wszystkich porach roku, w słońcu i śnieżyca, o zmroku i w jasny dzień, a pomiędzy tymi niezbędnymi wyprawami pisywała książki o nadziei i miłości, które przyniosły jej ogromny rozgłos i niemalą fortunę. Holly doskonale przeżyła bez niego trzydzieści lat. Gdy Jason wpatrywał się w jej dumne i zdecydowane oczy, zastanawiał się, czy nie usiłowała jednak udowodnić jeszcze czegoś innego. Może jemu? Może sobie? Czy to wzywające, błękitne spojrzenie nie mówiło o tym, że doskonale mogłaby przeżyć bez niego następne trzydzieści lat? Coś jej się przytrafiło ubiegłej nocy, podczas snu. Coś, do czego powracała z takim zapamiętaniem. Co to było? Historia jej życia? Miłość? Nie wiedział. Ale wyczuwał, że w jakiś sposób stanowił dlań zagrożenie. Jak gdyby mógł jej to ukraść, jeśli tylko miał okazję.

"Nie zamierzam cię okradać - zapewniał w duchu dzielną pionierkę. -Przeciwnie, chciałbym ci tyle dać... gdybyś mi tylko pozwoliła".

- Powiedziałem ostatniej nocy, że przyjechałem tu, by cię zapewnić, że nie zamierzam wprowadzać żadnych zmian do Darów miłości. Ale to tylko jeden z powodów, Miałem też nadzieję, że zdołam cię przekonać, byś napisała dla mnie scenariusz.

- Scenariusz? Nigdy czegoś takiego nie robiłam. Nie wiem, czy potrafię.

- Nie wątpię w to, że potrafisz. Pisziesz wspaniałe dialogi, a przecież w gruncie rzeczy to one tworzą scenariusz.

149

- Jednak film ma inne tempo niż książka - zaprotestowała słabo. - Jest taki obrazowy.

- Nie zauważyłem tu telewizora, więc nie wiem, ile filmów widziałas.

- W mieście jest kino - powiedziała. Jej trzepoczące serce pragnęło ulecieć ku magii, stworzonej przez Jasona, śpiewało radośnie, zmuszając ją, by wyznała: - Nie chodzę często do kina... ale widziałam wszystkie twoje filmy.

Jason sprawiał wrażenie zaskoczonego, gdy dowiedział się, że pokonywała czasem z wielkim trudem dwanaście kilometrów, by oglądać filmy, które nakręcił.

- Widziałas Rozlewisko!

- O, tak.

- No, więc... - Zgubił wątek rozmowy, zatracając się nagle w rozjarzonych głębiach jej pięknych oczu. Najchętniej patrzyłby w nie wiecznie, ale kiedy miała już odwrócić wzrok, jak gdyby przypominając sobie, że ma do czynienia ze złodziejem, przed którym trzeba się mieć na baczności, szybko skupił myśli. - Masz rację co do tempa filmu. Film fabularny nie powinien trwać więcej niż dwie godziny, a to znaczy, że kiedy dokonuje się adaptacji książki, trzeba usuwać całe sceny, skracać je albo łączyć.

- Rozumiem i nie to mnie niepokoi. Tylko że nie jestem całkiem pewna, jak to robić.

Jason uśmiechnął się.

- I tu ja wkraczam. Jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu, chciałbym podać ci ogólny zarys filmu, tak jak ja go widzę, ze scenami, które uważam za absolutnie konieczne. Pytałem cię o Rozlewisko, bo jest również adaptacją długiej i wielowątkowej książki. Jeśli pamiętasz, zastosowałem kolaż scen w połączeniu z podkładem muzycznym, by w ten sposób skondensować niektóre wątki.

- Pamiętam. To było bardzo efektowne... bardzo sugestywne.

- Dziękuję. No więc, Holly, zechcesz być moim scenarzystą?

A więc obiecywał, że magia będzie trwać wiecznie, że nie zniknie wraz z jego odjazdem. I Holly odpowiedziała na tę obietnicę heroicznym przyrzeczeniem:

- Chętnie spróbuję.

- Dobrze. Cieszę się. - Jason miał zrobić dwa filmy przed Darami miłości, ale ponieważ sam zanierzał pisać scenariusz, nie pomyślał jeszcze o zrobieniu dokładnego planu scen. Teraz ten scenariusz stanowił więź łączącą go z Holly. - Jutro wyjeżdżam do Hongkongu, ale przedtem załatwię, by wysłano ci kilka książek na temat pisania scenariuszy oraz kopię scenariusza Rozlewiska. Do poniedziałku przefaksuję ci z Hongkongu szkic. To będzie tylko brudnopis i chcę, żebyś popracowała nad nim.

150

Wyjeżdża do Hongkongu? Jutro? Więc magia nie będzie trwać wiecznie. Przemienie szybko, zbyt szybko. A co stanie

się z radosną nadzieją? Czy i ją Jason zabierze ze sobą? Nie, przysięgła sobie Holly. Nie pozwolę na to.

- Do Hongkongu? - powtórzyła w końcu.

- Muszę jechać - powiedział bardzo cicho, wpatrując się w śliczne oczy, które już zdawały się za nim tęsknić.

Jak gorąco pragnął tu zostać! Ale Jason Cole nie mógł odwlec podróży do Hongkongu nawet o godzinę. Zbyt wielu ludzi od niego zależało. Wszyscy oni, aktorzy i ekipa, przeznaczili swój czas i talent na to, by stworzyć to, co miało stać się jego największym przebojem.

Tego ranka, gdy obserwował, jak złoty uśmiech słońca odbija się w błękitnym morzu, przyszło mu do głowy, by poprosić Holly, aby z nim wyjechała, by podziwiała z nim egzotyczną wspaniałość Hongkongu. Jednak delikatny, arktyczny kwiat niemalże przyplącił życiem podróż do Los Angeles. Pewnego dnia, kiedyś, gdy Holly poczuje się przy nim bezpieczna, obejrzą razem wszystkie olśniewające cuda świata.

- Jak długo cię nie będzie?

Jason zawahał się, nim odpowiedział. Na zdjęcia w Hongkongu przewidziano osiem tygodni, choć zapowiedział już w Gold Star, że jeśli dopisze mu szczęście, zmieści się w siedmiu tygodniach. Ale nagle usłyszał własne słowa, które zabrzmiały jak uroczysta przysięga:

- Wracam za sześć tygodni. Przyjadę tutaj, jeśli ci to odpowiada.

- Oczywiście - wyszeptła. - I wtedy omówimy scenariusz?

- Tak. Gdyby jednak nie kolidowało to z twoimi zobowiązaniami wobec wydawcy, moglibyśmy się tym zająć wcześniej. Z powodu różnic czasu i harmonogramu zdjęć może ci być trudno złapać mnie przez telefon. - Jason od razu zauważył, że jego słowa wzbudziły jej niepokój. I nie chodziło tu o żadne problemy filmowe ani strefy czasowe, lecz o konieczność dzwonienia do mężczyzny, do jego pokoju w hotelu, nawet w sprawach zawodowych. - Nie powinnaś się nigdy wahać, czy zadzwonić, Holly, niezależnie od pory. A jeśli mnie nie będzie, możesz wysłać faks. Będę miał aparat w pokoju.

- Naprawdę?

- Hotele często stosują to rozwiązanie w dzisiejszych czasach, zwłaszcza w Hongkongu, gdzie tempo życia jest tak szybkie, że nawet faks wydaje się zbyt powolny. A więc będę czekać na telefony... lub fakсы... z twoimi przemyśleniami i sugestiami co do planu. Dobrze?

- Tak. - Jej niepokój znikł już w oślepiającym rozbłysku błękitu i zieleni. - Moja redaktorka będzie zdumiona.

Jason spytał łagodnie, z nadzieją, że błękitnozielone iskry będą płaszczyć wiecznie:

- Dlaczego?

151

- Mam faks tylko dlatego, ponieważ redaktorka uznała, że dobrze by było, gdyby mogła przysyłać mi zapowiedzi wydawnicze i najświeższe recenzje prasowe. - Holly uśmiechnęła się. - Wydaje mi się, że w gruncie rzeczy nie wierzyła, by tak zaawansowane urządzenia techniczne były osiągalne w Kodiaku.

- Ale są, na przykład twój nowoczesny komputer.

- Dopiero zaczynam się uczyć go używać.

- Czy mogę ci w czymś pomóc? Nieźle znam się na komputerach.

- Prawdę mówiąc, próbuję nauczyć się na nim pisać. - Holly wzruszyła ramionami. - Swoją pierwszą książkę Zawsze i na wiečność napisałam ręcznie, przewiązałam ją kolorową wstążką i wysłałam do wydawnictwa.

- Nie miałaś agenta i tak po prostu wysłałaś rękopis do wydawcy? - Zdumienie Jasona świadczyło, że orientuje się dobrze w sprawach rynku wydawniczego. Większość nie zamówionych rękopisów trafia na kupę, gdzie mogą leżeć nie czytane do końca świata. Rzadko się zdarzało, by któryś z nich został opublikowany, a co dopiero - by stał się bestsellerem, jak jej książka. W dodatku okazuje się, że wysłana kopia pisana była ręcznie, prawdopodobnie na liniowanych kartkach kołonotatnika, takiego jak ten, który przyniosła do jego biura. - To naprawdę niezwykle.

- Po prostu miałam szczęście.

- To więcej niż szczęście.

- No cóż... szczęśliwym zrzędzeniem losu wstążka tak przyciągnęła uwagę mojej redaktorki, że zaczęła czytać książkę.

- Masz bardzo wyraźny charakter pisma.

- Tak mi mówiła.

- Potem już ktoś przepisywał na maszynie twoje rękopisy?

- Tak, mój wydawca zawarł umowę z maszynistką w Nowym Jorku. Najchętniej trwaliby przy tym rozwiązaniu, ale wydaje mi się, że to głupio z mojej strony, iż nie dostarczam przepisanych rękopisów jak wszyscy.

- Zamierzasz pisać książki bezpośrednio na komputerze?

- Chyba nie. Za bardzo przyzwyczałam się do ręcznego pisania i lubię to robić.

- Czy przenoszenie tego, co napisałaś, na komputer nie zabierze ci zbyt dużo czasu?

- Nic nie szkodzi. - Holly wzruszyła ramionami. I tak nie ma nic lepszego do roboty. Zresztą to też przejaw jej obłądki: uwielbia przebywać w towarzystwie swoich bohaterów, żyć w ich świecie, uciekając z własnego. "Nie jesteś szalona". Ten wewnętrzny głos był teraz taki cichy.

- Holly? - Spojrzała na niego, a jej oczy wyrażały milczące błaganie: "Chroń mnie przed tymi przerażającymi myślami. Dobrze? Ale nie prosz mnie, bym o nich mówiła". Spełniając jej prośbę, Jason zaproponował: - Jak skończymy

152

śniadanie, moglibyśmy pójść na długi spacer przed lunchem. Chętnie obejrzałbym tą część wyspy.

- Tak, oczywiście - zgodziła się z wdzięcznością, a potem spytała z radosnym zaskoczeniem. - Przed lunchem? Jason uśmiechnął się.

- W lodowce jest też kolacja. - Jego uśmiech zbladł. - Obawiam się, że nie będę mógł zjeść jej z tobą. Mój samolot musi wystartować najpóźniej o szóstej, żeby było dość czasu na jego przegląd w Los Angeles. Poza tym załoga musi odpocząć przed jutrzejszym lotem do Hongkongu.

20

Wiecie mamy tu stado wielorybów. Tam dokazują. - Holly wskazywała migotliwe, ciemnoniebieskie morze, a jej oczy stały się niebieskie i migotały niczym fale, gdy wyobraziła sobie morskie ssaki, bawiące się każdego lata w wodach zatoki.

- A gdzie są teraz?

- Na Hawajach. Tam rodzą się ich młode.

Spacerowali już prawie dwie godziny, przewędrowali miarowym krokiem przez majestatyczny las, rozległą dolinę, gdzie zaczynały właśnie rozwijać się dzikie kwiaty, i wreszcie dotarli do śnieżnobiałej plaży. Holly pokazała mu swój świat z wszystkimi wspaniałymi skarбами.

Gdy Jason uśmiechnął się do najcudowniejszego skarbu, zapierającego dech w piersiach arktycznego kwiatka, zobaczył jak morską bryza igra ze złocistym jedwabiem. Wydawało się, że za wszelką cenę pragnie uwolnić każde pasmo z mocnej uwięzi długiego, grubego warkocza. Twarz Holly obramowywały już wijące się loczki, które radośnie świętowały tańcem swoją zuchwałą ucieczkę.

Bryza robiła to, co chciały robić jego palce. Najważniejsze jednak, że widział jej oczy.

Nagle promienne oczy zakryła chmura wahania.

- Muszę wyjaśnić ci zdarzenia ubiegłej nocy. - Chciała, żeby wiedział, jednak nie jest szalona. To było odważne stwierdzenie. Ale w złotym świetle tego wspaniałego dnia przy Jasonie, Holly pozwoliła sobie uwierzyć w tę prawdę. - Masz rację, nie sypiałam najlepiej ani nie jadłam zbyt wiele od dłuższego czasu. Pewnie dlatego stałam się bardziej podatna na wspomnienia.

153

- Okropne wspomnienia.

-Tak.

Zdecydowała się, że poda mu same fakty, bez szczegółów. W ten sposób Jason pozna przyczynę jej przerażenia, ale nie splami go jego zło. Holly wiedziała, że musi mu wszystko opowiedzieć. Tańcząca w niej nadzieja stawiała jej nieustępliwie warunek, pod którym zgadzała się tu pozostać: że będzie z nim szczerą.

Kiedy wreszcie się odezwała, jej głos był spokojny, stanowczy, pozbawiony emocji. W kilku zdaniach, równie prostych i bezosobowych jak wewnątrz jej domu, opowiedziała Jasonowi, że ojciec zginął w Wietnamie, a ojczym, który wydawał się taki czarujący, był w rzeczywistości potworem.

- Zabił moją matkę, siostrę i brata... a potem siebie. Ale nie próbował zabić mnie. Nie mam pojęcia dlaczego. Sprawilo to jednak, że policja i sąsiedzi uznali, iż jestem jakoś odpowiedzialna za to, co zrobił. Uciekłam więc i zmieniłam nazwisko.

Mówiła do błękitnego morza, a teraz odwróciła się i spojrzała na niego z heroicznym triumfem. Zrobiła to.

Opowiedziała mu swoją historię i udało się jej powstrzymać krzyk rozpacz. Nie podzieliła się z nim przerażającymi szczegółami, które nieodwołalnie skazyłyby go podłością Dereka.

- Nikomu o tym nie mówiłam...

Przez dłuższy czas Jason nie odzywał się. Toczyła się w nim walka pomiędzy tym, czego pragnął, i tym, co -jak wierzył - było dla niej najlepsze.

Jason pragnął, by Holly miała idealnie szczęśliwe dzieciństwo, bez cienia smutku... nie mówiąc już o ogromnej tragedii, którą mu właśnie z takim spokojem opisała. Tego pragnął. Ale to było niemożliwe.

A co jest dla niej najlepsze? Jason nie wiedział tego. Jednak duszenie wszystkiego w sobie nie mogło być dla niej dobre. Czy nie lepiej, by opowiedziała mu szczegółowo swoje wspomnienia o tamtej nocy? Czy nie jest to jedyna szansa na przepędzenie upiorów, które były tak potężne, że mogły więzić ją w przerażającym koszmarze?

Wreszcie bardzo spokojnie powiedział:

- Jeszcze nie opowiedziałaś mi wszystkiego o tamtej nocy.

- Co masz na myśli?

- Wiem, że pamiętasz wszystko, Holly. Każde słowo, wyraz twarzy. To właśnie widziałaś... a może nawet słyszałaś... kiedy zjawiłem się ubiegłej nocy... prawda? Myślę, że kiedy zapukałem do okna, dla ciebie zabrzmiało to jak strzały.

-Triumf Holly już dawno znikł i Jason widział teraz w jej oczach strach. - Nie sądzisz, że mogłoby ci pomóc, gdybyś o tym porozmawiała?

Potrząsnęła przecząco głową, ale chwilę później przyznała:

- Nie wiem.

154

- No cóż - stwierdził Jason -ja też nie wiem. Ale naprawdę, wierzę, że niedobrze jest więzić w sobie wspomnienia i związane z nimi uczucia.

Więzić! To słowo odbiło się echem w urny śle Holly. Czy takie wspomnienia i emocje nie powinny zostać uwięzione jak najokrutniej si zbrodniarze, na zawsze odcięci od świata?

Nie, uświadomiła sobie z zaskakującą pewnością siebie. Nie... ponieważ te wspomnienia nie są zbrodniarzami. Tylko Derek nim był. A obok bolesnych wspomnień istnieją też inne, do tej chwili zepchnięte w niepamięć, przytłoczone koszmarem.

- Tego dnia padał śnieg - zaczęła cicho Holly. - Na naszym podwórku rosło drzewo, imponująca jodła, delikatna i ażurowa niczym panna młoda...

Holly mówiła do morza, do falującej błękitnej wody, gdzie latem będą dokazywać wieloryby. Przypomniła sobie wszystkie szczegóły tamtego wieczoru: co Claire gotowała na kolację, jak z uśmiechem rozmawiały o śniegu, o czym gawędziła z siostrą i bratem, z czego się śmieli w trakcie nadawania reklam, a nawet szczegóły odcinka Corky i Biały Cień, który oglądali.

Jakie to było wesołe, jakie normalne.

Gdy zbliżała się do złowróżbnego momentu pojawienia się Dereka, czuła, jak coś w niej narasta - krzyki, które nagle wytrysną z niej, wyleją się, zalewając wszystko, zatapiając...

Ale nie było żadnych krzyków.

Jedynie łzy gromadzone od siedemnastu lat. Zawsze dotąd wzbierały w środku, nigdy nie napępiały jej oczu, lecz rozlewały się w sercu, topiąc je w smutku.

Zanim jeszcze gorące łzy zaczęły spływać po jej policzkach, jakimś cudem znalazła się w jego ramionach.

- Holly - wyszeptał Jason, delikatnie pieszcząc wargami jej jedwabiste włosy.

- Muszę ci to opowiedzieć, Jasonie.

- A ja muszę to od ciebie usłyszeć.

Łzy wciąż płynęły, niczym ciepły, bezgłośny deszcz, który sycił delikatne korzenie nadziei w jej sercu. Złociste loki, niedawno jeszcze tańczące radośnie, były teraz mokre, ciężkie od łez, przesiąknięte ogromnym smutkiem, który w końcu zdołał się wyzwolić.

Ale był też inny, nowy taniec, o wiele wspanialszy od tańca morskiej bryzy i złocistych jedwabnych włosów. To taniec ich serc i dusz, przepięk poruszający menuet udręki i miłości.

Chwilami, gdy Holly ciągnęła swoją opowieść, czuła potrzebę zniania się w ramionach Jasona, otulona jego ciepłem i siłą. Ale były też ch\*

155

gdy potrzebowała dystansu, niewielkiego, tak, by znajdowała się blisko niego, a jednak - osobno.

Ani Jason, ani Holly nigdy wcześniej nie wykonywali tego tańca. Ale tańczyli bezbłędnie, bez najmniejszego wahania, bo twórcą choreografii do tego niezwykłego pas de deux była miłość. Jason nie próbował zatrzymać Holly, kiedy czuła potrzebę odsunięcia się. Nie starał się pochwycić białych dłoni, które zaciskały się kurczowo, gdy stawały przed nią obrazy rzezi. Ale był przy niej, nie mógł się doczekać, by otoczyć ją kochającymi ramionami, kiedy zapragnie powrócić do bezpiecznego schronienia jego uścisku.

Przez większość czasu to ona mówiła, ale były chwile, kiedy wyczuwał, iż zobaczyła obraz zbyt okropny, by się nim dzielić, i ciągnęła opowieść, omijając ten fragment. Wtedy odzywał się, rozkazując łagodnie:

- Opowiedz mi to, Holly. Opowiedz wszystko.

I opowiedziała mu... wszystko. Nie opuściła żadnego szczegółu tego kosmaru...

Kiedy wreszcie skończyła, Jason przytulił jej kruche i drżące ciało i przez bardzo długi czas, gdy Holly wciąż płakała, wtórowało temu głośnie bicie jego serca. A kiedy wreszcie przestała płakać, podniosła wzrok - i zobaczyła wyraz jego ciemnobłękitnych oczu. Nie splamiła go podłością Dereka ani tym, co kiedyś uznawała za swoje szaleństwo, ale jakimś cudem ogromny smutek, który krył się w niej przez te wszystkie lata, przepłynął do niego.

Wyciągnęła delikatną dłoń, a gdy dotknęła jego twarzy, wyszeptwała:

- Tak mi przykro.

- Przykro? - powtórzył cicho. - Dlaczego, Holly? Że mi zaufałaś?

-Nie.

Jason odsunął czule z jej oczu zmoczone łzami jedwabiste, złote pasmo włosów.

- Że pozwoliłaś mi się dotknąć?

Na jej policzkach, pojawił się płomienny rumieniec.

-Nie.

- Nigdy nie żałuj, że mi to opowiedziałaś, Holly. Ja nie żałuję. - Jego czuły uśmiech przepiękny był miłością. -

Dobrze?

- Tak - wyszeptwała. - Dobrze.

Gdy wrócili do chaty Holly, była już pora, by Jason pojechał na lotnisko. Dała mu na drogę dwie kanapki, obiecując w zamian, że zje wszystko, co zostawił.

Nadszedł czas jego odjazdu.

156

- Zamierzam przysyłać ci co najmniej jeden faks dziennie i dzwonić, kiedy będę mógł - obiecał. - Czy ty też będziesz do mnie pisać i dzwonić każdego dnia?

- Tak, oczywiście, ale...

- Ale? Nie myślisz chyba, że chcę, byś mi codziennie raportowała, jak postępuje twoja praca nad scenariuszem?

- Nie byłam pewna.

- Więc bądź pewna, Holly - powiedział z powagą. I dopiero wtedy, gdy jej piękne oczy rozbłysły nadzieją, ciągnął dalej: - Wiem, że uczysz się pisać na komputerze, ale czy możesz pisać do mnie ręcznie? Chciał utrzymać z nią jak najbliższy kontakt bez względu na dystans, który miał ich dzielić.

- Tak. - Jej odpowiedź, podkreślona skinieniem głowy, sprawiła, że złote loki, nie zmoczone teraz łzami, znowu zatańczyły... Był to już inny taniec, bardziej swobodny i radośniejszy niż kiedykolwiek.

Na pożegnanie czule i delikatnie przesunął palcami po ślicznej twarzy Holly, a przepełnione jeszcze większą czułością ciemnobłękitne oczy przemówiły do jej serca.

I odszedł, a Holly, powstrzymując oddech, patrzyła, jak samochód Jasona znika pomiędzy sosnami. Cudowny optymizm i magia wciąż z nią były, ale w każdej chwili mogły zobaczyć, że jego samochód niknie w lesie, i rzucić się za nim w pogoń.

Jednak tak się nie stało. Ani teraz, ani po upływie czterdziestu pięciu minut, kiedy wybiegła z domu, słysząc dźwięk nisko lecącego samolotu. Odrzutowiec był tylko srebrzystą sylwetką na tle mrocznego nieba, a Holly - drobną figurką, rozjaśnioną światłami ganku. Wydawało się, że to niemądre, ale jednak zaczęła machać ręką... a samolot pomachał skrzydłami.

Dopiero gdy odrzutowiec zniknął w ciemności, Holly - w towarzystwie nadziei i magii - wróciła do chaty. Tam w swojej sypialni sięgnęła z namysłem po torebkę z plecionki, która towarzyszyła jej do Los Angeles. Wyjęła okulary w drucianej oprawce - nigdy ich już nie włoży - a także fotografie swoich bliskich. Chciała podzielić się tymi obrazami szczęścia z Jasonem... i zrobi to.

Za sześć tygodni, po jego powrocie z Hongkongu, pokaże mu je.

W poniedziałek rano, gdy Jasonowi powiedziano, że spotkanie z Raven Winter i Lauren Sinclair zostało odwołane, postanowił wykorzystać tak nie-

157

oczekiwanie wolny czas na załatwienie wielu spraw, którymi musiał się zająć, nim w czwartkowe popołudnie wyruszy do Hongkongu.

Teraz była środa wieczór i wracał do Los Angeles... Jason odkrył zaskakującą prawdę: od chwili, gdy Holly pojawiła się w jego drzwiach, czekająca na niego góra papierkowej roboty nie zmniejszyła się ani trochę.

Pękata teczka leżała na sąsiednim fotelu tak jak wczoraj, podczas lotu do Kodiaku. Wtedy nie próbował nawet pracować. Przez cały czas myślał o Holly, niepokoił się o nią i żywił się nadzieją.

Z łatwością mógłby też przebyć powrotną drogę pogrążony w myślach. Jednak Jason zmusił się do działania. Należy podjąć decyzję co do każdego dokumentu z tej teczki. I robi to, jeśli nawet będzie to oznaczać kolejną bezsenność. Cóż to znaczy kilka nie przespanych nocy w porównaniu z kilkunastoma latami koszmarów.

Na jego twarzy pojawił się uśmiech, gdy tylko pomyślał, że Holly będzie lepiej spać dzisiejszej nocy. Wspomnienia, które tak długo ją terroryzowały, nie będą już tak pewne swej władzy nad nią. Ich sekret został ujawniony, podzieliła się nim, a choć wielki smutek z powodu utraty ukochanej rodziny nie zniknął - i nigdy nie zniknie - przynajmniej straszne wspomnienia nie mogły już więzić jej w koszmarze zła.

Przez cztery godziny Jason pracował intensywnie z wielkim skupieniem. Wtem, na przekór świadomej dyscyplinie, w jego mózgu dosłownie eksplodowała myśl: coś jest nie tak, czegoś brakuje w tym, co mówiła Holly.

I nie chodziło tu tylko o to, że prócz Dereka nie wymieniła żadnego imienia. A było coś jeszcze, co tak zaniepokoiło Jasona.

Jason nie pamiętał artykułu z "Timea", który przeczytał na drugim roku studiów w UCLA. Jednak historia masakry, która miała miejsce w dzień świętego Walentego, i siedmioletniej niewoli ojca, który nieoczekiwanie zmartwychwstał - choć ten cud zdarzył się o osiem miesięcy za późno - wywarła na nim wielkie wrażenie. Już wtedy, wiedział, że kiedyś zostanie reżyserem, i już wtedy jego twórczy umysł wyobrażał sobie niemal wszystko w formie filmu: jak nada życie zasłyszanej historii, jak ją przedstawi za pomocą obrazów.

Opowieść z "Timea" była fascynująca, ale czegoś w niej brakowało. Dopóki kilkunastoletnia córka, która zniknęła bez śladu, nie odnajdzie się - żywa lub umarła - historia pozostanie niedokończona. Być może dlatego o niej nie zapomniał, przechował ją ukrytą głęboko w pamięci.

Jason nie pamiętał teraz tamtego artykułu, nie oglądał też ostatniego odcinka 20/20. Ów walentynkowy wieczór spędził z Nicole Haviland. Był to

158

wieczór namiętności i rozkoszy, pozbawiony jednak miłości i romantyzmu. Zakończył się dąsami, gdy wyszedł od niej o północy, bo czekała na niego praca.

Jason wpatrywał się w papiery, którymi powinien się teraz zajmować. Miał nieodparte wrażenie, że czegoś brakowało w tym, co mu opowiedziała... i że jakimś cudem zna ten brakujący fragment.

- A więc ojczym miał na imię Derek, a dziewczynka, która przeżyła... Holly. I nie znamy ich nazwiska - podsumowała Beth Robinson, nie starając się nawet ukryć swego sceptycyzmu.

Choć jej wątpliwości były widoczne, czuła do Jasona wdzięczność, że właśnie do niej zwrócił się z tym niezwykle problemem.

Jeszcze trzy miesiące temu Beth była najlepszym analitykiem Gold Star. Kochała swoją pracę, ale porzuciła ją bez chwili wahania, gdy ginekolog powiedział, że ponieważ ma czterdzieści trzy lata, musi spędzić ostatnie miesiące ciąży w domu.

Była teraz w ósmym miesiącu ciąży i czuła się tak dobrze, że chętnie zgodziła się popracować dla Jasona. Wpadł do jej domu, jadąc na lotnisko, i powiedział, by zbadala szczegóły zbrodni dokonanej przed wielu laty gdzieś w stanie Waszyngton.

- Czy masz jakieś pojęcie, kiedy popełniono te morderstwa, Jasonie? Który to był rok albo chociaż jaka pora roku?

- Zima - odpowiedział, wspominając, jak Holly opisywała wyniosłą jodłę, okrytą koronką świeżo spadłego śniegu.

Potem, kiedy pomyślał, jak dawno to było, zaczął się zastanawiać: Holly ma teraz trzydzieści lat, wtedy była nastolatką, na tyle dużą, by przetrwać o własnych siłach. Musiała mieć co najmniej piętnaście lat. - Nie wiem, który to był rok, ale prawdopodobnie jakieś piętnaście lat temu.

- Dobrze. - A więc w razie czego mam powiedzieć, że zamierzamy zrobić film dokumentalny o przemocy w rodzinie?

- I że jest to mój własny projekt, nie studia. Zapisz, ile czasu ci to zajmie, i wyślij rachunek bezpośrednio do mnie. Dam ci numer mojej telefonicznej karty kredytowej, byś korzystała z niej przy telefonowaniu, i numer mojej karty Visa, gdyby trzeba było przesłać jakieś informacje przez kuriera. Dobrze?

- Dobrze. Już nie mogę się doczekać dnia jutrzejszego, by od ósmej rano zacząć kontaktować się z policją, prasą i stacjami telewizyjnymi. Od jakiej części stanu powinnam zacząć?

Było to pytanie, nad którym Jason już się zastanawiał. Śnieg nie był wystarczającą wskazówką. Obszar na północ od Cascades miał ostrzejsze zimy,

159

ale w każdej części stanu mogły występować opady śnieżne. Holly i jej matka tak mówiły o śniegu, jakby nie był on zbyt częstym zjawiskiem na danym terenie. Fakt, że Holly zdecydowała się zamieszkać w Kodiaku, z szerokim widokiem na morze, skłonił go do stwierdzenia:

- Jeśli miałbym zgadywać, zdecydowałbym się na zachodnią część stanu. Może Seattle albo któreś z małych miasteczek na wybrzeżu.

- Więc zacznę od Seattle. Jest tam facet, z którym pracowałam kiedyś w "Seattle Times". Zawsze był bardzo chętny do pomocy.

Część czwarta

21

Seattle, stan Waszyngton Piątek, 31 marca

Lawrence zadzwonił do Caroline we wtorek wieczorem, by powiadomić ją, że wszystkie szczenięta mają się doskonale. Zapytał, kiedy i dokąd chciałyby pójść na swoją urodzinową kolację. Ustalili, że wybiorą się w piątek do Space Needle. Właścicielka miała odebrać Mindy w piątek rano, a Katie i jej szczeniaki powinny wrócić do swego domu dzień wcześniej.

Lawrence i Caroline zaplanowali jej urodzinową kolację we wtorek, a potem potwierdzali te plany przez następne dwa dni. Lawrence telefonował do niej o jedenastej wieczorem, kiedy już ułożył do snu swoje pieski.

Caroline zapewniła go, że może dzwonić nawet później, chociaż przed poznaniem Lawrence'a, o tej porze już od dawna by spała. Jednak w tym tygodniu - choć budziła się, jak zwykle wcześniej - kiedy do niej dzwonił kipiała energią. Gdy rozmawiała z nim, leżąc w przytulnym, ciepłym łóżku, zamykała oczy, koncentrując się na głosie Lawrence'a.

Gawędzili godzinami, przechodzili z łatwością od jednego tematu do drugiego. Później Carolina dziwiła się jak rozmowa o balu mogła płynnie zbroczyć na egipskie piramidy, a każdy temat, choćby najbardziej oderwany, prowadził do stale nawracającego problemu o wielkim znaczeniu: jak nazwać jej szczeniaka.

Poświęcali temu wiele godzin, omawiając wszystkie wady i zalety imion: Piegus, Imbir, Księżna, Kleopatra, Koniczyna i Bułeczka. Oczywiście Caroline potrzebowała rady Lawrence'a. Jako weterynarz dobrze orientował się, które psie imiona są modne, a które nie. Lawrence Elliott nigdy nie powiedział, że jest to jej decyzja, jej szczeniak... jak gdyby na nich dwojgu spoczywała odpowiedzialność za nowe życie.

- Juliet - zdecydowali, zanim pożegnali się o drugiej nad ranem. Oczywiście, nie Julia od Romea, lecz zwykła Juliet. To imię było nie tylko ładne, lecz i pełne siły, a w zależności od charakteru dzielnego stworzenia, które

163

przetrwało niebezpieczeństwa narodzin, mogło być zdrobnione na "Julie lub przekształcone w wytworne "Jules".

- Nadal podoba ci się. "Juliet"? - spytał Lawrence, gdy pokonywali samochodem krótki dystans z jej domu na Queen Annę do centrum Seattle.

-Tak. A tobie?

-Lubię je.

Stolik w "Emerald Suite", eleganckiej, obracającej się restauracji na szczycie Space Needle, zarezerwowali na ósmą. Kiedy zdecydowali się na tę godzinę, wiedzieli oczywiście, że kurtyna mroku już wcześniej zakryje lśniące, białe góry. Mogli jednak podziwiać roziskrzone jak klejnoty światła Szmaragdowego Miasta.

Tego deszczowego wieczoru, gdyby nawet przyszli tu o zmierzchu, nie zobaczyliby gór. Olympics, Cascades i Mount Rainier byłyby zasłonięte grubą, szarą warstwą chmur.

Caroline przypuszczała, że niektórzy ludzie odwołaliby rezerwację z powodu deszczu. Jednak teraz, gdy spoglądała z wysoka na miasto, uznała, że są to idealne warunki do podziwiania jego uroku. Padający deszcz jednocześnie maskował i uwydatniał, zacierał ostre kontury budynków, wychwytyjąc ich migotliwe światła. Każdy promień światła starał się przebić przez ulewę i nocne niebo iskrzyło się bezkresem małych tęczy.

- Pięknie - szepnęła Caroline, wpatrując się we wspaniałą grę wody i światła.

- Tak - zgodził się cicho Lawrence. - Bardzo pięknie.

Jego głos był niski, głęboki i łagodny, ten sam, który słyszała w mroku podczas kilku minionych nocy. Słyszała wtedy całą jego łagodność i siłę. Słyszała też czasem, jak się seksownie uśmiecha.

Teraz, gdy Lawrence zgodził się z nią, że deszczowa noc jest piękna, zamierzała odwrócić się w jego kierunku, ale zobaczyła jego odbicie w szybie. Patrzył na nią z błyskiem pożądania w ciemnozielonych oczach.

- Jesteś bardzo piękna, Caroline.

Gdyby te słowa wypowiedział ktoś inny, zażartowałyby wesoło. Piękna? Ja? Nie! Może jestem niezłe zakonserwowana jak na czterdziestolatkę. Może nawet na swój sposób atrakcyjna. Ale nie piękna? To tylko złudzenie. Zwykłe złudzenie optyczne.

Jednak ciemnozielone oczy, które w tej chwili ją pieściły, wcale nie zdawały się ulegać złudzeniu. I po raz pierwszy w życiu Caroline Hawthorne naprawdę czuła się piękna.

164

Nikt nie poganiał ich tego deszczowego, wiosennego wieczoru, na kilka miesięcy przed rozpoczęciem sezonu turystycznego. Nikt nie czekał niecierpliwie, by zwolnili miejsca przy oknie, zawieszane ponad światem. Potrawy podawano bez pośpiechu, a Caroline i Lawrence spożywali je powoli, bardziej zainteresowani odkrywaniem siebie niż jedzeniem.

I z każdą chwilą stawali się coraz bardziej głodni siebie.

Wreszcie Lawrence przerwał długie milczenie, pełne nie ukrywanego pożądania, i wyszeptał ochryple:

- Chodźmy stąd.

- No, no, co za wspaniała niespodzianka! - Głos należał do Martina Sa-wyera, wpływowego biznesmena. Kiedy zawiodły jego próby skłonienia Lawrence'a Elliotta, by ubiegał się o urząd publiczny, zwrócił się do Caroline z prośbą, żeby zechciała wypróbować swe niezwykle zdolności przekonywania na opornym kandydacie. - Caroline i Lawrence... nareszcie razem... i najwyraźniej w doskonałej komitywie.

Mógł dojść do tego wniosku, ponieważ Lawrence obejmował Caroline, prowadząc ją w kierunku windy, co świadczyło o pewnej zażyłości między nimi.

- Lawrence i ja spotkaliśmy się przypadkiem, Martinie - wyjaśniła pośpiesznie Caroline. I natychmiast poczuła, że Lawrence rozluźnia cudownie zaboreczy uścisk.

- Ale spotkaliście się. I to jest najważniejsze.

Tu wtrąciła się żona Martina, gdyż maitre d'hotel czekał, by zaprowadzić ich do stolika. Chwilę później Caroline i Lawrence wsiedli do windy, która zwiózła ich szybko na dół.

Kiedy znaleźli się na ziemi, czar pożądania prysł. Krople deszczu, które dodawały ci blasku nocy, tworząc malutkie tęcze, były teraz całkowicie bezbarwne... bardzo zimne... i bardzo mokre.

Caroline pragnęła zagłuszyć ciszę tysiącem tłumaczeń. Jednak Lawrence skoncentrował się na prowadzeniu samochodu - na ciemnych i zdradziecko śliskich od deszczu ulicach.

Mądre, zielone oczy wpatrywały się z napięciem w jezdnię ani razu nie skierowały się na nią. Ale Caroline widziała napięcie potężnych mięśni jego karku i szczęk. Z pewnością myślał o wyraźnym zachwycie Martina Sawyera, że podjęła się przekonania Lawrence'a Elliotta, by zajął się polityką i zapomniał wreszcie o zaginionej córce!

- Wejdz, proszę- poprosiła go cicho, gdy zatrzymał się przed jej domem.

165

Poważnym skinieniem głowy dał jej do zrozumienia, że zamierzał to zrobić, wypowiedzieć słowa, które cisnęły mu się na usta w czasie jazdy.

- Musisz wiedzieć, że nasze spotkanie to przypadek - zaczęła Caroline, idąc za nim do salonu, gdy już zrzucili z siebie przemoczone płaszcze. Stał przy oknie i patrzył na dwór. Miał przed sobą Space Needle, wdzięcznie wyciągającej się ku niebu... i oświetlony świecami przedmiot pożądania, który teraz wydawał się nierealnym marzeniem. - Tak, Martin poprosił mnie, bym spróbowała namówić cię do zajęcia się polityką. Dlatego oglądałam tamten odcinek 20/20 i wiem, kim jesteś. Ale odmówiłam mu, jeszcze zanim cię poznałam. Z tego powodu był dziś tak zdziwiony, że widzi nas razem. Uwierz mi. Proszę, uwierz, że cię nie wykorzystywałam. Nigdy bym tego nie zrobiła.

Odwrócił się do niej gwałtownie. Na jego twarzy malował się wyraz, jakiego Caroline dotąd nie widziała.

Ciemnozielone oczy były niemal czarne, mroczne jak noc, a kanciaste rysy mocnej twarzy stwardniały w niezłomnym postanowieniu. I kiedy wreszcie się odezwał, głos, który potrafił być tak łagodny, zabrzmiał gorzko i zimno.

- Wykorzystywałam mnie? - Zaśmiał się. Ten śmiech był tak długo więziony, jak niegdyś on sam był w niewoli. - Ty mnie nie wykorzystywałeś, Caroline. Nie mogłabyś tego zrobić. Nie mam nic do dania, nic, co mogłoby się komuś przydać.

To ja jestem wyzyskiwaczem. To ja cię wykorzystywałam.

- Nieprawda!

- Prawda. Ty dawałaś, a ja brałam i cały czas wiedziałem, jakie to samolubne. Ale - tu jego głos złagodniał - czy wiesz, jakie to było dla mnie cudowne... rozmawiać z tobą, być z tobą?

- Wiem - odpowiedziała równie miękko. - Wiem, boja czułam to samo.

Przez chwilę wydawało się, że jej słowa dotarły do Lawrence'a, i Caroline zobaczyła nawet błysk pożądania w jego ciemnozielonych oczach. Lecz wkrótce znów spochmurniała.

- Jestem pusty w środku, Caroline. Wiesz o tym, i wiesz, dlaczego tak jest. Napelniałaś mnie swoim zadowoleniem, swoim optymizmem, swoją radością, a ja pozwalałam, byś to robiła.



Caroline słyszała jego słowa, ale wydawały się jej bezsensowne i stanowczo nie zgadzała się odrzucić wspomnień o magii. Z odwagą i czułością powiedziała:

- Gdy wychodziliśmy z restauracji, zanim wpadliśmy na Martina, wydawało mi się, że czeka nas coś więcej... że oboje tego chcemy.

- Tak - potwierdził łagodnie Lawrence. - Ale widok Martina przypomniał mi, kim naprawdę jestem. Nie taki, jakim się staję, gdy jestem z tobą.

166

- Nie ma nic złego w człowieku, który jest przy mnie.

- Z wyjątkiem tego, że nie jest prawdziwy,

- Mylisz się! Jesteś dobry, łagodny i... to nie ma nic wspólnego ze mną.

- Ależ tak. Jeśli widzisz we mnie dobroć czy łagodność, jest to po prostu odbicie ciebie samej. Uwierz mi, Caroline. Żyłem samotnie zbyt długo, by tego nie wiedzieć.

"On się ze mną żegna - uświadomiła sobie Caroline. - Szczerze wierzy, że nie ma nic do zaoferowania. Zamierza odejść i nigdy nie wrócić".

Serce zabolowało ją jak po utracie kochanej osoby. Poczula taką pustkę, taką samotność - ale wiedziała, że te emocje nie znaczą w porównaniu z tym, co on czuł, z czym żył, przez te wszystkie lata. Caroline nie chciała odczuwać tej bolesnej pustki. I z całą pewnością nie chciała, by on ją przeżywał.

Lawrence poszedł po swój mokry płaszcz.

- Lawrensie, proszę! - Był to cichy krzyk rozpacz, który sprawił, że Lawrence zatrzymał się. Gdy się zwrócił w jej kierunku, w jego zaniepokojonych oczach dostrzegła wielką czułość. - Proszę, nie odchodź. Jeżeli przy mnie czujesz się mniej samotny, mniej pusty, to...

- Przy tobie czuję się cudownie, Caroline. Cudownie.

- Ja też tak się czuję w twojej obecności. I wcale nie chodzi o to, że widzę swoje odbicie, bo nigdy nie czuję się... tak cudownie... kiedy jestem sama.

- Och, Caroline. - Jego szept był pełen namiętności i rozpacz. - Nie chcę cię zranić.

Jak mógłby ją zranić? Caroline nie zadała tego pytania, gdyż знаła już złowieszczą odpowiedź. Powiedział przecież, że nie ma nic jej do zaoferowania. Dawno temu oddał swe serce Claire i wciąż o niej myślał. To dla niej zniósł siedem lat niewoli i tortur. A po jej śmierci złożył uroczystą obietnicę, że odnajdzie zaginioną córkę.

Caroline wiedziała, że może zostać bardzo zraniona.

Mimo to podeszła do niego, spojrzała w jego udreżone oczy i wyznała:

- Nie boję się, że zostanę zraniona, ale przeraża mnie myśl, że możesz teraz odejść i nigdy nie wrócić. Proszę, nie rób tego. Zostań... przez całą noc... ze mną.

- Och, Caroline - powiedział cicho, wyciągając ku niej rękę, delikatnie wplatając silne palce w jej jedwabiste kasztanowe włosy. Zanim po raz pierwszy ucałował jej oczekujące wargi, wyszeptał znowu: - Caroline!

Kiedy jego palce wplatały się pieszczotliwie w jej włosy, a usta witały ją najdelikatniejszym pocałunkiem, obudziły się w niej zdumiewające uczucia. Caroline nigdy dotąd nie doświadczyła takich emocji, a które należałoby

167

określić jako pożądanie, namiętność, imperatyw. Były to słowa, których znaczenia nigdy dotąd nie rozumiała w pełni. Caroline była przez siedem lat mężatką i w ciągu dwunastu lat po rozwodzie miała kilka romansów. Każdy zaczynał się od przyjaźni, ale seks zamiast ją wzbogacać, wprowadzał tylko zamieszanie. Miała czterdzieści lat i pewne doświadczenie.

Ale te wspaniałe uczucia - to ciepło, głód, konieczność - były dla niej całkowitą nowością.

Tymczasem Lawrence wiedział, co to znaczy oddać wszystko ukochanej kobiecie. Claire i Lawrence Elliott kochali się po raz ostatni na kilka godzin przedtem, nim wyruszył w podróż, która zakończyła się w dżungli Wietnamu, a od tamtej dawno minionej nocy taka intymność była tylko wspomnieniem. Człowiek, który zdołał przetrwać siedem lat w ciasnej klatce, narzucił dyscyplinę swoim potrzebom fizycznym.

Jednak teraz te długo więzione pragnienia uwolniły się i wydawały się inne, o wiele potężniejsze, niż je pamiętał - bez wątplenia spotęgowane wieloma latami surowych wyrzeczeń. Pomimo ich zapierającej dech w piersiach intensywności miał wrażenie, że łatwiej je kontrolować, jak gdyby miały świadomość, co jest ich celem.

Celem? To pytanie odbiło się przelotnie echem w mózgu Lawrence'a, nim odpowiedziało na nie jego serce. Dawać.

Dzielić się. Splatać namiętnie nie tylko ręce i nogi... łączyć coś więcej niż ciała... stapiać w jedność nie tylko rozpalone pragnienia.

Kochali się w łóżku, w którym przez minione trzy noce Caroline słuchała jego głosu. Pragnęła ciemności wtedy, gdy mogła widzieć Lawrence'a tylko w wyobraźni, i pragnęła ciemności teraz.

Wydawało się jej, że to już zbyt wiele, by odkrywać ich wzajemną namiętność za pomocą innych zmysłów. Że za wiele emocji zbudzi wyobrażanie sobie, jak jego zielone oczy powoli, lecz z zachłannym pożądaniem wę-drują po jej nagim ciele. A Caroline musiała też dowiedzieć się więcej o swych obudzonych właśnie pragnieniach. Czego dotyczą? Jak daleko sięgają? Jak bardzo są śmiałe?

Nie był to pojedynczy taniec miłości, lecz wiele tańców, a każdy z nich radośniejszy od poprzedniego, bardziej intymny, pewniejszy, śmielszy. Muzyka płynęła z ich wnętrza, ale słyszeli ją oboje, a jedyne słowa, które wypowiadali, jedyny tekst do wspaniałej melodii ich miłości, to były ich imiona, czuły refren, wypowiadany szeptem, znowu, znowu

i znowu.

168

Caroline obudziła się o szóstej rano. Zasypiała w łóżku wzburzonym ich miłością. Ale teraz pościel była całkiem gładka, jak gdyby ta noc namiętności nie miała miejsca, jak gdyby Caroline sama opatulili się ciepło i wygodnie kołdrą. Przez zasłony przedzierały się jasnozłote promienie słońca. Był brzask, dopiero świtało, a Lawrence odszedł.

Pod wpływem impulsu Caroline odrzuciła kołdrę i podbiegła do okna. Odchyliła brzeg zasłony na tyle, by widzieć ulicę, i powitał ją właśnie taki widok, jaki obiecywała prognoza pogody. Ubiegłonocna burza stanowiła tylko odległe wspomnienie. Świeżo obmyty świat był pogodny, jaśniejący czystością. Idealny wiosenny dzień.

Samochód Lawrence'a wciąż stał na ulicy. Ale cel takiego uporządkowania pościeli był jasny jak słońce. Zamierzał odejść, zanim ona się zbudzi, zniknąć bez śladu, jak gdyby nigdy go tu nie było.

Jednak jeszcze nie odszedł.

Caroline porwała kwiecisty szlafrok leżący na krześle. Zawiązała go mocno, wokół szczupłej talii i nie zatrzymując się nawet, by uczesać potargane kasztanowe włosy, wyszła szybko z sypialni, kierując się ku schodom.

Była już w połowie schodów, stąpając bezszelestnie na grubym dywanie, gdy nagle stanęła jak wryta: Lawrence próbował odejść ubiegłej nocy, a został tylko dlatego, bo ona tak go błagała. Nie musiała go długo przekonywać, bo wzajemny pociąg fizyczny był aż nadto silny. Teraz znowu próbował odejść, gdy jego pożądanie zostało nasycone...

Nie zamierzała go błagać. Chciała się tylko pożegnać.

Lawrence był w kuchni, pisał coś, pochylony nad ladą. Przez kilka chwil Caroline patrzyła w milczeniu na niego. Ubrał się już, ale nie miał marynarki. Pomyślała sobie, że w gruncie rzeczy nie widziała ciała Lawrence'a. Poznała jednak jego siłę, jego namiętność... a także jego blizny.

- Cześć.

Lawrence wyprostował się i zwrócił w jej kierunku, a na ustach, które pieściły ją z taką czułością, pojawił się serdeczny uśmiech. Głosem, którym raz po raz szeptał jej imię, powitał ją miękko:

- Dzień dobry.

Ostatniej nocy Caroline pragnęła ciemności, bo wydawało się jej, że głód w jego oczach może okazać się dla niej nie do zniesienia. A teraz, gdy patrzyła na tego mężczyznę, który wiedział o niej wszystko, znał każde jej intymne pragnienie i bezwstydne pożądanie, wciąż widziała ten głód, i to, że pragnął więcej, jeszcze więcej.

Zadrzała. Ale jego zielone oczy nie pozwoliły, by poczuła skrępowanie.

- Pisałem do ciebie.

169

Caroline z powagą skinęła głową. Zamierzał zostawić jej uprzejme pożegnanie. Chciał być wobec niej w porządku.

Również ona musiała coś zrobić, zanim Lawrence odejdzie - uspokoić go.

- Nie używałam żadnego zabezpieczenia ostatniej nocy, ale...

- Oboje nie zastosowaliśmy żadnego zabezpieczenia.

- Chciałam tylko, żebyś wiedział, że nie ma powodu do niepokoju. - Caroline urwała gwałtownie, powstrzymała ją to, co zobaczyła: smutek, nie ulgę. Jak gdyby wcale się nie niepokoił, jak gdyby nawet miał nadzieję.

Wydawało się, że ich miłość - bez zastosowania środków antykoncepcyjnych - była dla Lawrence'a tym, czym dla niej: nie brakiem rozważności, wywołanym namiętnością, lecz głęboko odpowiedzialnym wyborem. Ostatniej nocy, pomimo zadziwiających potrzeb jej rozbudzonego pożądania, Caroline doskonale zdawała sobie sprawę, że nie użyli zabezpieczenia.

Zabezpieczenia przed czym? Przed poczęciem dziecka z tym nadzwyczajnym mężczyzną, z tym fantastycznym ojcem? Dlaczego miałyby się zabezpieczać przed czymś tak cudownym?

Zanim jeszcze mogła rozpocząć wewnętrzny dialog o konsekwencjach takiego wyboru, rzeczywistość sprawiła jej orzeźwiający prysznic. Nawet najwspanialsza noc namiętności nie stworzyłaby nowego życia. Mówią, że kobieta może zajść w ciążę każdego dnia swego miesięcznego cyklu, ale Caroline wiedziała, że jest to nieco naciągana prawda, przestroga dla lekkomyślnych nastolatków. W jej przypadku w tym miesiącu szansa na zajście w ciążę minęła.

Odczuwała już sygnalizujące to zmiany.

Caroline wiedziała od początku, że ich miłość nie stworzy nowego życia. Ale Lawrence tego nie wiedział. Jako siedemnastolatek zadbał o to, by mieć dzieci dopiero po ślubie. Czyżby teraz, trzydzieści lat później, stał się nieostrożny? A może i dla niego była to kwestia świadomego wyboru? Zakazane pragnienie, na które pozwolił sobie, w kryjącej wszystko ciemności... tak jak pozwolił swym skrępowanym namiętnościom na jedną noc szalonej swobody. Być może minionej nocy Lawrence zamarzył o drugim dziecku. Ale dzisiaj, w jasnym świetle dnia, to marzenie znowu zostało uwięzione. Tak musiało się stać - gdyż oznaczało ono zdradę w stosunku do innego dziecka, ukochanej córki, której będzie szukać wiecznie.

- Niewłaściwa pora miesiąca?

- Tak - odpowiedziała. - Mój cykl jest równie niezawodny, jak księżyc. Okres powinien mi się zacząć w poniedziałek, bo już mam wyraźne objawy.

- To znaczy?

Caroline zadrzała, jak gdyby jej dotknął, jak gdyby od nowa rozpoczynali cudowną podróż, która zaczęła się od czułego powitania, a prowadziła do

170

ekstazy. Dlaczego miała wrażenie, jakby Lawrence właśnie ją pieścił? Ponieważ w jego pytaniu była taka intymność. Chciał wiedzieć o niej więcej, poznać tajemnice jej łona, które przekazywała tak wyraźnie, że w tym miesiącu jest za późno na spłodzenie dziecka.

- Mam... obrzmienie w dole brzucha. - Z zapierającą dech w piersiach szybkością stwierdziła, że mężczyzna, z którym dopiero co spędziła noc, nie zgadza się z jej stwierdzeniem. Pośpiesznie dorzuciła: - I moje piersi są obolałe.

Łagodny uśmiech Lawrence'a znikł, zastąpił go niepokój, równie gwałtowny - i czuły - jak jego miłość.

- Sprawilem ci ból tej nocy, Caroline?

- Nie - zapewniła go szybko i zadrżała, wspominając jego pieszczoty. Porywał ją, pochłaniał i wielbił, ale choć jego ciało było tak silne, a jego namiętność jeszcze potężniejsza ani przez chwilę nie sprawił jej bólu. - Nie, nie sprawileś mi bólu.

- Tak wiele czasu minęło...

- W moim przypadku też - uśmiechnęła się Caroline. - Ale z łatwością mogę kupić kapturek. Moja ginekolog, która jest też moją przyjaciółką, dba o to, żebym na wszelki wypadek stała miała aktualną receptę. Więc jak tylko otworzą apteki...

Słowa Caroline zamarły na jej ustach. Lawrence zamierzał odejść, nie budząc jej, ona sama zeszła na dół, by się pożegnać, ale ich rozmowa była tak czuła, tak intymna, że o tym wszystkim zapomniała. A teraz jeszcze mówi o jak najszybszym zrealizowaniu recepty.

- Powiedzieć ci, co zamierzałem napisać? - spytał. Kiedy nawet czuły ton jego głosu nie usunął niepokoję z jej twarzy, dodał: - To miała być pewna propozycja, Caroline.

- A więc słucham.

- Miałem złożyć ci kilka propozycji, ale teraz, gdy już jesteś na nogach, zacznę od czegoś, czego nie planowałem. W ten weekend nie mam dyżuru, ale zgodziłem się wpaść do jednego domu, jednej obory i jednej stajni. I byłbym zachwycony, gdybym miał asystentkę. - Lawrence uśmiechnął się do szmaragdowych oczu, w których już widział zgodę. - A potem dobrze by było odwiedzić Juliet. Będziesz zaskoczona, jak bardzo urosła w ciągu sześciu dni. Następnie poszlibyśmy do centrum handlowego, gdzie mogłabyś wykupić receptę, a ja zatroszczyłbym się o jedzenie na piknik. Tamtej nocy widziałas moją dolinę, ale chciałbym, żebyś zobaczyła ją za dnia. I jest jeszcze inna dolina, za strumieniem i za lasem. Nikt o niej nie wie, tylko ja i jelenie. Jest bardzo odosobniona i bardzo piękna.

Lawrence przerwał, a jego zielone oczy powiedziały mu wymownie, co we dwoje mogliby robić w ukrytej dolinie.

Będą się tam kochać, w świetle

171

dnia, w morzu dzikich kwiatów. Ich miłość będzie jeszcze lepsza niż ostatniej nocy, bo bardziej sobie ufają. Powietrze będzie przesycone wonią kwiatów - i świeżo omytych deszczem sosen - i ogrzane czułą pieszczotą wiosennego słońca. I dzisiaj, Kochając się, będą na siebie patrzeć.

- Potem moglibyśmy zjeść kolację przy wodospadzie Snoqualmie, a jutro rano, gdyby udało mi się wstać bez budzenia ciebie, poszedłbym po gazetę, kawę i rogaliki. A więc, Caroline? - Lawrence sądził, że zna już jej odpowiedź, że promienieje ona z jej szmaragdowych oczu. Jednak, chcąc to usłyszeć, naciskał ostrożnie: - Czy któraś z moich propozycji interesuje cię?

Caroline nie odpowiedziała od razu. Nie mogła tego zrobić. Znajdowała się daleko, w dolinie pełnej kwiatów, pieściło ją słońce, jego usta i wygłodniałe oczy. Zobaczy jej obnażoną namiętność, a ona pozna prawdę jego blizn...

Caroline oderwała się od oświetlonych słońcem obrazów pachnącej sosnami miłości. Lawrence wciąż czekał na jej odpowiedź i przez chwilę Caroline zobaczyła jego niepewność... jak gdyby jego też niepokoiło to, co może odsłonić światło dnia... jak gdyby ten widok mógł wywołać jej odrazę.

- Wszystkie mnie interesują, Lawrensie - wyszeptala miękko. - Wszystkie.

22

Brenfwood, Kalifornia Niedziela, 2 kwietnia

Nick zatrzymał się przy podjeździe Raven, ale zanim wysiadł, spojrzął na swoje obie córki, uśmiechnął się i powiedział:

- Będziemy dobrze się bawić.

Przyjechali ciężarówką, ojciec oznajmił im tę decyzję niedbałym z pozoru tonem, a one chętnie ją przyjęły. Nick powiedział Sam i Melody całą prawdę o Raven: jak się spotkali, jak urządził jej ogród, gdzie pracowała, o piętnastej rocznicy ukończenia szkoły, na której byli w Chicago, i o tym, jak zaprosiła ich wszystkich na kolację do swojego domu.

Nick nie powiedział córkom, że Raven uważała go za ogrodnika, że nie wiedziała, iż ogrodnikiem bywa - a naprawdę jest dyrektorem Eden Enterprises.

172

Nie zamierzał wciągać swych dziewczynek w oszustwo. A jeśli podczas wieczoru prawda wyjdzie na jaw? Trudno.

Wątpliwe jednak, by do tego doszło. Jego skromne córki rzadko rozmawiały o pieniądzach, markowych strojach czy drogich restauracjach. Tematy te obchodziły je równie mało, jak to, czy będą jechać ciężarówką, czy Lexusem.

W gruncie rzeczy Samantha i Melody wołały ciężarówkę. Lubiły wysokie siedzenia, sprężyste fotele, a przede wszystkim przestronną szoferkę, w której mogły siedzieć z przodu obok ojca.

Teraz Nick kolejny raz zapewnił je z uśmiechem, że będą się dobrze bawić dziś wieczór. Jego stwierdzenie zostało

przyjęte z prawdziwym entuzjazmem przez jedną córkę. ...i z autentyczną niechęcią - przez drugą.

- To będzie prawdziwa zabawa, Sam - Nick drażnił się czule z nadąsaną córką. - Prawdziwa, najprawdziwsza zabawa. Samantha nie potrafiła długo dąsać się na ojca. Oboje to wiedzieli. Jednak Nick znowu zaniepokoił się, jak zareaguje ona na Raven.

"Wszystko w porządku - zapewniała go Raven, gdy rozmawiali o tym, że Samantha może zachować milczenie przez cały wieczór. - Rozumiem jej niepokój, Nick. Naprawdę rozumiem".

Nick wiedział, że Raven będzie całkowicie przygotowana na ich przybycie o szóstej.

Gdy jednak otworzyła drzwi, była zarumieniona i jakby skonsternowana.

- Przyszliśmy za wcześnie?

- Nie. Jesteście punktualni. Wejdźcie, proszę. - Gdy weszli do domu, Raven uśmiechnęła się do dziewczynek, które wpatrywały się w nią. Ale tylko jedna odpowiedziała jej uśmiechem. - Cześć. Jestem Raven.

- A ja jestem Melody.

- Witaj, Melody. - Zgodnie z opowieściami Nicka jego dziewięcioletnia córka była prawdziwym promyczkiem słońca. Oczy miała koloru jasnego nieba i uroczy uśmiech na twarzy. Jej zadziwiająco rude włosy lśniły, zwijając się w spirale. Trudno było nie zachwycać się jej niewinną radością. Jednak po chwili, Raven zwróciła całą uwagę na drugą córkę Nicka.

"Mogłaby być moja". To była oszałamiająca myśl, gdyż podobieństwo pomiędzy Samanthą i Raven nie ograniczało się tylko do kruczoczarnych włosów i ciemnoniebieskich oczu. Samantha miała równie poważny wyraz twarzy, dokładnie taki sam jak dwunastoletnia Raven. Mówił on, że świat jest niebezpiecznym miejscem, pełnym ludzi, którzy łatwo mogą złamać nam serce.

Raven pragnęła otoczyć ramionami Samanthę, zapewnić ją, że nie mogłaby jej zranić. Zamiast tego po prostu uśmiechnęła się i powitała:

- A ty musisz być Samantha. Cześć.

- Cześć.

173

Raven starała się ukryć zawód, jaki jej sprawiła ta odpowiedź. Ciepłe powitanie Raven nie uspokoiło dziewczynki, wydawała się jeszcze bardziej czujna, bardziej podejrzliwa.

- No więc, Raven, co się stało? - zapytał Nick.

Raven, choć obiecywała sobie, że będzie się z tego śmiała, że zamieni to w anegdotkę dla dziewczynek, spochmurniała.

- Upuściłam na podłogę naczynie z potrawką.

- Bardzo ci współczuję - powiedział Nick. Wiedział, jak Raven niepokoiła się o tę kolację, jak pragnęła podać coś, co dziewczynki lubią. Odrzuciła jego propozycję, żeby ten pierwszy raz zjedli gdzieś na mieście. - Rozbiło się?

- Naczynie okazało się bardzo wytrzymałe. Po prostu odbiło się od podłogi. - Uśmiechnęła się krzywo. - Ale potrawka się rozlała.

- Na twojej idealnie czystej podłodze? No więc wciąż nadaje się do jedzenia.

Podłoga w kuchni Raven rzeczywiście była idealnie czysta, i gdy podniosła z niej mięso i jarzyny, obmyła je starannie i włożyła do pojemnika, by wykorzystać w późniejszym terminie.

- Tak, nadaje się do jedzenia i nie pozwolę, by się zmarnowała. Ale nie zamierzam podawać jej gościom. Pomyślałam więc, żeby zamówić teraz pizzę.

- Uwielbiamy pizzę - szybko stwierdziła Melody.

Raven już o tym wiedziała. Nick nieraz jej to sugerował. Ale teraz uśmiechnęła się z wdzięcznością do dziewczynki, która zareagowała z tak instynktownym współczuciem.

- Naprawdę? To dobrze. A więc wszystko uzgodnione.

- Niedaleko stąd jest nasza ulubiona pizzeria - powiedział Nick. - Może pójde i kupię coś, a wy przez ten czas lepiej się ze sobą poznacie?

Raven czekała, że Samantha uprze się, by pójść ze swym ojcem. Ale dziewczynka milczała. Wówczas Raven, dobrze wiedząc, że Melody i jej niezwykle poważna dwunastoletnia siostra lubią gotować, powiedziała:

-Nie zrobiłam jeszcze sałatki warzywnej. A gdybyście tak mi pomogły? Może przy waszej pomocy uda mi się nie wyrzucić jej na podłogę.

Samantha zareagowała na tę próbę żartu ze strony Raven zaskoczonym spojrzeniem. Melody - uroczym chichotem.

- Mój tata nie szuka żony.

Krojąca pomidory Raven tylko cudem nie skaleczyła się ręką. Podczas pracy nad sałatką, Melody trajkotała cały czas, szczęśliwa, pełna entuzjazmu, ale gdy jej starsza siostra wygłosiła to zadziwiające stwierdzenie, nagle umilkła.

174

Raven stała przy zlewku, krojąc pomidory, a dziewczynki siedziały przy stole i tarły ser.

Gdy teraz Raven zwróciła się w kierunku Samanthy, zobaczyła w jej oczach zarówno odwagę, jak i strach. Córka Nicka tak bała się, że straci ojca, iż pokonała wrodzoną nieśmiałość i wygłosiła to niezwykle oświadczenie.

Zanim Raven zdołała sformułować odpowiedź, dwunastoletnia córka Nicka odezwała się znowu, dodając druzgoczący komentarz do swoich poprzednich słów.

- Jest mężczyzną, więc ma swoje potrzeby. Dlatego spotyka się z kobietami, z całym mnóstwem kobiet.

Raven wpatrywała się w zdesperowaną dziewczynkę, która tak bardzo przypominała ją samą. Za kilka miesięcy

Samantha skończy trzynaście lat. W tym wieku Raven straciła dziewictwo... oddała je, bo tak rozpaczliwie pragnęła miłości. A także dlatego, że od swej matki przejęła destruktywne, poniżające przekonanie, iż mężczyźni mają swoje potrzeby, które kobiety powinny zaspokajać. Jako trzynastolatka czuła się taka stara, taka wyczerpana. W istocie była tylko małą dziewczynką, a Blane, szesnastoletni "mężczyzna", który jej pragnął, bo miał swoje potrzeby, okazał się okropnie niedojrzały.

"Byłam dzieckiem, tak jak teraz Samantha - pomyślała Raven - i nie miałam nikogo, kto by mnie kochał i chronił". Jednak Samantha знаła miłość, głęboką, gorącą, opiekuńczą. A przecież właśnie wypowiedziała z powagą słowa, w które żaden kochający ojciec nie pozwoliłby córce uwierzyć.

- Nie mogę uwierzyć, by twój ojciec powiedział ci, coś takiego? Naprawdę to zrobił?

- Niezupełnie - przyznała Samantha. - Nie.

- To dobrze. - Raven podeszła do stołu i usiadła. - Nie wierz nigdy, że mężczyźni czy chłopcy mają prawo żądać czegoś od ciebie. Proszę, żebyś nigdy, ale to nigdy nie myślała, że musisz zrobić to, czego chce mężczyzna. Każdy chce być lubiany, kochany. Wszyscy mają do tego prawo. Ale trzeba na to zasłużyć, a nie brać siłą, żądać. - Raven przerwała, by zaczerpnąć tchu. Uświadomiła sobie, że Samantha patrzy na nią oczyma szeroko otwartymi ze zdziwienia. Może dziewczynka myśli, że gospodyni tego domu całkowicie zwariowała? Może nie ma pojęcia, o co tu chodzi? Nie zamierzała wyrażać się jaśniej. Może dla Samantha, te "potrzeby", które wspomniała z taką powagą, oznaczały tylko towarzystwo innych dorosłych, a nie seks. - Możliwe, że to, co powiedziałam, nie ma sensu.

- Właśnie, że ma! - zawołała Melody. - Dokładnie to samo mówił tatuś, gdy usłyszał, jak Jeanette powiedziała nam, że on widuje się z nią, bo

175

mężczyźni mają swoje potrzeby. - Melody wzruszyła ramionami, wyraźnie dając do zrozumienia, że "potrzeby" są tylko określeniem czegoś, co dla niej było całkiem niezrozumiałe. - Przedtem nawet nie znałyśmy Jeanette. A kiedy pewnego dnia pojawiła się nieoczekiwanie w naszym domu, rozgniewało to tatę. Jeszcze bardziej się zdenerwował, kiedy usłyszał, co mówiła. Stwierdził, że to bardzo niewłaściwe z jej strony, iż powiedziała nam coś podobnego.

- No cóż, zgadzam się z nim.

- Jestem pewna, że nigdy już się z nią nie spotkał - dodała Melody.

To, że Nick chroni swoje ukochane córki przed wszelkim złem, nie było niespodzianką dla Raven. Najwyraźniej nie dziwiło też Samantha. Co więc starsza córka Nicka chciała osiągnąć za pomocą tego stwierdzenia? Czy miała nadzieję, że skłoni podstępem Raven, by zgodziła się, że mężczyźni mają swoje potrzeby, a potem powtórzy to swojemu ojcu? Być może. Ale teraz jasne było, że Raven naprawdę ją zaskoczyła, reagując z żarliwą opiekuńczą, najwidoczniej równą opiekuńczości Nicka. Raven widziała jej zmieszanie, może nawet przebłysk nadziei, i powiedziała łagodnie:

- Z pewnością, Samantho, chciałaś powiedzieć, że to ty nie potrzebujesz... lub nie chcesz... nowej matki.

- Och - wyszeptała Melody, otwierając szeroko ze zdumieniem błękitne oczy i spoglądając to na Raven, to na starszą siostrę. Samantha nie zaprzeczyła.

- Posłuchaj mnie, proszę. Nie próbuję zostać twoją matką. Nigdy bym się na to nie odważyła. Poza tym nie jestem wcale pewna, że mogłabym być matką, że nadawałabym się do tego. Najprawdopodobniej nie.

- Dlaczego nie? - spytała Melody.

Raven pomyślała o tym, jak długo próbowała zostać matką, ponieważ na przekór wszystkiemu śmiała wierzyć, że będzie matką kochającą. Ale natura wiedziała swoje.

- Zbyt trudno to wyjaśnić - zwróciła się w końcu do dziewczynek. - W końcu uwierzyłam, że taka jest prawda.

- W porządku. - Melody uśmiechnęła się i zapytała: - Jaka była twoja matka?

- Nie widziałam jej od piętnastu lat. Zdecydowała się wyjechać na kilka tygodni przed ukończeniem przeze mnie średniej szkoły. Nigdy nie miałam ojca, sióstr ani braci, więc gdy mnie zostawiła, zostałam całkiem sama. Przez bardzo długi czas wierzyłam, że odeszła z mojego powodu, bo było we mnie coś złego.

- Ale nie było - odparowała natychmiast Melody.

I niemal równocześnie, ale o wiele ciszej, odezwała się Samantha.

176

- Wcale nie było w tobie nic złego.

- W końcu zrozumiałam, że odeszła z własnych powodów. Nie dostałaby dobrej oceny jako matka, ale naprawdę sędzę, że robiła, co w jej mocy. - Wszystkie trzy siedziały bardzo poważne, czując się porzucone przez swoje matki. Potem Raven, kierując się intuicją zrodzoną z bólu, powiedziała cicho: - Nie każda kobieta jest stworzona na matkę. To niczyja wina. Tak po prostu jest.

Kiedy Nick wrócił z pizzą, rozmawiano już w kuchni o ulubionych zespołach muzycznych dziewczynek. Samantha już się nie dąsała. Nawet od czasu do czasu uśmiechała się uroczo, a jej błękitne oczy błyszczały. Na ogół była jednak spokojna, czujna, przyglądała się Raven z punktu obserwacyjnego, zawieszona gdzieś pomiędzy niedowierzaniem a nadzieją.

Spotkanie miało się zakończyć o ósmej trzydzieści, a może nawet wcześniej. Nick wyjaśnił Raven, że nazajutrz czeka dziewczynki szkoła, a Melody kładła się zawsze o dziewiątej. Po chwili wahania dodał, że gdy Samantha dowiedziała się o zaplanowanej kolacji, oznajmiła, że i ona chce położyć się najpóźniej o dziewiątej, bo zamierza wstać wcześniej, by pouczyć się jeszcze w ostatniej chwili do egzaminu.

Ale ósma trzydzieści nadeszła - i minęła. Kiedy Nick cicho powiedział dziewczynkom, która godzina, obie wzruszyły

lekceważąco ramionami i nadal z uwagą słuchały Raven. Opowiadała im o śnieżnych zimach w Chicago, znacznie upiększając prawdę, bo dla małej dziewczynki, która smarowała wazeliną chude, gołe nogi, stanowiły one tylko zimne i gorzkie przypomnienie, jak bardzo jest niekochana - i niegodna miłości.

Piętnaście po dziewiątej Nick zaczął przypominać, że pora już iść. Widział, że pomimo bohaterskich wysiłków, by się nie poddać, jego młodszej córce kleją się już oczy.

#Ojca obie dziewczynki podziękowały Raven za kolację. Melody uściśliła ją gorąco. Przez jedną cudowną chwilę wydawało się, że również Samantha pójdzie w jej ślady, ale powstrzymała się i tylko powiedziała:

- Przepraszam za tamte moje słowa. Raven uśmiechnęła się do niej.

- Przynajmniej miałyśmy okazję porozmawiać.

Raven, stojąc na ganku, pomachała im ręką na pożegnanie, a oni odpowiedzieli jej w ten sam sposób. Chwilę potem światła ciężarówki Nicka znikły w ciemności...

177

A Raven zaczęła płakać. Emocje całego wieczoru uzewnętrzniły się teraz w istny potok łez.

Łzy lały się strumieniami, a Raven pocieszała się, że pomimo katastrofy z potrawką wieczór przeszedł bardzo dobrze, o wiele lepiej, niż ona i Nick wyobrażali to sobie.

Ale nawet ta pokrępowana prawda nie mogła pokonać milczących krzyków, wydzierających się z tego samego miejsca, które zrodziło niebezpieczny potok łez.

Nie zostawiajcie mnie! Zabierzcie mnie ze sobą! Moglibyśmy być rodziną. Moglibyśmy rozmawiać, śmiać się i razem pokonywać najtrudniejsze nawet problemy...

To były słowa oszałamiające, przeszywające, szokujące. A jeśli wierzyć głosowi, który bardzo przypominał głos Victorii Wainwright-Calhoun, były też zadziwiająco głupie. Nick nie miał zamiaru powierzyć opieki nad swymi ukochanymi córkami byle komu. Tak, chciał, by je poznała, dlatego zostawił je na chwilę, gdy wyszedł kupić pizzę. Ale przecież ona sama mówiła, że nie byłaby dobrą matką...

Co więcej, Nick nie dał jej powodu do tego, by sądziła, że interesuje go coś więcej poza kilkoma nocami namiętności. Samantha miała rację: on nie szuka żony ani matki dla swych córek.

Raven zadrżała, wspominając, co jeszcze powiedziała Samantha. Nick ma swoje potrzeby i całe mnóstwo kobiet, które z radością je zaspokoja, a choć zarówno Nick, jak i Raven zamierzali dopilnować, by jego gorąco kochane córki nigdy nie ceniły się zbyt nisko, nigdy nie rozmięniały się na drobne, Raven przez całe swoje życie tak właśnie postępowała... bo rozpaczliwie pragnęła być kochana.

Pragnęła być kochaną; ale teraz szło o coś więcej - chciała kochać. Dlatego zawsze marzyła o dziecku, bo na przekór wszystkim zawsze wierzyła, że jest w stanie kochać, chronić, wielbić. A w tej chwili, o dziwo, była tego całkiem pewna.

Z góry zaplanowali, że tej nocy, tak jak przez cały ostatni tydzień, Nick przyjedzie do niej, gdy tylko dziewczynki zasną. Potem przez dziesięć dni nie będą się mogli spotykać. Rodzice Nicka, którzy zwykle czuwali nad śpiącymi dziewczynkami, wyjeżdżali rano do Denver, by odwiedzić córkę i poznać swego pierwszego wnuka.

Każdej nocy w tym tygodniu Nick pojawiał się krótko po dziesiątej. Dlatego dzisiaj, kiedy minęła jedenasta Raven zaczęła już tracić nadzieję... i nawet gdy jasne światła jego ciężarówki oświetliły jej podjazd, sądziła z początku, że to tylko jakiś miraż.

178

- Nie mogły zasnąć - powiedział Nick, kiedy otworzyła mu drzwi. - Były zbyt podniecone. Oczarowałaś je, Raven, nawet Sam... a może szczególnie Sam.

Jego dłonie łagodnie ujęły jej twarz, uśmiechnął się do niej z nieukrywaną czułością, szare oczy płonęły pożądaniem... i, jak się jej wydawało, miłością.

Bez żadnego ostrzeżenia Raven znowu wybuchnęła gwałtownym potokiem łez i milczących krzyków rozpacz.

- Raven? Co się stało?

"Chcę mieć ciebie i twoje śliczne córki. Chcę, byśmy byli rodziną. Chcę tak wiele... zbyt wiele" - wołała w duchu.

- Raven? - Nick przyciągnął ją do siebie. - O co chodzi? Wszystko poszło tak dobrze.

Słyszała czułość w jego głosie, a te słowa brzmiały, jakby byli rodzicami, którzy razem troszczą się o swoje ukochane dzieci.

Raven pomyślała, że zbyt fantazjuje. On wcale jej nie potrzebuje. Chyba że do łóżka. Jeśli będzie tak płakała, odepjdzie od niej, a jest przecież mnóstwo innych kobiet, które zapragną Nicholasa Gaulta.

- Może dla ciebie nie był to udany wieczór - szeptał Nick w jej jedwabiste czarne włosy. - Samantha najwyraźniej powiedziała coś, co zraniło twoje uczucia.

Raven siłą woli powstrzymała łzy.

- Nie, wszystko poszło dobrze, Nick, bardzo dobrze. To naprawdę urocze dziewczynki.

- Więc dlaczego płaczesz? Raven uśmiechnęła się niepewnie.

- Naprawdę nie wiem. To z nerwów. Niepokoiłam się tym wieczorem, pewnie bardziej, niż sobie uświadamiałam, i nie miałam czasu, by popłakać nad rozlaną potrawką, więc wszystko wylało się ze mnie teraz.

Nick wpatrywał się z namysłem w jej piękną twarz. Wiedział, że zdradziła mu tylko część prawdy, że ukrywała przed nim coś bardzo ważnego.

Więc oboje mają teraz swoje tajemnice.

Wracając do Raven dzisiejszej nocy, Nick zamierzał powiedzieć jej, że ją kocha. Powiedzieć jej, że chce, by już na zawsze dzieliła z nim życie -i życie jego córek.

Nick widział, jak mówi jej te słowa, a Raven odpowiada mu z radością. A potem wyobrażał sobie poważną rozmowę, w trakcie której zgodzą się, że choć wieczór bardzo się udał, jest za wcześnie, by mówić z dziewczynkami o jakichś planach. Będą musieli spędzać razem więcej czasu i razem znosić gorsze momenty, które z pewnością się przytrafią, kiedy dawne lęki Samantha przeważą nad rodzącą się nadzieją. Ale w końcu staną się rodziną.

179

I w ciągu tej poważnej - i radosnej - rozmowy wspomni mimochodem, że wart jest wiele, wiele milionów... a szafirowe oczy Raven rozbłysną szczerym zaskoczeniem... Od razu zorientuje się, że nie wiedziała dotąd o jego bogactwie... i nic ją ono nie obchodzi.

To było wspaniałe marzenie i Nick ufał gorąco, że pewnego dnia stanie się rzeczywistością. Ale gdy wpatrywał się w szafirowe oczy, w których kryły się tajemnice, uświadomił sobie, że jest o wiele za wcześnie, by odkryć swe sekrety. Oboje potrzebują więcej czasu, znacznie więcej.

23

Century City, Kalifornia Piątek, 7 kwietnia,

o pierwszej w południe, pięć dni po pamiętnej kolacji z pizzą, W sekretarka Raven oznajmiła przez interkom, że dzwoni Samantha Gault.

- Odbiorę - powiedziała szybko Raven. Potem, wciskając migoczący przycisk w swoim aparacie, przywitała się ciepło:

- Cześć, Samantha.

- Cześć.

W tym jednym słowie Raven wyczuła panikę i drzenie. Ukrywając nagły niepokój, spytała łagodnie:

- Co się stało?

- Nic. To znaczy... moi dziadkowie są w Denver, a tata ma dziś po południu ważną naradę.

Samantha westchnęła.

- Samantha?

- Jestem taka niemądra! Ty też pewnie masz dziś ważne spotkanie.

- Prawdę mówiąc, nie - odpowiedziała Raven. Oczywiście, miała umówione spotkania, ale żadne z nich nie było tak ważne, jak Samantha. Pomyślała też, że żadna z wielomilionowych umów, z którymi mogła mieć dzisiaj do czynienia, nie jest tak ważna, jak to, co robił Nick: pielęgnowanie ogrodu, poznawanie nowego gatunku róż, planowanie żywego obrazu złożonego z kolorów i woni. - Więc jestem do twoich usług. Co mogę zrobić?

- Mogłabyś zabrać mnie ze szkoły do domu?

180

- Oczywiście. Tylko powiedz gdzie i kiedy?

- Chodzę do Westlake. Znajduje się to na North Faring Avenue w Holm-by Hills.

- Wiem, gdzie to jest. - Raven wiedziała też, że szkoła dla dziewcząt w Westlake jest jedną z najlepszych prywatnych szkół w tej okolicy... i jedną z najdroższych. - Niedaleko stąd, niecałe piętnaście minut jazdy.

- Czy mogłabyś przyjechać teraz?

- Oczywiście. Jak tylko odłożę słuchawkę. Jesteś chora, Samantha? Mam zabrać cię do lekarza?

- Nie, dziękuję. Po prostu muszę pojechać do domu.

Raven spostrzegła Samanthę, jak tylko skręciła w ocieniony drzewami podjazd do Westlake. Stała przy krawężniku przed głównym wejściem. Towarzyszyła jej jakaś kobieta. Gdy Raven zatrzymała się obok, zobaczyła na twarzy kobiety zaskoczenie.

Natychmiast stało się jasne, że Samantha nie będzie mogła tak po prostu wsiąść do samochodu - kobieta nie zamierzała na to pozwolić. Raven wyłączyła więc silnik, wysiadła i uśmiechając się pokrępijając do Samanthy, wyciągnęła rękę do kobiety.

- Dzień dobry. Jestem Raven Winter.

Kobieta przedstawiła się jako dyrektorka szkoły i natychmiast wyjaśniła przyczyny swojej obecności.

- Mamy pewien kłopot, pani Winter. Przypuszczaliśmy, że kiedy Samantha zadzwoni, by zabrano ją do domu, przyjedzie osoba wymieniona w jej aktach jako opiekun. Przestrzegamy surowo zasady, aby nie wypuszczać uczniów z ludźmi, których nie ma na tej liście.

Raven nie była tym zdziwiona. W Westlake uczyło się wiele dziedziczek z Płatynowego Trójkąta, niewinnych, małych dziewczynek, które mogły zostać porwane w celu wymienienia ich na część ogromnych bogactw ich rodziców.

Samantha była ukochaną córką wziętego ogrodnika, którego najwidoczniej stać na opłacanie wysokiego czesnego w szkole, ale wątpliwe, żeby porywano ją dla okupu.

Na Raven wywarł wrażenie fakt, że dyrekcja troszczyła się o bezpieczeństwo wszystkich pupilek, bez względu na ich bogactwo, i nie zamierzała dowodzić w obecności Samanthy, że choć dla ojca była bezcennym skarbem, dla potencjalnego porywacza mogła mieć mniejszą wartość od swoich koleżanek. Zamiast tego spróbowała załatwić to w inny sposób: udowodnić, że jest całkowicie niegroźną osobą, niemal członkiem rodziny.

- Przyszaję, że sytuacja jest dość wyjątkowa, ale zapewne Samantha powiedziała pani, iż jej dziadkowie pojechali do Denver i dlatego nie można

181

tym razem na nich liczyć. A ponieważ Nick... pan Gault jest zajęty, Samantha zadzwoniła do mnie.

- Nadal nie bardzo rozumiem, co łączy panią z Samantha.

- Przyjaźnię się z nią - powiedziała spokojnie Raven, uśmiechając się do swej małej przyjaciółki. Błękitne oczy Samantha odpowiedziały jej wdzięcznością i rozbłysła w nich taka nadzieja, że Raven postanowiła jak najszybciej załatwić tę sprawę. - Rozumiem pani obiekcje. W pełni popieramy i doceniamy taką politykę szkoły. Ale czy w gruncie rzeczy nie chodzi o to, by nie zjawiali się w szkole jacyś nieznanymi ludźmi pod fałszywymi pretekstami? Jestem tutaj, ponieważ Samantha do mnie dzwoniła. To jasne, że mnie zna i...

- I że jej ufam - wtrąciła cicho Samantha. - Naprawdę, wszystko jest w porządku.

- Dobrze. - Dyrektorka wreszcie się uśmiechnęła. - Chciałam się tylko upewnić. I teraz jestem spokojna.

- Dziękuję - odpowiedziała Raven, a Samantha podeszła do niej, przekraczając niewidzialny mur, który chwilę wcześniej wydawał się absolutnie nie do pokonania. Raven otoczyła ramieniem swoją młodą podopieczną, ale zanim skierowała się z nią do samochodu, wyjęła z torebki wizytówkę i wręczyła ją dyrektorce. - Chciałabym, żeby umieściła ją pani w aktach Samantha.

- Cześć - przywitała się Raven, kiedy obie znalazły się w jaguarze. Zapięły już pasy bezpieczeństwa, ale nie przekreśliła jeszcze kluczyka w stacyjce.

- Cześć. - Ciemnoniebieskie oczy Samantha błyszczały z podziwu. - Byłaś naprawdę wspaniała, Raven. Nie sądziłam, że dyrektorka pozwoli mi pójść z tobą.

- No cóż, skoro nie zamierzałam odejść bez ciebie, znajdowała się na z góry przegranej pozycji.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo. Więc... jesteś chora?

- To nie jest w gruncie rzeczy choroba, wiem o tym i może nawet nie powinnam iść do domu. Ale szkolna pielęgniarka powiedziała, że za pierwszym razem tak będzie lepiej. - Samantha wzruszyła ramionami i stwierdziła spokojnie: - Mam okres.

- Naprawdę? No cóż, zgadzam się z pielęgniarką. Myślę, że to dobra okazja, by zrobić sobie wolne na resztę dnia.

Pierwsza miesiączka to sprawa naturalna, ale także bardzo ważna. - Raven pomyślała o tym, jak Nick zareaguje na nowiny Samantha. Na to, że jego córka z małej dziewczynki przekształciła

182

się w młodą kobietę. Jadąc do Westlake, Raven uznała, że Nick bardzo ucieszy się, iż Samantha do niej zadzwoniła.

Czy jednak również w takiej sytuacji będzie zadowolony? Raven miała taką nadzieję. Niech zrozumie, iż jest to sprawa "między nami, dziewczętami", przyjaciółkami... matką i córką. Raven pochyliła z namysłem głowę i dodała macierzyńskim tonem: - Może nawet nieco straszna.

- Czy ty się bałaś?

- Byłam przerażona. Nie miałam pojęcia, co się dzieje.

- Nie wiedziałaś? Matka nic ci nie mówiła?

-Nie. - Raven postarała się o to, by w jej głosie nie było goryczy i nagle zorientowała się, że broni Sheili Winter. -

Byłam jeszcze mała, gdy dostałam okresu. Mama nie zdążyła mnie uprzedzić

Raven ukryła gorycz, ale nagle wróciły do niej z całą siłą wspomnienia i związane z nimi emocje. Była tak przerażona. Krwawiła, miała silne skurcze, myślała, że umiera. Wyszła ze szkoły, nic nikomu nie mówiąc, potykając się, biegła do domu, jak gdyby tam czekała matka, która ją pocieszy, wytłumaczy jej wszystko, zatroszczy się o nią.

Owego popołudnia Sheila była w łóżku ze swoim aktualnym kochankiem. Oboje spojrzeli z gniewem na Raven, kiedy wpadła do sypialni, a potem jej matka zmusiła ją, by w jego obecności powiedziała, co się stało. Kochanek matki zareagował na jej wyznanie potokiem kpin i przekleństw, jej matka również klęła. A potem, kaszląc i śmiejąc się przepalonym głosem, powiedziała:

- Więc dosięgło cię to przekleństwo. Wspaniale. A mnie będzie jeszcze więcej kosztowało posiadanie dziecka.

Okazało się jednak, że koszty miesiączek Raven są bardzo niewielkie. Krwawienie i skurcze za drugim razem niemal całkowicie zniknęły. Raven nie miała pojęcia, jak nietypowe są jej menstruacje, aż do college, kiedy podsłuchiwała narzekania koleżanek. A kiedy poszła do studenckiego ośrodka zdrowia na swoje pierwsze badanie ginekologiczne i podała, że skurcze trwają u niej kilka minut, nie godzin, a czas krwawienia liczy się w godzinach, nie w dniach, pielęgniarka powiedziała jej, że ma wielkie szczęście.

Jednak nawet wtedy Raven wiedziała, że to wcale nie jest szczęście. Miała macicę dziecka kwasu, pokrytą bliznami i bezpłodną. Jej skąpe i bezbolesne miesiączki były kolejnym dowodem na to, jak bardzo ma zniszczony organizm.

Pierwszy okres Raven był przerażający. Dlatego też, choć nie widziała na twarzy Samantha przerażenia, znowu zadała pytanie, na które nie dostała dotąd odpowiedzi:

- Nie bałaś się?

183

- Poczułam się trochę dziwnie, ale się nie bałam. Uczą nas w szkole o menstruacji i kilka moich koleżanek już ją ma. Rozmawiałam też o tym z babcią.

- Nie masz silnego krwawienia ani bólów?

- Raczej nie. Przy skurczach mam wrazenie, jakby coś mnie głęboko w środku ścisnęło, ale nie mam zawrotów głowy. - Przez jej ładną buzię przemknął figlarny uśmiech. - Na pewno nie grozi mi omdlenie.

- Omdlenie? - powtórzyła Raven z cichym śmiechem. Policzki Samantha zarumieniły się.



- Wiem, że to staromodne słowo, ale podoba się mnie i moim przyjaciółkom.  
- Mnie też - szybko zapewniła ją Raven. Nagle przypomniała sobie, jak była dwunastoletnią dziewczynką, jak marzyła o tym, by mieć przyjaciółki, wspólne tajemnice i sekrety. Jej palce drżały lekko, gdy przekreślała kluczyk w stacyjce. - Zabieram cię do domu. Czy zatrzymać się przy aptece?  
- Nie. Babcia i ja kupiliśmy parę miesięcy temu wszystko, co może mi być potrzebne.  
- W porządku. Więc dokąd jedziemy?  
- Wiesz, jak dojechać do East Gate w Bel Air?  
- Oczywiście.  
- Tam trzeba skręcić.  
- Muszę ci się do czegoś przyznać - szepnęła Samantha, zanim skręciły z Bulwaru Zachodzącego Słońca do Bel Air. - W niedzielę powiedziałam, że mój tata umawia się z mnóstwem kobiet. To nieprawda. Z nikim się nie umawia. Kiedy nie pracuje, jest zawsze z nami w domu. Chciałam, żebyś to wiedziała.  
Raven doskonale orientowała się, że Nick nie zawsze spędza noce w domu. Jednak chciała wierzyć, że nocne wizyty Nicka u niej były czymś wyjątkowym.  
- Dziękuję. Miło z twojej strony, że mi to powiedziałaś.  
I już były w Bel Air. Raven jechała ostrożnie według wskazówek Samanthy wąskimi, krętymi ulicami pomiędzy rezydencjami. Przypuszczała, że jadą do domku ogrodnika, znajdującego się na jednej ze wspaniałych posiadłości. Gdy wreszcie skręciły w prywatną drogę dojazdową, Raven poczuła niepokój. Rezydencja okazała się budynkiem w stylu kolonialnym, usytuowanym w ogrodzie, bez wątplenia stanowiącym dzieło Nicka.  
Ale nie było tu domku ogrodnika.  
- Jednak twój tata jest w domu. Widzę jego ciężarówkę.

184

- Nie. Nie ma go w domu. - Zdziwiona Samantha otworzyła szeroko błękitne oczy. - Do pracy nie jeździ ciężarówką.  
- A czym?  
- Lexusem.  
Samantha wyłączyła system alarmowy najnowszej generacji, wprawnie przebiegając palcami po tablicy z numerami. Potem wprowadziła Raven do eleganckiego, marmurowego holu. Raven zobaczyłaby swoje odbicie w zabytkowym lustrze, gdyby w nie spojrzała, ale tego nie zrobiła. Od telefonu Samanthy czuła się tak, jakby była jej matką, ale teraz, gdy weszła do rezydencji i pojęła całą głębię zdrady Nicka, nie potrzebowała patrzeć na swoje odbicie, by przypomnieć sobie, kim jest naprawdę: przepiękną istotą z lodu, którą można wykorzystać, pobawić się, a potem - wyrzucić.  
- Zostaniesz jeszcze, Raven? Mogłybyśmy zjeść ciastka i wypić lemoniadę.  
- Bardzo chętnie, Samantho - odpowiedziała Raven, jak zwykle pozbawiona instynktu samozachowawczego. Zostanie tu jeszcze trochę, podsycając i tak już palący ogień bólu. - Jeśli pokażesz mi, gdzie jest kuchnia, przyrządzę lemoniadę, podczas gdy ty będziesz się mogła przebrać.  
Gdy Samantha prowadziła ją do kuchni, Raven zastanawiała się, kim jest naprawdę Nicholas Gault. Z powodu wyjazdu jego rodziców do Denver nie widzieli się od chwili, gdy opuścił ją w poniedziałek o świcie. Jednak często ze sobą rozmawiali, każdej nocy, gdy dziewczynki poszły do łóżka, i kilka razy w ciągu dnia, kiedy telefonował na jej prywatną linię. Raven miała wrażenie, że Nick dzwoni do niej z budek telefonicznych, jeżdżąc z jednego ogrodu do drugiego. Najwidoczniej było to dalekie od prawdy.  
- Gdzie twój tata ma dziś naradę? - spytała, jak najbardziej obojętnie, gdy tylko doszły do kuchni.  
- Zobaczmy. - Samantha zajrzała do notatnika. - Westwood Marquis. - Potem, zanim poszła na górę przebrać się, podała kartkę Raven. - Tu jest jego dzisiejszy harmonogram.  
Na starannie wydrukowanej kartce widniały - godzina po godzinie - wszystkie zajęcia Nicka wraz z numerami telefonów. Najwyraźniej została przygotowana dla jego córki na wypadek, gdyby musiała się z nim skontaktować. Na górze kartki znalazła odpowiedź na pytanie, kim naprawdę był: Nicholas Gault, prezes i dyrektor zarządzający Eden Enterprises. Pod Sj umieszczono adres biura na Wilshire Boulevard.  
Przeglądając harmonogram dnia, Raven uświadomiła sobie, że gdy Ni zadzwonił do niej tuż przed dziesiątą, miał właśnie rozpocząć naradę w sprawie budowy hotelu na Maui. Zakończenie narady zaplanowano na godzinę

185

drugą trzydzieści. Następną linijką, ostatnią pozycją na ten dzień, głosiła: 15.00 - dom. Nick najwidoczniej zamierzał być w domu przed córkami, żeby nie wracały do pustego mieszkania... pustej rezydencji.  
Raven rzuciła okiem na zegar. Nick zjawi się w domu za trzy kwadransy. Uświadomiła sobie, że ona wciąż tu będzie, i nie miało to nic wspólnego z jej instynktem samozniszczenia. Chodziło o dziewczynkę, która stała się kobietą. Nick nie zostawiłby swojej ukochanej córki samej w domu i ona też tego nie zrobi.  
Czyjego stalowoszare oczy rozblęsną wściekłością, że odkryto jego kłamstwa? Prawdopodobnie tak. Ale nie w obecności Samanthy, dopiero wtedy, gdy zostanie sama z Nickiem.  
A wtedy i on zobaczy jej wściekłość. Wściekłość, nie ból, ponieważ nie chce słyszeć jego słów pełnych pogardy.  
Co za ironia losu, że znalazła się w tej kuchni. Rzecz jasna Raven bywała w wielu rezydencjach w Bel Air jako mile widziany gość. Ale Nicholas Gault nie chciał jej tutaj, nie powitał jej w swoim domu. Była tu przez pomyłkę, ponieważ udawała matkę i eksperta w dziedzinie miesięczek. Oczywiście w obu przypadkach była oszustką. Przez dwadzieścia lat bezskutecznie próbowała zająć w ciąży; i nie miała żadnych użytecznych informacji o normalnych miesięczkach.

Raven przeniosła się znów myślami do Lake Meadow, była dziewczynką, której pozwalano przyrządzać w kuchni posiłki dla rodziny Wainwrightów, ale nigdy nie wpuszczano do innych pomieszczeń ich wspaniałego domu. Samantha, która wróciła do kuchni, sprawiała wrażenie bardziej kruchej niż poprzednio. Być może zaczynało do niej docierać głębsze znaczenie tego, co się dziś stało. Wraz z pierwszym okresem nieodwracalnie przekroczyła niewidzialną linię, dzielącą dziewczynki od kobiet. Może pragnęła cofnąć czas, znowu być dzieckiem?

Raven na razie nie rozpoczynała rozmowy na ten temat. Zgodnie z propozycją Samantha zabrały lemoniadę i ciastka i wyszły na dwór, na werandę, przylegającą do salonu, gdzie usiadły przy niebieskozielonym stole z kutego żelaza. Weranda wychodziła na różany ogród i z jej majestatycznej wysokości można było również podziwiać jeden z najbardziej efektownych widoków południowej Kalifornii: położone w dole Miasto Aniołów i migoczący za nim jaskrawoblękitynny Pacyfik.

- Dobrze się czujesz, Samantha? Samantha skinęła głową.

- Ale wszystko wydaje się teraz bardziej straszne?

186

- Chyba tak. I bardziej realne.

- A także nieodwołalne. - Raven uśmiechnęła się, ponieważ Samantha najwyraźniej poczuła ulgę, że została zrozumiana. - Tego nie można cofnąć, ale ty się tak naprawdę nie zmieniłaś. W środku jesteś taka sama.

- Też byłaś taka w moim wieku?

- Pod wieloma względami tak. - Raven pomyślała, że Samantha jest dokładnie taka sama. Wylękniona, podatna na zranienie, rozpaczliwie pragnęła, by ją pokochano. Raven poczuła, że Samantha może zobaczyć w jej oczach smutek. Spojrzała na jaskrawozieloną koszulkę dziewczynki, ozdobioną złotym napisem "Santa Barbara Polo Club".

- Jeździsz konno? - zapytała.

- Tak. Oczywiście nie na koniach do gry w polo. A ty?

- Nigdy nie siedziałam na koniu.

- Musisz spróbować! Spodoba ci się. Pojedziemy razem do Santa Barbara.

Gdy Samantha entuzjastycznie rozwijała plan wspólnego weekendu na ranczo w Santa Barbara, palce Raven zacisnęły się jeszcze silniej wokół szklanki z lemoniadą. Jak gdyby szukały chłodu, mając nadzieję, że ogarnie ją cała, zamrozi serce płonące bólem.

Kiedy Nick zobaczył na swoim podjeździe jaguara Raven, poczuł zaskoczenie, lekki niepokój, ale przede wszystkim ulgę. Oczywiście nie będzie ona całkowita, dopóki nie wyjaśni wszystkiego, dopóki w rzucających błyskawice szafirowych oczach nie pojawi się zrozumienie... i miłość.

Nick rzucił okiem na zegarek. Samantha powinna wrócić do domu najwcześniej za pół godziny, a Melody miała lekcje baletu do piątej. Dzięki temu będą mogli sami porozmawiać.

Nick szedł w kierunku wschodniej części rezydencji, z jakiegoś powodu pewien, że Raven odkryła pachnącą różami werandę, a jego serce biło nowym rytmem, oczekiwania i niepokoju. Nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy, pragnął, by mieli te pół godziny już za sobą, by je przebyli bezpiecznie, stając na progu wspólnego życia.

Na jego ustach pojawił się uśmiech, kiedy zobaczył jej kruczoczarne włosy, lśniące w słońcu. Ale obok była inna ciemna główka...

- Tatusiu! - poderwała się z krzesła Samantha.

- Sam - odezwał się miękko Nick, zaskoczony, że córka tak czule go wita. Uścisnął ją mocno. - Co się dzieje?

Zarumieniona Samantha zawahała się z odpowiedzią. Nick spojrzał na Raven. Sprawiała wrażenie bardzo smutnej.

- Mam pierwszy okres - wyrzuciła z siebie wreszcie Samantha. - Zadzwoiłam do Raven, a ona podwiozła mnie do domu.

187

- No, no - mruknął Nick. Jego mała dziewczynka stała się kobietą. Za bardzo szybko to przebiegało. Już widział jak Samantha dorośleje, zakochuje się.

Raven zdawała sobie sprawę z tego, co Nick przeżywa, i poczuła gwałtowny przyptyw miłości. Miłości, nie nienawiści? Tak, ponieważ nie nienawidziła Nicka. Jak mogłaby to zrobić? Jedyne, jak zawsze, nienawidziła siebie. Teraz miała do siebie pretensje za to, że niechcący skradła Nickowi to popołudnie, że poczuła taką radość, gdyż Samantha jej zaufała. Powiedziała cicho, przepraszająco:

- Samantha zadzwoniła do mnie, bo sprytnie domyśliła się, że nie mam na dzisiejsze popołudnie wielu planów.

Nick odpowiedział na jej słowa trochę niepewnym, ale pełnym wdzięczności uśmiechem. Z jego przystojnej twarzy można było odczytać coś więcej niż wdzięczność. Wydawało się, że Nick jest z niej dumny, ponieważ zdobyła zaufanie jego bardzo ostrożnej córki.

"On tylko udaje - mówiła sobie Raven. - Ten mistrz kłamstwa i obłudy nadal oszukuje ze względu na Sannthę".

Dlatego też, również udając, rzuciła lekko:

- A poza tym, jak sądzę, zrobiła to dlatego, że jest to sprawa kobiet. Orientując się instynktownie, że ojciec czuje się trochę odsunięty na bok, Samantha powiedziała mu to, o czym jeszcze nie wiedział.

- Ponieważ nazwiska Raven nie było w moich aktach, musiała ona przekonać dyrektorkę, że nie jest kidnaperką.

- Najwyraźniej była bardzo przekonująca.

- Była wspaniała!

Uśmiech Nicka świadczył, że wcale nie dziwią go jej talenty. Po chwili, bardzo miękko, spytał córkę:

- A ty jak się czujesz, Sam?

- Dobrze - odparła pośpiesznie, dodając otuchy zarówno ojcu, jak i sobie. Teraz czuła się dobrze dzięki temu, co powiedziała jej Raven: że pomimo tego niezwyklego wydarzenia w środku wciąż jest taka sama.

Siedzieli przy stole z kutego żelaza na pachnącej różami werandzie i rozmawiali o przeróżnych sprawach, z których żadna nie miała nic wspólnego z miesiączkami. Wreszcie, gdy do Samantha dotarło, że szkoła się już skończyła, wstała, by podzielić się z koleżankami tym, co teraz uważała za ekscytującą nowinę.

- A co z babcią?

Na uroczej, młodej twarzyczce pojawił się wyraz miłości.

188

- Najpierw zadzwonię do niej. - Samantha spojrzała na Raven z tym samym wyrazem twarzy i powiedziała: - Dziękuję, że przyjechałaś, aby mnie odebrać... i za wszystko.

- To nic takiego.

Jak tylko Samantha znikła im z oczu, także Raven zaczęła szykować się, do odejścia.

- Nie idź, Raven - poprosił Nick. - Pozwól, żebym mógł ci wszystko wyjaśnić.

Raven nawet się do niego nie odwróciła.

- Nie jestem głupia, Nick. Naprawdę nie potrzebuję wyjaśnień.

- A jednak myślę, że potrzebujesz - powiedział cicho. - Tylko mnie wysłuchaj, proszę. Widzisz, kiedy poznaliśmy się z Deandą, byłem już bardzo bogaty. Moje bogactwo miało dla niej wielkie znaczenie i chociaż nie byłem naiwny ani bardzo zakochany, zdołała mnie oszukać. Naprawdę mnie przekonała, że mnie kocha i podziela moje marzenie o dzieciach.

"Naprawdę mnie przekonała". Te słowa wbiły się w serce Raven jak ostre noże. Zaledwie kilka chwil wcześniej Nick dowiedział się, jak ona sama była przekonująca w stosunku do dyrektorki z Westlake. Upewniła tę kobietę, że jest niemal członkiem rodziny, częścią zamkniętego kręgu miłości, a nie złodziejem, który mógłby porwać dziecko dla pieniędzy.

Oczywiście było to kłamstwo. Raven Winter nie należała do rodziny Gaultów. W istocie Nick bardzo starannie ukrywał przed nią prawdę z obawy, że kiedy dowie się o jego niezmiernym bogactwie, ukradnie mu wszystko, łącznie z sercami jego córek.

W chwili druzgoczącego olśnienia Raven zrozumiała wszystko. Kiedy Nick ją spotkał, ubraną w markowy strój do joggingu, słusznie wywnioskował, że pozory mają dla niej znaczenie. Potem dowiedział się o małej dziewczynce, która tak cierpiała z powodu nędzy i tak rozpaczliwie pragnęła akceptacji, że zjawiała się na rocznicowym zjeździe szkoły, mając nadzieję, że wreszcie wywrze wrażenie na swoich dręczycielach. I Nick uznał, że gdyby wiedziała o jego majątku, to jak Deandra zrobiłaby wszystko, co możliwe, by na stałe wtargnąć do jego życia.

I czy było to takie nielogiczne przypuszczenie? Czy Raven Willow Winter nie poświęciła większej części swego życia, próbując to osiągnąć?

Tak, ale nigdy nie chodziło jej o pieniądze. Od samego początku liczyła się tylko miłość.

Jak mogła winić Nicka za brak zaufania? Jak mogła go przekonać, że nie oddaje się mężczyznom tylko dla ich bogactw? Jak mogła powiedzieć mu, że zawsze pragnęła tylko miłości, że zanim go spotkała, nie wierzyła, iż jej złodowociałe serce kryje w sobie czułe miejsca, które mogą odtańczyć, poczuć szczęście i radość...

189

Łzy znowu napłynęły jej do oczu.

- Muszę iść.

Nick złapał ją, zanim zdążyła się poruszyć, i przytrzymał mocno, lecz łagodnie, mówiąc z powagą:

- Musiałem się dowiedzieć, co czujesz do mnie i dziewczynek, zanim powiem ci o moim majątku.

- Wiesz, co czuję.

Głowę nadal miała pochyloną, oczy utkwiała w jego piersi. Nick z wielką czułością ujął jej podbródek i uniósł go, by móc zobaczyć jej lśniące, szafirowe oczy.

- Sądziłem, że wiem, ale dlaczego wciąż próbujesz odejść? Zostań. Wybierzmy się razem na kolację na cześć Sam. -

Gdy zobaczył wśród łez przebłysk nadziei, obsypał czułymi pocałunkami jej mokre policzki. - Dobrze?

Raven skinęła głową. Nie miała wyboru. Ponieważ wydawało się, że to zaproszenie dotyczy czegoś więcej niż kolacji.

Dla Raven, dla jej serca, brzmiało to tak, jak gdyby Nick prosił ją, by stała się częścią jego rodziny.

24

Bel Air, Kalifornia Poniedziałek, 8 maja

Cześć, Raven. Tu Sam. Tata chce z tobą porozmawiać, ale najpierw chcę cię o coś zapytać. Wybieramy się na weekend do Santa Barbara, na ranczo. Może miałabyś ochotę z nami pojechać. - Będą moi dziadkowie, tata, Melody i ja. Zabieramy koleżanki.

- Bardzo chętnie - powiedziała Raven i dodała w duchu: "Jeżeli Nick nie ma nic przeciwko temu".  
- Wspaniale! Nauczę cię jeździć konno.

Raven zahałała się, nim odpowiedziała na entuzjastyczną propozycję Samantha. Nosila teraz w sobie nowe życie, siostreczkę lub braciszka Sam, i musiała się obchodzić bardzo ostrożnie z tym cudem.

To nowe życie w jej wnętrzu było faktycznie cudem, którego prawdziwość potwierdziła się zaledwie trzy godziny

temu. Teraz już wiedziała, skąd

190

te nagle wybuchy płaczu, ten głos wewnętrzny, wołający, żeby jej nie zostawiał, gdyż należy do jego rodziny.

Wydawało się nieprawdopodobne, że coś tak małego może wywierać tak ogromny wpływ. Zastanawiała się nawet, czy nie jest to dziecko Michaela, efekt ich ostatniej wspólnej nocy, poczęte na dwa miesiące przed tym, gdy ona i Nick po raz pierwszy się kochali.

Ginekolog wykluczyła taką możliwość. Drobne istotka w jej wnętrzu nie miała więcej niż sześć czy siedem tygodni.

To było dziecko Nicka, a teraz dwunastoletnia córka Nicka zaprasza ją do spędzenia wspólnego weekendu w Santa Barbara i proponuje, że nauczy ją jeździć konno.

- W ten weekend będę tylko ci się przyglądać, Sam.

- Naprawdę? No cóż, jak chcesz. Wiem, że spodobałoby ci się to, gdybyś spróbowała. O, tata sięga po słuchawkę. Do zobaczenia w piątek!

-W piątek?

Na pytanie Raven odpowiedział Nick.

- Chcemy wyjechać w piątek pomiędzy trzecią a w pół do czwartej.

- Czy wszystko w porządku?

W ciągu tygodni, które upłynęły od powrotu jego rodziców z Denver, Nick spędzał z Raven niemal wszystkie noce - a przynajmniej godziny pomiędzy dziesiątą wieczór a świtem. Było kilka wyjątków: dwie noce, kiedy Melody bolało gardło i Nick chciał być blisko niej; trzy noce, gdy Nick wyjechał do Dallas; cztery - kiedy Raven była w Nowym Jorku; i jeszcze cztery (łącznie z ostatnią), gdy czuła się tak jakoś nienaturalnie zmęczona - teraz wiedziała dlaczego - że zasypiała przed siódmą.

Dziewczynki nadal nie miały pojęcia o tym, że Nick spędzał noce z Raven. Przynajmniej dwa razy w tygodniu spotykali się ze sobą we czwórkę, a ostatnio dołączyli się do nich również dziadkowie. Melody i Samantha wiedziały, że tata musi bardzo lubić Raven, choć nigdy nie dotknął jej w ich obecności.

- Tak - odpowiedział Nick. - Wszystko w porządku.

Choć Nick usilnie dbał, o to by nie ujawniać charakteru ich związku w obecności córek, Raven zależało na tym jeszcze bardziej. Pamiętała żywo i boleśnie, jak obca stawała się dla niej matka, gdy przyjmowała swych licznych kochanków.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że twoi rodzice aprobują moją obecność i że jest tam pokój gościnny, w którym mogę się zatrzymać?

- Tak - potwierdził Nick, a jego śmiech zdradził jej, że niedaleko muszą znajdować się czyjeś młode, ciekawskie uszy. -

Więc będziesz wolna w piątkowe popołudnie? Jeśli nie, to żaden kłopot. Pojedziemy dwoma samochodami i jeden z nich może w razie konieczności trochę poczekać.

191

- Będę gotowa o trzeciej.

- Dobrze. Jak ci minął dzień?

Raven wiedziała, że Nick pyta nie tylko o jej dzień, lecz i o ich wspólną noc. Czy wciąż jest tak zmęczona, czy będzie mógł do niej wpaść? Chciała, by przyszedł. Chciała powiedzieć mu o dziecku. Ale wiedziała, że jest jeszcze za wcześnie. Doktor ostrzegła ją, że w pierwszych trzech miesiącach ciąży, zwłaszcza u pierwiastek, często zdarzają się poronienia.

To jeden powód, by mu nic nie mówić, ale był też i drugi: Nick mógł wpaść we wściekłość. Mógł uwierzyć, że zaszła w ciążę, aby go złapać, ponieważ wiedziała, że nigdy nie odwróciłyby się od swego dziecka.

Raven pokonała lęk wspomnieniem małej istotki, która odważyła się znaleźć schronienie w łonie, do którego nie śmiało nigdy wstąpić żadne inne dziecko. Uśmiechając się z czułością, odpowiedziała:

- Miałam cudowny dzień, a zakończyłby się po prostu idealnie, gdybyś mógł przyjść wieczorem.

W ciągu pięciu tygodni, za każdym razem, gdy przebywający w Hongkongu Jason wracał do swego apartamentu w hotelu "Regent", jego spojrzenie padało natychmiast na faks, ustawiony koło biurka. Choćby był najbardziej zmęczony, widok nowych kartek, zapisanych jej charakterystycznym pismem, dodawał mu energii. Odczytywał to, co napisała, i w zależności od tego, która była godzina w Kodiaku, albo dzwonił, albo wysyłał odpowiedź faksem.

Ten supernowoczesny romans, prowadzony za pośrednictwem telefonu i faksu, na przestrzeni tysięcy kilometrów dzielących Alaskę od Morza Południowochińskiego, cechowała zadziwiająca intymność. Wiadomość przesłana faksem miała intymność listu, ale w pewien sposób była nawet bardziej prywatna, ponieważ nie mogła zostać zagubiona, przesłana w inne miejsce ani odczytana przez inną osobę.

Jason i Holly pisali do siebie codziennie. Ich listy były jakby dziennikami, szczegółowymi i ciekawymi kronikami, dokładnie opisującymi, jak spędzają czas z dala od siebie. Jason wysyłał jej fragmenty scenariusza kręconego filmu. Na marginesach i dodatkowych kartkach odtwarzał dramaturgię planu, pisał o porażkach i sukcesach, zamieszczał zabawne anegdotki. Pisał też o Hongkongu, o czarujących widokach i dźwiękach, o zapachach tej egzotycznej miejscowości, gdzie Wschód spotykał się z Zachodem, gdzie mityczny smok i majestatyczny lew żyły razem w tak olśniewającej harmonii.

W końcu na jego łagodne, lecz uparte nalegania Holly zaczęła odpowiadać mu w podobny sposób. Była w trakcie pisania nowej książki, ale streściła jej początek, opisując bohaterów, ich nadzieje, marzenia, tajemnice i lęki,

192

a potem wysyłała mu każdą scenę, jak tylko ją napisała. Strony, wysyłane przez Holly, również były zaopatrzone w przypisy, obrazujące dramat procesu twórczego. I, podobnie jak Jason, pisała o swoim świecie, malując słowami portret arktycznego piękna, w którym żyła.

Jason był w Hongkongu, przepelnionym wibrującą energią i olśniewającym blaskiem, a Holly przebywała w Kodiaku.

Ale odkrywała tam tyle samo skarbów, gdy wiosna opanowała niebo, morze, dolinę i las. Dzieliła się nimi równie entuzjastycznie, jak on dzielił się z nią wspaniałymi klejnotami z olśniewającej korony brytyjskiej kolonii.

Holly i Jason wymieniali pomiędzy sobą swe dzienniki, a on dzwonił do niej, kiedy tylko mógł. I pod koniec tygodnia zakończy zdjęcia w Hongkongu, urzeczywistniając w ten sposób pozornie nierealistyczny harmonogram. Zamierzał polecieć bezpośrednio do Kodiaku, wylądować tam w piątek późnym popołudniem i zostać do niedzieli wieczór. Potem zrobi krótki postój w Los Angeles i polecieć do Dallas, by sfilmować sceny, które tam się rozgrywały.

Kiedy Jason wrócił we wtorek o północy do swego apartamentu, jego wzrok przyciągnęły czekające nań ręcznie zapisane kartki. A gdy zbliżał się do biurka, dostrzegł światelko automatycznej sekretarki. Nie mogło oznaczać wiadomości od Holly. Pomimo wielokrotnych próśb Jasona, nigdy doń nie zadzwoniła. Wiadomość musiała dotyczyć jutrzejszych zdjęć. Pewnie pojawił się jakiś problem, z którym nie mogą sobie poradzić.

Jason pragnął sięgnąć po kartki od Holly, ale zamiast tego odebrał telefon: im gładziej przebiegną kolejne dwa dni, tym szybciej znowu ją zobaczy.

Jednak wiadomość nie dotyczyła Nefrytowego pałacu. Dzwoniła Beth Robinson z Los Angeles, prosząc, by odezwał się do niej jak najszybciej, nie zważając na porę dnia.

Jason zmarszczył czoło, zapisując numer telefonu, który podała mu hotelowa telefonistka. Nie spodziewał się wieści od Beth. Sześć godzin po tym, jak powierzył jej zadanie odnalezienia danych na temat morderstwa dokonanego gdzieś w stanie Waszyngton przez psychopatę imieniem Derek, Beth nagle dostała straszliwego bólu głowy. Gdy przewieziono ją do szpitala, okazało się, że gwałtownie skoczyło jej ciśnienie.

Jason dowiedział się o tym od sekretarki, która potem stale przekazywała mu wiadomości o zdrowiu Beth: że spędziła trzy tygodnie na oddziale intensywnej terapii w Cedars-Sinai i że wreszcie jej syn przyszedł na świat dzięki cesarskiemu cięciu. Dziecko było zdrowe, a i Beth miała wkrótce wrócić do domu, gdyż jej stan nagle się polepszył.

Jason posłał kwiaty i prezent dla dziecka, nie oczekiwał jednak od niej żadnych wieści. Przypuszczał, że zapomniała o jego zleceniu - i nie miał o to pretensji. Dowie się wszystkiego od Holly, gdy ją znowu zobaczy.

193

Ale teraz Beth zadzwoniła i ma jakąś pilną sprawę. Jason błyskawicznie ustalił różnicę czasu. W Hongkongu był wtorek, tuż po północy, to znaczy, że w Kodiaku jest poniedziałek, siódma wieczór, a w Los Angeles jest o cztery godziny później.

- Czuję się doskonale, Jasonie, i mam ślicznego synka. Jest wprost wspaniały i taki z niego śpioch, że również ja dużo odpoczywam... aż za dużo. Uznałam, że trzeba wziąć się do pracy i zadzwoniłam do reportera z "Seattle Times". Od razu rozpoznał historię tego morderstwa.

- Naprawdę?

- Tak, i jestem pewna, że jest to ta sama sprawa, o której mi opowiadałeś, z wyjątkiem jednego bardzo ważnego szczegółu.

- To znaczy?

- To znaczy, że ojciec Holly, Lawrence Elliott, nie zginął w Wietnamie. Na podstawie zeznań Dereka wszyscy uznali, że został zastrzelony przez nieprzyjaciela, choć w rzeczywistości to Derek go postrzelił i porzucił, uznając go za zmarłego. Lawrence Elliott dostał się w ręce partyzantów Vietcongu i trzymano go w niewoli przez siedem lat. Pod wpływem słów Beth Jason nagle przypomniał sobie, że czytał o tej tragedii w "Time". Jako przyszły twórca filmów uznał wówczas, że tej zajmującej historii brak zakończenia, ponieważ nie odnaleziono zaginionej córki. Ale teraz została odnaleziona, prawda?

- Mówiłaś, że ojciec miał na imię Lawrence? A matka? Czy nazywała się Holly?

- Nie. Zobaczmy... Jest. Miała na imię Claire. Lawrence i Claire... Lawrenceiclaire... Lauren Sinclair. Tak, w końcu zaginiona córka się odnalazła. Teraz zajmująca historia może zostać zakończona. Ale tylko wtedy, przysiągł sobie Jason, jeśli będzie to oznaczać szczęśliwe zakończenie dla Holly.

- Gdzie jest teraz Lawrence Elliott?

- W Issaquah, małej miejscowości na peryferiach Seattle. Jest weterynarzem, bardzo lubianym i szanowanym. Wszyscy wiedzą o jego tragedii, dlatego też reporter od razu rozpoznał tę historię. Lawrence szukał swej córki od chwili powrotu z Wietnamu. Prawdę mówiąc, w minione walentynki 20/20 poświęciło cały odcinek sprawie morderstwa i jego poszukiwaniom.

- Bardzo chciałbym to obejrzeć.

- Tak myślałam. Skontaktowałam się już z tą stacją. Zrobią kopie wszystkich informacji, jakie mają: artykułów z gazet i czasopism, sięgając wstecz do czasów zabójstwa, jak również taśm wideo. Właśnie w tej chwili leci do

194

ciebie z Nowego Jorku do Los Angeles bardzo ciężka paczka. Twoja sekretarka powiedziała mi, że w ten poniedziałek wpadniesz na kilka godzin do swego biura. Może jednak wolisz, żebym przesłała ją porannym samolotem do Hongkongu.

- Prześlij mi ją tutaj.

- Zrobione.

§- Czy ktoś pytało cię, dlaczego tym się interesujesz?

- Nie. Powiedziałam im, jak ustaliliśmy, że chcemy zrobić film dokumentalny na temat przemocy domowej. To całkowicie prawdopodobne wyjaśnienie nie budziło żadnych wątpliwości. Reporter z "Times'a" dał mi numery telefonu Lawrence'a Elliotta, na wypadek, gdybyśmy chcieli zrobić z nim wywiad. Oczywiście są dołączone do informacji, przesłanych przez stację telewizyjną. Czy mam ci je teraz podać?

-Tak.

Gdy Beth podała mu numer do biura Lawrence'a Elliotta i do domu, spytała:

- Holly żyje, prawda, Jasonie? Wiesz, gdzie ona jest? Jason nie wahał się. Miał do Beth pełne zaufanie.

- Tak, żyje, i wiem, gdzie jest.

- I nie ma pojęcia, że jej ojciec żyje? To wydaje się nieprawdopodobne, Jasonie, prawie niemożliwe. Tyle było szumu wokół tej sprawy, prowadzono bardzo skrupulatne poszukiwania. Wszyscy, z którymi rozmawiałam, uważali, że Holly albo dawno już umarła, albo z jakiegoś powodu nie chce widzieć się z ojcem.

- Ona żyje - powtórzył spokojnie Jason. Potem, gdy pomyślał o chacie Holly bez śladu gazet, telewizora czy radia, dodał: - I jestem całkiem pewny, że nie ma pojęcia o tym, iż jej ojciec żyje i szuka jej.

- To naprawdę zdumiewające.

§- Beth, naprawdę zdumiewające, że rzeczy tej dokonałeś.

- To nie było takie trudne, Jasonie. Wystarczyła jedna rozmowa telefoniczna.

- Jestem ci bardzo wdzięczny.

Po tym telefonie Jason długo siedział pogrążony w myślach. Jako reżyser dysponujący wielomilionowym budżetem, mógł pozwolić sobie na luksus wielokrotnego powtarzania ujęć jakiejś sceny. Mógł wprowadzać dowolne zmiany, poprawki, udoskonalenia, dopóki wszystko nie było w absolutnym porządku.

Tak długo nie dokończona historia zabójstwa w wigilię świętego Walentego została wreszcie zamknięta. Znał wszystkie fakty, a zaginiona córka wreszcie się odnalazła. Ale finałowa scena miała zostać dopiero napisana.

195

I należy ją zrobić dobrze przy pierwszym ujęciu. Powinien być jednak przygotowany na to, by wyrzucić wszystko do kosza, jeśli instynkt mu podpowie, że wymaga tego dobro Holly.

25

Przez wiele lat Holly kupowała wszystko, z wyjątkiem żywności, za pośrednictwem przesyłanych pocztą katalogów. Od komputera i faksu, przez pościel i książki, do naczyń i kuchenki mikrofalowej. Bez względu na to jak wielkie i ciężkie były nabyte przedmioty, dostarczano je bezpośrednio do jej chaty. Zamawianie z katalogów stanowiło najłatwiejszą metodę kupowania, najbardziej anonimową.

Mogła w samotności studiować uważnie katalogi, a potem, uzbrojona w kartę kredytową, dzwoniła i rozmawiała z jedną z tych osób o zawsze przyjemnym głosie, które zgłaszały się po wykręceniu numerów zaczynających się na 0-800.

Holly wybierała z katalogów wszystkie stroje. Lands End, Orvis i L. L. Bean dostarczali jej tego wszystkiego, czego potrzebowała na różne pory roku w Kodiaku: dzinsy, swetry, flanelowe koszule nocne, ciepłą bieliznę i arktyczne kurtki z kapturem. Holly wiedziała, że oferują również spódnice i sukienki, a w katalogach, które otrzymywała od Neimana-Marcusa, Saksa i Horschowa, były jeszcze bardziej luksusowe propozycje. Bardzo dobrze znała zawartość wszystkich katalogów. Studiowała je dokładnie, wykorzystując je przy ubieraniu swoich bohaterek, dbając o szczegóły z taką samą drobiazgową dbałością, z jaką zajmowała się wszystkimi detalami wymyślonych przez siebie światów.

Dzień po wyjeździe Jasona do Hongkongu Holly przeglądała katalogi, wybierając stroje dla siebie. Chciała, by kiedy Jason wróci, zobaczył ją w czymś innym niż dzinsy lub ślubna suknia jej matki.

I nie chodziło tylko o Jasona, poprawiła się szybko. Chciała tego dla siebie, dla Holly, która w końcu się przebudziła i z radością spojrzęła na świat.

Niektóre z bohaterek Lauren Sinclair nosiły stroje z cekinami od Cassiniego i suknie z szyfonu i atłasu od Chanel. Ale inne, bardziej do niej podobne, wołały spokojniejszy styl: powiewne, długie spódnice z bluzkami z miękkiego jedwabiu lub skromne szmizjerki w delikatne, kwiatowe wzory.

196

Stroje wyglądały cudownie na modelkach w katalogu, ale składając zamówienia, Holly nie miała pojęcia, jak będą wyglądać na niej... i nadal tego nie wiedziała na pięć dni przed powrotem Jasona, choć niektóre paczki dotarły już do niej dawno temu. Otwierała każdą paczkę zaraz po otrzymaniu, starannie wieszala do szafy lub układała tam jej zawartość. Nie miała jednak śmiałości przymierzyć żadnej z tych rzeczy. Mimo rozbudzonego optymizmu czuła niepewność i lęk.

Obawiała się, że w chwili, gdy zacznie przymierzać ubrania, wszystkie cudowne iluzje mogą nagle zniknąć. Będzie zmuszona spojrzeć na siebie w lustrze - naprawdę popatrzeć - a nie robiła tego od dawna, chyba tylko po to, by się upewnić, iż należy się zamaskować.

Jako mała dziewczynka Holly nigdy nie przyglądała się sobie w lustrze. Nie musiała tego robić. Miłość w oczach jej rodziców była jedynym lustrem, jakiego potrzebowała. W gruncie rzeczy nie wiedziała wtedy, jak wygląda. Wiedziała tylko, że niezależnie od tego, co widzieli rodzice, była kochana.

Przez pierwsze pięć lat rodzice byli jej lustrem, a potem była nim jej matka. Od czasu tamtej śnieżnej walentynkowej nocy nie istniały już dla niej żadne lustra, żadne oczy, w których mogła się przeglądać. Było tak do pojawienia się

Jasona.

Wiedziała, że jemu podoba się to, co widzi.

"Tak, ale i mnie musi spodobać się to, co zobaczę. Muszę sama siebie polubić".

Mała dziewczynka, która tak rozpaczliwie próbowała ocalić swoją rodzinę, bardzo się bała, że znenawidzi twarz, która spojrzy na nią z lustra.

Udało jej się spędzić jakiś czas przed lustrem, nie patrząc na swoją twarz. Skupiała się na swoich strojach, studiując je z uwagą. Podobała się jej kremowa jedwabna bluzka i różowa spódnica oraz komplet w miodowym odcieniu, a także suknia barwy kości słoniowej w delikatne lawendowe kwiaty i...

I wreszcie nadszedł czas, by Holly spojrzała na swoją twarz. Poza niewidzialnymi przeszkodami, stawianymi przez jej własne emocje, nic nie będzie zasłaniać jej widoku. Włosy miała odgarnięte do tyłu, splecione jak zawsze, kiedy pisała, w ciężki, złoty warkocz, opadający niemal do pasa.

Holly zaczerpnęła tchu dla uspokojenia i podniosła oczy na swoje odbicie. Ujrzała dorosłą kobietę, nie trzynastoletnią dziewczynkę, która nie potrafiła obronić swej rodziny. I twarz tej kobiety musiała polubić... musiała pokochać...

ponieważ przypominała jej najdroższych rodziców.

197

Holly stanowiła mieszaninę Claire i Lawrence'a, każdy jej rys był wynikiem ich miłostnego połączenia. Tak jak jej oczy łączyły w sobie jaskrawy błękit matki i ciemną, leśną zieleń ojca, również reszta jej twarzy stanowiła żywy symbol darów, które jej przekazali: delikatności i siły, determinacji i dumy, hojności i odwagi.

Była ich dziełem, ich dzieckiem, ich radością i nadzieją.

Gdy Holly wpatrywała się w lustro, jej odbicie z lekka się zamgliło, rozmyło, przekształcało się tak długo, dopóki twarz, patrząca na nią z taką miłością, nie stała się twarzą Claire. "Słuchaj mnie, kochanie. Możesz żyć dalej. Jesteś silna i byłaś tak bardzo kochana przez tatusia i przeze mnie. Zapamiętasz to, Holly? Obiecasz, że będziesz szczęśliwa?"

Holly złożyła tę uroczystą obietnicę umierającej matce i przez minione siedemnaście lat dotrzymywała jej w jedyny możliwy sposób - tworząc wymyślone światy, pełne szczęścia i miłości.

Ale nareszcie wydostała się ze spowijającego ją kokonu, w którym żyła tak długo, z miejsca, gdzie z konieczności przebywała, podczas gdy jej serce odzyskiwało swoją siłę i odwagę.

"Nigdy bym się nie wydostała, gdyby nie Jason".

I gdyby nie pisał do niej codziennie, nie dzwonił niemal tak samo często, znowu ukryłaby się w swoim kokonie, na zawsze zagubiona w wymyślonym świecie.

"Nie zaprotestowałam stanowczo. - Trzeba przyznać, że to dzięki Jasonowi znowu odkryłam w sobie nadzieję. Ale była we mnie na długo przedtem, nim go spotkałam. To cudowny dar miłości moich rodziców. Cokolwiek stanie się z Jasonem, zachowam ją w sercu... jak moi rodzice zachowali mnie".

Spojrzała ponownie na odbicie w lustrze - i zobaczyła Holly, a nie twarz Claire.

I właśnie wtedy poczuła ciężar z tyłu głowy, jak gdyby ciągnęła ją żelazna dłoń przeszłości, próbując powstrzymać ją przed powrotem do życia. Tą żelazną dłonią był jej złocisty warkocz, gruby sznur, który czasem służył jej jako zasłona. "Już cię nie potrzebuję - pomyślała. - Nie potrzebuję liny, która ciągnie mnie do tyłu, ani zasłony, która kryje mnie przed światem".

Holly znalazła nożyczki i ze zdumiewającą pewnością siebie obciąła gruby warkocz. Gdy jedwabiste pasma rozsypały się, uświadomiła sobie, że jej włosy, podobnie jak rysy, są połączeniem darów od obojga rodziców. Kolor pochodził od Claire, ale aureolę miękkich loków wokół twarzy, odziedziczyła po Lawrence'ie.

Tańczące loki maskowały nierówno ucięte przez nią końce. Ale jutro pójdzie do salonu piękności w miasteczku i każe je wyrównać i przystryc.

198

Kupi lakier do paznokci, którym pozwoliła urosnąć, i może jeszcze jasnorożową szminkę, a także tusz do rzęs.

Caroline doczytała do końca ósmy rozdział Darów miłości Lauren Sinclair i zamknęła książkę. Pokusa, by rozpocząć rozdział dziewiąty, była bardzo silna, ale Lawrence wkrótce skończy telefonować i pójdą do łóżka. Ta pokusa okazała się jeszcze silniejsza.

Caroline położyła książkę na niskim stoliku i z uśmiechem rozejrzała się po salonie. Tamtej nocy, gdy Katie rodziła sześcioletnią, Caroline wyobrażała sobie, jak może być tu przytulnie, gdy usiądą oboje przy kominku, pogrążeni w lekturze.

Wydawało się to nierealnym fantazjowaniem... ale dzisiaj, dopóki nie zadzwonił telefon, miała tu miejsce dokładnie taka scena. A za tydzień, kiedy pojawi się domu ośmiotygodniowa Juliet, stanie się on jeszcze bardziej przytulny, bardziej pełny życia.

Fantazja. Tak właśnie odbierała minione tygodnie, jako cudowną, niebezpieczną fantazję miłości. Wciąż zdumiewało ją, że tak łatwo dostosowali się do siebie, choć żyli długo samotnie i niezależnie. Potrafili spędzić cichy wieczór na lekturze, nie obawiając się milczenia, a następnej nocy mogli rozmawiać do świtu, dzieląc się ważnymi, skrytymi prawdami, i to również nie budziło w nich lęku.

Lawrence drażnił się z nią teraz, że jest taka młoda - ma zaledwie czterdzieści lat! Ale bez śladu kpiny mówił jej też, jak bardzo jest piękna. I namiętnie udowadniał jej swoje słowa. Caroline drżała wciąż na wspomnienie ich niezwyklej namiętności i ogromnego głodu w jego ciemnozielonych oczach. Była taka szczęśliwa, kiedy zdradzał jej swe tajemnice, lub gdy udało jej się wywołać na jego wargach uśmiech... Własny śmiech ciągle go zaskakiwał, a kiedy

słyszał te dawno zapomniane dźwięki i czuł zawartą w nich nadzieję, jego oczy napelniały się wdzięcznością, pożądaniem i miłością.

W istocie mieszkali razem bardziej dlatego, że tak się po prostu stało, a nie dlatego że o tym rozmawiali. Każdego ranka robili plany na nadchodzący wieczór: kiedy i gdzie się razem wybiorą. Większość nocy spędzali tutaj, z powodu jego pracy, nocnych dyżurów i wielu wezwań, które zdarzały się nawet wtedy, gdy oficjalnie miał wolne.

Caroline mogłaby tak żyć z Lawrenceem wiecznie, nigdy nie żądając zobowiązań na przyszłość od mężczyzny, który wciąż był silnie związany ze swą przeszłością. Ale ostatnio, choć próbował to ukryć, Lawrence wydawał się zmartwiony, toczył jakąś walkę wewnętrzną, dręczyły go pożądanie i rozpacz. Caroline wiedziała, że musiało tu chodzić o nich. Być może uznał, że

199

ich miłość nie potrwa długo. Kochał się z nią rozpaczliwie, z bolesnym przecuciem, że wkrótce czeka go rozstanie. Nie powinna więc marzyć o tym, jak przytulnie będzie tu za tydzień, z Juliet szalejącą wokół domu. Z góry wiedziała, jakie to niebezpieczne. I przecież Lawrence też ją ostrzegał...

Caroline postanowiła przestać o tym myśleć i miała właśnie sięgnąć po Dary miłości, by rozpocząć rozdział dziewiąty, kiedy pojawił się Lawrence. Miał zaniepokojony wyraz twarzy i nie próbował tego ukryć.

Caroline uznała, że tym razem nie chodzi o nich.

- Czy przywieźli jakieś poranione zwierzę?

- Nie. - Lawrence zmarszczył brwi. - Tamtej nocy, gdy Katie się szczeniła, powiedziałaś, że bez żalu opuściłaś rozdanie Oscarów. Byłaś pewna, że wszystkie nagrody zdobędzie Jason Cole, prawda?

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Bo to on właśnie dzwonił.

- Jason Cole? Po co?

- Zamierza zrobić film dokumentalny o zaginionych dzieciach i myśli o włączeniu sprawy Holly. Przyjdzie tu podczas weekendu, by ze mną porozmawiać.

- Do Seattle?

- Do mojego domu. Jest teraz w Hongkongu, ale postanowił wpaść tu o dziewiątej rano w sobotę.

Caroline dostrzegła mroczne cienie w ciemnozielonych oczach Lawrence'a.

-Nie jesteś zadowolony? - zapytała.

- Byłem zaskoczony tym telefonem, a podczas naszej rozmowy zdarzały się zakłócenia, spowodowane łącznością satelitarną. Nie wiem, czy w pełni przekazałem mu, jak wdzięczny jestem za każdą pomoc.

- Z pewnością wszystko mu przekazałeś - zapewniła go łagodnie Caroline. - Jestem zaskoczona, że Jason Cole zamierza odbyć taką podróż, by odwiedzić ciebie.

- Odniosłem wrażenie, że chce się ze mną spotkać, by przekonać się, czy naprawdę zależy mi na odnalezieniu Holly. Jeśli uzna, że nie, chyba nie włączy jej sprawy do filmu.

Caroline poczuła nagły przyływ gniewu. Jak Jason Cole śmie tak niepokoić Lawrence'a. Co miałby on zrobić? Udowodniać, że cierpi? Przekonać znakomitego reżysera, że ta udręka warta jest jego uwagi i pomocy?

- Może...

- Co, Caroline? Uważasz, że powinienem mu odmówić? Nie mogę tego zrobić. Nie mogę odrzucić żadnej szansy jej odnalezienia.

200

- Wiem. - Wiedziała też, że jeśli Jason Cole nie jest całkiem nieczułym człowiekiem, wystarczy mu jedno spojrzenie na Lawrence'a, by zrozumiał, jak bardzo kocha córkę.

Jason przeklinał w duchu tę wielką odległość, która ich dzieliła. Jak gdyby odkrycie, iż Lawrence Elliott żyje, tak wstrząsnęło Ziemią, że odsunęła od telekomunikacyjnej satelity Trans-Pacific na tyle, by zakłóciło to łączność telefoniczną pomiędzy Hongkongiem a Stanami Zjednoczonymi.

Gdy rozmawiał z Beth Robinson, słyszał ją tak doskonale, jak gdyby oboje przebywali w tym samym pokoju. Ale wszystkie późniejsze rozmowy telefoniczne Jasona pełne były denerwujących pogłosów i przerw: i ta do domu sekretarki w Los Angeles z prośbą, by znalazła mu jakąś kwaterę koło Issaquah; i ta do Lawrence'a Elliotta, podczas której, wyprowadzony z równowagi zakłóceniami, zachowywał się bardziej szorstko, niż zamierzał; i ostatnia, najważniejsza, rozmowa z Holly.

Próbowali rozmawiać przez niemal dwadzieścia minut. Jason przekazał jej, że ma nadzieję przylecieć do Kodiaku w piątek wieczór, tak jak obiecywał od kilku tygodni. Ale gdy powiedział: "Chciałbym, żebyś w sobotę rano spotkała się w Seattle z pewnym mężczyzną", zapadła cisza, pełna jakichś szumów i syków.

Gdzie podziwiała się jego słowa? Czy odbijały się od satelity do satelity jak kule bilardowe? A może nawet aluzja do Lawrence'a Elliotta, "mężczyzny ze Seattle", spowodowała następny wstrząs, tak że jego słowa całkowicie ominęły satelity i wyruszyły w nieskończoną podróż ku odległej gwiazdzie?

- Holly?

- Tak? - usłyszał bez najmniejszego opóźnienia.

Jason wiedział o stosunkach Holly z jej ojcem tyle, ile powiedziała mu, zapoznając go pobieżnie ze swą przeszłością: "Mój ojciec zginął w Wietnamie". Kiedy nakłonił ją, by przedstawiła mu szczegóły tamtej ośnieżonej nocy, mówiła tylko o koszarze morderstwa. Jason wiedział, że Holly bardzo kochała matkę. A jeśli nienawidziła ojca? Jeśli miała



powód, by go nienawidzić? Może wiedziała, że on żyje, mieszka w Seattle, i żyła w strachu, że któregoś dnia zdoła ją odnaleźć?

Jason musiał to wiedzieć.

- Wolałabyś nie jechać do Seattle, Holly?

- Chciałabyś, żebym z tobą pojechała? Satelity sprawiły się jak należy i Jason usłyszał teraz ulgę. To nie odległe wspomnienie ojca sprawiło jej tak nagle ból. To on

201

"Och, Holly! Jak bardzo nie rozumiesz, co naprawdę do ciebie czuję" - pomyślał.

- Oczywiście, że tak. - Jego głos był tak delikatny, czuły, jakby wyznał jej miłość. - Oczywiście, że chcę.

26

Krwawienie rozpoczęło się wczesnym wieczorem, na dwadzieścia minut przed telefonem Nicka. Kiedy Nick zapytał, czy może wpaść, Raven wytlumaczyła się zmęczeniem. A potem, wesołym głosem dodała, że chce wypocząć przed wyjazdem do Santa Barbara. Uśmiech znikł, gdy tylko się pożegnali, a po odłożeniu słuchawki poczuła pierwszy skurcz.

Ból był przeszywający, jak gdyby ostre szpony drapieżnego ptaka wbijały się w jej łono, zdecydowane wyrwać nowe życie z jego azylu.

Sępy! Ścierwnik! Czarny ptak śmierci!

Nigdy więcej, Raven. Nigdy więcej.

Te odwieczne kpiny krążyły nad jej głową przez całą noc, jak sępy czekające na śmierć. Raven nie spała, nawet nie próbowała zasnąć. Musiała czuwać nad swym najdroższym dzieckiem, odganiając ze wszystkich sił drapieżniki.

Pomimo jej pełnego miłości czuwania, wciąż atakowały w nagłych, zapierających dech napadach bólu. Walczyła z nimi, zmuszając je, by odlatywały, a kiedy to robiły, ośmielała się mieć nadzieję...

Ale ostre, chciwe szpony powracały, zaciskając się bardziej bestialsko niż przedtem, wyśmiewając jej głupotę.

O dziesiątej rano w piątek, jak tylko doktor Sara Rockwell zakończyła badanie, podzieliła się swymi obserwacjami z Raven.

- Szyjka macicy jest zamknięta. Należy więc przypuszczać, że ciężę da się utrzymać. Skurcze i krwawienie mogą wskazywać, że zaczął się proces poronienia...

- Mogą? Ale nie to jest pewne?

- Nie. Krwawienie może pochodzić z odległego krańca łożyska, które znów przyklei się do macicy. Powinam wykonać nowy test ciążowy, by porównać go z poniedziałkowym. Jeśli poziom hormonów będzie wyższy niż przed pięcioma dniami, to wszystko rozwija się całkiem normalnie.

202

- A jeśli będzie niższy?

- Wtedy cięży nie da się utrzymać i w zależności od tego, co zdarzy się w ciągu następnych dni... czy zostaną wydalone tkanki... może trzeba będzie zalecić łyżeczowanie macicy.

- Jak szybko będziesz znać rezultaty badania krwi?

- Każę zrobić je od razu, żebym mogła przekazać ci wyniki po południu. - Sara Rockwell popatrzyła ze współczuciem na wymęczoną twarz Raven. - A teraz powinnaś odpoczywać.

- Dobrze.

Pełna powagi odpowiedź Raven zabrzmiała jak przysięga i w jej głosie było tyle nadziei, że Sara musiała jej wyjaśnić:

- Odpoczynek potrzebny jest tobie, Raven, nie dziecku. Nie ma żadnego naukowego dowodu na to, że odpoczynek może zapobiec poronieniu. Dlatego pamiętaj, że jeśli poronisz, to dlatego że ciąża nie przebiegała prawidłowo, a nie dlatego że zrobiłaś coś złego. Jak ci już mówiłam, poronienia w pierwszych trzech miesiącach często zdarzają się kobietom, które nigdy dotąd nie były w ciąży.

- Tak, wiem. - Raven wiedziała, że z tym dzieckiem wszystko jest w porządku. Czuła jego siłę, chęć życia, jego determinację, by przetrwać. Z dzieckiem wszystko w porządku. To tylko z nią jest coś nie tak, z jej macicą pełną blizn od kwasu i lodu.

- Poziom hormonów jest taki sam jak w poniedziałek.

- Taki sam? Co to znaczy?

- To znaczy, że nic nie wiemy, że nadal musimy obserwować przebieg ciąży. Tylko czas zna odpowiedź. Jak ci minęły ostatnie cztery godziny?

"Na walce - pomyślała Raven. - Na zajadlej, wścieklej walce pomiędzy pokrytą bliznami macicą, która próbowała wyrzucić z siebie dziecko, i dzieckiem, które tak mężnie walczyło o życie".

- Miałam znów krwawienie i skurcze.

- Wydalilaś jakieś tkanki?

- Chyba nie.

- Dobrze. Mam dyżur w ten weekend. Możesz się ze mną skontaktować o każdej porze. Gdybyś wydalila tkanki, gdyby gwałtownie zwiększyło się krwawienie albo zaszły inne niepokojące zmiany, masz do mnie od razu dzwonić.

- Zgoda. Chcesz powtórzyć badanie krwi?

- Zdecydowanie tak. Nawet gdyby krwawienie i skurcze ustąpiły całkowicie podczas weekendu, przyjdź tu w poniedziałek rano.

"Nie możemy jechać do Santa Barbara - mówiła w duchu Raven do małej istotki w swoim wnętrzu. - I nie mogę pozwolić, by twój tatuś i siostry dowiedzieli się, co się dzieje. Ale musimy się teraz z nimi zobaczyć, osobiście wytłumaczyć, że jesteśmy zbyt chorzy, aby z nimi jechać, choć bardzo byśmy chcieli..."

Raven złapała konwulsyjnie powietrze, gdy ostre szpony przesywającego bólu wbiły się głęboko w ciało, które było teraz krwawiącą, głęboką raną. Wydawało się, że szpony próbują ją powstrzymać przed jazdą do rezydencji w Bel Air, jak gdyby moce, które usiłowały wyrzucić nowe życie ze zniszczonej kwasem macicy, zdawały sobie sprawę, że gdyby pozwolić dziecku znaleźć się w pobliżu rodziny, blisko tego potężnego kręgu miłości, jego siła znacznie by wzrosła. Pojedziemy do Bel Air - obiecywała Raven sobie i dziecku, bezlitośnie szarpana szponami bólu.

Początkowo zdecydowała się na tę podróż ze względu na Samanthę, ponieważ chciała być inna niż jej matka, która nie dotrzymywała obietnic. Ale teraz w podróży tej chodziło już o dwa młode serduszka... Samanthę i jej nie narodzonego brata lub siostry.

Krótką jazdą z Brentwood do Bel Air była zaskakująco bezbolesna, ale jak tylko Raven skrzyła w obrzeżoną różami drogę, wiodącą do rezydencji Nicka, skurcze wróciły ze zdwojoną siłą.

Potrzebowała nieco czasu, by dojść do siebie, zacząć spokojnie oddychać i zmusić się do uśmiechu. Nick i Samantha stali na podjeździe, ładując bagaże do samochodu. Jak tylko ją zobaczyli, skierowali się w jej kierunku.

Raven wyłączyła stacyjkę, i gdy Nick otworzył przed nią drzwi samochodu, uśmiechnęła się z przymusem.

- Cześć - powiedziała wysiadając... i zachwiała się na nogach.

-Raven! -Nick natychmiast schwycił ją w objęcia. Jej śnieżnobiała skóra była zimna i wilgotna, a na napiętej, poszarzałej twarzy i w podkrążonych szafirowych oczach malowało się wyraźnie cierpienie.

- Co się stało? - Samantha była równie zaniepokojona, jak jej ojciec.

- Zatrucie pokarmowe - wykrztusiła Raven. Uśmiechnęła się bohatersko do Nicka, uwolniła się z jego objęć i zrobiła krok do tyłu, by oprzeć się o samochód. - Wszystko w porządku. - Wciąż uśmiechnięta powiedziała do Samanthę: -Nie bój się, nie zemdleję.

- Zatrucie pokarmowe? - zdziwił się Nick.

- Tak powiedział lekarz. Prawdopodobnie zaszkoziła mi kanapka, którą kupiłam sobie wczoraj w drodze do domu. To nic groźnego, ale... - Raven

204

popatrzyła czule na dziewczynkę, którą opuściła własna matka - nie mogę jechać do Santa Barbara.

- Czy jednak na pewno nic ci nie będzie? - pytała z troską Samantha, nie myśląc o nieudanym weekendzie.

- Z całą pewnością - odparła Raven. - Potrzeba tylko trochę czasu i dużo płynów, żebym wróciła do normy...

Ból znów wbił w nią ostre szpony. "Kłamiesz! - słyszała jego głos. - To nie zatrucie pokarmowe, to zatrucie kwasem i nigdy nie wrócisz do normy, bo nigdy nie byłaś normalna.

- Raven?

- W porządku, Nick. Od czasu do czasu mam skurcze żołądka. To minie.

- Chyba nie powinniśmy jechać do Santa Barbara - powiedziała nagle Samantha. - A ty zostań tutaj, żebyśmy się mogli tobą zająć.

- Dziękuję ci, Sam, za tak miłą propozycję. Ale nie mogę jej przyjąć. Po prostu położę się do łóżka i będę wyobrażała sobie, jak galopujesz po plaży w Santa Barbara.

- Raven, sądzę, że Samantha ma rację - stwierdził Nick. - Dlaczego nie miałabyś...

- Nie, Nick. Naprawdę. Nie mówmy już o tym.

Była to kategoryczna prośba. Raven chciała, by zaakceptował jej decyzję bez dalszych protestów, by nie zmuszał jej do trwonienia energii na sprzeczkę z nim. Była to prośba, którą Nick musiał spełnić, bo ją kochał, ponieważ nie zamierzał narzucać jej swojej woli... i ponieważ czuł do niej ogromną wdzięczność za to, co zrobiła dla jego córki.

- No, dobrze - ustąpił. - Wybierzemy się do Santa Barbara, a ty będziesz dochodzić do zdrowia we własnym domu, do którego zaraz cię zawiozę.

- Nie - zaprotestowała Raven. Samochód mógł być potrzebny jej i dziecku. Może zechcą uczcić zwycięstwo nad ptakami śmierci, jadąc o świcie na szczyt wzgórza i oglądając złoty wschód słońca. - Chciałabym mieć swój samochód. Kto wie, może obudzę się jutro rano całkiem zdrowa i pojedę do Santa Barbara.

Tym razem Nick nie mógł ulec życzeniom Raven. Po prostu było to zbyt niebezpieczne.

- Zawiozę cię do domu twoim samochodem i poproszę ojca, by jechał za nami. -Nie czekając na odpowiedź Raven, zwrócił się do Samanthę: - Możesz pobiec do dziadka i powiedzieć mu, że mamy ważną misję do spełnienia?

- Oczywiście. - Jednak zanim Samantha odeszła, uśmiechnęła się pokrzepiająco do Raven. - Mam nadzieję, że wkrótce poczujesz się lepiej.

Wbijala sobie paznokcie w dłonie, by zapomnieć o szponach bólu wbijających się w jej łono.

Nick widział, jak Raven cierpi, ale czuł się całkiem bezradny. Nie mógł nic zrobić poza dopilnowaniem, by Raven dotarła cała do domu, by nagły skurcz w jej wnętrzu nie spowodował tego, że utraci panowanie nad kierownicą, podczas jazdy zdradziecko krętymi ulicami Bel Air.

Wyczuwając, że nawet wypowiedzenie jednej sylaby byłoby dla niej wielkim wysiłkiem, Nick nic nie mówił, dopóki nie znaleźli się koło rynku w Brentwood, na San Vincente. Wtedy spytał:

- Masz coś do picia w domu, Raven? Jakies soki? Zupy?

- Tak. - Rzeczywiście miała jedzenie i zmuszała się, by jeść, ze względu na dziecko. Uśmiechnęła się niepewnie. -

Dziękuję.

- To ja ci dziękuję, Raven - odparł Nick. - Dla Sam, dla nas obojga bardzo wiele znaczyło, że przyjechałaś.

- Po prostu chciałam, żeby wiedziała, iż nie jestem taka jak jej matka...

"Nie jesteś taka jak jej matka? - dociekał ból, przesywając ją jeszcze ostrzej niż poprzednio. - Chcesz, żeby Samantha wiedziała, że jesteś dobrą matką? Następne kłamstwo! To, co się teraz w tobie dzieje, to nieodparty dowód, jaka z ciebie niegodna i niedbała matka".

- Och, Raven - wyszeptał Nick, obserwując, jak cierpienie zapiera jej dech w piersiach, odbiera jej kolory, i, jak się przez jeden okropny moment zdawało, nawet życie. - Co mogę dla ciebie zrobić? Musi być na to jakieś lekarstwo?

- Nie... dziękuję. Po prostu muszę się położyć.

Nick pragnął zapakować Raven do łóżka, postawić schłodzoną butelkę 7up na nocnym stoliku i czule całować jej spoconą, poszarzałą twarz, dopóki nie usnie. Ale Raven nie wpuściła go nawet za drzwi. Kiedy delikatnie ucałował jej wilgotne skronie, zadrżała, łzy napłynęły jej do oczu, i zanim zdążył poprosić, by zadzwoniła na ranczo, gdy się obudzi, pożegnała się z nim szeptem. ... i znikła.

Na małym lotnisku w Kodiaku nie było zbyt wielu ludzi, ale i tak Jason dopiero po kilku chwilach uświadomił sobie, że to ona. Oczywiście jego uwagę przyciągnęła natychmiast ta piękna kobieta ubrana w złociste szaty. Najbardziej złote były jej włosy - połyskliwa aureola loków, otaczających słiczną twarz... o niezwyklej oczach koloru akwamaryny. Od tygodni Jason wyobrażał sobie to spotkanie, czekał na nie z niecierpliwością, nie spotykana w jego nerwowym życiu. W listach, które pisała, w cichym głosie, który pokonywał tysiące kilometrów, by do niego dotrzeć, Jason wyczuwał kielkowanie szczęścia, nadziei, radości.

206

Czy również miłości? Czy Holly czuła to, co on? Czy wierzyła w magię? Czy równie rozpaczliwie jak on pragnęła, by znowu byli razem?

- Holly - powitał ją ciepłym głosem.

Nie mógł jej objąć. Miała zajęte ręce, w których trzymała torbę podróżną i worek na ubrania. Gdy Jason odebrał od niej bagaże i objął ją oczami, doznał cudownego oddziaływania magii. I natychmiast Holly odsunęła się, jak gdyby zwiększając dzielący ich dystans, chroniąc się przed nim. Sprawiała wrażenie, że pragnie uwierzyć w magię, a jednocześnie z nią walczy, bojąc się poddać w pełni jej wspianiałości.

Jason wiedział, że jest to kwestia zaufania. Życie udzieliło Holly wiele ponurych lekcji: wszyscy, których kochała, zostali jej odebrani. Była to kradzież brutalna, gwałtowna, która pozbawiła energii jej duszę. Jason rozumiał, dlaczego się waha, dlaczego musi zachować coś dla siebie, gdyby nawet ich miłość umarła. Jego serce niespokojnie waliło w oczekiwaniu chwili, kiedy Holly przekona się, że może mu zaufać.

- Wyglądasz wspaniale, Holly.

- W każdym razie bardziej współcześnie.

- Naprawdę pięknie - zapewnił Jason. Ładnie i zdrowo. Pewnie wpłynęło na to bardziej urozmaicone jedzenie. I magia miłości.

Gdy samolot uzupełniał paliwo przed lotem do Seattle i, kiedy lecieli do Szmaragdowego Miasta, Jason marzył, by spędzić cały weekend na czułym, ostrożnym przekonywaniu jej o swej miłości.

Ale Jason nie miał całego weekendu. Miał tylko kilka nadchodzących godzin. I wiedział, że w ciągu tych bezcennych godzin powinni przeżywać magię, a nie mówić o niej.

Poza tym, jak mógłby poświęcić te godziny na prośby, by mu zaufała? Jak mógł obiecać, że nigdy nie zawiedzie jej miłości, skoro ukrywał przed nią tajemnicę, która zmieni całe jej życie?

Była już prawie północ, kiedy Jason i Holly udali się do sąsiadujących ze sobą pokoi w "The Salish Lodge". Położony koło wodospadu Snoqualmie prowincjonalny hotel stał się sławny dzięki temu, że został uwieczniony w czołówce Twin Peaks. Zanim rozstali się, Jason powiedział Holly, że zobaczą się znowu o jedenastej, kiedy zakończy już spotkanie z mężczyzną, dla którego przybył do tego miasta.

Ten człowiek mieszkał zaledwie kilka kilometrów stąd. Gdy Holly i Jason życzyli sobie nawzajem dobrej nocy, szedł w nocnym mroku przez łąkę, wracając ze stajni do domu.

Lawrence nie miał dziś dyżuru, ale zadzwoniła do niego z prośbą o pomoc jedenastoletnia dziewczynka. Ponieważ przed rokiem uratował

207

jej psa, Becky zadzwoniła do niego, zanim jeszcze skontaktowała się z rodzicami. Bardziej niepokoiły ją obrażenia konia niż jej własne. Gdy jeździła konno w szkółce jeździeckiej, coś spłoszyło Summertime, która wpadła na ogrodzenie z drutu kolczastego i pokaleczyła sobie bok.

Lawrence i Caroline natychmiast udali się na miejsce wypadku. Koń miał mocno poszarpaną skórę, ale mięśnie, ścięgna, żyły i kości na szczęście pozostały nie naruszone. Największym zagrożeniem dla życia Summertime mogło być zakażenie krwi.

Lawrence mógłby oczyścić rany założyć szwy i zrobić klaczy zastrzyk antybiotyku w jej boksie w szkółce jeździeckiej, ale wolał przetransportować ją do własnej stajni. Będzie mógł ją tam lepiej obserwować, częściej odwiedzać.

Lawrence dał przestraszonej klaczy środek uspokajający, zanim ją przewiózł i przystąpił do dokładniejszego oczyszczania ran. Z pomocą Caroline skończył pracę o dziesiątej w nocy i zadzwonił do Becky, że wszystko jest w porządku.

Teraz, o północy, Lawrence wracał do domu, odwiedziwszy swoją pacjentkę po raz ostatni przed pójściem do łóżka. Caroline siedziała w kuchni, przy stole, czekając na niego. Leżała przed nią otwarta książka kucharska, ale dawno już przestudiowała przepis na drożdżówki z borówkami, które zamierzała upiec rano... o ile jeszcze tu będzie. Caroline westchnęła, gdy przysła jej do głowy ta niepokojąca myśl.

- Jak się czuje klacz? - zapytała wchodzącego Lawrence'a.

- Działanie środków uspokajających minęło, a mimo to zachowuje się bardzo dobrze.

Caroline obiecywała sobie, że zrobi to dzisiaj. Obiecywała? Wydawało się, że to niewłaściwe słowo na określenie czegoś, co budzi w niej taki lęk.

- A ty jak się czujesz?

- Jestem trochę zmęczony.

- I bardzo zaniepokojony - dorzuciła. Nadal siedziała, a on stał oparty o ladę, w dżinsowym stroju, taki pociągający... ale daleki. Samotny kowboj. Kowboj, który, być może, pragnął znowu być sam. - Sądzę, że coś niepokoi cię bardziej niż jutrzejsze spotkanie z Jasonem Coleem. Tak myślę, ponieważ zaczęło się to, zanim do ciebie zadzwonił.

- O czym mówisz?

- Ostatnio wydawałeś się roztrągniony, czymś zajęty i odniosłam wrażenie, że to ma coś wspólnego z nami. - Caroline spostrzegła od razu, że miała rację. Mroczne cienie przemknęły przez jego ciemnozielone oczy, zobaczyła w nich pożądanie i rozpacz pożegnania. - Zastanawiałam się, czy nie wolałbyś, żebyś odeszła?

208

- Och, Caroline - wyszeptał zdumiony. - Tak mi przykro, że się denerwowałaś.

- Nic mi się nie stało - stwierdziła ze spokojem. - Ale wolałabym znać prawdę..

- Prawdę.? - powtórzył łagodnie. - Nie myślałem o tym, byś odeszła. Chciałbym, żebyś została.

- Dobrze - odpowiedziała z nieśmiałą nadzieją. - Zostanę tak długo, jak zechcesz.

- Jako moja żona?

"Ty masz żonę" - przemknęła przez jej głowę ogłuszająca myśl. Claire ciągle była jego żoną. Tę prawdę Caroline już dawno zaakceptowała. Stanowiło to niezbędną osłonę przed ogromnym niebezpieczeństwem, na które naraziła swoje serce, kochając go.

Lawrence zauważył jej zmieszanie i stwierdził łagodnie:

- Może za wcześnie, bym cię o to prosił.

- Nie, nie jest za wcześnie. Po prostu nie mogę uwierzyć, że chcesz się ze mną ożenić.

- Nie możesz? A ja mogę, i to bardzo. - Jego kochający uśmiech zaczął ją uspokajać. - Byłem już kiedyś zakochany, Caroline. Wiem, co się wtedy czuje. Nie wierzyłem, że to się może znowu stać, nie wierzyłem, że to możliwe. Ale tak się stało.

- Jesteś we mnie zakochany?

- Jestem bardzo w tobie zakochany. - Te czułe słowa rozwiały resztę wątpliwości i jej szmaragdowe oczy zajaśniały promiennie. - Kocham cię, Caroline, i potrzebuję twojej miłości.

- Masz moją miłość. Po faz pierwszy w życiu jestem tak zakochana. - Z namysłem zmarszczyła brwi. - Jednak wydawałeś się taki zmartwiony. Czy to z powodu Holly i Claire? Bo masz wrażenie, że je zdradzasz?

- Przede wszystkim Holly - odparł z wielkim spokojem.

- Nigdy nie przestaniemy jej szukać. Przenigdy.

- Tak, ale...

Miękko, łagodnie wypowiedziała słowa, których nie mógł wymówić Lawrence:

- Chcesz, żebyśmy mieli dzieci?

- Jeśli ty tego chcesz.

Caroline wpatrywała się w mężczyznę, którego tak pokochała. Powiedział, że potrzebuje jej miłości. A ona może podjąć za niego decyzję, żeby nie wydawało mu się, że zdradza Holly i Claire.

- Chcę mieć dzieci. Zawsze ich pragnęłam. Wydawało mi się, że nigdy nie znajdę dla nich ojca. Ale teraz znalazłam. - Podeszła do niego, i kiedy znalazła się w czułym uścisku jego kochających ramion, spojrzała

209

nań i powiedziała: - To nie jest z twojej strony żadna zdrada. W gruncie rzeczy to kolejny dowód, jak bardzo je kochałeś. Pragnąc znowu się ożenić i mieć dzieci, udowadniasz, że tęsknisz za tymi latami, kiedy miałeś rodzinę... i że pomimo ogromnych cierpień jesteś gotów podjąć nową próbę.

Jego ciemnozielone oczy przepęłniło uczucie wdzięczności.

- Skąd w tobie taka mądrość?

- Ponieważ cię kocham - odpowiedziała Caroline. - Ponieważ kocham cię całym sercem.

27

Telefon zadzwonił piętnaście sekund wcześniej, nim odezwał się dzwonek u drzwi. Gadatliwa właścicielka kotki Mirtem chciała przekazać dobre wieści, że zgodnie z przewidywaniami Lawrence'a jego pacjentka czuje się o wiele lepiej.

Dlatego to Caroline otworzyła drzwi Jasonowi Coleowi. Widziała jego filmy i jego zdjęcia w "People" i "Entertainment Tonight". Wydawało się jej, że jest człowiekiem o majestatycznej posturze, ale mogło to wynikać tylko z odpowiedniego ustawienia przed obiektywem. A na podstawie tego, jak rozmawiał z Lawrence'em, uznała, że będzie

nieznośnie arogancki.

Tymczasem Jason Cole okazał się równie wysoki jak Lawrence, jeszcze przystojniej szy niż na fotosach, a w jego uśmiechu, którym przywitał Caroline, widać było obawę, nie arogancję.

- Jestem Jason Cole. Caroline zaśmiała się z ulgą.

- Wiem. Jestem Caroline Hawthorne. Proszę wejść. Poprowadziła go do salonu, a kiedy usłyszeli dochodzący z kuchni miły, spokojny głos Lawrence'a, wyjaśniła:

- Chociaż Lawrence nie ma w ten weekend dyżuru, ale i tak będą do niego stale dzwonić z wezwaniami.

- Nie ma nic przeciwko temu?

- Absolutnie. Jestem jednak pewna, że choć mówi tak spokojnym głosem, niepokoi się, iż zmusza pana do czekania.

- Nie spiesz mi się.

210

- To nie powinno długo potrwać. Miałby pan ochotę na kawę? A może spróbuje pan drożdżówek z borówkami?

- Proszę o kawę. Czarną.

Dzbanek z kawą, trzy kubki, cukier, mleko i drożdżówki stały już na niskim stoliku, wokół którego ustawiono krzesła. Caroline podała Jasonowi kawę, ale nie zaproponowała, by usiadł. Wyczuwała, że chciał się trochę rozejrzeć, pooglądać tytuły książek na półkach, podejść do okna i popatrzeć na łąkę.

Chyba służyłaby mu za przewodnika. Zanim jednak powiedziała choć słowo, Jason wziął do ręki egzemplarz Darów miłości, które leżały tam, gdzie je zostawiła, obok jej krzesła.

- Czy Lawrence czyta tę książkę?

- Nie. Ja ją czytam.

- I co pani sądzi?

- Że jest to najlepsza książka tej autorki. Zostało mi jeszcze ze trzydzieści stron i bardzo liczę na szczęśliwe zakończenie. - Caroline uśmiechnęła się i dodała: - Wolę, żeby tak było.

- Musiała się pani przywiązać do jej bohaterów.

- Naturalnie.

- Chce pani wiedzieć, czy kończy się szczęśliwie?

- Czytał pan tę książkę?

- Kilka razy. Zakupiłem prawa do ekranizacji i teraz razem z Lauren Sinclair pracujemy nad scenariuszem.

- Więc Lauren Sinclair naprawdę istnieje?

- A dlaczego miałoby być inaczej?

- Ponieważ w żadnej z książek nie ma jej fotografii ani życiorysu, pomyślałam, że Lauren Sinclair to zespół pisarzy

- Nie. To konkretna osoba.

- Jaka jest?

- A jak pani sądzi?

Caroline zastanowiła się przez chwilę:

- Chyba miała trudne życie. Jej książki są bardzo romantyczne i idealistyczne, ale wyczuwa się w nich jakąś gorycz, gdyby autorka, pisząc, jak świat powinien wyglądać, jak ludzie powinni się do siebie odnosić i jak hojna powinna być miłość, w głębi duszy wie, że nie zawsze tak się dzieje. Sądzę, że ją zraniono, ale nie stała się zgorzkniała, nie pozbawiło jej to złudzeń, postanowiła zachować nadzieję. - Caroline uśmiechnęła się. - Ale pan zaraz mi powie, że ona nie wkłada serca w swe książki, że nic ją nie obchodzą bohaterowie, których tworzy, i że dla pieniędzy gra na emocjach czytelników.

- Nie, nie zamierzam tego pani mówić - stwierdził ze spokojem Jason. - Bardzo dobrze wyobraziła pani sobie Lauren Sinclair.

211

- A to znaczy, że Dary miłości skończą się szczęśliwie.

- Zarówno książka, jak i film - zapewnił Jason. Po krótkiej przerwie spytał: - Nie zaproponowała pani Lawrence'owi, żeby przeczytał tę książkę?

To pytanie zaskoczyło Caroline. Jason Cole wiedział wszystko o przejściach Lawrence'a w Wietnamie, i o rym, co stracił, będąc na wojnie. A teraz zastanawiał się, czy nie proponowała Lawrence'owi, by przeczytał wietnamski romans ze szczęśliwym zakończeniem?

W głosie Jasona nie było okrucieństwa, gdy zadawał to pytanie. Przeciwnie, wydawał się bardzo łagodny, tak łagodny, tak zatroskany, że Caroline wyznała:

- Myślałam o tym. Zastanawiałam się, czy nie przyniesie mu to ulgi.

Jason nie zdążył odpowiedzieć, bo właśnie pojawił się Lawrence, witając i przepaszając Jasona.

To, co działo się przez następne czterdzieści pięć minut, zbiło Caroline z tropu. Jason nie pytał o zabójstwa ani o wietnamską niewolę Lawrence'a, ani nawet o lata spędzone na poszukiwaniu Holly. Zamiast tego pragnął poznać okres, który zakończył się dwadzieścia pięć lat temu, pierwsze pięć lat życia Holly, pięć wspaniałych lat, które ojciec i córka spędzili razem.

Zanim Lawrence poznał Caroline, nie mówił z nikim o tych latach, chociaż to ich wspomnienie trzymało go przy życiu w Wietnamie i zmuszało go do poszukiwania Holly. Zresztą poza Caroline nikt go nawet nie pytał o ten okres. Dla mediów te lata, w porównaniu z dramatem wojny oraz tragedią, która czekała go po powrocie, były po prostu nudne, pozbawione sensacji.

Nie interesowały prasy, ale wciąż były czymś wspaniałym dla Lawrencea.

Jason pragnął dowiedzieć się wszystkiego o tych latach, a Lawrence nie pytał go o powody. Był wdzięczny, że Jason chce usłyszeć o szczęściu, a nie tylko o rozpaczach. A kiedy jasne się stało, że zainteresowanie tym szczęśliwym okresem jest czymś więcej niż tylko uprzejmym wstępem do zarzucenia gospodarza pytaniami o nie zamknięty rozdział żaloby, Lawrence powiedział, że ma także zdjęcia.

Caroline wstrzymała oddech, oczekując, iż Jason odrzuci propozycję, może nawet uda, że jej nie słyszał. Ale on natychmiast zgodził się obejrzeć bezcenne rodzinne fotografie, które jak dotąd Lawrence tylko jej pokazywał.

Przyglądając się, jak Jason studiuje album, Carolina doszła do wniosku, że nie udaje on zainteresowania. Wydawał się wręcz bardzo zainteresowany... A gdy wpatrywał się w zdjęcie małej i promiennie szczęśliwej

212

Holly, na jego przystojnej twarzy pojawił się przelotnie wyraz ogromnej czułości.

Gdy zapytał o pięć brakujących fotografii, Lawrence mu je opisał: zdjęcie ślubne, jedyne, jakie zostało zrobione; portret matki, ojca i córki, gdy Holly była niemowlęciem; podobizna Lawrencea i Claire, uśmiechających się z miłością do obiektywu aparatu, trzymanego przez ich dziecko; fotografię Holly i Claire, lukrujących urodzinowe ciasto dla Lawrencea; i w końcu tę, na której Lawrence trzymał na rękach swoją złotowłosą córeczkę, dotykającą aksamitnie miękkich chrap kłaczki rasy palomino. Opiszawszy brakujące fotografie, Lawrence wyznał cicho, że wierzy, iż Holly zabrała je ze sobą, bo symbolizowały dla niej szczęśliwe dzieciństwo.

Były dwa albumy. Jeden z nich zawierał zdjęcia rodziny Elliottów, a drugi poświęcono rodzinie, która powstała po rzekomej śmierci Lawrencea w Wietnamie. Caroline oczekiwała, że Jason zainteresuje się też drugim albumem, choćby po to, by sprawdzić, czy Lawrence zniszczył podobizny Dereka. Wiedziała, że tego nie zrobił, ponieważ świadczyłoby to jedynie o jego bezsilnej wściekłości. Nie usunęłoby to z jego pamięci obrazu tego psychopaty.

Ale Jason nie chciał nawet spojrzeć na drugi album. I nie zamierzał zadawać zwykłych pytań o zabójstwa. Wydawało się, że otrzymał odpowiedzi na wszystkie pytania - poza jednym.

Jason podszedł do tej sprawy z punktu widzenia lat dziewięćdziesiątych, zrywającego z dawną mentalnością, zgodnie z którą Holly potraktowana została jak mścicielka, a nie ofiara.

- Pojawiły się wówczas domysły, że Derek mógł molestować seksualnie Holly. Na podstawie dostępnych mi materiałów odniosłem wrażenie, iż uważa to pan za nieprawdopodobne.

Lawrence potrzebował nieco czasu, by od wspaniałych wspomnień, które przywołał album, powrócić do ponurej rzeczywistości.

- Claire była molestowana przez swego ojczyca - odpowiedział w końcu. - Wiem, że czasem ten cykl się powtarza, ale jestem całkowicie pewny, że Claire nigdy by nie dopuściła, by to przydarzyło się naszej córce.

Caroline miała wrażenie, że widzi ulgę w ciemnobłękitnych oczach Jasona.

- To na razie wszystko, czego potrzebowałem. - Jason wstał i dorzucił: - Jeśli coś jeszcze przyjdzie mi do głowy, czy będzie pan w domu przez jakiś czas?

- Będziemy tu przez cały dzień - zapewnił go Lawrence.

- Zamierza pan włączyć sprawę Holly do swego filmu? - zapytała Caroline, odzywając się po raz pierwszy w ciągu czterdziestu pięciu minut rozmowy.

- Chyba tak - odpowiedział Jason. - Zadzwoń za kilka tygodni, żeby udzielić konkretnej odpowiedzi.

"On kłamie - pomyślała Caroline, napotykając spojrzenie jego nieprzeniknionych błękitnych oczu. - Kłamie, niech go diabli. Ale dlaczego?"

Gdy Jason wyszedł, Lawrence przytulił Caroline.

- Co o tym myślisz? - zapytał. - Ale tak szczerze?

- Jason Cole bardzo mi się spodobał... a potem go znenawidziłam.

- Sądzisz, że nie zamierza włączyć sprawy Holly do swego filmu?

-Aty?

- Też tak myślę. - Lawrence wpatrywał się w nią z ogromną czułością. Drżała cała z gniewu... z oburzenia... z jego powodu. Walcząc ze swym własnym rozczarowaniem, zapewnił ją: - Wszystko w porządku, Caroline. Nie możemy go zmusić, by uczynił coś, czego nie chce. I tyle jest innych zagubionych dzieci, tyłu rozpaczliwie szukających je rodziców.

"Ale to nie jest w porządku - pomyślała Caroline. - Więcej, to nie ma żadnego sensu. Czyżby Jason Cole chciał spotkać się z Lawrenceem tylko po to, by przekonać się o jego miłości do córki?"

Jak te sławne ciemnobłękitne oczy mogły być tak ślepe? Dlaczego nagrodzony Oscarami aktor nie potrafił ukryć faktu, że nie mówi prawdy?

Może Jason Cole nie przywykł do kłamstw w prawdziwym życiu? A może dlatego że Lawrence był z nim tak szczery, Jason czuł się niepewnie, miał poczucie winy, że odpowiedział mu kłamstwem?

Caroline westchnęła.

- Po prostu to nie ma sensu.

- Nie, nie ma. Ale już po wszystkim. - Lawrence mówił ze spokojną stanowczością człowieka, który wie, jak nieodwracalne szkody mogą powstać, jeśli pozwoli się, by sprawy, których nie można zmienić, dręczyły bezlitośnie serce. - Muszę zająć się do Summertime.

- Dobrze.

Caroline wiedziała, że Lawrence zamierza obejrzeć rany, zmienić opatrunki i zrobić klaczy kolejny zastrzyk z antybiotyku. Nie potrzebował do tego jej pomocy.

Caroline wolała zostać w domu na wypadek, gdyby Jason Cole zadzwonił, bo coś w głębi duszy uparcie jej mówiło, że to jeszcze nie koniec.

214

Było coś jeszcze. Musiało być. Inny rozdział, inne... bardziej szczęśliwe... zakończenie.

28

Dzień dobry - powitała ją Jason. Jakże przypominała śliczną, małą dziewczynkę, której zdjęcia niedawno oglądała! Tylko włosy miała trochę dłuższe niż wtedy, a loki, które otaczały jej twarz, były odrobinę bardziej miękkie i mniej skręcone, ale upływ czasu nie przyćmił ich złotego blasku.

A jej oczy? Roziskrzona niewinność, która śmiała się wesoło do kamery, znikła na zawsze. Jednak akwamarynowe oczy, które go witały, błyszczały teraz mocno, promieniowały odwagą.

Jason musiał porozmawiać z nią w cztery oczy.

- Czy mogę wejść? - zapytał.

- Oczywiście.

Jason wszedł do pokoju Holly, stanowiącego dokładną kopię jego własnego, i zobaczył, że najwyraźniej go oczekiwała. Nikt tu jeszcze nie sprzątał, ale łóżko, w którym spała, było porządnie zaścielone.

Sypialnię z widokiem na wodospad wyposażono w okrągły, dębowy stół i krzesła. Holly przed chwilą musiała tam siedzieć, ponieważ jedno z krzesel było odsunięte, a na stole leżał otwarty kołonołotnik i jej pióra.

- Pisałaś? - Jason wiedział dokładnie o jej postępach w pracy nad książką. Czytał każde słowo wkrótce po napisaniu i bardzo wciągnęła go jej opowieść. Ogarnął go smutek na myśl o tym, że to dzisiejsze postępy jej bohaterów, a nie jego widok, wywołały uroczy blask jej pięknych oczu.

- Nie - odparła. - Po prostu siedziałam sobie tutaj, obserwowałam niebo, chmury, las i wodospad.

- I pograżyłaś się w radosnych myślach.

-Tak. -Napotkała jego spojrzenie i nie spuszczać wzroku, dodała bez słów: "Myślałam o tobie".

Była to chwila, o której Jason marzył: kiedy Holly naprawdę uwierzy w magię ich miłości i zaufa jej. Chwila cudowna... i ulotna. Niczym kruchy zamek z piasku bezlitośnie unicestwiany przez olbrzymią falę mogła zniknąć szybko i bez śladu. Wiedział, że groźne fale były stale obecne w sercu Holly. Mogły wzbierać bez ostrzeżenia, w nagłym przypływie strachu, który

215

przypominał jej, jak niebezpiecznie jest kochać, jak niepewne bywa szczęście, którego nie stworzyła swoim piórem.

Jason tak bardzo pragnął uchwycić tę wspaniałą chwilę, zatrzymać ją i miłość, dopóki fale strachu nie uspokoją się na zawsze. Było to pragnienie potężne, ale samolubne.

Odwrocił wzrok od jej pięknej twarzy i zapatrzył się na wodospad, tworzący pod nimi grzmiącą kaskadę.

- Jest coś, o co chciałbym cię zapytać - zaczął spokojnie, zwrócony twarzą do huczącej kipieli, zastanawiając się, jak zareaguje na to kobieta, którą tak pokochał. Spojrzał na nią i przekonał się, że znowu straciła pewność siebie. - Coś, co mnie martwi.

-Tak?

- Kiedy opowiedziałas mi, co ci się przydarzyło, o tamtej śnieżnej nocy, kiedy zabito twoich bliskich, wspomniałaś, że twój ojciec zginął w Wietnamie. - Jason odczekał, aż Holly potwierdziła to lekkim skinieniem roztańczonych, złotych loków. - Ale nigdy nie mówiłaś nic o nim. Pamiętasz go?

Jason zamierzał upewnić się, że zarówno ojciec, jak i córka pragną spotkania. Spotkanie z Lawrenceem tak przekonało go o jego wielkiej miłości do córki, że zamierzał nie wypytywać już Holly o jej uczucia względem ojca. Nie było żadnych emocjonalnych sekretów, niewypowiedzianych urazów, molestowania. Świadczyły o tym wspaniałe radosne fotografie.

"A może jednak"? - pomyślał, gdy Holly w odpowiedzi na jego pytanie gwałtownie się odwróciła. Podeszła do toaletki, wyjęła ze swej torebki kopertę, zawahała się przez chwilę. Spojrzała na Jasona.

W jej oczach znowu była odwaga, znowu mu ufała. Jemu, nie magii, tylko jemu: dobremu i łagodnemu człowiekowi, z którym podzieliła się prawdą o swojej przeszłości.

- Kiedy wyjechałaś ostatnim razem, uświadomiłam sobie, że ci tego nie pokazałam. To są zdjęcia mojej rodziny.

- Chciałbym je zobaczyć - powiedział Jason.

Kiedy oboje usiedli, Holly wyjęła bezcenne fotografie z koperty. Było ich siedem: pięć opisanych przez Lawrence'a i dwie inne, kiedy uznano go już za zmarłego, przedstawiające siostrzyczkę i braciszka Holly.

- Czy to są jedyne zdjęcia, jakie masz?

- Tak. Mieliśmy dwa albumy, ale... - Holly zmarszczyła czoło. - Naprawdę nie wiem, dlaczego ich nie wzięłam.

"Ponieważ - pomyślał Jason -jakimś cudem wiedziałaś, że on żyje".

Z wielką miłością, podobnie jak jej ojciec, Holly zaczęła opowiadać mu o fotografiach.

216

- To ich zdjęcie ślubne. Mieli tylko jedno, zrobione przez żonę sędziego pokoju. Byli młodzi, ale bardzo zakochani. Miłość wypisana była na twarzach Lawrence'a i Claire. Jasonowi serce się ścisnęło, gdy zobaczył, na fotografii suknie

ślubną Claire, tę samą, którą włożyła Holly, jadąc do Los Angeles, by ocalić życie swej wymyślonej bohaterce.

Teraz czuła się o wiele lepiej. Wyzwoliła się z kokonu swej przeszłości, a on znów miał zakłócić jej spokój ducha.

- Wtedy pierwszy raz głaskałam pysk konia. Miałam tylko trzy lata i pewnie rodzice trochę się bali, że koń może mnie ugryźć. - Miłość przepełniła jej głos, gdy dotykała szczipłymi palcami podobizny Lawrence'a, trzymającego na rękach córkę. - Ale nie było powodu do niepokoju. Mój ojciec doskonale porozumiewał się ze zwierzętami, zarówno dzikimi, jak i oswojonymi. Był wobec nich taki łagodny, a one mu ufały.

- Mam wrażenie, że bardzo go kochałaś.

- O, tak. Kiedy podrosłam, uświadomiłam sobie, jaki był niezwykły. Miał tylko siedemnaście lat, gdy się ożenił, a osiemnaście, kiedy się urodziłam. Ale czuł się tak bardzo odpowiedzialny za mnie i matkę. Pracował w kilku miejscach i jeszcze się uczył, a jednak, gdy wspominam tamte lata, wydaje mi się, że stale był przy mnie. Zawsze miał dla mnie czas, jakbym była dla niego najważniejsza.

- Bo byłaś - powiedział spokojnie Jason.

- W każdym razie tak się czułam.

- Jest coś, co muszę ci powiedzieć, Holly. Coś, czego nie wiesz.

Ściągnęła brwi, słysząc w jego głosie nagłą powagę. Jason zorientował się, że podobnie jak Lawrence, chciała pobyc trochę dłużej z cudownymi wspomnieniami przeszłości. Czekał więc cierpliwie, by powróciła do teraźniejszości.

Kiedy znowu skupiła na nim uwagę, a jej oczy stały się czyste i ufne, powiedział:

- Kiedy powiedziałaś, co ci się przytrafiło, obudziłaś tym we mnie jakieś odległe i niewyraźne wspomnienie. Nie wiedziałem, o co chodzi, ale ponieważ czułem się zaniepokojony, poprosiłem kogoś, by się tym zajął. Twój ojciec nie zginął w Wietnamie, Holly. Derek go postrzelił i porzucił, uznając za zmarłego, ale złapano go i wzięto do niewoli. Uciekł z niej osiem miesięcy po twoim zniknięciu.

- Nie - wyszeptała. Była to cicha prośba pełna rozpacz, lękliwy protest przeciwko prawdzie - nie radosnej prawdzie, że jej ojciec przeżył, lecz druzgoczącej, że o tym nie wiedziała i kryjąc się przed światem, mimo woli kryła się też przed nim. - Próbował mnie odszukać, prawda?

- Nigdy nie przestał cię szukać, Holly - powiedział miękko. - Nigdy nie przestał wierzyć, że pewnego dnia cię odnajdzie.

217

Zalały ją emocje, topiąc myśli, zapierając dech w piersiach, napełniając serce żalem - i spłynęły łzami z jej zrozpaczonych oczu. Mogłaby umrzeć, pogrążona w śmiertocnym smutku, ale nieoczekiwanie jej myśli wynurzyły się na powierzchnię, czepiając się ostatnich słów Jasona jak deski ratunkowej na miotanym sztormem morzu.

"Nigdy nie przestał cię szukać".

- On żyje - wyszeptała. - Gdzie on jest, Jasonie?

- Mieszka kilka kilometrów stąd.

- To z nim widziałeś się dziś rano?

- Tak.

- Więc on wie - powiedziała, podnosząc się i dodała z niepokojem: - I teraz na mnie czeka.

- Nie - zaprzeczył Jason. - Na pewno nie wie, że tu jesteś, ani nawet, że cię znam.

- Nie powiedziałaś mu?

- Nie. Najpierw musiałem się upewnić, że chcesz go zobaczyć.

- Dlaczego miałabym nie chcieć się z nim zobaczyć?

- Mniejsza o to. Może więc zawiozę cię tam teraz?

Podczas krótkiej jazdy Jason przekazał jej wszystko, co wiedział o Lawrence, a także o Caroline - że ona i Lawrence są najwidoczniej bardzo do siebie przywiązani.

Gdy odpowiadała na jej pytania o ojca, był boleśnie świadom tego, co ją obecnie dręczyło.

Dlaczego nie zdradził jej prawdziwego powodu ich wycieczki do Seattle?

I czemu nie powiedział Lawrenceowi, że jego zaginiona córka znajduje się tak blisko?

A co by było, gdyby nie pamiętała swojego ojca? Albo gdyby najbardziej utkwilo jej w pamięci to, że stale był nieobecny, ponieważ pracował ciężko, by zapewnić jej dostatnie życie?

I najbardziej niepokojące pytanie: a gdyby nie wspominała go z tak gorącą, czystą miłością?

Jason wyczuwał nie wypowiedziane, dręczące Holly pytania. Odniósł wrażenie, że się od niego odsuwa, staje się znowu niepewna, bojaźliwa, zaniepokojona.

Dręczące pytania i odpowiedzi nie znikły, wywołując zmieszanie na jej ślicznej twarzy i tworząc dystans między nimi.

Ale gdy jechali do Issaquah, myśli i uczucia Holly skupiały się przede wszystkim na ojcu, którego miała zaraz zobaczyć.

218

Kiedy dotarli do celu, zwróciła się do Jasona i na chwilę cień nieufności zniknął z jej pięknych oczu.

- Dziękuję, Jasonie - wyszeptała. - Dziękuję, że go znalazłeś.

W głębi duszy Caroline miała nadzieję na inne, lepsze zakończenie wizyty Jasona. Była to nadzieja, nie wiara, bo kiedy zobaczyła jego samochód zatrzymujący się na podjeździe, serce zabiło jej mocniej. A kiedy ujrzała, jak otwiera drzwi przed młodą kobietą z miękkimi, złotymi lokami, walące serce wzbilo się pod niebiosa, a oczy napełniły się gorącymi łzami.



Otwierając drzwi, by wpuścić tę młodą, upragnioną kobietę, Caroline zdołała tylko wyszeptać drżącym głosem:

-Holly?

- Caroline? - spytała miękko Holly. Szczera radość w błyszczących oczach Caroline do głębi ją poruszyła.

Tymczasem Caroline odzyskała już zdolność mówienia.

- Tak, jestem Caroline i bardzo kocham twojego ojca, a za tę chwilę oddałabym życie... ze względu na niego. - Potem, uśmiechając się poprzez łzy, wprowadziła ją do salonu, otworzyła drzwi do ogrodu i wskazała na budynek stojący po drugiej stronie usianej barwnymi kwiatami łąki. - On jest tam, Holly, w stajni. Może pójdziesz do niego?

Dwadzieścia siedem lat temu była inna stajnia, również wypełniona słodką wonią świeżo skoszonego siana. Zapach ten przeniósł Holly w minione czasy, zanim jeszcze zobaczyła klaczkę rasy palomino. W tamtej stajni też był złocisty koń i jej ukochany ojciec.

I wtedy Holly go zobaczyła. Był to ten sam ojciec z owego odległego dnia, wysoki, silny, szepczący łagodnie uspokajające słowa w odpowiedzi na rżenie konia. Stał tyłem do Holly, pochylając ciemną głowę Summertime.

I Holly powiedziała to samo, co wówczas, gdy jako trzyletnie dziecko dotknęła aksamitnie miękkich chrap palomino:

- Ma taki miękki nos.

Lawrence zeszytniał na dźwięk tych słów. Nic dziwnego, że usłyszał tutaj jej głos, bo myślał o niej i o tamtym dniu.

Holly zabrała ze sobą fotografię, ale to nie miało znaczenia. Nie potrzebował jej. Obraz złotowłosej dziewczynki i złocistego konia na zawsze miał wryty w mózgu.

Nic dziwnego, że słyszał znowu te same słowa, które Holly wypowiedziała tamtego dnia. Ale zadziwiający był sam głos: w melodyjnym wysokim sopranie małej dziewczynki dawało się wyczuć miękkie brzmienie dojrzałej kobiety.

Dziewczynka i kobieta, przeszłość i teraźniejszość.

219

Lawrence obrócił się gwałtownie.

I gdy jego ciemnozielone oczy wypełniła niezmierna radość, złotowłosa córka zawołała jak wówczas. -Tato!

29

Spacerowali po ukwieconej łące i siedzieli na trawie przy strumieniu. Promienie słońca pieściły wodę, nakrapiając ją złotymi refleksami.

Tam, pośród woni dzikich kwiatów, na brzegu szafirowej rzeki, napelnionej złotem, Holly i Lawrence opowiadali sobie nawzajem to, czym mogli się podzielić, ukrywając skrzętnie przed sobą inne prawdy, które mogły tylko sprawić im wielkie cierpienie.

Lawrence powiedział, że został weterynarzem, tak jak to sobie wymarzyli, że zakochał się w Caroline. Ale nie wspomniał ani słowem o latach niewoli spędzonej w małej klatce w dżungli. Ani o niekończących się tygodniach i miesiącach, które spędzał na wędrówkach po ulicach obcych miast w poszukiwaniu Holly. I gdy jego serce zaczynało bić mocniej z nadzieją, ilekroć dostrzegł błysk złotych włosów.

A Holly opowiedziała ojcu, że została pisarką, mieszka na Alasce, że była jednym z ochotników, którzy pojechali do Prince William Sound, by pomagać oblepionym ropą naftową zwierzętom morskim po katastrofie "Val-deza". Nie wspominała jednak Lawrenceowi o tym, że wszystkie te lata przetrwała jedynie dzięki wymyślonym przez siebie światom, a jej serce podtrzymywały tylko historie o miłości, które pisała.

I nie opowiedziała mu o tej nocy, kiedy Derek zamordował ich marzenia. Dzięki Jasonowi Holly wypowiedziała już na głos te przerażające słowa, przepędziła groźne upiory. Nie czuła potrzeby, by dzielić się swym bólem z ojcem. Żeby podtrzymać go na duchu, powiedziała tylko, że wszystko przebiegło wówczas bardzo szybko.

Było to kłamstwo, a jednak nie miała wrażenia, że kłamie. Może ów koszmar, który stale widziała w myślach jak na zwolnionym filmie, rzeczywiście nie trwał tak długo? Całkiem możliwe. Możliwe też, pomyślała, widząc ulgę swego ojca, że istnieją takie kłamstwa miłości, które są równie ważne, jak jej cudowne obietnice.

Minęło wiele godzin. Dla Holly i Lawrence'a czas odmierzany był miłością, gojeniem ran, nadzieją. I dopiero kiedy uznali, że pora wracać do domu,

220

zobaczyli, co stało się z rzeką płynącą u ich stóp. Lśniące, jaskrawe złoto poranka dawno już znikło, ustępując bogatym barwom późnego popołudnia.

Gdy zbliżyli się do domu, Caroline wyszła im na spotkanie na łąkę. Jej włosy lśniły miedzią w słońcu popołudnia, a szmaragdowe oczy promieniały radością z ich szczęścia. Jednak to, jak pochylała oświetloną słońcem kasztanową głowę, świadczyło o niepewności.

- Słyszałam, że się pobieracie - powitała ją ciepło Holly. - Cieszę się.

- Dziękuję - odpowiedziała Caroline z widoczną ulgą. Potem, odrywając wzrok od uśmiechniętych oczu Holly, spojrzała na ukochanego mężczyznę. - Ja też się cieszę.

- I ja - zapewnił Lawrence, swoją czułością szybko rozpraszając resztki niepewności.

Ponieważ rozmawiali o miłości, Caroline nawiązała do tego tematu.

- Jason został, dopóki nie zobaczyliśmy, że wyszliście ze stajni i idziecie w kierunku strumienia. Dopóki nie przekonał się, że wszystko w porządku. Potem odjechał, by wrócić do Los Angeles.

- Rozumiem - wyszeptała Holly.

- Zostawił numery telefonów. - Caroline wyciągnęła z kieszeni kartkę i podała ją Holly. - Ten pierwszy to telefon do domu, a drugi to jego prywatny numer w biurze. Powiedział, że będzie w domu przez cały weekend, a w biurze w

poniedziałek do trzeciej, potem musi jechać do Dallas.

Gdy Holly wzięła kartkę, Caroline zauważyła w jej oczach niepokój. Podobny cień widziała w oczach Jasona, zanim odjechał.

- Wydaje mi się, że Jason bardzo chciał, żebyś zadzwoniła, Holly. O tej porze powinien już być w Los Angeles.

- Możesz stąd spokojnie dzwonić - powiedział Lawrence. - A tymczasem my z Caroliną zajrzemy do Summertime.

- Dziękuję - wzruszyła ramionami Holly - ale nie będę teraz dzwonić.

- Wcale nie zamierza do niego telefonować - powiedziała Caroline kilka godzin później. Był środek nocy. Leżeli z Lawrenceem w łóżku, wciąż omawiając miniony dzień.

Holly była w pokoju, który czekał na nią od tylu lat. Też prawdopodobnie nie śpi. I prawdopodobnie też myśli o minionym dniu... i wpatruje się ze zdenerwowaniem w telefon, który Caroline ustawiła na nocnym stoliku.

- A powinna z nim porozmawiać, prawda? - spytał cicho Lawrence. - Jest w nim zakochana.

Caroline oparła się na łokciu i spojrzała na niego z zaskoczeniem.

221

- Jaki z ciebie wszystko rozumiejący ojciec. Przecież nawet nie widziałeś ich razem.

- Nie, ale gdy tylko ktoś wymienia jego imię, a często to czynimy, natychmiast zmienia się wyraz jej twarzy. Ona go kocha, ale coś jest nie w porządku.

- Tak - przyznała Caroline. - I on też ją kocha. Miał taki dziwny wyraz twarzy, kiedy oglądaliście album ze zdjęciami, a wszystko stało się oczywiste, gdy z nią wrócił. Jason bardzo kocha Holly, ale wie, że coś jest nie w porządku. I pewnie boi się, iż nie da się tego naprawić, że Holly nigdy nie zadzwoni.

- Ale ty nie zamierzasz na to pozwolić.

-Aty?

- Ja też nie pozwolę.

Dochodziło południe i choć prawie nie zmrużyli oka, wszyscy byli na nogach od wielu godzin. Na śniadanie zjedli wczorajsze, ale wciąż wyśmienite drożdżówki i zaczęli przygotowywać lunch, gdy na milczący sygnał Lawrencea Caroline nagle zniknęła.

Po chwili wróciła, uśmiechając się tajemniczo.

- Caroline i ja podjęliśmy ważną decyzję - wyjaśnił Lawrence Holly.

- Bieriecie dzisiaj ślub?

- Nie - odparł Lawrence. - To coś ważniejszego, a przynajmniej bardziej pilnego. Caroline właśnie zarezerwowała ci miejsce na lot do Los Angeles.

- Ale ja dopiero tu przyjechałam, dopiero co cię odnalazłam!

- Teraz już zawsze będziemy, Holly. Ale Jason wyjeżdża jutro do Dallas, a Caroline i ja myślimy, że powinnaś przedtem porozmawiać z nim w cztery oczy.

Po długiej chwili namysłu, Holly przytaknęła.

- Tak, muszę z nim porozmawiać. I lepiej to zrobić, zanim znowu zajmie się filmem.

- A więc za godzinę jedziemy na lotnisko.

Holly skinęła głową, a potem zmarszczyła brwi znowu zaniepokojona.

- Nie wiem, gdzie mieszka. Lawrence uśmiechnął się.

- Ale masz numer jego telefonu. Możesz do niego zadzwonić i spytać albo zrobić to któreś z nas.

Holly potrząsnęła lekko złotą głową. Jeśli miała usłyszeć uczciwe i nie przygotowane z góry odpowiedzi na dręczące pytania, to jej pojawienie się na progu jego domu musiało być niespodzianką.

222

Ale jak to zrobić? Nagle Holly doznała olśnienia.

- Zadzwonię do Raven.

- Do Raven?

- Jest doradcą prawnym w Los Angeles. Negocjowała najważniejsze umowy Jasona. To ona sporządziła dla mnie kontrakt na napisanie scenariusza do Darów miłości. Nigdy jej nie spotkałam, ale zawsze była taka miła, taka chętna do pomocy. Powiedziała mi kiedyś, że żaden z jej telefonów, nawet domowy, nie jest zastrzeżony.

Zażarta walka pomiędzy jej dziełnym, nie narodzonym dzieckiem i jej pokrytą bliznami, wrogo nastawioną macicą dobiegła końca... i bezcenne nowe życie przegrało. Wszystko skończyło się godzinę temu, wraz z ostatnim, przeszywającym dźwiękiem bólu i palącą eksplozją tkanek i krwi. Potem zapadła zapierająca dech w piersiach cisza, jaka następuje po niszczącym sztormie, upiornie spokojne milczenie osłaniające śmierć.

Jej dziecko umarło. Raven żałowała, że nie umarła wraz z nim, bo głos w jej wnętrzu wciąż żył. Jediną oznaką życia był ten lodowaty szept, ten nieubłagany syk. Dziecko kwasu zabiło dziecko miłości. Ptak śmierci zamordował męzną nadzieję życia.

Raven tak bardzo starała się pomóc małej istotce, która walczyła o przetrwanie w jej wnętrzu. Uzbroiła ją wszystko, co miała do zaoferowania: wszystkie nadzieje, całą swą miłość, modlitwy. I nawet złożyła obietnicę, której zamierzała dotrzymać, bez względu na to, ile to ją miało kosztować: będziesz ze swoim tatą, moje małe kochanie, z tatą i siostrami, i dziadkami.

Raven bez pytania wiedziała, że Nick przyjmie swoje dziecko, i w ciągu trzech bezsennych nocy bólu, gdy musiała pogodzić się z prawdą, że nie była stworzona na matkę, zawarła umowę ze swym sercem. Jeśli nawet będzie matką

tylko przez dziewięć miesięcy ciąży, jej to wystarczy. Odda nowo narodzone dziecko ojcu bez wysuwania żadnych żądań.

Raven gotowa była złożyć każdą obietnicę miłości, ale to nie wystarczyło.

Dziecko kwasu zabiło dziecko miłości.

Dźwięk telefonu zabrzmiał jak podzwonne.

Raven wiedziała, że to dzwoni Nick. Musiała odebrać telefon. Jeśli tego nie zrobi, on będzie wciąż dzwonić, a gdyby wcale nie podniosła słuchawki, mógłby nawet wrócić wcześniej z Santa Barbara i pojawić się na jej progu bez ostrzeżenia. Telefonowała do niego ostatniej nocy, bohatersko zmuszając się, by jej głos brzmiał wesoło, gdy mówiła, że czuje się lepiej.

223

Ale tym razem dzwoniła Holly, z góry przepraszając, że niepokoi ją w niedzielę w domu.

- Nie szkodzi - zapewniła ją szczerze Raven. Za każdym razem, gdy rozmawiała z Holly, czuła zadziwiające ciepło, niezwykłą serdeczność... i ufność. Czy tak wygląda przyjaźń? - To żaden kłopot.

- Raven, może wiesz, gdzie mieszka Jason?

- Mieszka kilka kilometrów stąd. - Raven zmarszczyła brwi. - Czy nie jesteś teraz z nim? Kiedy rozmawiałam w tym tygodniu z jego sekretarką, powiedziała, że Jason wróci tu jutro, ale weekend spędzi w Kodiaku.

- Jestem teraz w Seattle. Byliśmy tu razem do wczoraj. To długa historia... Jason zostawił mi swój zastrzeżony telefon domowy i powiedział, że chce, abym do niego zadzwoniła, jednak ja wolałabym przylecieć tu dziś po południu i porozmawiać z nim osobiście.

"Żeby nie wiedział, iż wybierasz się do niego" - pomyślała Raven, przypominając sobie, że dokładnie tego samego chciał Jason, gdy prosił ją o pomoc w ustaleniu adresu Holly w Kodiaku.

W przedłużającej się ciszy rozległ się spokojny głos Holly:

- Jeśli nie jesteś pewna, czy możesz to zrobić, zrozumie cię.

- Nie - zapewniła ją Raven szybko i z całkowitym przekonaniem. - Nie mam żadnych zastrzeżeń, Holly. Poczekaj chwilę, muszę znaleźć swoją teczkę.

Wstając, Raven przygotowała się na zawroty głowy, które towarzyszyły jej przez ostatnie trzy doby. Oczywiście nie mogły zniknąć, choć walka już się skończyła, bo musi upłynąć trochę czasu, zanim uzupełni krew, którą straciła.

Ale nie zakręciło jej się w głowie. Jak gdyby nigdy nie było tego dziecka, jakby wcale nie toczyła bohaterskiej bitwy miłości.

Odzyskała siły.

Odzyskała? Nic podobnego. Po prostu nie potrzebuje teraz tak wiele krwi, by utrzymać się przy życiu. Nie potrzebowała już ciemnoczerwonej pożywki nadziei - bo nadzieja była martwa.

Nie odczuwała zawrotów głowy ani najmniejszego ukłucia bólu. Pojawił się jednak inny ból, bardziej rozdzierający od poprzedniego, tnący niby nóż krzyk rozpacz, gdy jej serce czuło, że nieodwracalnie obumierają jego najdroższe, przepelnione nadzieją partie.

Raven zmusiła się do zapomnienia o sobie, do skupienia się na miłości Jasona i Holly. Wiedziała, że to jest miłość.

Widziała ją w oczach Jasona tamtego dnia, gdy prosił, by zdobyła dla niego adres Holly. I słyszała ją w głosie Holly za każdym razem, kiedy omawiały kontrakt na scenariusz, o napisanie którego prosił ją Jason.

Teraz coś działo się z tą miłością i Raven bardzo chciała uwierzyć, że cokolwiek to było, nie jest nieodwracalne.

Dziecko kwasu mogło nigdy nie

224

zaznać szczęścia, ale powinna je zdobyć kobieta, która przędła cudowne sny o miłości, i mężczyzna, który te cudowne sny ożywia.

Teczka Raven leżała w sąsiednim pokoju, tam, gdzie ją rzuciła po powrocie do domu w czwartek wieczorem. Była wtedy wyczerpana, czuła radosne zmęczenie, świadczące o zdrowej ciąży. Odsunęła od siebie to wspomnienie, wyciągając notes z adresami z pękatej teczki i wracając z nim do telefonu w sypialni.

Gdy Raven podyktowała adres Jasona, Holly powtórzyła go na wszelki wypadek, a potem spytała cicho:

- Czy dobrze się czujesz, Raven? Wydajesz się... smutna. Raven już miała automatycznie zaprzeczyć, ale nagle usłyszała swój własny głos:

- Bo jestem smutna, Holly.

- Chcesz ze mną o tym pomówić? - spytała ostrożnie Holly. - Przylecę do Los Angeles około pół do szóstej. Wpaść do ciebie, zanim pójde do Jasona?

Raven chciała już wyrazić zgodę, ale coś ją powstrzymało. Niektóre bohaterki ksiązek Holly przypominały Raven. Były to olśniewające kobiety sukcesu, które wydawały się pewne siebie i władcze, ale w rzeczywistości w życiu prywatnym cierpiały z powodu głębokich, nigdy nie gojących się ran. Jednak dla bohaterek Holly zawsze wszystko szczęśliwie się kończyło. Tworzyła bohaterki, które dzielnie pokonywały najtrudniejsze przeszkody na drodze do ocalenia.

Raven próbowała ocalić siebie. Kochała całym sercem. I zawiodła.

I nawet mistrzowska prządka snów nie mogła utkać dla niej szczęśliwego zakończenia.

Szczególnie teraz, gdy Holly tak koniecznie musiała się zobaczyć z Jasonem.

- Dziękuję ci, Holly, ale to wszystko jest zbyt nowe, zbyt świeże, bym mogła o tym mówić. Nie spałam od kilku dni i myślę, że w tej chwili najbardziej potrzebuję snu.

- Jesteś pewna?

- Tak. Całkowicie pewna. - Raven zmusiła się, by w jej głosie słychać było uśmiech. - Nic mi nie będzie. Ale chętnie bym się z tobą kiedyś zobaczyła.

- Też bym tego chciała. Nie wiem, jak długo zostanę w Los Angeles.

- No cóż, jeśli nie teraz, to następnym razem, dobrze?

-Tak... dobrze.

Raven, wpatrując się w milczący aparat, myślała, że powinna zadzwonić do doktor Rockwell i Nicka. Sara Rockwell powiedziała jej, by zatelefonowała, jeśli wydali jakieś tkanki: będzie to znaczyło, że nastąpiło poronienie,

225

które może być jednak "nie całkowite". Pozostałe w macicy resztki martwych tkanek powodują nieraz rozmaite komplikacje - krwotok, zakażenie. Dlatego będzie musiała przyjść na kontrolę i jeśli poronienie nie było całkowite, czeka ją łyżeczkowanie macicy.

Raven w gruncie rzeczy nie obchodziło teraz, co się z nią stanie. Pomyślała, że wystarczy, jeśli jutro rano wybierze się do gabinetu doktor Rockwell.

Musiła jednak zadzwonić do Nicka. Musiała powiedzieć mu, że skurcze i bóle ustąpiły i że spróbuje przespać osiemnaście godzin dzielące ją od następnego ranka. Przynajmniej nie będzie do niej dzisiaj dzwonił i nie zjawi się tu niespodziewanie. Musiała odzyskać siły, zanim go znowu zobaczy.

Nie była już w ciąży, ale nadal czuła jej wcześniejsze symptomy: huśtawkę emocji, kryjących się pod powierzchnią, gotowych bez uprzedzenia eksplodować strumieniem gorących łez. Te objawy, z początku kłopotliwe, później przyjmowała jako świadectwo cudu. A teraz Raven chciała się ich ucześcić, zmusić, by zostały z nią zawsze, jak gdyby dzięki temu jej dziecko miłości mogło być wciąż żywe.

Nie, rozkazywała swemu niemądremu sercu, należy spojrzeć prawdzie w oczy. Po prostu łyzy nadal gromadzą się głęboko w środku. Po rozmowie z Nickiem pozwoli im płynąć... dopóki nie usunie z siebie całkowicie tego symbolu małej istotki, która kiedyś żyła, a której już nie ma.

Nick jeździł konno z dziewczynkami, kiedy zadzwoniła, więc to jego matce, babce swego dziecka, przekazała radosną wiadomość, że czuje się o wiele lepiej, ma zamiar przespać się teraz i że porozmawia z Nickiem jutro.

30

Holly nie mogła pojawić się nie zapowiedziana na progu Jasona. Sławny aktor i reżyser mieszkał w apartamencie na górnym piętrze dobrze strzeżonego budynku. Bez jego pozwolenia mogła dotrzeć tylko do umundurowanego portiera w holu, wykładanym nefrytowym i białym marmurem.

Mogła tu zostawić swój bagaż, a portier zapewnił ją, że jeśli będzie potrzebowała, zawoła dla niej taksówkę.

Portier zadzwonił do Jasona i chwilę później Holly jechała na górę prywatną windą.

226

Kiedy lśniące mosiężne drzwi rozsunęły się, Jason już tam czekał na nią. Błękitne oczy miał podkrążone, głos bardzo łagodny.

-Holly.

Zmusiła się, by zignorować tę łagodność.

- Muszę z tobą pomówić.

- Wejdz, proszę.

Jason poprowadził ją do salonu i poprosił, by usiadła na wygodnej kanapie. Holly nie skorzystała z tej propozycji.

Stojąc za kanapą i opierając o nią, spojrzała mu w twarz.

- Jest coś, co muszę wiedzieć, Jasonie.

- Słucham cię.

Holly zaczerpnęła tchu dla uspokojenia, a potem wypowiedziała słowa, które tak starannie sobie przygotowywała:

- Chcę wiedzieć, czy mogliśmy spędzić cały weekend w hotelu, zaledwie kilka kilometrów od domu mego ojca, a ty byś nawet nie wspomniął, że wiesz, iż on żyje.

- Owszem - odparł cicho Jason. - Mogło tak być.

Potwierdziło to jej obawy i nagle wyzwoliło wzbierający gniew. Gniew z powodu tego, co mógłby zrobić.

Dla Holly wieść o tym, że jej ojciec żyje, była niezwykle, nieoczekiwanym darem. Nie szukała go i najprawdopodobniej nigdy nie przyszłoby jej to do głowy. Ale dla jej ojca każdy dzień minionych siedemnastu lat przepełniony był smutkiem, cierpieniem, nieustannie dręczyły go wyrzuty sumienia, że nie robi wszystkiego, by odnaleźć zaginioną córkę.

Czy Jason naprawdę mógłby być tak okrutny? Czy skazałby Lawrence'a na to, by do końca życia cierpiał takie męki?

Teraz знаła już odpowiedź i mogła stąd odejść. Jednak jej serce chciało wiedzieć, dlaczego tak postąpił.

- Zrobiłbyś to mojemu ojcu, gdybym powiedziała ci, że ledwo go pamiętam, albo że czasem gniewał się na mnie, bo był zmęczony ciężką pracą?

Jason widział jej ogromny ból, przekonanie, że ostatecznie ją zdradził. Miał w arsenale tylko jedną broń: prawdę. I tę właśnie prawdę powiedział Holly.

- Stałoby się tak, gdybym doszedł do wniosku, że to spotkanie nie da ci szczęścia.

- Ty miałbyś o tym decydować? Gdyby znakomity reżyser uznał, że ta scena nie pasuje do jego scenariusza, całkiem by ją pominął? Czy to chcesz mi powiedzieć?

- Tak, Holly, to właśnie ci mówię.  
- Tak wiele ci zawdzięczam, Jasonie. Ale w tej chwili nienawidzę...  
- Dasz mi szansę wyjaśnienia wszystkiego? - spytał cicho. Miał wrażenie, że jest to daremna prośba. Wydawało się, że jej gniewne oczy nie są  
227

zdolne widzieć niczego, co mogłoby wytłumaczyć bezczelne manipulowanie jej życiem. - Pozwolisz mi przynajmniej spróbować?

W odpowiedzi skinęła lekko złotą główką, słysząc w jego głosie smutek, a nawet rozpacz.

- Udawajmy przez chwilę, że jesteśmy postaciami z twojej książki - zaczął Jason. - Ty jesteś oczywiście bohaterką, a ja, choć to trudne, będę udawał bohatera.

- Żaden z moich bohaterów nie zrobiłby tego, co ty zrobiłeś - zaprotestowała gorąco. - Żaden z nich nie byłby tak okrutny.

- Mylisz się, Holly. Czytałem wszystkie twoje książki i wierzę, że w takich okolicznościach twoi bohaterowie zrobiliby to samo, co ja. - Jej wspaniałe błękitnozielone oczy płonęły gniewem, ale zobaczył także w nich cień niepewności. Kiedy Jason przekonał się, że Holly naprawdę go słucha, ciągnął dalej:

- Twój ojciec mógł okazać się potworem. Mógł cię strasznie krzywdzić, gdy byłaś dzieckiem. Nie chciałem, by sprawiono ci ból. Nie mogłem na to pozwolić. Czy nie postąpiłby w ten sposób bohater z twojej książki?

- Oczywiście, ale tylko wtedy... gdyby...

Jason widział, jak cień gniewu ustępuje miejsca jasnej nadziei.

- Kocham cię, Holly. Dlatego to zrobiłem.

- Jasonie!

Obszedł kanapę, stanowiącą barierę między nimi, a gdy stanął przed nią, uniosła ku niemu twarz i zobaczył to, co widział wczoraj rano ponad huczącym wodospadem: niczym nie przyćmioną wiarę w cudowną magię ich cudownej miłości.

Wczoraj w tej wspaniałej chwili Jason czuł rozpaczliwą potrzebę uchwycenia jej, zanim zostanie zmyta przez druzgoczące fale. Ale teraz nie czuł tego ponaglenia. Wiedział, że jest to wspaniały początek życia pełnego takich chwil.

Przez bardzo długi czas po prostu patrzyli na siebie, ciesząc się tym cudem, zachwycając się nieograniczonym szczęściem.

Z wyjątkową czułością Jason zaczął pieścić jej wargi - najpierw drżącymi z lekka palcami, potem kochającymi ustami. I choć Holly nigdy wcześniej nie była całowana, wiedziała, jak przyjmować pocałunki ukochanego mężczyzny.

Były to tysiące różnych pocałunków, od łagodnego powitania do żarłocznego głodu, od czulego ciepła do namiętnego ognia, od najdelikatniejszego szeptu do zachłannego pożądania. Pragnęli teraz

czegoś więcej, czym mogliby się podzielić nawzajem.

- Och, Holly - wyszeptał Jason.

Siedzieli na kanapie. To, co było z początku dzielącą ich barierą, teraz stało się przystanią ich miłości.

228

- Jasonie... - powiedziała. Potem z płonącym spojrzeniem, pełnym radosnej pewności siebie, szepnęła: - Kochaj się ze mną.

- Nie chcesz poczekać?

- Poczekać?

- Do nocy poślubnej. - Jason sądził, że jej śliczne oczy nie mogą zapłonąć jaśniej. Ale się mylił. A kiedy zobaczył jej promienne uszczęśliwienie, odkrył coś jeszcze. Radość Holly na myśl o ich ślubie wywołała w nich przyływy pożądania, o wiele silniejszy niż przy najbardziej namiętnych pocałunkach. Upłynęło kilka chwil, nim zdołał wydobyć z siebie głos. - Prawdę mówiąc, może to nie być noc.

- Nie?

- Myślałem trochę o naszym ślubie. I wymyśliłem, że jeśli też będziesz tego chciała, to możemy pobrać się w Barrow w czerwcu. Złożylibyśmy słowa przysięgi w chwili, gdy zachodzące słońce dotknie linii horyzontu.

- Och - wyszeptała. A potem, z wciąż płonącymi oczami i wilgotnymi od pocałunków wargami, na których widniał uśmiech szczęścia, powoli ostrożnie potrząsnęła spletanymi złotymi lokami.

- Nie chcesz za mnie wyjść?

- Ależ tak! Chcę wyjść za ciebie.

- Ale nie w Barrow?

- W Barrow. Jednak nie chcę czekać do tego czasu. Nie ma powodu. Już jesteśmy małżeństwem, prawda? Nasze serca są sobie poślubione... czyż nie?

- Och, tak! - Ich serca były już poślubione, a wkrótce połączą się ich ciała. Ujął w dłonie jej śliczną twarz, zachwycając się, jak bardzo jest piękna, urna, pełna nadziei... i na przekór namiętności jej pocałunków - bardzo niewinna.

Holly zauważyła, że Jason nagle ściągnął brwi:

- Niepokoisz się, że mogę zajść w ciążę?

- Nie - odpowiedział szybko. - Myślę, że to byłoby cudowne.

- Ale coś cię niepokoi.

- Nie chcę sprawić ci bólu, Holly - wyznał cicho. - Ani przez chwilę. Na jej twarz powrócił wyraz radosnej pewności, z którym prosiła go, by się z nią kochał.

- Nasza miłość nie może mi sprawić bólu, Jasonie, nawet przez chwilę.

Holly i Jason świętowali swoją miłość, zwiędzając ten wspólny dar czułym połączeniem kochających ciał, o czym nieraz pisała Lauren Sinclair.

Ich miłość pełna była szacunku, zachwytu i radości. A potem, gdy leżała w jego ramionach otulona czułością, oczy Holly wciąż płonęły zdziwieniem.

229

- Nie wiedziałam - szeptała. - Pisałam o kochaniu się, ale...

- Ależ wiedziałas, Holly - zaprzeczył Jason. - Wiedziałas, że ma największe znaczenie, budzi największy zachwyt, gdy przedtem pojawi się pełna oddania miłość.

- Tak, ale nie wyobrażałam sobie... że może być aż tak dobrze. Jason ucałował kąciki jej płonących oczu, czule, z szacunkiem, a gdy jego palce pieściły złote loki otaczające jej twarz, wyznał:

- Ja też nie wiedziałem. Holly. Do tej pory nie znałem miłości. Zanim nie spotkałem ciebie.

Mogliby spędzić cały wieczór, zagubieni w czarodziejskim świetle miłości. Cały wieczór, całą noc, wieczność.

Ale przecież był ojciec, który przez siedemnaście lat szukał zaginionej córki. Żadne z nich o nim nie zapomniało.

Jason wyszedł, by zabrać jej bagaże z portierni i kupić coś na kolację, ale przede wszystkim dlatego, by mogła w samotności zadzwonić do Issaquah. Lawrence odebrał telefon po pierwszym dzwonku, zanim jeszcze Holly podzieliła się z nim radosnymi nowinami, jego serce zabiło z ulgi, gdy usłyszał jej uszczęśliwiony głos.

Holly powiedziała mu o ich małżeńskich planach. Miała nadzieję, że Caroline i Lawrence pojedą do Barrow, żeby być świadkami tego wydarzenia.

- Będziemy tam - obiecał Lawrence. Holly usłyszała uśmiech w jego głosie, kiedy dorzucił: - Jestem pewien, że właścicielka Katie z radością zaopiekuje się Juliet.

Potem podzieliła się z ojcem innymi planami, które poczynili z Jasonem. Kiedy Jason będzie kręcił film w Dallas, ona wróci do Issaquah. Pomoże Lawrenceowi uczynić coś, co było dla niego bardzo ważne: podziękować wszystkim ludziom, którzy pomagali mu w poszukiwaniach córki przez te długie lata, którzy okazali mu współczucie i troskę.

Zanim się pożegnali, Holly powiedziała cicho:

- Muszę o coś cię spytać. Chodzi o wczorajszy ranek.

- Słucham.

- Jak sądzisz, dlaczego Jason przyjechał najpierw zobaczyć się z tobą? Myślałeś, że ja go przysłałam?

- Szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym - przyznał Lawrence. Ani przez chwilę nie zwątpił w cud, który połączył go z córką. Ale teraz, gdy usłyszał niepokój w głosie Holly, natychmiast zrozumiał, co się stało. - Nie wysyłałaś go, prawda? Ty też nic nie wiedziałas?

- Nie, nie wiedziałam - Ojciec powinien zrozumieć, że w każdych okolicznościach chciałaby go zobaczyć. - Nie gniewaj się na Jasona.

230

- Gniewać się? Jak mógłbym to zrobić? Postąpił tak, bo bardzo cię kocha. Mogłem się zmienić, Holly. Spotkanie ze mną mogłoby być dla ciebie bardzo przykre. Jason nie chciał tego ze względu na ciebie. - Lawrence zamilkł.

Świadomość tego, co mógłby utracić, wywołała w nim burzę emocji. W końcu, pewnym tonem, powiedział: - I miał całkowitą rację.

Znowu się kochali, a potem, przytuleni do siebie, szeptali, że tym razem wszystko było jeszcze bardziej zachwycające. Zapadła cisza pełna najczulszych pocałunków.

- Sądzę, że powinniśmy zaprosić na ślub Raven - powiedziała Holly.

- Dobrze. - Jason zgodził się bez wahania. - Ale dlaczego?

- Gdyby nie Raven, nie przyjechałabym do Los Angeles porozmawiać z tobą o Darach miłości, nie spotkalibyśmy się. A poza tym myślę, że chciałaby zobaczyć zachodzące słońce. Chyba zrobiłoby na niej wrażenie.

- Też tak sądzę - zgodził się, myśląc w duchu, że prawdopodobnie niewielu mieszkańców Los Angeles mogłoby wyobrazić sobie, że wspaniałość letniego słońca odbijającego się od wody wywrze jakieś wrażenie na Królowej Śniegu.

- Nie wiedziałem, że tak dobrze ją znasz.

- Nie znam, ale chciałabym ją poznać. Kiedy zadzwoniłam do niej po południu, by zdobyć twój adres, była bardzo smutna.

- Przyznała się do tego?

- Tak, ale dodała, że powód tego jest zbyt świeży, by mogła o nim mówić. Może jutro, gdy zajmiesz się swoimi sprawami, które musisz załatwić przed wyjazdem do Dallas, zadzwonię do niej, zaproszę na nasz ślub i zorientuję się, czy zechce się ze mną spotkać, żeby pogadać.

31

Brentwood, Kalifornia, Poniedziałek, 15 maja

Odkąd Raven poznała Nicka, dwukrotnie spodziewała się ujrzeć na jego twarzy wściekłość. Po raz pierwszy, kiedy omal nie wpadła pod jego ciężarówkę. Jednak on wtedy zaopiekował się nią troskliwie. Oczekiwała też

231

jego gniewu, kiedy zaskoczył ją, gdy popijała z Sam lemoniadę na pachnącej różami werandzie jego wspaniałej

rezydencji. Jednak tamtego dnia to on ją przeprosił, nie szczędząc słów miłości.

Raven wiedziała, że Nicholas Gault jest zdolny do wściekłości. Melody opisywała jego gniew, kiedy kobieta imieniem Jeanette próbowała wkraść się w ich życie, mącąc dziewczętom głowach archaicznymi pojęciami o roli kobiety. I sama miała okazję ujrzeć przebliski jego furii, gdy opowiadał jej, jak odkrył, że Deandra zdecydowała, iż jego młodsza córka nigdy się nie narodzi.

Ale nawet ta wściekłość zbladła w porównaniu z tym, co powitało ją, kiedy weszła do swego domu w poniedziałek wczesnym wieczorem. Wiedziała, że Nick tam będzie, choć ze sobą nie rozmawiali. Raven miała przez cały dzień spotkania, on tak samo, więc po kilku próbach połączenia się z nią telefonicznie Nick po prostu zostawił wiadomość u jej sekretarki, że po pracy wpadnie do niej do domu.

Nick nie był jedyną osobą, której pomimo wielu prób nie udało się skontaktować z Raven. Holly też zostawiła w końcu wiadomość z zaproszeniem na ślub i numerem telefonu w Issaquah, by Raven mogła zadzwonić, jeśli będzie miała czas.

Raven i doktor Sarze Rockwell również nie udało się porozumieć - ani osobiście, ani telefonicznie. Raven zjawiała się na wizytę z rana, jak zostało ustalone, ale doktor Rockwell nie było. Musiała przeprowadzić nagłą operację cesarskiego cięcia u kobiety z przodującym łożyskiem. W rezultacie nie doszło do badania, które miało ustalić "kompletność" poronienia. Pielęgniarka doktor Rockwell zbadała Raven temperaturę, tętno, oddech, ciśnienie, które były stabilne, pobrała próbki krwi na ilość czerwonych krwinek do testu na krzepliwość i do powtórnego testu ciążowego, a po przełożeniu wizyty na następny dzień, na jedenastą, umieściła jej nazwisko w planach zabiegów łyżeczkowania macicy. Raven nie miała ochoty odpowiadać na telefony Sary Rockwell. Wiedziała, że test ciążowy poświadczy śmierć płodu i że jeśli nawet badanie ginekologiczne stwierdzi drożność szyjki macicy, a zatem całkowite poronienie, i tak na wszelki wypadek zalecone zostanie łyżeczkowanie macicy. Nie ulegało wątpliwości, co doktor Rockwell chce jej powiedzieć. Gdy Raven weszła do domu i napotkała wściekle spojrzenie szarych oczu, pomyślała, że pewnie doktor Rockwell zadzwoniła tutaj i nie wiadomo czemu przekazała Nickowi te wiadomości.

Dlaczego jest taki zły? Jej serce, które -jak sądziła - nie mogło czuć już bólu, znów zaczęło krwawić.

232

Nick jest wściekły, ponieważ straciła dziecko jego miłości, ponieważ traktowała tę niewinną istotkę z karygodną lekkomyślnością. Nick wini ją, tak jak ona obwinia samą siebie.

Nicholasowi Gaultowi mgła wściekłości przesłoniła wzrok. Miał przed sobą uwodzicielsko piękną kobietę, dla której pozory były wszystkim. Ubierała się w eleganckie stroje i podejmowała przerażające decyzje, aby zachować doskonałą figurę. Widział kobietę, która go w końcu zdradziła, wyrachowaną kusicielkę, która oszukała nie tylko jego, ale i jego córki. Oszukiwałyby ich tak nadal, dopóki nie zdobyłaby wszystkiego, czego pragnęła. .. łącznie z ich sercami.

Krótko mówiąc, Nicholas widział Śnieżnego Rekina.

Poprzez mgłę wściekłości nie dostrzegł, co naprawdę działo się z jego uroczą Śnieżką. Gniew nie pozwalał mu widzieć, że jej błyszczące dawniej jak szafiry oczy są teraz zamglone, pozbawione wszelkiej nadziei. Furia nie pozwoliła mu poznać prawdy o jej nieskazitelnej niegdyś, śnieżnobiałej skórze. Teraz była przezroczysta, miała błękitną biel lodu, tworzącego cienką warstewkę nad zdradzieckimi wodami. I jak cienki lód była krucha, nietrwała, skazana na zagładę.

- Właśnie wszedłem, kiedy twoja automatyczna sekretarka rejestrowała wiadomość. Sądzę, że powinniśmy ją razem przesłuchać - powiedział lodowatym, pozornie spokojnym głosem.

-Nick...

Z wściekłości szumiało mu w uszach, ale mimo to usłyszał cichą rozpacz w jej głosie - i ten fałsz tylko wzmógł jego furię.

- Nalegam, Raven.

Automatyczna sekretarka stała w salonie na niskim stoliku przed oknem. Raven podeszła i nacisnęła guzik. Nie mogła patrzeć Nickowi w twarz, słuchając wiadomości, ani spoglądać przez okno na ogród, który dla niej założył, więc po prostu wpatrywała się w aparat.

"Raven, tu Sara Rockwell. Bardzo mi przykro, że nie spotkałyśmy się dziś rano i że nie udało nam się skontaktować po południu. Niestety nie mam wyników testu ciążowego. Upuszczono próbkę podczas przekazywania jej do laboratorium. A więc muszę cię prosić, byś przyszła jutro o ósmej rano na pobranie krwi. Laboratorium obiecuje zrobić test błyskawicznie, więc powinniśmy mieć wyniki, kiedy zobaczę się z tobą o jedenastej. łyżeczkowanie macicy jest wciąż przewidziane na południe, więc proszę, byś nic nie piła ani nie jadła od północy. Przykro mi z powodu dzisiejszego testu. Wiem, jakie to trudne dla ciebie, ale trzymaj się. Jutro wszystko się ostatecznie rozstrzygnie.

Zadzwon, jeśli masz jakieś pytania albo jeśli dostaniesz krwotoku, gorączki lub pojawią się inne symptomy, o których rozmawialiśmy".

233

Po odtworzeniu wiadomości Raven wpatrywała się w aparat, który zaterkotał, przewijając taśmę. W końcu, wciąż nie odrywając wzroku od telefonu, powiedziała spokojnie:

- Nie chciałam, żebyś wiedział.

- Nie jestem zdziwiony. - W jego lodowatym głosie słychać teraz było pogardę. - To, że odkryłem, co zamierzasz zrobić z moim dzieckiem - a może ono nie jest moje? - stanowi poważne zagrożenie dla naszego związku, prawda? Bez wątpienia pamiętasz, co w podobnej sytuacji stało się z moim uczuciem do Deandry.

Nick nawet poprzez dymną zasłonę wściekłości, dostrzegł, co się zdarzyło potem. Raven, trzymająca się tak prosto i

sztynno, nagle skurczyła się jakby przygnieciona ogromnym ciężarem ohydnej prawdy.

Nick, widząc to, toczył z sobą gwałtowną walkę, nadal zauroczony, schwyty w jedwabną sieć jej oszustwa. Miał ochotę podbiec do niej, objąć ją, pocieszyć i wybaczyć... ponieważ nadal ją kochał.

Raven omal nie umarła wczoraj, gdy straciła swoje dziecko, a teraz naprawdę nie miała już po co żyć. Jeśli umrze, nie będzie już odczuwała bólu. Po jej ranach pozostaną jedynie grube, bezkrwiste blizny niczym nagrobki nadziei i miłości. Słowa Nicka były dla niej ostatnim, śmiertelnym ciosem.

Płacz, Wierzbo, płacz! Umieraj, ptaku śmierci, umieraj! Nigdy więcej, dziecię kwasu, nigdy więcej!

"Umrzesz - obiecywał jej zamroczony umysł. - Wkrótce będzie po wszystkim. Nastanie spokój i nigdy nie poczujesz już bólu".

Jednak inny głos przypomniał jej, że w ten sposób mężczyzna, którego kocha, zawsze będzie wierzył, że zamierzała zabić jego dziecko.

I co z tego? Faktycznie zabiła jego dziecko. Dziecko kwasu zabiło dziecko miłości.

Ale on powinien dowiedzieć się prawdy! Musi wiedzieć, że go nie zdradziła ani nie oszukiwała. Pomyślała, że zanim umrze oczerniana Raven, zawsze dumna Wierzba-Willow, nawet pokryte bliznami dziecko kwasu powinna mieć szansę, by wyznać swoją własną prawdę: nie była tego godna, wiedziała to, ale próbowała, och, jak bardzo próbowała kochać.

Raven z trudem wyprostowała się. Zaczepnęła w płuca powietrza i zwróciła się, by stawić czoło Nickowi.

Był zaskakująco blisko, biegł ku niej, jak gdyby na przekór wszystkiemu nie mógł patrzeć, jak ona umiera.

- To było nasze dziecko, Nick, nasze dziecko, i straciłam je. Tak bardzo starałam się ocalić, tak bardzo, ale nie potrafiłam.

- Raven? - Mgła wściekłości rozwiewała się i widział z bolesną wyrazistością oczy, których wyraz dorównywał rozpacz w jej miękkim głosie.

234

- Poroniłam w ten weekend. Wczoraj. Skurcze i krwawienie zaczęły się we czwartek wieczorem. Zrobiony wczoraj test ciążyowy miał potwierdzić, że dziecko umarło, a łyżeczowanie macicy, wyznaczone na jutro, ma na celu...

Raven zawahała się, a Nick spytał cicho:

- Co ma na celu, Raven?

- Moje bezpieczeństwo - wyznała przeproszająco. - Na wypadek, gdyby pozostały jakieś resztki tkanek, które mogą spowodować zakażenie lub krwotok.

Nick słyszał przeprosiny i widział z jej uroczej, cierpiącej twarzy, że naprawdę wierzyła, iż nie powinno się nic robić dla niej, dla jej bezpieczeństwa, bo z jakichś powodów nie zasługuje na taką troskę.

- Och, moje kochanie - szepnęła. Objął ją teraz, tuląc z czułością w kochających ramionach. Czuł jej drżącą kruchość i jej drżącą odwagę i jeszcze coś, co budziło jego przerażenie. Raven była w jego ramionach jak drżąca wyspa na oceanie miłości, ale jak owa wyspa była oddzielona od niego, całkowicie zamknięta w sobie. - Dlaczego mi nie powiedziałaś? Powiniennem być z tobą w ten weekend.

- Nie chciałam, żebyś wiedział.

Głos miała obojętny. Była blisko, ale zarazem okropnie daleko.

- Ale zamierzałaś powiedzieć mi o dziecku... o naszym dziecku... prawda?

- Tak. Kiedy nic nie groziłoby już ciąży. Wiedziałam, że będziesz je chciał, kochał i z radością przyjmiesz do rodziny.

- A co z tobą, Raven?

Jego pytanie zbiło ją z tropu, zakłopotalo. Po chwili wzruszyła lekko ramionami.

- Wydawało mi się najważniejsze, by dziecko było z ojcem, siostrami i dziadkami.

Przeszył ją dreszcz, co zmusiło Nicka, by zwrócił uwagę na jej chłodną, przejrzystą skórę i zmęczoną, poszarzałą twarz.

- Zaraz zapakujemy cię do ciepłego łóżka. - Nawet przyniosłem coś, co ci się w nim przyda.

Po jego słowach poczuła jeszcze większy smutek, miała teraz świadomość, że została zdradzona. A w końcu pojawiło się to, co najgorsze - rezygnacja.

- Och, Raven - wyszeptał Nick. - Czy sądzisz, że mówię o seksownym negliżu? Czy naprawdę wierzysz, że mógłbym tak postąpić teraz, kiedy... oplakujemy śmierć naszego nie narodzonego dziecka?

- Ja... nie wiem.

- A powinnaś wiedzieć. - Nick miał na myśli, że powinna go znać, wiedzieć, jakim jest człowiekiem. Że jego uczucie do niej wykracza znacznie

235

poza seks. Ale gdy to mówił, uświadomił sobie, że to nie w niego zwątpiła, lecz w siebie. Wydawało się, iż Raven Willow Winter nie wie, że jest godna prezentu, nie mającego związku z seksualnymi rozkoszami, których mogła dostarczyć. Cała surowość znikła z jego głosu, gdy powtórzył: - No cóż, powinnaś wiedzieć.

Mówiąc to, wyjął z kieszeni marynarki małe pudełeczko, pokryte fioletowym aksamitem, i podał jej.

- Mam nadzieję, że będziesz to nosić przez cały czas, Raven. W łóżku, poza łóżkiem, wszędzie.

Białe palce Raven drżały, gdy otwierała pudełeczko. W środku, na wspaniałej, aksamitnej poduszeczce leżał brylant o wspaniałym szlifie, w tradycyjnej, eleganckiej oprawie w stylu Tiffanego.

-Nick...

- Wydziesz za mnie, Raven? - Nick obserwował jej emocje. Był świadkiem walki pomiędzy tym, co o sobie sądziła, i



tym, w co mogła uwierzyć dzięki ich miłości. Kiedy już wydawało się, że miłość zwycięża, pokonując nawet najbardziej uparte wątpliwości, zauważył jej zaniepokojenie.

- A co z dziewczynkami? Nick uśmiechnął się.

- Przysięgam, że nie wiedziałem, jak to załatwić. Zdecydowałem, że najpierw powinienem spytać ciebie. Choć pierścionek nie był jeszcze gotowy, zamierzałem oświadczyć ci się w czasie weekendu w Santa Barbara. A gdybyś się zgodziła, oboje byśmy wymyślili, jak to powiedzieć dziewczynom. Taki był mój plan, ale okazało się, że dziewczynki też spiskowały. Kiedy wróciliśmy ostatniego wieczoru, zapytały, czy jestem w tobie zakochany i co zamierzam z tym zrobić. - Nick przerwał, by scałować łzę, która spłynęła po pobladyłym policzku. - Pewnie zmartwiło je to, iż nie byliśmy razem podczas tego weekendu. Kiedy ktoś z rodziny choruje, inni powinni być przy nim, kochać go, pomagać mu. One cię kochają, Raven, i ja też.

Raven sądziła, że wczoraj wyplakała już wszystkie łzy, a wraz z nimi rozhuśtane emocje, które towarzyszyły jej od początku ciąży. Ale zarówno łzy, jak i emocje wciąż w niej były, drżące, wzbierające, eksplodujące. I były pełne nadziei, tak pełne nadziei, jak ta mała dzielna istotka, która umarła.

Nick wyczuł jej myśli, jej smutek i szepnął czule:

- Pozwól mi smuć się z tobą, Raven. To było także moje dziecko. Pozwól mi zostać dziś z tobą, przez całą noc. Będziemy rozmawiać o dziecku, które utraciliśmy, i będziemy robić plany na przyszłość, a rano pójdę z tobą do doktora. Dobrze?

Skinęła głową i miała już powiedzieć "dziękuję", ale się powstrzymała. Tak by zareagowała dawna Raven, która każdy przejaw uprzejmości, a co

236

dopiero miłości, witała z pełną niedowierzania wdzięcznością. Teraz miała zamiar powiedzieć coś innego, słowa płynące z tej części jej serca, które zawsze żywiło uparte przekonanie, że dziecko kwasu ma jednak wiele do zaoferowania.

Spoglądając na mężczyznę, który dał jej tak wiele, niczego nie żądał, i który zasłużył teraz, by to wiedzieć, Raven Willow Winter oznajmiła z cichą radością:

- Kocham cię, Nick. Kocham cię.

32

To jest Nicholas Gault - powiedziała Raven, kiedy doktor Rockwell weszła do gabinetu. Dodała miękko: - Ojciec dziecka.

- Dzień dobry - przywitała się z uśmiechem Sara Rockwell.

- Dzień dobry - powtórzył Nick. - Chciałbym być przy Raven, w trakcie wszystkiego, co zaplanowano na dzisiaj:

badania, łyżeczkowania macicy. .. przy wszystkim. - Widząc na twarzy lekarki wyraz, który uznał za wahanie, dorzucił:

- Obiecałem jej, że będę cały czas trzymał ją za rękę, więc sprawa wygląda tak, że jest pani na mnie skazana.

- W porządku - zapewniła go Sara. - Może więc pójdziemy i zrobimy teraz badanie?

Nick nigdy dotąd nie był świadkiem badania ginekologicznego i w gruncie rzeczy teraz też zobaczył niewiele. Wiedział jednak, że Sara Rockwell nie sprawiała wcale bólu Raven, ponieważ białe dłonie splecione z jego dłońmi nie zacisnęły się mocniej.

Całe badanie trwało tylko kilka chwil, następnie Raven usiadła i oboje z Nickiem czekali, by lekarka stwierdziła, co trzeba robić dalej.

- Jak się czujesz, Raven? - spytała doktor Rockwell.

- Dobrze. Mogłam odpocząć zeszłej nocy i od niedzieli nie miałam krwawienia ani skurczów.

- Nadal czujesz się, jakbyś była w ciąży?

Raven przelotnie zmarszczyła brwi, ale odpowiedziała szczerze.

- Tak. Sądzę, że wciąż oddziałują na mnie hormony. I wtedy Sara Rockwell uśmiechnęła się.

- Tak być powinno, Raven. Test ciążowy z dzisiejszego ranka wykazał zdecydowanie wyższy poziom hormonów w porównaniu z wynikami dwóch

237

testów, robionych w zeszłym tygodniu. O ile mogę to stwierdzić, na podstawie danych laboratoryjnych i mojego badania, nadal jesteś w ciąży.

- Jestem? Ale... - powstrzymała cichy protest, ponieważ wcale nie miała ochoty protestować ani żadnego powodu, by wątpić w heroiczne zwycięstwo dziecka miłości.

- To, co uznałaś za tkanki, prawdopodobnie było skrzepem krwi. Mówiłaś, że miałaś zawsze bardzo lekkie miesiączki, więc prawdopodobnie nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałaś.

- Co to znaczy, pani doktor?

To było pytanie Nicka, ciche i pełne nadziei, na które Sara Rockwell odpowiedziała pokrzepiająco:

- To znaczy, że Raven groziło poronienie. Fakt, że krwawienie i skurcze całkowicie ustąpiły, dowodzi, iż zagrożenie minęło. Krwawienie w pierwszym trymestrze ciąży występuje dość często. Jeśli nie wywołuje poronienia, jest

zazwyczaj krótkotrwałym symptomem wywołanym przystosowywaniem się łożyska i macicy. Nie ma wątpliwości, że

kryzys minął, i ciąża wydaje się przebiegać normalnie. Bardzo prawdopodobne jest, że będzie rozwijać się bez

kłopotów. - Uśmiechnęła się, popatrzyła na ich połączone dłonie i rzuciła lekkim tonem: - Może byśmy porozmawiali o dalszych wizytach w moim gabinecie, jak tylko uda się wam ubrać Raven?

Nick po prostu ją tulił, obejmując i ją, i cud, a jego emocje były zbyt wzburzone, by mógł mówić.

To Raven odsunęła się w końcu, niewiele, na tyle, że mogła widzieć jego oczy, gdy przemówiła.

- Dziecku nic się nie stanie, Nick - zapewniła go miękko. - Od samego początku wyczuwałam jego siłę, wolę życia, chęć poznania ojca, sióstr i dziadków.

- Zastanawiam się jednak - sprzeciwił się z czułością - czy nie powinniśmy trochę poczekać, zanim powiemy o nim dziewczynkom.

- Dobrze - zgodziła się Raven, choć wiedziała, że taka ostrożność nie jest już konieczna. Dziecko miłości czuło się dobrze, rozkwitało. - Myślę, że jakiś czas zabierze im oswojenie się z nowiną, że będzie wesele, a one dostaną nową matkę.

- Oswoją się szybko i z radością, Ale, Raven, ty nie będziesz ich nową matką. Będziesz jedyną matką, jaką miały.

- Mam nadzieję, że mi się to uda, Nick.

- Już ci się udało, kochanie. Już ci się udało.

Znowu przyciągnął ją do siebie, i mogła słyszeć mocne uderzenia jego serca. Potem dały się słyszeć czułe słowa, powtarzane szeptem, jak refren miłości i szczęścia.

238

- Kocham cię, Raven - szeptał Nick, tuląc ją do siebie. - Kocham cię, kocham...

Słuchała jego czułych słów, i przez jedną, pełną zdumienia chwilę, pamiętała, że słyszała kiedyś te same słowa, wymawiane całkiem inaczej, z pogardą, a nie miłością, brzmiące jak szydercze pytanie, a nie radosna odpowiedź.

Kochać cię, Raven? Kochać ciebie?

W słowach, które rozbrzmiewały teraz, była czysta miłość. Otuliły ją cudownym ciepłem, roztopiając lód, pokonując go na zawsze, i okrywały z pieszczotliwą czułością zarówno dziecko kwasu, jak i dziecko miłości.

Kochać cię, Raven. Kochać ciebie.

WYDAWNICTWO AMBER Sp. z o. o. 00-108 Warszawa, ul. Zielna 39, tel. 620 40 13, 620 81 62

Warszawa 2000. Wydanie I Druk: Finidr, s.r.o., Český Těšín